

John Barnes

Milion otwartych dni

Przełożył Michał Jakuszewski

Część pierwsza

Canso de fis de Jovent

Siedzieliśmy w zwykłym gronie w tawernie Pertza, wśród wzgórz górujących nad Noupeitau. Choć twierdziliśmy, że chcemy wziąć plecaki i wybrać się na wycieczkę do Terraust, w rzeczywistości tylko piliśmy na rachunek Aimerica. Za kilka tygodni miała się zacząć pora pożarowa i mieliśmy nadzieję, że uda nam się zobaczyć pierwsze stada *aurocs-de-mer*, migrujących na brzegi Wielkiej Rzeki Polarnej, by rozpocząć długą na tysiąc siedemset kilometrów podróż do morza. Aimeric nigdy ich nie widział i miał wielką ochotę tam się wybrać. My radowaliśmy się obserwacją typowego dla niego podniecenia, które – podobnie jak jego łysinka – było dla nas stałym pretekstem do kpin, oraz czerwonym winem, lejającym się swobodnie, dopóki to on za nie płacił.

– Może ostatniego dnia skoczylibyśmy do Bo Merce Bay, żeby zobaczyć, jak pierwsze sztuki docierają do morza. Podobno to dopiero jest widok. Następna okazja trafi się aż za dwanaście stanlat. Nie możemy zmarnować tej szansy, *m'es vis, companho*.

Aimeric parsknął śmiechem, wpatrując się w kieliszek wina. Łysinka stawała się coraz większa. Przyjemnie było litować się nad nim.

Objął Bieris, swą aktualną *entendedorę*, i przyciągnął ją do siebie. Popatrzyła na mnie, unosząc brwi. Nie chciała, żebym go zachęcał.

– On chyba naprawdę ma ochotę się tam wybrać – szepnęła mi do ucha Garsenda, która była moją *entendedorą*. – Co ty na to?

– Jak sobie życzysz, *midons*. Byłem tam z ojcem, kiedy miałem dziewięć lat. Z chęcią zobaczyłbym je znowu.

– Giraut je widział – oznajmiła bardzo głośno Garsenda. – Może ci wszystko opowiedzieć.

Rozmowy umilkły. Wszyscy spojrzeli na nas. Gdyby Garsenda nie miała długich, gęstych, czarnogranatowych włosów, jasnobłękitnych oczu, dużych, ciężkich, miękkich piersi i płaskiego brzucha, nigdy nie zostałaby moją *entendedorą*. Z pewnością nie chodziło mi o jej osobowość. Miałem czasem ochotę pozbyć się jej, ale bardzo imponowała moim *companho*, warto więc było tolerować jej rozliczne gafy. Szkoda tylko, że zasady *finamor* wymagały, bym uważał ją za doskonałą.

Zachichotała, zdając sobie sprawę, że wszyscy się na nią gapią, i musnęła pod stołem moje udo przeciągłym ruchem.

– Myślałam, że mówimy o wycieczce na Biegun Południowy – wyjaśniła. – No

wiecie, żeby zobaczyć, jak *aurocs-de-mer* zamieniają nogi w płetwy czy co tam one robią.

– Miałaś rację – rzucił Raimbaut. Wyszczерzył zęby w uśmiechu, uradowany, że moja *entendedora* przynosi mi wstyd.

Odwzajemniłem jego uśmiech. On w ogóle nie miał *entendedory* i gdyby miało dojść do wymiany obelg, trzymałem w ręku lepsze karty.

– Naprawdę je widziałeś? – zapytał Aimeric.

Bieris grzotnęła go w bark, posyłając mu swe dobre nam wszystkim znane spojrzenie, mówiące: „Nie zachęcaj Garsendy”.

– *Ja*, ojciec zabrał mnie tam rok przed twoim przyjazdem. – Wziąłem w rękę karafkę i nalałem sobie kolejny kieliszek wina. Aimeric zawołał starszaka Pertza, który stał za barem, ten zaś zaczął napelniać następną. Straciłem rachubę wychylonych kieliszków i przestało mnie to obchodzić. – Naprawdę wygląda to tak, że one mają takie kieszenie, do których chowają nogi albo płetwy. Nie używane kończyny po prostu wyjmują ze stawów i wpychają do środka. *Toszet*, który je zaprojektował, musiał być prawdziwym geniuszem. Mają nie tylko odpowiednie narządy, ale i instynkt, który pozwala im z nich korzystać. To naprawdę coś. – Pociągnąłem kolejny łyk wina i zauważyłem, że wszyscy skierowali uwagę na mnie. Może naprawdę chcieli się tam wybrać. – Wystarczy chyba, że zobaczymy, jak włączą do rzeki. Nad morzem nie ma specjalnie czego oglądać. Tylko mnóstwo wielkich, szarobrazowych grzbietów, taplających się w wodzie. Nie ma porównania z *levithi*, które można zobaczyć z *Bisbat Head*.

– Giraut, ty nawet taniec pośród chmur na delikatnych jak pajęczyna skrzydłach potrafiłbyś przedstawić tak, jakby niczym się nie różnił od wyjścia na korytarz, po to żeby wrzucić brudy do czyszczarki.

Raimbaut i Marcabru parsknęli śmiechem, stanowczo zbyt głośnym jak na jakość dowcipu. Obaj byli tak samo pijani jak ja.

– Chciałbym zobaczyć wszystko. Aimeric sam mówił, że minie dwanaście stanlat... – odezwał się Marcabru, który, gdy tylko mógł, starał się unikać opuszczania miasta.

Raimbaut skinął energicznie głową i znowu nalał sobie wina. Aimeric rozpromienił się.

– Zostałeś przegłosowany, Leśny Przewodniku. – Nadał mi ten przydomek niedługo po swym przybyciu na planetę. Miałem wówczas dwanaście lat i mój ojciec często zabierał go z nami na wycieczki. – Chyba powinniśmy tu zostać jeszcze kilka dni.

Wzruszyłem ramionami.

– To będzie dość niebezpieczne. Skoro już tu jesteśmy, pokażę wam niektóre

cmentarzyska. *Aurocs-de-mer* nie zawsze udaje się dotrzeć do rzeki przed pożarami. Rokrocznie wiele z nich, czasami bardzo wiele, pada ofiarą ognia w ślepych kanionach albo pod urwiskami. Potem, kiedy pola śnieżne tworzą się, a później topnieją, zwęglone *aurocs-de-mer* spływają do strumieni i lądują na brzegach rzek, tworząc wysokie na metr sterty białych kości i czarnego węgla. Bez wątplenia powinniście to zobaczyć, ale nie chciałbym, żeby któreś z was tam wylądowało.

Marcabru uśmiechnął się do mnie.

– Jesteś bardzo roztropny, Giraut. Chyba się starzejesz. Hej, Garsendo, może przydałby ci się nowy, młody *toszet*, bo dziadek Giraut nie ma już sił.

Nic to oczywiście nie znaczyło. Starzy przyjaciele dogadywali sobie i tyle. Nagle jednak wtrącił się wielki, muskularny międzygwiezdnik, siedzący przy sąsiednim stole. Mógł mieć szesnaście albo siedemnaście lat i był kompletnie pijany.

– Jesteś tchórzem – ryknął.

Wszyscy goście w tawernie gwałtownie ucichli.

Przyjaciołom wolno prawić sobie złośliwości, ale w Nou Occitan *enseingnamen* jest wszystkim. Odsunąłem się od Garsendy.

– To nie potrwa długo, *midons*.

– Jesteś tchórzem, czerwonorękawy – powtórzył młody gbur. Jego ton sugerował, że wstał. Spojrzałem na Marcabru, by się upewnić, że gówniarz nie walnie mnie znieacka kantem dłoni w tył głowy. Ten numer był bardzo popularny wśród międzygwiezdników, podobnie jak wszystko, co jest brudne, podstępne albo *ne gens*.

Marcabru uniósł palec wskazujący, a potem powoli go opuścił. Z całej siły odkopnąłem ławę za siebie i odwróciłem się błyskawicznie, zatrzymując się w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Szpada stojącego obok Marcabru rozwinęła się z głośnym trzaskiem, nabierając sztywności. Neuroinduktor na jej czubku znalazł się tuż obok twarzy młodego błazna. Gdy migotliwy blask oświetlił mu twarz, a ława walnęła go mocno po pischczelach, chłopak odskoczył gwałtownie do tyłu, dając nam czas na ocenę sytuacji.

Ta nie wyglądała zbyt dobrze. Pięciu młodych międzygwiezdników, ubranych w granatowoczarne stroje imitujące mundury ziemskich biurokratów, uśmiechało się szyderczo do naszej czwórki. Wszyscy byli wysocy i muskularni i żaden nie zamierzał się wycofać. Pewnie naćpali się berserkeryny.

Rozsądnie byłoby uniknąć walki, jeśli tylko się to uda.

Z drugiej strony, gardziłem międzygwiezdnikami, tymi zdrajcami własnej kultury, naśladowcami najgorszych wzorców napływających ze Światów Wewnętrznych, nieudanymi

imitacjami Ziemi, wyrzekającymi się całego bogactwa swego okcytańskiego dziedzictwa. Ich gatunkiem sztuki było sado-porno, ich muzyka brzmiała jak hałas, a o uprzejmości w ogóle nie słyszeli. Ponadto duch i styl były dla nich wszystkim. Każdy potrafił zachować fason, gdy nic to nie kosztowało. Oto był prawdziwy test *enseingnamen*.

Na całym obszarze Tysiąca Kultur wszyscy znają terstadzki, lecz językowi temu brak dosadnej, zwięzłej wyrazistości okcytańskiego, dlatego znieważylem międzygwiezdnika w naszej ojczyściej mowie. Kilka dźwięcznych, potocznych sylab wystarczyło, by go poinformować, że ojciec skapnął jego najlepszą część na podłogę łazienki, a do mycia twarzy musiał używać smrodu siostry, która była tanią kurwą. Wyzwanie zabrzmiało całkiem nieźle, biorąc pod uwagę fakt, że byłem podchmielony i musiałem improwizować.

Aimeric i Raimbaut podnieśli się z miejsc i nagrodzili mnie brzydkim, ochrypłym rechotem, chcąc poinformować wszystkich, że to również ich walka.

– Mów po terstadzku. Nie rozumiem szkolnej gadki.

Nie była to prawda, gdyż od piątej klasy wszystkie lekcje prowadzi się po okcytańsku, lecz dla międzygwiezdników punktem honoru było porozumiewać się tylko po terstadzku. Byli zdecydowani odrzucić w całości własną kulturę i tradycję.

– Mogłem się tego spodziewać – odparłem. – Nawet wyglądasz na głupiego. No dobra, przetłumaczę ci to. Powiedz mi, jeśli będę mówił za szybko. Twój ojciec to był jeden z tych pijaków, których twoja matka nazywała „klientami”, chociaż jeden Bóg wie, który skapnął najlepszą część ciebie...

– Gównu mnie obchodzi, co truleś po ocku. Chcę się z tobą bić.

Jego szpada rozwinęła się z brzękiem, kierując się na mnie. Moja odpowiedziała tym samym. Wszyscy biorący udział w bójce otworzyli broń z szybką serią trzasków. Dźwiękowi temu towarzyszył łoskot mebli i tupot nóg pozostałych gości Pertza, którzy starali się usunąć nam z drogi.

Przeciwnik uśmiechnął się do mnie. Spojrzał na Garsendę.

– Kiedy już się z wami załatwimy, ja i moje podchłopa, zabawimy się z twoją dziwką.

Był to głupi, szczeniacki numer, który zapewne całkiem nieźle działał na głupich szczeniaków. Zacerpnałem gwałtownie tchu i obniżyłem o włos szpadę, jakby naprawdę wyprowadził mnie z równowagi. Skoczył na mnie i nadział się prosto na moją broń, która trafiła go w odsłoniętą krtań i pod wpływem zderzenia wygięła się jak trampolina.

Międzygwiezdnik padł na podłogę, z bulgotem chwytając się za gardło. Neuroinduktor zetknął się z ciałem. Trzeba będzie środków uspokajających i kilkudniowego,

powolnego ożywiania, by go przekonać, że nie krwawi z dziury w gardle. Wszyscy przyglądaliśmy się, jak – porażony halucynacją śmierci – szybko pogrąża się w śpiączce.

Miałem cichą nadzieję, że po ciosie zostanie mu prawdziwy siniak, ale to również da się wyleczyć. Z drugiej strony, skutki naprawdę dobrego trafienia neuroinduktorem może usunąć właściwie tylko czas i zapewne jeszcze za dziesięć lat będą go od czasu do czasu nachodzić gwałtowne skurcze gardła.

Osobiście czułem się usatysfakcjonowany.

– Przeprosiny złożone w imieniu waszego przyjaciela załatwią sprawę – oznajmiłem.

– Chciałbym, żeby to było możliwe – odpowiedział najroślejszy z naszych przeciwników. – Ale wtedy wszyscy musielibyśmy się bić z nim, kiedy tylko wypuszczą go ze szpitala. I to na pięści. Gwim krótko trzyma swoich podchłopaków.

Nienawidziłem u międzygwiazdników również tego, że uwielbiali wydawać sobie nawzajem rozkazy, oraz zwyczaju skracania pięknych, tradycyjnych okcytańskich imion, jak na przykład „Guilhem”, do brzydkich chrząknięć, takich jak „Gwim”.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy – stwierdziłem. – Siły są teraz wyrównane.

Dwaj młodzieńcy stojący z tyłu przełknęli głośno ślinę, muszą jednak przyznać, że wszyscy skinęli głowami. Być może mimo swych ubrań mieli w sobie choć trochę *ensein-gnamen*.

– Wyjdźmy na ulicę – dodałem. – Pertz nie potrzebuje kolejnych rozbitych mebli, a przypadkowe trafienie z neuroinduktora może wymazać vu.

Spojrzałem na Ścianę Honoru, upamiętniającą zabitych gości Pertza. Wszystkie vu uśmiechały się i kiwały głowami, jakby mnie słyszały. Wyglądało to niesamowicie, po chwili jednak straciły synchronizację i wróciły do normy.

Gdy przeniosłem wzrok na międzygwiazdników, oni również pokiwali głowami, podobnie jak moi sekundanci. Na twarzy Aimerica pojawiła się znudzona, rozleniwiona mina, jak zawsze, gdy oczekiwał czegoś bardzo przyjemnego. Marcabru, który był w naszej grupie drugim szermierzem po mnie, stał spokojnie i pewnie. Jego twarz nie wyrażała prawie nic. Był już w stanie, w którym myśl i czyn stają się tym samym. Z radością czułem, że ja również z każdym oddechem zbliżam się do podobnego transu.

Raimbaut kołysał się w przód i w tył z błyskiem szaleństwa w oczach, zupełnie jakby podskakiwał z radości. W życiu nie znałem nikogo, kto bardziej lubiłby bójki albo szalone przygody. Twarz miał poznaczoną tuzinem blizn, a lewy bark i prawy staw skokowy zeszywniałe, ponieważ mięśnie nie chciały uwierzyć, że nie są uszkodzone. Na pewno doznał też wielu obrażeń wewnętrznych.

Gdybym się zastanowił, mógłbym nie dopuścić do tego, co się wtedy stało, ale oczywiście obaj mieliśmy wtedy tylko po dwadzieścia dwa lata, a w tym wieku każdy uważa się za nieśmiertelnego. Zresztą Raimbaut powiedział mi później, że nie ma żalu o to, jak zginął, a tylko o to, kiedy.

Lekkim, gwałtownym skinieniem głowy dał mi znak, bym zaczynał.

– No to na ulicę, panowie – powiedziałem. – Do pierwszego poddania, do pierwszej śmierci czy bez ograniczeń?

– Do pierwszej śmierci? – pisnął jeden ze stojących z tyłu międzygwiezdników. Muskularny blondyn, który najwyraźniej był teraz ich przywódcą, skinął głową.

– Chyba będziemy musieli, żeby usatysfakcjonować Gwima.

– No to na ulicę, *atz dos* – rzuciłem.

Wyszliśmy z lokalu dwójkami – jeden z nich z jednym z nas, tak jak postępują ludzie honoru. Ponieważ mieliśmy do czynienia z międzygwiezdnikami, było to odrobinę ryzykowne, jednak po śmierci swego wulgarnego szefa wykazali się prawdziwą *enseingnamen*, przyznałem im więc tę uprzejmość.

Ulica była pusta. Wszyscy wybrali się do Noupeitau, na Noc Świąteczną. Z dołu dobiegała muzyka tuzina orkiestr dętych, grających w różnych częściach miasta. Ich dźwięki mieszały się ze sobą w oddali.

Wille z czerwonej cegły przybrały w ciepłym blasku zachodu barwę krwi. Była krwawa pora i czerwona plamka Arktura niknęła w falach Totzmare na zachodzie. Fale były wysokie i gwałtowne. Mknące po nich śmigacze (na zachodnich wybrzeżach Nou Occitan fale są tak samo potężne jak dwieście kilometrów od brzegu) włączały właśnie światła pozycyjne, niektóre zaś zaczęły halsować. Rozwinęły żagle, by wrócić na morze, żeby rankiem móc ruszyć w kolejny rejs. Ostatnie tygodnie przed Mrokiem, gdy niebo miało jeszcze głębokofioletową barwę, a długie wieczory były ciągle ciepłe, zawsze mijały zbyt szybko.

W taką noc dobrze było żyć. Świetnie też nadawała się do bójki.

– Zaczynamy.

Miałem obowiązek to powiedzieć, gdyż choć to ja rzuciłem wyzwanie, chłopaki spór przyjaciela uznali za swój, co czyniło mnie wyzwany, wybór czasu i protokołu należał więc do mnie. Mogłem również określić warunki walki, lecz ponieważ postawiono mi zarzut tchórzostwa, wolałem im pozostawić decyzję. Kiedy zobaczyłem ich młode, pełne strachu twarze w ostrych, czarnych cieniach na skąpanej w czerwonym blasku ulicy, pomyślałem, czy nie złagodzić warunków, proponując walkę do pierwszego poddania, nie zrobiłem tego

jednak. To oni zaczęli całą sprawę, zachowując się *ne gens*.

Niech teraz poniosą konsekwencje.

Wypowiedziałem tradycyjną formułę:

– *Atz fis prim. Non que malvolensa, que per ilh tensa sola.*

Znaczyło to: „Do pierwszej śmierci” – żeby przypomnieć wszystkim, kiedy mamy przestać – i „nie z powodu urazy, lecz dla samego sporu” – żebyśmy pamiętali, iż walka nie jest wendetą i nie przerodzi się w nią po zakończeniu, lecz rozstrzygnie zwadę raz na zawsze.

Uniosłem szpadę w salucie, chłopak stojący naprzeciw mnie uczynił to samo, a za nim wszyscy sekundanci. Ledwie zdążyli włączyć szpady, gdy przeciwnik runął na mnie.

Nie skrzyżowaliśmy kling więcej niż dziesięć razy i nie zdążyłem sobie jeszcze wyrobić opinii o rywalu, gdy Aimeric krzyknął:

– *Patz marves!*

Oznaczało to koniec walki.

Trzasnęły bezpieczniki i szpady złożyły się, znikając w rękojeściach. Ostatnie schowały się gardy. Wsunąłem machinalnie broń do kieszeni i rozejrzałem się, by sprawdzić, kto zginął. Raimbaut leżał bez ruchu na ziemi.

Początkowo wyglądało to tak jak zawsze. Chcieliśmy już zanieść go do pokoiku na zapleczu u Pertza i zostawić razem z młodym błaznem, który wywołał całą awanturę, żeby zabrać ich stamtąd rano. To było nawet sensowne, że trafiło na Raimbauta. Zawsze lubił walczyć, ale był powolny i łatwo go było nabrać. Już trzy razy widziałem, jak ginął, a zdarzało mu się to też pod moją nieobecność.

Wtem krew w żyłach ścięło nam opętancze wycie karetki. Zadziałał medtransmitter Raimbauta.

Położyliśmy go na ulicy, po czym się cofnęliśmy. Nie zdążyliśmy ująć więcej niż tuzin kroków, gdy prosto z góry, z rykiem nastawionych na opadanie wirników, opuściła się karetka, która nakryła go skrzynką skoczka i przeniosła do sali nagłych przypadków. Wirniki z trzaskiem i jękiem przełączyły się na wznoszenie i mały robocik, który wyglądał zupełnie jak cylindryczny zbiornik ustawiony na trumnie, wzbił się powoli w górę, a następnie odleciał, zostawiając na ulicy prostokątne zagłębienie o wymiarach dwa metry na jeden i głębokości jednego centymetra.

Kiedy wróciliśmy do tawerny i zakomowaliśmy do szpitalnej infokloaki, wszystko już wiedzieli. Przy końcu epikryzy, po zwięzłych uwagach syntelektu na temat uszkodzenia wątroby i nerek oraz histerycznych zaburzeń akcji serca, jakaś ludzka ręka dopisała: „O jeden

szok za dużo”.

Pogrzeb ciągnął się bez końca. Rodzice zmarłego się nie zjawili, i to było w tej sprawie najlepsze.

Przez cały czas trwania ceremonii Raimbaut nie przestawał głądzić. W testamencie uczynił mnie biorcą, musiałem więc dźwigać jego ciało na górę przy pomocy Marcabru, Aimerica, Davida, Johanne i Rufeu. Na domiar złego bolała mnie świeża blizna na karku, w miejscu gdzie wszczepiono mi jego psypyks.

Raimbaut patrzył moimi oczami, jak kładziemy jego nagiego trupa na różnym klombie pokrywającym dno grobu, który nanoboty wykopały w litym granicie Montanha Valor.

Wszystkie obecne *donzelhe* schodziły do grobu, by ucałować zwłoki, pocierając twarze, jakby chciały namaścić zmarłego własnymi łzami. Przyszło ich całe mnóstwo, co zdziwiło Raimbauta tak bardzo, że ciągle gadał o tym w mojej głowie.

Garsenda zademonstrowała naprawdę imponującą żalobę, choć znała Raimbauta tylko za moim pośrednictwem, i to niezbyt dobrze. Zmarły ucieszył się z tego, ja jednak byłem zawstydzony.

Bieris, która znała go dłużej niż inne *donzelhe*, zachowywała się w grobie dziwnie cicho i spokojnie, ale gdy z niego wyszła, po jej twarzy spływały łzy.

Następnie każdy *jovent* naciął sobie kciuk, by skapnąć na ciało Raimbauta kroplę krwi, a Aimeric zaśpiewał *Canso de Fis de Jovent*, być może największe arcydzieło nowookcytańskiej poezji. Napisał je Guilhem-Arnaut Montanier w roku dwa tysiące sześćset jedenastym, a po raz pierwszy wykonano je na jego pogrzebie w rok później. Od dwóch stuleci to przy jego słowach chowaliśmy naszych młodych, odważnych i pięknych. Nawet w normalnej sytuacji oczy zachodziły mi od niego łzami. Teraz wbiło mi się w serce niczym ostry nóż.

Sam Guilhem-Arnaut powiedział, że wszystkie cztery możliwe znaczenia (*fis* znaczy śmierć albo koniec, a *jovent* młodzieniec lub wczesny wiek męski) są równie uprawnione, a w pieśni nie ma nic, co pozwalałoby wybrać któreś z nich. Moje myśli przeskakiwały jak szalone z tematu na temat, podczas gdy Raimbaut zdumiewał się liczbą róż i dziewcząt.

Wreszcie ceremonia dobiegła końca i ruszyliśmy w sześciokilometrową drogę powrotną, nie odzywając się ani słowem. Nawet Raimbaut się uciszył.

Wdrapać się na górę z ciałem było trudno, ale to było jeszcze gorsze.

– Jesteś jeszcze ze mną? – subwokalizowałem do zmarłego.

– Jestem. – Jego głos wydawał się bardziej znużony i mechaniczny niż przedtem.

Ogarnęła mnie rozpacz na myśl o tym, co to oznacza. – Pogrzeb był piękny – powiedział jednak. – Wszyscy jesteście dla mnie bardzo dobrzy. Dziękuję.

– Rimbaut dziękuje wam wszystkim – oznajmiłem. Żałobnicy odwrócili się i pokłonili mi z powagą, żeby mógł ich zobaczyć moimi oczami.

– Gdzie jestem? Na pewno nie żyję! – krzyknął jego głos pod moją czaszką. – *Deu, deu*, to Montanha Valor, a ja nie pamiętam pogrzebu! Giraut, czy byliśmy tam?

– *Ja, ja*, tak, Rimbaut, byliśmy – subwokalizowałem tak wyraźnie, że stojąca obok Garsenda usłyszała dobywające się z mojego gardła chrząknięcia i zaczęła się na mnie gapić, dopóki Bieris jej nie odciągnęła. – Spróbuj się połączyć z M-blokiem, wyczuć go za moim pośrednictwem – poradziłem. – Tam znajdziesz swoje wspomnienia.

Nic to nie pomogło, ani wówczas, ani później. Tylko nieliczne umysły są w stanie funkcjonować po utracie ciała. Podobnie jak większość ludzi, Rimbaut nie był w stanie zachować kontaktu z M-blokiem, który umożliwiłby mu zapis krótkoterminowej pamięci, ani z G-blokiem, który dałby mu dostęp do uczuć, choć oba dzielił zaledwie centymetr od wmontowanego w podstawę mojej czaszki psypyksu, w którym rezydował.

Z upływem dni zapomniał o swej śmierci, a potem o tym, że byliśmy u Pertza, gdyż nie potrafił odzyskać zapisanych informacji.

Gdy nasze emocje oddzielały się od siebie, a jemu coraz trudniej było uzyskać dostęp do swego G-bloku, jego obecność w moim umyśle stawała się coraz zimniejsza. Karmiony płynnym helem szeptał ogarnął chaos. Mój przyjaciel usiłował przypomnieć sobie, kim jest, obudzić się z tego, co uważał za zły sen.

Po dwóch tygodniach – jedenastu i pół standobach – powiedzieli, że nie ma nadziei i wyjęli ze mnie psypyks, M-blok i G-blok. Rimbaut śpi teraz w Pałacu Wieczności w Nou Occitan, podobnie jak wielu innych, czekając na jakiś nowy wynalazek, który umożliwi połączenie w całość jego świadomości, wspomnień i uczuć.

Pożegnanie trwało wyjątkowo długo i na koniec z Rimbauta zostało bardzo niewiele, gdy więc go usunęli, nic nie poczułem.

Marcabru i Yseut umówili się na jakieś spotkanie, o którym nie chcieli nic mówić, na Biegun Południowy wybrałem się więc tylko z Aimerikiem, Bieris i Garsendą. Ponieważ było już późne lato, zadowoliliśmy się jednodniową wycieczką. Przeskoczyliśmy tam zaraz po śniadaniu i przeszliśmy na piechotę sześć kilometrów do punktu obserwacyjnego. O tej porze roku Arktur wisiał bardzo nisko na niebie, jakby toczył się wzdłuż horyzontu. Potężne rurociągi dostarczające wody do odległych górskich lodowców, z których wypływała Wielka Rzeka Polarna, lśniły w jego czerwonopomarańczowym blasku.

– To musi naprawdę wkurzać malarzy – powiedziałem do Bieris. – Nie można namalować prawdziwego krajobrazu, gdyż nie jest jeszcze ukończony. Nie można nawet namalować go takim, jaki jest teraz, bo przesłaniają go te wszystkie rury.

– Wiem o tym – odparła z westchnieniem. – Podobno dopiero za jakieś sto stanlat Totzmare ogrzeje się na tyle, że zacznie tu padać porządny deszcz. Nie wspominając już o fakcie, że niektóre bambusy i jednoroczne wierzby, które mają zasadzić na dnie rzeki, nie wyszły jeszcze ze stadium projektów i znam je tylko jako „wizje artysty”. A ponieważ ci artyści to syntelekty, ich wizje są nudne i pozbawione wyrazu. Mimo to wszystkich obchodzi tylko to, jak Wilson będzie wyglądał, kiedy już będzie gotowy. Zanim naprawdę osiągnie taki wygląd, ludzie zdążą się już nim znudzić.

Była to dziwna uwaga, zwłaszcza w ustach malarki, niemniej jednak cała nasza wycieczka była osobliwa. Zdecydowałem się na nią wybrać właściwie tylko po to, żeby pokazać to wszystko Raimbautowi, ale wyjęli go ze mnie dwa dni wcześniej. Po co zresztą miałby cokolwiek oglądać, skoro i tak nie miał pamięci?

Aimeric zdążył jednak zarazić tym pomysłem Garsendę i być może również Bieris, musiałem więc im towarzyszyć. Bieris orientowała się w terenie równie dobrze jak ja, większość wycieczek odbyliśmy wspólnie, ale oczywiście nikt nie chciałby słuchać *donzelhy*, a nie byłoby bezpiecznie, gdyby wybrali się do Terraust o tej porze roku bez kogoś, kto wie, jak się zachować w nieprzewidzianej sytuacji.

Wieżę wznoszącą się w punkcie obserwacyjnym ukształtowano na podobieństwo starego, zniszczonego zębem czasu donżonu. Między granitowymi blokami nie było zaprawy, musiały je jednak łączyć wewnętrzne czopy, gdyż już kilkakrotnie wytrzymała pożary stepu, mrozy, zasypanie śniegiem, powodzie i odwilże.

Musiałem być niezłe zdołowany, jeśli Bieris udało się zarazić mnie swą skłonnością

do zastanawiania się nad zasadami działania wszystkiego zamiast podziwiania pięknych widoków.

Gdy wchodziliśmy po kamiennych stopniach, ze zdumieniem zauważyłem, że wieża jest gorąca. Aimeric skrzywił się i odsunął, gdy dotknął barkiem kamienia.

– To pewnie nic dziwnego po sześciu stanlatach nieustannego wystawienia na światło słońca – zauważył. – Pomyśl, jaka zimna musi być, gdy nadchodzi wschód!

– Możesz sam to sobie sprawdzić, a potem opisać mi w liście – odparłem.

Roześmiał się.

– Nie zapominaj, że wychowywałem się w Kaledonii. Wiem wszystko o zimnie. Na Nansenie nie znają nic innego.

Choć była to tylko rzucona przelotnie uwaga, byłem zdumiony. Aimeric bardzo rzadko wspominał o swych korzeniach, a o rodzinnej kulturze nie mówił niemal nigdy. Był to – obok jego wieku – jeden z dwóch tematów, których unikał.

Gdy już dotarliśmy na szczyt wieży i skierowaliśmy wzrok na dolinę rzeki, mieliśmy słońce niemal na wprost za plecami. Szerokie, złamane nieregularnymi klifami tarasy zbocza porastała sucha trawa, która w słonecznym blasku miała brązową barwę. Sam Arktur był ciemnokasztanowym skrzepem w rzadkiej krwi nieba. W wielu częściach Terraust szalały już pożary. Po prawej stronie widzieliśmy błysk rurociągów i lodowców, po lewej zaś wcinającą się w dolinę płaszczyznę równiny, która kończyła się stromym urwiskiem, wznoszącym się naprzeciw nas.

Wyjęliśmy lornetki i ustawiliśmy ostrość.

– Tam – rzucił Aimeric. – Przy tym ostrym zakręcie...

Skierowałem lornetkę we wskazanym kierunku. Daleko w dole, kilkaset *aurocs-demer* zebrało się na brzegu, szykując się do wejścia do rzeki.

Na moich oczach zanurzały się nagle, składając nogi. Ledwie wystawiały głowy nad powierzchnię. Potem, gdy wysuwały płetwy, zaczynały płynąć szybko przed siebie. Weszło ich do rzeki tak wiele, że woda uniosła się niemal do zwykłego poziomu, charakterystycznego dla środka pór roku.

Ale to i tak nic nie zmieniało.

– Popatrzcie w dół – wydyszała Garsenda.

Na rozległej płyciźnie osiadło co najmniej tysiąc zwierząt. Te, które znalazły się na obrzeżach stada, miały szczęście. Wystawiły po prostu nogi i przebiegły na głębszy odcinek rzeki leżący poniżej. Te pośrodku ugrzęzły jednak beznadziejnie. Niektóre z nich utonęły już, tworząc nieprzekraczalną barierę.

– Co się z nimi stanie? – zapytała szeptem Garsenda.

– Te, które będą miały szczęście, utoną. Słabsze sztuki padną z głodu. A najpóźniej za dwa tygodnie resztę załatwią pożary.

Niebo zrobiło się już czerwono-brązowe od dymu, było to więc naprawdę głupie pytanie.

– Żałuję, że to zobaczyłam.

Ja również tego żałowałam. Objąłem ją, zawstydzony swymi okrutnymi słowami. Gdy odgarnęła włosy z ucha, zauważyłem parę dziwnych blizn. Chciałem ją o nie zapytać, ale moją uwagę odwrócili Aimeric i Bieris.

Oni również obserwowali skazane na zagładę stado, nieruchomi jak posągi za maskami lornetek. Policzki pokrywała im cienka warstewka sadzy, poprzecinana jasnymi śladami łez.

Przeniosłem wzrok na równiny, a potem z powrotem na rzekę. Czując obok siebie ciepłe ciało Garsendy – nasze małe życie pośrodku corocznej śmierci kontynentu – zacząłem układać pieśń o wspaniałości i grozie wszechrzeczy, gdy nagle wszyscy podskoczyliśmy, przerażeni głośnym wyciem, które rozległo się za naszymi plecami.

Na płaskim skrawku gruntu pod wieżą lądował właśnie aporter. Jakiś biurokratyczny synteletk uznał, że zagraża nam zbyt wielkie niebezpieczeństwo, i wysłał maszynę.

Zeszliśmy pośpiesznie na dół – opóźnianie własnego ratunku nie tylko jest wykroczeniem, lecz również stanowi przejaw bardzo złego smaku. Biegając do aportera, widzieliśmy na horyzoncie dym i płomień. Uwięzione *aurocs-de-mer* nie miały paść z głodu, lecz spłonąć.

Przeszliśmy przez wejście skoczka wprawione w bok aportera i znaleźliśmy się w ogromnej, zimnej, pełnej echa Hali Przyjęć Centralnej Służby Ratowniczej.

Sądząc po liczbie zgromadzonych tam ludzi w turystycznych ubraniach, pożary musiały szerzyć się jak szalone po całym Terraust. Tłumek w ogromnej, niemal pustej sali uzupełniało kilka osób wyposażonych w sprzęt do wspinaczki, dygocząca para w kostiumach kąpielowych i jeden płetwonurek, który wyglądał na wyjątkowo poirytowanego.

– Zdumiewające – rzuciłem z sarkazmem. Naprawdę miałem ochotę choć chwilę popatrzeć na pożary, nim synteletk nas ewakuuje. Gdybym złożył skargę, z pewnością otrzymałbym odszkodowanie, ale to nie przywróciłoby mi widoku pożarów. – Mamy skoczki dopiero od sześciu lat. Ten budynek wybudowano po ich wprowadzeniu, a już jest najbrzydszy na całym Wilsonie.

Garsenda zachichotała i pochyliła się, żeby coś podnieść. Był to dziwny, mały przedmiot – metalowa kula, z której sterczały ostre kolce różnej długości.

– Co to takiego? – zapytałem.

– To tylko kolczyk.

Gdy opuściła mi go na dłoń, poczułem ukłucie ostrych jak igły szpikulców.

Z jakiegoś powodu wydało się to osobliwe. Nigdy nie znałem nikogo, kto miałby przekłute uszy. Dziwne też, że nic mi o tym nie wspominała. *Entendedora* powinna mówić człowiekowi wszystko. Ponadto lśniący drobiazg na mojej dłoni przypominał raczej małą broń albo narzędzie tortur niż ozdobę w którymś z uznanych, tradycyjnych stylów. Był prymitywny, a nawet okrutny...

– Patrzcie – odezwał się Aimeric. – Za sześć minut otwiera się skoczek do Głównej Stacji w *Quartier des Jovents*. – Wskazał na tablicę. – Mamy skakać z wejścia E-7. Gdzie to może być?

Bieris zerknęła na któryś z planów.

– Na drugim końcu hali, oczywiście – prychnęła pogardliwie. – Lepiej tam pobejgnijmy.

Ledwie zdążyliśmy. Po wszystkim, co się wydarzyło, chciałem, żeby Garsenda poszła do mnie, ale powiedziała, że ma coś do zrobienia. Patrzyłem za nią, dopóki nie zniknęła za rogiem. Jej długie, ciemne włosy kołysały się niczym koński ogon, ocierając się o sięgające niemal ziemi spódnice. Podsunęło mi to pomysł na pieśń, wszedłem więc na górę i zabrałem się do roboty.

Tej nocy, z jakiegoś przewrotnego powodu, nasza czwórka wybrała się do Pertza, w towarzystwie Marcabru i Yseut. Od śmierci Raimbauta minęło trzydzieści nocy, około dwudziestu pięciu standni.

– Biuro Prognoz podaje, że Mrok zacznie się za tydzień – odezwał się Marcabru. Uniósł kieliszek. – *Raimbaut: que valor, que enseingnamen, que merce.*

Wszyscy wypiliśmy za niego. Po raz drugi tego dnia pożałowałem, że nie mam już jego psypyksu. Dobrze by było, gdyby – kiedy technika będzie już mogła go ożywić – znalazł w M-bloku tę chwilę.

W bursztynowym blasku sztucznego oświetlenia wszystkie kolory wydawały się boleśnie jaskrawe, zupełnie jak w podróżniczym vu z układu planetarnego gwiazdy typu G. Większość Okcytańczyków nastawiało światło w swych domach na dalekie przesunięcie ku czerwieni, by wyglądało tak samo jak na zewnątrz, ale staruszek Pertz nie odróżniał czerwonego od zielonego i w takim świetle w ogóle nie widziałyby żadnych barw. Tak

przynajmniej twierdził.

– Niech wszystkich międzygwiezdników szlag trafi – mówił Marcabru. – Gdy po tylu stuleciach izolacji zaczyna się największa przygoda wszystkich czasów i Tysiąc Kultur nagle łączy się ze sobą, okcytańscy młodzieńcy potrafią tylko ubierać się jak ziemscy urzędnicy niskiej rangi, całkowicie zapominając o własnej kulturze oraz historii i imitować najgorsze ziemskie wzorce. Słyszałeś, że chłopak, którego zabiłeś, to czołowy artysta w tej bandzie, Giraut?

– A co on takiego robi?

– Wyprodukował kilkaset pornograficznych *vu* i może z tuzin krótkich etiud. We wszystkich osobiście bije i poniża młode dziewczęta. To teraz wśród nich najnowsza moda. Chłopaki prowadzą dziewczyny na smyczach albo każą im nosić biżuterię, która powoduje krwawienie. Wszystko to czysta imitacja ziemskiego sadoporno i ewidentne złamanie karty, tak samo jak te głupie, wyzywające stroje z butami nad kolana, skoro mnie o to pytasz. Ale jeśli ktoś składa skargę na pogwałcenie karty kulturowej *Nou Occitan*, międzygwiezdnicy twierdzą, że to legalny protest przeciw tradycjom *finamor*; i biegną do ambasady, domagając się obrony swych praw.

– Ale dlaczego dziewczyny to robią? – zapytałem.

– Kto wie? To modne. Zresztą, jaki prawdziwy Okcytańczyk może stwierdzić, że potrafi zrozumieć *donzelhę*? Otaczamy je tylko czcią. I tak powinno być. – Przełknął jednym haustem resztę wina. – Zresztą zamordowali Raimbauta. To wystarczający powód, by ich nienawidzić.

Przesunąłem wzrokiem wokół stołu. Aimeric pokiwał chłodno głową na znak zgody. Yseut opierała się tylko o ramię Marca, uśmiechając się sennie i myśląc o tym, o czym tam zwykle myśli piękna *trobadora*. Bieris wyglądała na bardzo smutną, nawet podenerwowaną. Jej nastrój wydawał mi się równie niewytłumaczalny jak uśmiech Yseut. Jak jednak powiedział Marcabru, któż mógłby twierdzić, że rozumie *donzelhę*!

Garsenda powolnymi ruchami głaaskała moją nogę pod stołem. To z pewnością rozumiałem.

Ja również nienawidziłem międzygwiezdników, ale nie miałem w tej chwili ochoty na wygłaszanie mów. Zresztą przestawało się to już wydawać istotne. Nie spotykało się właściwie starostylowców (żeby użyć odrażającego słowa, jakim międzygwiezdnicy określali *joventów* szanujących tradycję) młodszych niż Garsenda. Wszyscy wybierali międzygwiezdną modę. Za kilka lat, gdy ludzie w moim wieku przestaną być *jo-ventami*, całym młodzieżowym społeczeństwem, całą *Quartier* zawładną międzygwiezdnicy. Wydawało się to

straszliwą zbrodnią, ale nie sposób było tego uniknąć.

Serce zamarło mi na chwilę. Na wprost przed sobą ujrzałem oczy uśmiechniętego Raimbauta.

Nagle wszystko zrozumiałem. Staruszek Pertz zawiesił jego *vu* na Ścianie Honoru, obok wszystkich innych stałych klientów, którzy zginęli prawdziwą śmiercią. Ścianę zbudowano z autentycznego drewna, które wciąż było bardzo rzadkie i drogie, choć naszą kulturę zaprojektowano z myślą o lesistej wyspie, jaką miała się stać Nou Occitan, oraz o eksploatacji wciąż pozostających w planach puszczy, które miały porastać polarne kontynenty Wilsona.

– Guilhem-Arnaut nigdy w życiu nie widział wyrosniętego lasu – zauważyłem. – Może w ogóle nie widział żadnego.

Marcabru chciał rzucić jakiś żart, lecz Aimeric zauważył, na co patrzę, i powstrzymał go dotykaniem dłoni.

Wszyscy zwrócili wzrok na Raimbauta i całą Ścianę Honoru. *Vu* trwało może z piętnaście sekund. Nie wiem, skąd Pertz je wziął. Raimbaut spoglądał poważnym wzrokiem, potem się uśmiechał, zerkał w bok, jakby usłyszał coś, co go zakłopotало, po czym znowu spoglądał poważnym wzrokiem i tak w kółko.

Zdałem sobie sprawę, że wszyscy czekają, bym wyjaśnił swe słowa. Garsenda uśmiechnęła się do mnie, unosząc brwi w nadziei, że uświetnię naszą *finamor* jakąś błyskotliwą wypowiedzią.

– Chyba tylko sobie pomyślałem, że roboty terraformujące zaczęły tu pracę dopiero gdzieś w dwa tysiące trzysta pięćdziesiątym piątym – zacząłem powoli. – Nasza kultura zamieszkała tu jakieś trzydzieści lat później, a proces terraformowania ma się teoretycznie zakończyć nie prędzej niż w trzy tysiące dwusetnym. Czyli że mamy za sobą niewiele ponad połowę drogi, zgadza się? To znaczy, że w okresie, gdy próbowaliśmy zachować okcytańską tradycję, stworzoną przez autorów naszej kultury i przewiezioną tu w bibliotekach statku, planeta cały czas kształtowała się i zmieniała. Bardzo wiele naszych dokonań odnosi się do rzeczy, które jeszcze nie istnieją. Poza ogrodem botanicznym Guilhem-Arnaut zapewne nigdy w życiu nie widział drzewa, które dorównywałoby mu wysokością. Gdy więc w *Canso de Fis de Jovent* pisze o wiosennych liściach nad Riba Lyones...

– Wcale ich nie widział! – Marcabru wydawał się wstrząśnięty tą myślą bardziej ode mnie. – Ale *mes vis*, że opisał je tak wspaniale, iż nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Giraut chciał chyba powiedzieć, że wszyscy nauczyliśmy się patrzeć na nie przez pryzmat poematu Guilhema-Arnauta – wtrącił cicho Aimeric. – Świat jest taki, jaki jest, gdyż

nauczyliśmy się za taki go uważać. „Odwieczna równina Terraust” przed niespełna pięciuset laty była skuta wiecznym lodem, a „fale, fale, fale/ Nieustanne bicie czasu/ Jak łódeczka dziadka” zapewne uwolniły się od lodowej skorupy tylko parę wilsońskich lat przed przybyciem tu prapradziadka Guilhema-Amauta.

Skinąłem głową.

– I nadal to robimy. Sam pisałem ballady, których akcja toczyła się w lasach Serras Verz, choć kiedy miałem siedemnaście lat, pracowałem tam z ekipą sadzącą pierwsze iglaste drzewka. W tej chwili zapewne żadne z nich nie sięga mi nawet do pasa, a dęby i jesiony, o których mówi moja pieśń, zasadzą gdzieś za sto lat.

Wszystko to wydawało się bardzo dziwne. Raimbaut, rzecz jasna, wciąż spoglądał na nas poważnym wzrokiem, następnie uśmiechał się, a potem znowu robił się poważny, zamknięty w wiecznym cyklu *vu*.

Nalaliśmy sobie jeszcze po kieliszku i wypiliśmy trochę, po czym zgodziliśmy się wszyscy, że *vu* nie wypadło najlepiej. Nikt z nas nie miał jednak innego, którym można by je zastąpić. Systematycznie sączyliśmy wino. Nie byliśmy jeszcze pijani, ale wkrótce zamierzaliśmy się upić. Chcieliśmy już wstać i przenieść się do jakiegoś innego lokalu, w którym nie zatopi nas melancholia, gdy do środka wszedł król, który skierował się do naszego stolika.

Tego stanroku królem był Bertran VIII, niski, spokojny, zręczliwy profesor estetyki, którego trochę znałem dzięki ojcu. Tuż za nim podązał premier, który prezentował się znacznie lepiej od monarchy, ale wyglądał równie nedorzecznie w staroświeckim *suit-biz*.

Od dawna nie widziałem nic równie dziwnego – szlachcic i wysoki urzędnik państwowy przyszedli do Pertza ubrani jak na dworską uroczystość.

– Aimeric de Sanha Marsao? – zapytał król.

– To ja. – Aimeric wstał i pokłonił się. Wszyscy przypomnieliśmy sobie nagle o dobrych manierach i zerwaliśmy się na nogi, a wraz z nami prawie każdy z gości Pertza. Król poważnie skinął głową, pozdrawiając obecnych, po czym podszedł do Aimerica, by z nim porozmawiać, gestem nakazując zebranych, by usiedli.

– Wysłałbym z tą *semosta* posłańca, ale zbliża się Mrok i wszyscy siedzą już w domach. Obawiam się, że muszę cię powiadomić, iż zostałeś wcielony do Służb Specjalnych i musimy dziś odbyć rozmowę.

Zacząłem się zastanawiać, w której chwili zaczęła się halucynacja. Aimeric był tym, co zwykliśmy zwać *tostemz-jovent*: *puer aeternus* albo Piotrusiem Panem. Z reguły po paru losowaniach każdy wyciąga na loterii los kierujący go do służby publicznej, gdy więc

człowiek ma jakieś dwadzieścia pięć stanlat, jest gotowy wyprowadzić się z *Quartier des Jovents* do głównej części miasta, ożenić się, ustatkować i zając poważnymi studiami albo zrealizować jakiś życiowy cel. Sam miałem dopiero dwadzieścia dwa lata, a już półświadomie rozglądałem się za jakimś małym domkiem w mieście. Aime-ric jednak odbębnił już cztery okresy służby, w tym jeden na stanowisku tylko o szczebel niższym od rządowego, i za każdym razem wracał do *Quartier*. Fizycznie miał około trzydziestu pięciu lat, a trochę ponad czterdzieści, jeśli liczyć czas, który spędził w hibernacji podczas lotu na Wilsona, i mimo to nigdy nie wykazywał nawet śladu zainteresowania dorosłością. Kiedy byłem dzieckiem, był moim szalonym wujkiem, a teraz został jednym z moich przyjaciół, *joventów*.

Ponadto powołanie do Służb Specjalnych otrzymuje się wyłącznie w nagłych przypadkach. Ludzi do nich wybiera się na podstawie kwalifikacji, nie drogą losowania z listy parów, gdy dochodzi do kryzysu, z którym tylko oni mogą sobie poradzić. Nie jest to robota, którą oferuje się podstarzałemu *joventowi*.

Choć jednak z wielu przekonujących powodów nic takiego nie mogło się zdarzyć, widziałem to na własne oczy.

To dziwne, ale jedyne, co w tym całym interesie miało sens, to fakt, że król osobiście doręczył *semosta*. Gdy wiejący z Bieguna Południowego wiatr przynosił ze sobą Mrok, a niebo na dwa albo trzy tygodnie robiło się czarne od dymu, wszyscy woleli sobie siedzieć w wygodnym domku. A Mrok miał się zacząć już za kilka dni.

Przed *sernosta* nie można się uchylać, wszyscy wyszliśmy więc z lokalu – Aimeric dlatego, że musiał, pozostali zaś ze względu na fakt, że w Nou Occitan prawo pozwala obywatelom być świadkami wszystkich poczynań rządu, a my umieraliśmy z ciekawości.

Król skierował nas gestem dłoni do najbliższej stacji skoczka, odległej o jakieś pół kilometra. Weszliśmy do niej w milczeniu. Wciąż próbowałem się domyślić, co tu może być grane.

– Powiniennem was ostrzec, że przenosimy się do skoczka w ambasadzie – odezwał się król, gdy wszyscy wepchnęliśmy się do budki. – Uważajcie, żeby was nie oślepiło.

Nacisnął guzik i twarze zalał nam żółty blask, który parzył skórę i drażnił oczy.

Jakiś nerwowy, mówiący piskliwym głosem pracownik ambasady – zniknął, nim oczy zdążyły mi się przyzwyczaić do jasności – zaprowadził nas do sali konferencyjnej. Na szczęście komuś przyszło do głowy, by przygasić tam światła do nowookcytańskiego poziomu.

Wszyscy wstrzymaliśmy na chwilę oddech, podziwiając autentyczne drewniane meble

(słoje były zbyt faliste, by drewno mogło pochodzić ze sztucznej hodowli). Ściany pokrywały w całości Tysiąca Kultur. Niektóre z nich były dosyć długie, trwały co najmniej kilka minut.

Garsenda wysunęła się przed pozostałych – dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że cały czas przyciskała się do moich pleców – i wspierając ręce na biodrach, zamarła w charakterystycznej dla siebie pozycji, którą zawsze przybierała, gdy próbowała przekonać innych, że nie jest pod wrażeniem, zwłaszcza gdy w rzeczywistości była.

Ambasador Biura Rady Ludzkości miała siwe włosy i twarz poraną głębokimi bruzdami. Ubrana była w prosty, czarny mundur, nie różniący się zbyt od noszonych przez międzygwiazdźników. Wyglądał na niewygodny. Zadałem sobie pytanie, czy dają jej jakiś wybór w kwestii ubrania, a jeśli już o tym mowa, również chirurgii kosmetycznej. Wydawało mi się bardzo dziwne, że – znając nasze miejscowe tradycje – wybrali na swego przedstawiciela kobietę, która do tego była niemłoda i po prostu brzydka.

Jej pierwszym oficjalnym pociągnięciem było zamówienie dla wszystkich kawy. Przyniesiono ją po chwili. W spodkach dyskretnie ukryto wypłukiwalne tabletki antyalkoholowe. Wrzuciłem swoją do filiżanki i zauważyłem, że wszyscy zrobili to samo.

Zyskała u mnie kilka punktów, gdy nie zapytała, kim są ci wszyscy nadliczbowi ludzie, przypuszczam jednak, że po sześciu latach poznała już obowiązujące u nas zwyczaje.

– Niech mi pan wybaczy, jeśli jestem nietaktowna – zaczęła – ale chcę się upewnić. Aimeric de Sanha Marsao, którego mam przed sobą, urodził się w Utilitopii, w Kaledonii na Nansenie?

– Dawniej Ambrose Carruthers, do usług – odparł Aimeric z zamaszystym gestem dłoni. Jego uśmiech wyglądał na udawany, jakby celowo chciał położyć i tak marny dowcip, przekazać pozostałym, co o tym wszystkim sądzi, nie rozweselając ich przy tym.

Miałem wrażenie, że widzę, jak ambasador tłumi szeroki, bardzo męski uśmiech. Premier wyraźnie się skrzywił, a król zamrugał gwałtownie.

– Świetnie – powiedziała. – Pozwólcie, że wyjaśnię bardzo zwięźle, dlaczego zakłóciliśmy panu wieczór. Właśnie nawiązaliśmy oficjalny skoczkowy kontakt z pańską kulturą. Otrzymaliśmy wskazówki drogą radiową, ale najwyraźniej potrzebowaliśmy około roku, żeby zdecydować, czy zbudujemy skoczka. Wreszcie jednak to zrobili. Jak pan może pamiętać, gdy przed kilku laty skonstruowano tu pierwszego skoczka, Castellhoza de Sanha Agnes i Azalais Cormagne wrócili z Lange, by służyć radą w trakcie zmian, jakie nastąpiły w waszym społeczeństwie. Stało się tak, ponieważ urodzili się tutaj, a podczas czternastoletniego pobytu na Lange dobrze poznali skutki skoczkowej transformacji. Pracowali dla waszego rządu przez

jakiś stanrok, starając się pomóc w przetrzymaniu kryzysu połączeniowego i okresu gwałtownego wzrostu, który nastąpił później.

Kiedy mówiła, cały czas obserwowałem Aimerica. Wyglądało to tak, jakby jego ciało zajął nagle ktoś inny – starszy mężczyzna, poważny, skupiony i niespokojny. Przemknęła mi przez głowę myśl, że ci z nas, którzy widywali go tylko w *Quartier*, nie znają wszystkich aspektów jego osobowości.

– Współpracowałem z Castellhozą. A więc tego pani ode mnie chce? Mam się przenieść na Kaledonię i zrobić coś podobnego tam? Zakładam, że wyślecie też kogoś do Świętego Michała, gdy tylko ich skoczek zacznie działać?

– Tak. Właściwie wysyłamy Iwana Pietrowicza do Utilitopii. Będzie mógł tam złapać suborbitalny samolot do Świętego Michała. Najwyraźniej ich skoczek będzie gotowy dopiero za kilka miesięcy.

Aimeric skinął z emfazą głową.

– Iwan świetnie się nadaje do tej roboty. Przybył tu jako misjonarz, ale martwił się brakiem nawróceń. Na pewno ucieszy się z szansy powrotu do Nowego Archangielska i swego kościoła.

Zaczerpnął głęboko tchu i rozejrzał się wokół. Przerwa ciągnęła się tak długo, że wydawało się, iż zaraz pęknie. Bie-ris gapiała się na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Marcabru i ja patrzyliśmy na siebie, niepewni, czy któryś z nas nie powinien czegoś powiedzieć. Usta premiera rozciągnęły się w dziwnym, krzywym uśmiešku, ale król i ambasador zachowywali obojętność.

W końcu Aimeric wstał i wziął w rękę dzbanek, by nalać sobie drugą filiżankę kawy.

– Wie pani, że mną jest inaczej. Zupełnie inna sytuacja niż w przypadku Iwana. Opuściłem Nansena tylko dlatego... hmm, miałem wtedy osiemnaście stanlat, a od tego czasu upłynęło... ile to będzie? Osiemnaście przeżytych stanlat, dwadzieścia pięć według zegara? W każdym razie kupa czasu. Opuściłem Nansena dlatego, że nie było możliwości powrotu. Oczywiście przyleciałem tu w znacznej części z tego powodu, że podobało mi się wszystko, czego kiedykolwiek dowiedziałem się o kulturze Nou Occitan i planecie Wilson. Najbardziej jednak, przyznaję się do tego, *companho*, zachwycił mnie fakt, że Nou Occitan nie jest Kaledonią i nie leży na Nansenie. Zanim więc przejdziemy do dalszej rozmowy, zapytam, czy to muszę być ja? Podróż przeżyły czterdzieści dwie osoby i prawie wszystkie z nich były ekonomistami. To praktycznie jedyny gatunek specjalistów eksportowany przez Kaledonię. Czy nie ma nikogo, kto chciałby wrócić?

Premier skinął głową. Odchrząknął.

– Osiemnaście osób popełniło od tego czasu samobójstwo – zaczął. – Szesnaście zawarło związki małżeńskie i ma małe dzieci, więc... no, sam rozumiesz, dlaczego nie chcę wysłać do Kaledonii rodziny z dziećmi...

– To mądre i humanitarne – przyznał Aimeric. – Zostaje ośmioro.

– Troje cierpi na poważne zaburzenia emocjonalne – ciągnął premier. – Sześć lat w zbiorniku, sześć lat na ciasnym statku, a potem konieczność adaptacji do społeczeństwa, w którym zakres wolności jest znacznie szerszy niż w tym, w którym się wychowywali. Nie każdy potrafi znieść tak wiele. Pewnie z tego samego powodu było aż tyle samobójstw. Z pięciu pozostałych osób jesteś jedyną, która zna się na ekonomii i ma praktykę w sztuce rządzenia, i jedną z trzech, które nie były karane za poważne przestępstwo.

– A więc ja albo nikt? – zapytał z westchnieniem Aimeric.

Ambasador wzruszyła ramionami.

– Moglibyśmy wysłać ludzi z Międzygwiazdowego Korpusu Koordynacyjnego...

– Zgadzam się – przerwał jej Aimeric.

Ambasador przeszła go wściekłym spojrzeniem.

– Są świetnie wyszkoleni i choć z pewnością przydałaby się nam pańska pomoc, jestem przekonana, że...

– Potrzebny wam ktoś, kto zna Kaledonię – oznajmił bez ogródek Aimeric. – Wasi biurokraci, nawet tutaj, gdzie ludzie są otwarci i bezpośredni, mieli mnóstwo kłopotów z zaakceptowaniem zwykłych różnic kulturowych...

– Personel MKK rekrutował się wówczas tylko z Ziemi, Dunanta, Passy i Ducommona... – wyjaśniła ambasador z lekkim zażenowaniem. – Od tego czasu trochę się zmieniło...

– Wszyscy ludzie, którzy tak bardzo starali się wszystko tu zepsuć, dostali awans i mają jeszcze więcej władzy – przerwał jej Aimeric. – A upodobanie do wpajania tubylcom jedynie słusznych zwyczajów na ogół nie słabnie z czasem. Zapewniam też panią, że Kaledończycy nie będą tolerować nawet jednej dziesiątej tego, co są w stanie znieść Okcytańczycy. – Przez chwilę wpatrywał się w ścianę, pogrążony w myślach. – No nic, dobrze pani zrobiła, zwracając się z tym do mnie – stwierdził wreszcie. – A ja muszę wyrazić zgodę. – Wtem oczy pojaśniały mu nieco. – Kto jest drugi w kolejce? – zapytał.

– Faith McSweeney.

Nie znałem jej, ale dla Aimerica był to najwyraźniej decydujący argument.

– Zakładam, że mam wyruszyć stąd? Kiedy?

Troje dygnitarzy popatrzyło na siebie. Wszyscy wolno pokiwali głowami. Dopiero

w tej chwili dotarło do mnie, że była to rozmowa kwalifikacyjna i że gdyby Aimeric tylko zechciał, z łatwością mógłby ich przekonać, że nie nadaje się do tej pracy. Mimo to podjął się jej, co wydawało się bardzo niepodobne do niego. To samo jednak dotyczyło wszystkiego, co zrobił czy powiedział, od chwili gdy u Pertza zjawił się król.

– Tak jest, stąd – potwierdziła ambasador. – Jutro o siedemnastej... wiem, że to mało czasu, ale im szybciej pan tam dotrze, tym lepiej dla stosunków Rady Ludzkości z rządem Kaledonii. Zgadza się pan?

Aimeric wybuchnął śmiechem, po raz pierwszy od wielu godzin.

– *Ja, ja*, oczywiście! – Skierował wzrok na premiera. – Proszę nie zapominać, że wałęsam się z *joventami* i nie mam nic ważnego do roboty.

– Niech pan postara się powstrzymać od jedzenia i picia przez trzy godziny przed skokiem – ciągnęła lekko zdziwiona tymi słowami ambasador. – Dobrze by też było, gdyby unikał pan jutro alkoholu. Jeśli różnica w sile grawitacji przekracza jeden procent, skok niekiedy źle wpływa na żołądek. Wolno panu zabrać dwadzieścia pięć ton bagażu, jeśli więc pan sobie tego życzy, możemy po prostu wysłać wszystko, co ma pan w mieszkaniu.

– To byłoby niezłe. Muszę pamiętać, żeby odebrać pranie i oddać wszystko, co pożyczyłem. – Rozejrzał się po sali. – Jeśli to już wszystko, to czeka mnie kupa roboty. No cóż, *companho*...

– Jeszcze jedno – wtrąciła ambasador. – To może być ważne dla pańskich przyjaciół. W ostatnich latach znacznie zliberalizowano kryteria wymagane przy przyjmowaniu ludzi do tej pracy. Może pan ze sobą zabrać jako asystentów, pomocników, czy jak tam zechce ich pan nazwać, do ośmiu przyjaciół bądź krewnych. – W oczach ambasador pojawiły się błyski. Choć była dygnitarzem i nie mogła się pochwalić urodą, poczułem nagle, że ją lubię. – Mają panu pomóc w zachowaniu zdrowych zmysłów.

– Chyba nie przyjrzała się pani zbyt dokładnie tym moim przyjaciołom – odparł Aimeric. – Zadaję się z nimi z zupełnie innych powodów.

Gdy po raz drugi przesunął wzrokiem po sali, w jego oczach pojawił się dziwny, ciepły smutek.

Rozstaliśmy się przy stacji skoczka w *Quartier des Jo-vents*. Aimeric musiał zakomować do całej masy ludzi, my zaś mieliśmy się nad czym zastanawiać.

Wpadłem na chwilę do domu, wziąłem w rękę lutnię i zacząłem brzdąkać machinalnie, pogrążony w myślach.

Jeśli się zgodzę, spędzę dwa lata w innym systemie, co udawało się tylko garstce ludzi, jako że korzystanie z międzygwiazdnych skoczków nadal było bardzo drogie. Rzecz jasna, na tym właśnie polegał problem. Rada Ludzkości dbała o to, by cena była zależna od wydatku energii, ten zaś był wprost proporcjonalny do kwadratu różnicy potencjału grawitacyjnego. Ponieważ prosty skok o siedemset pięćdziesiąt metrów w górę na trasie narciarskiej kosztował tyle co jedno piwo, wydawało się prawdopodobne, że transfer między orbitami dwóch gwiazd-olbrzymów, odległych od siebie o sześć i pół roku świetlnego, będzie wart całe mnóstwo piwa. Gdybym się zgodził, nie miałbym drogi odwrotu. Nawet jeśli mi się tam nie spodoba, będę musiał odsłużyć pełen okres, by przyznano mi darmowy powrót do domu, gdyż z pewnością nie będę mógł sobie pozwolić na bilet.

Z drugiej strony, mógłbym się potem pochwalić bardzo niezwykłym okresem służby publicznej, zobaczyłbym wiele nowych rzeczy i przeżył romantyczną przygodę, nawet jeśli Aimeric twierdził, że jego ojczysty świat jest wyjątkowo nudny.

Ale z drugiej strony, podczas Mroku miałbym czas na to, by spokojnie czytać, myśleć i komponować, a potem nastąpiłaby wielka eksplozja północnej wiosny. Spalone pożarami Terraust pokryłaby wielometrowa warstwa śniegu, natomiast rzeki i słodkowodne morza Terrbori wystąpiłyby z brzegów od nadmiaru pochodzącej z roztopów wody, w jego fiordach i kanionach szalałyby gwałtowne burze z piorunami, a łąki eksplodowały trawą i kwiatami.

Polarne bambusy pojawiłyby się jeszcze przed stopnieniem czarnych od sadzy śniegów, pośpiesznie rozpoczynając wzrost do pełnych dziesięciu metrów, nim pożary północnej jesieni znowu przyniosą im zagładę.

Przynajmniej zdążę zobaczyć północne lato. Z pewnością wrócę, nim upłyną trzy stanlata.

Ominie mnie jednak północna wiosna, a pamiętałem tylko jedną. Ze swym trwającym dwanaście stanlat rokiem Wilson zmienia człowieka w domatora. Jeśli ktoś ma szczęście, może zobaczyć każdą z pór roku maksimum osiem razy w życiu, nie opuszcza się więc

chętnie żadnej z nich.

Pozostawała też kwestia mojej kariery. Musiałem przyznać, że jestem tylko przeciętnym kompozytorem czy poetą, lecz moje wykonania dzieł innych artystów spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem. Do *Quartier* na moje występy schodzili się ludzie nie będący już *joventami*. Następne dwa albo trzy lata miały zdecydować, czy uda mi się zdobyć wysoką pozycję wśród *joventów*. Choć ich dokonania uchodziły za nieistotne, gdy młodzi ludzie zawieszali szpady na kołkach i przenosili się do spokojniejszych części miasta, by podjąć ustabilizowane życie, jakie prowadzili moi rodzice, nie zapominali o swych przyjaźniach i zobowiązaniach. Człowiek będący bohaterem dla *joventów* miał większe szansę zdobycia czołowej pozycji w sztuce, polityce albo biznesie.

Ponieważ Raimbaut nie żył, a jego psypyks zarchiwizowano, wszystko zależało od dwojga ludzi: Marcabru, najlepszego przyjaciela, jakiego miałem, oraz Garsendy, mojej *entendedory*, która była dla mnie obiektem *finamor* i inspiracją dla twórczości. Z pewnością prawdziwy Okcytańczyk nie porzuciłby swej kochanki. Chyba że wymagałaby tego lojalność wobec przyjaciół...

Nie mogłem znieść myśli o rozstaniu z Marcabru czy Garsendą. Ten fakt zaważył na mojej decyzji. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Oczywiście, jeśli będą odmiennego zdania, zostanę zmuszony, by samemu dokonać wyboru.

Nie wydawało się możliwe, bym miał aż takiego pecha.

Najpierw Marcabru, pomyślałem. Z nim mogłem pogadać przez kom, ale komowanie do własnej *entendedory* jest rozpaczliwie *ne gens*, musiałem więc pofatygować się do Garsendy osobiście.

Marcabru udzielił mi jednoznacznej odpowiedzi.

– Giraut, wiem, co czujesz. Ja również miałbym wielką ochotę tam się wybrać, ale tu, w Noupeitau, zapowiada się coś cudownego. Chciałem wam to powiedzieć o północy, ale porwali nas od Pertza i zaczęła się ta cała afera z powołaniem Aimerica. Wiesz, że następny stanrok będzie Rokiem Odmiany dla tytułu królewskiego?

– *Ja*, czasem sprawdzam w komie wiadomości. Kiedy czekam u dentysty albo coś w tym rodzaju. I co z tego?

– Wybrali już rodzaj odmiany i wyłoniono finalistów. Za kilka godzin podadzą to do wiadomości publicznej. Tym razem nie będzie to jakiś pierdziel w średnim wieku, który ma kupę opublikowanych prac albo nagród za służbę publiczną, ale *donzelha*. A wśród finalistek...

– Yseut! – domyśliłem się. – Marcabru, to wspaniale. Oczywiście masz rację. Nie

mógłbyś opuścić Wilsona!

Przed oczami przemknęły mi wizje młodej królowej-poetki, mającej za księcia małżonka mojego najlepszego przyjaciela. Z pewnością oznaczałoby to nominację na tymczasowego para dla mnie, a zapewne też miejsce na dworze dla Garsendy. Na spełnienie podobnych marzeń zwykle czekało się dwadzieścia stanlat, a my mamy szansę zrealizować je, gdy jesteśmy jeszcze młodzi i potrafimy się nimi cieszyć.

– Może się wydarzyć tak wiele... – zacząłem, ale powstrzymałem się, nim powiedziałem coś, czym z pewnością poczułby się urażony.

Roześmiał się, czytając w moich myślach.

– Masz rację, oczywiście. Nawet jeśli nie będzie to Yseut, sam fakt, że ktoś z naszego pokolenia, *donzelha*, nada Pałacowi trochę wdzięku i stylu... Boże, życie stanie się ekscytujące!

– *Ja, ja, ja!* Porozmawiam teraz z Garsendą. Może uda się nam jakoś spotkać, może nawet pójdziemy pożegnać się z Aimerikiem. Och, alez będzie wściekły, kiedy się dowie, co go ominie!

– Umówmy się, jak to załatwić – zaproponował Marcabru, uśmiechając się do mnie. – Pożegnamy się z nim i doprowadzimy go do szału. Wybacz mi, Giraut, ale zakomowałeś do mnie niecałą godzinę po tym, jak wróciłem do domu z *entendedora*... – Poszerzył trochę obraz, by mi pokazać, że nie ma na sobie koszuli, a potem przesuwiał go dalej w dół, demonstrując nagi tors.

– Oczywiście!

Machnąłem ręką w drwiącym salucie i przerwałem połączenie.

Zarzuciłem swoją najelegantszą pelerynę i wciągnąłem najlepsze buty, po czym zbiegłem sprintem po spiralnych schodach i w tym samym tempie pokonałem pięć kwartałów krętych, wąskich uliczek, na których nawet dwie godziny przed świtem roіło się od przekupniów. Przepychałem się brutalnie między nimi, jak przystało oszalałemu z miłości *joventowi*, aż wreszcie dotarłem do mieszkania Garsendy i wbiegłem na górę po schodach.

Nie było jej w domu.

Wyciągnąłem kom, żeby sprawdzić jej lokalizację. Była w „Entrepot”, lokalu odwiedzanym wyłącznie przez międzygwiazdników.

Typowa, a nawet niezbędna dla *joventów* głupota polega między innymi na tym, że człowiek nie zawsze potrafi szybko się zorientować. Jakaś część mojego umysłu zarejestrowała fakt, że w ciągu kilku ostatnich tygodni Garsendą często znikaa gdzieś z niewytłumaczalnych powodów (oczywiście nie sprawdzałem wówczas jej lokalizacji, gdyż

sprawy nie były pilne i okazałbym w ten sposób brak zaufania). Inna część pamiętała dziwną, kaleczącą uszy biżuterię. Jeszcze inna szeptała mi, że moja *entendedora* jest bardzo niedoświadczona, nawet jak na osiemnastolatkę, i zawsze jako pierwsza załapywała się na każdą nową modę czy trend...

Cała reszta mojej jaźni zakrzyczała te głosy i kazała mi ruszyć w stronę „Entrepot” tak szybko, jak tylko pozwalała na to godność.

Nim tam dotarłem, minęło pół godziny. Gdy już znalazłem się na miejscu, znowu skorzystałem z komu i dowiedziałem się, że Garsenda przebywa w pokoiku na zapleczu. Ruszyłem ku temu pomieszczeniu przejściami wiodącymi wzdłuż arenoparkietu, narażając się na gwizdy, cmoknięcia i krzyki: „Dziadek włożył suknię!”, którymi obrzucali mnie młodzi, trzymający się poręczy międzygwiezdniczy. Musiałem poznać prawdę.

Garsendę zawsze pociągała sztuka, czy raczej artyści, a pod tym jednym względem międzygwiezdniczy byli prawdziwymi Okcytańczykami. Cenili swych artystów. Dlatego, gdy postanowiła wspiać się za moimi plecami po alternatywnej drabinie społecznej, przyłączyła się do tego, co pełniło tam funkcję bohemy.

I dlatego, gdy otworzyłem drzwi, zobaczyłem trzy działające kamery (jedna z nich automatycznie skierowała się na mnie). Filmowały one Garsendę, która miała na sobie sięgające ud buty na wysokich obcasach i nic poza tym. Odrzuciła głowę do tyłu, w pozie znamionującej ekstazę. Przykucnął przed nią chłopak, który ssał jej jedną sutkę, drugą zaś ścisnął czymś, co wyglądało jak wielkie, jaskrawopomarańczowe kombinerki, wyjęte wprost z jakiegoś komiksu. Żadne z nich mnie nie zauważyło, zamknąłem więc drzwi i odszedłem. Będzie mnie mogła rozpoznać na zdjęciach z trzeciej kamery. To wystarczy.

Nie byłem tego pewien i nie miałem ochoty sprawdzać, ale przemknęło mi przez głowę, że mógł to być jeden z chłopaków, którzy walczyli z nami w noc śmierci Raimbauta.

Wychodząc, uznałem, że jeden z obecnych mnie obraził. Wydobyłem szpadę i bez ostrzeżenia powaliłem go gwałtownym ciosem w gardło. W zasadzie jest to dozwolone, ale nie poczułem się od tego lepiej, pchnąłem więc neuroinduktorem w nerki drugiego faceta, bo wydawało mi się, że spojrzał na mnie krzywo. Kiedy padał, dałem mu bardzo konkretnego kopniaka w głowę. Nawet to nie obraziło jego przyjaciół na tyle, by zdolali przewyciężyć strach (przypuszczam, że wyglądałem w tym nastroju bardzo groźnie), powaliłem więc dwóch kolejnych tchórzy. Reszta jednak uciekła, a pościg za nimi byłby *ne gens*, musiałem więc opuścić lokal bez bójki, która pozwoliłaby mi rozładować gniew albo wylądować w szpitalu.

Wyszedłem dumnym krokiem na ulicę, próbując ułożyć jakiś plan działania.

W dniach przed nastaniem skoczków, które wszystko zmieniły, zaledwie sześć stanlat temu, stałaby przede mną prosta alternatywa: mógłbym popełnić samobójstwo albo zaczekać i wystąpić o pozwolenie na emigrację na jednym ze statków, które odlatywały co jakieś dziesięć stanlat.

W dzisiejszych czasach nie było już statków, dla większości ludzi zostałoby więc tylko samobójstwo. Ale nie dla mnie, pomyślałem. Zakomowałem do Aimerica. Oddaliłem się już o sześć kwartałów od „Entrepot”.

Powiedział, że mogę mu towarzyszyć. Wydawał się nawet zadowolony. Podał mi specjalny kod komowy.

Pod tym numerem udało mi się załatwić transport wszystkich moich ruchomości, likwidację kont celem spłacenia rachunków i takie tam rzeczy. Powiedzieli mi, że nie muszę robić nic więcej. Mogę sobie wyjść z mieszkania, pójść do ambasady i następnego dnia przeskoczyć na Nansena. Zabiorą nawet moje pranie. Przypomnieli mi, że skok jest wyznaczony na siedemnastą.

Podziękowałem, nastawiłem wmontowany w aparat nadgarstkowy budzik na szesnastą (godzina wystarczy, żeby antyalkoholowa tabletkę doprowadziła mnie do porządku) i skierowałem swe kroki do tawerny położonej najbliżej ambasady, gdzie przez cały ranek i popołudnie usilnie starałem się upić. Przełknąłem pigułkę na czas i do ambasady dotarłem w dobrym stanie. Chyba chcieli się upewnić, bo wstrzyknęli mi potężną dawkę środka antyalkoholowego (nie wiem, co miał przeciwko alkoholowi, ale z kacem wyraźnie żył w zgodzie). Doprowadzili mnie też do porządku, przez co poczułem się jak ubłocony kociak przyłapany przez mamusię.

Po drodze wypaplałem wszystko Aimericowi i Bieris. Bie-ris powtarzała mi, że Garsenda to tylko młoda dziewczyna, która chce się zabawić, Aimeric zaś przypominał, że mogę się jeszcze wycofać; wystarczy, żebym powiedział, że wcale nie chcę tego robić.

Odrzuciłem ich argumenty. Głowa bolała mnie paskudnie, a oślepiające, żółte światło pogarszało tylko moje cierpienia. Na domiar złego, po wytrzeźwieniu zdałem sobie z bolesną jasnością sprawę, że cały dzień nic nie jadłem.

– Może faktycznie zmarnuję dwa stanlata życia. No i co z tego? Miałem zamiar się zabić. Tam przynajmniej będzie zupełnie inaczej niż w Nou Occitan.

– Och, to z pewnością prawda – zgodził się Aimeric.

Bieris przygryzła dolną wargę.

– Giraut, znamy się od dzieciństwa. Powiedz mi prawdę. Czy naprawdę uważasz, że zostało ci tylko to albo samobójstwo?

Nigdy w życiu nie czułem się bardziej urażony.

– Tego żąda *enseingnamen*. To najpoważniejsze pogwałcenie *finamor*...

Popatrzyła na Aimerica, potrząsając głową. Zauważyłem, że z jakiegoś powodu wydaje się teraz znacznie starsza, mimo że pozostała tą samą piękną, roześmianą brunetką, z którą od tak dawna się przyjaźniłem.

– Chyba mówi poważnie – stwierdziła.

Aimeric skinął głową.

– Nie wątpię w to. Oboje znamy go od lat. Ale czy mu na to pozwolimy?

– Nie potrzebuję waszego pozwolenia – sprzeciwiłem się. – To było honorowe zaproszenie i zamierzam z niego skorzystać.

Aimeric z westchnieniem potrząsnął sięgającymi ramion włosami.

– Z pewnością nie zamierzam pojedynkować się z tobą z tego powodu. Dobra, możesz z nami skoczyć. Jest z ciebie całkiem bystry *toszet*, Giraut, chyba że w grę wchodzi *donzelha*, i z pewnością mi się przydasz. Ostrzegam cię jednak, i to po raz ostatni. Jeśli Kaledonia nadal wygląda tak, jak ją zapamiętałem, nieraz będziesz żałował, że nie zostałeś w domu i nie skończyłeś ze sobą.

Być może coś w jego głosie wreszcie do mnie dotarło.

– Jak źle tam może być? Cóż znaczy odrobina niewygód wobec straconej miłości?

Nie odpowiedział mi, odwrócił się tylko. Chyba poczuł się lekko zniesmaczony. Bieris obrzuciła mnie pełnym współczucia i niepokoju spojrzeniem, po czym podążyła za nim.

Gdy nadszedł czas, przeszliśmy po prostu przez skoczka, tak jak robi się to zawsze. Tym razem zamienialiśmy jedną grupę nudnych pracowników ambasady na drugą. Poczulem solidne szarpnięcie w podeszwach butów i nagły ciężar ogarniający całe ciało, jako że grawitacja na Nansenie jest o osiem procent silniejsza. Poza tym wyglądało to tak, jakbym przeszedł do sąsiedniego pokoju.

Aimeric zachwiał się, jakby otrzymał cios w żołądek. Musiałem podtrzymać Bieris, którą dwukrotnie dopadły mdłości, nim wróciła do siebie. Moja odporność na chorobę skoczkową kazała im patrzeć na mnie tak, jakby żalowali, że nie zostałem w domu i nie skończyłem ze sobą.

– Witajcie w Kaledonii – odezwał się wysoki, starszy mężczyzna. – Jestem ambasador Shan. Który z was jest Ambrosem Carruthersem?

– Można powiedzieć, że to ja, ale obecnie używam okcytańskiego nazwiska Aimeric de Sanha Marsao. To są Bieris Real i Giraut Leones, moi osobiści asystenci.

Shan skinął głową.

– Bardzo się cieszę, że was widzę. Obawiam się, że doskwiera nam poważny brak miejsca i personelu. Wyhodowaliśmy ten budynek w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin i zostało nam jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Dlatego odeślemy was prosto do nowych domów. Bagaże prześlemy, gdy tylko je dostarczą. Przykro mi, że nie możemy wam służyć gościnnie, ale rozmowy z rządem Kaledonii w sprawie zaopatrzenia ambasady utknęły w martwym punkcie.

– Chce pan przez to powiedzieć, że żądają za wszystko zapłaty albo chcą, żebyście to odpracowali – stwierdził Aimeric.

Ambasador skinął głową.

– Miałem nadzieję, że to tylko zwyczajowa formułka, a czego chcą naprawdę, okaże się podczas rozmów. Czyżby mówili poważnie?

– Oczywiście. Niech się pan też nie zdziwi, kiedy po zawarciu umowy otrzyma pan napiwek. Więcej niż dwieście utili byłoby przesadą i mogłoby oznaczać próbę przekupstwa.

– Widzę, że będzie pan tu bezcenny.

– W Kaledonii nic nie jest bezcenne. To jedyna z Tysiąca Kultur, w której wszystko, absolutnie wszystko, ma dokładnie określoną cenę.

Aimeric uśmiechał się, mówiąc te słowa. Shan wybuchnął śmiechem i skinął głową. Bieris i ja nic z tego nie rozumieliśmy.

Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie paru pracowników ambasady wręczyło nam ocieplane, sięgające kolan parki, wyposażone w przezroczyście maski. Stanowiło to pewnie jakieś ostrzeżenie, ale nic nie mogłoby przygotować człowieka na to, co czekało nas na zewnątrz.

Było to tak, jakbyśmy weszli w ciemny, kriogeniczny tunel aerodynamiczny. Brodę i wąsy spryskała mi woda, która natychmiast zamarzła.

Zrozumiałem do czego służy maska i opuściłem ją szybko, zdążyłem jednak zaczerpnąć w płuca dwa hausty przeraźliwie zimnego, cuchnącego chlorem powietrza. Wiatr uderzył mnie w pierś jak taran.

– Spokojnie, *companho* – zawołał do nas Aimeric, przekrzykując zawodzący huk wiatru. – Przybyliśmy tu podczas Porannej Nawałnicy. Po południu będzie znacznie ładniej!

Nie wyobrażałem sobie, by mogło być gorzej, a przecież bardzo często jeździłem na nartach w Północnych Górach Polarnych.

– Ile tu jest chloru w powietrzu? – wrzasnąłem.

– W tej chwili mnóstwo. Poranna Nawałnica jest słona, bo wiatr wieje znad zatoki. Ten kot to na pewno po nas.

„Kot” okazał się wielkim gąsienicowym ciągnikiem, który do nas podjechał. Światła jego kabiny odbijały się od ścian niskich, ciemnych budynków.

– Gdzie są wszyscy?! – krzyknęła Bieris.

– W domach! Nie są nienormalni! Wyjdą na dwór, kiedy skończy się burza, za jakieś pół godziny.

Zawołała coś w odpowiedzi, a potem powtórzyła tonem bliskim wrzasku:

– Chodzi mi o to, dlaczego w centrum miasta nie zapalono latarni?

– Po co palić latarnie, jeśli na ulicach nikogo nie ma? I po co komu okna, jeśli na dworze nie ma nic do oglądania?

Aimeric krzyczał, lecz w jego głosie wcale nie było zainteresowania. Z pewnością była to jedna z tych spraw, które z czasem miały się dla nas stać oczywiste.

Kot zatrzymał się obok. Pomyślałem, że wiem, skąd wzięła się jego nazwa. Wszystkie małe podnośniki magnetyczne, które napędzały jego gąsienice, buczały i bzyczały w różnych tonacjach, a w kilkucentymetrowych szparach dzielących je od gąsienic świstał wiatr. Razem brzmiało to jak wrzask gigantycznego kota ciśniętego w najgłębszą otchłań piekieł.

Weszliśmy na prowadzące do kabiny schody. Drzwi otworzyły się przed nami. (Szybko się dowiedziałem, że wszystkie wejścia na Nansenie są wyposażone w dwie pary drzwi i że za szczyt *ne gens* uchodzi tu otwieranie obu jednocześnie. To jedna z bardzo nielicznych kwestii, co do których Kaledończycy i Michalianie zgadzają się ze sobą). Wepchnęliśmy się do ciasnej śluzy ciepłej kota, Aimeric zamknął drzwi za nami i drugie drzwi otworzyły się nagle.

Aimeric zapłacił kierowcy. Zdumiało mnie to, podobnie jak Bieris, która spojrzała na mnie niepewnie. Zrzuciliśmy ciężkie płaszcze.

Wtem Aimeric ryknął śmiechem i serdecznie uściskał kierowcę.

– Na Boga, Bruce!

– Ta. Naprawdę się bałem, że mnie nie poznasz.

– Ha! Twój widok to pierwsza dobra wiadomość od dłuższego czasu.

Przedstawił nas starszemu mężczyźnie, którego – jak się okazało – znał ze szkoły.

Minęła chwila, nim zdałem sobie sprawę, że Bruce nie był jego nauczycielem. Nie chodziło tylko o sześć i pół roku, które Aimeric spędził w hibernacji. Skóra Bruce’a wydawała się dziwnie szorstka i pokrywała ją brązowe plamki, włosy zaś – tam gdzie nie posiwiały – wyglądały na usiane wyblakłymi, bezbarwnymi plamami. Zastanawiałem się, czy to skutek działania zawartego w powietrzu chloru.

Przez długi czas obaj rozmawiali ze sobą o sprawach, o których zwykle mówią ludzie, którzy długo się nie widzieli, a ponieważ mieli do nadrobienia wiele stanlat (wyglądało na to, że ostatnie listy wymienili jeszcze przed przybyciem Aimerica na Wilsona) konwersacja trwała całą godzinę, której potrzebowaliśmy, by wyjechać poza obszar Utilitopii. W Nou Occitan nie ma tak wielkich miast. Z założenia, nim stare osiągną pewną określoną wielkość, budujemy nowe. Dzięki temu powolne zmiany w stylach architektonicznych powodują, że każde miasto wygląda trochę inaczej. Tutaj cały czas po prostu rozbudowywano Utilitopię.

Podczas jazdy śnieżycą uspokoiła się, przechodząc w zamarzający deszcz, a temperatura na zewnątrz wzrosła, osiągając punkt zamarzania wody. Włączono latarnie i zobaczyliśmy, że większość budynków to proste betonowe pudełka z okapami wysuniętymi nad ulicę. Wszystkie kościoły wyglądały identycznie. Miały bardzo niski narteks i wyjątkowo wysokie transepty o dwóch szczytach, wskutek czego przypominały drapieżne ptaki, gotowe runąć na ulicę.

Było tu mnóstwo kościołów.

Od czasu do czasu po magnetycznych pasach wbudowanych w ulicę przemykał torowiec. Blask jego reflektorów przebijał się przez mgłę i budynki nabierały nagle kolorów. Wyglądało na to, że wszystkie są albo niebiesko szare, albo brązowawoczerwone. Choć całe dzieciństwo jeździłem torow-cami, wydawały mi się teraz dziwnym archaizmem. Ogarnął mnie lekki smutek na myśl, że tutaj również z pewnością znikną nie później niż za rok, zastąpione przez skoczki.

Zastanawiałem się, czy zdemontują tory, czy też zostawią je na miejscu. W Noupeitau przerobiliśmy je na trasy dla rowerów, deskorolek i wiosłozów, otoczone ceglanymi murkami wytyczającymi ich granice. Podobne rozwiązanie wydawało się jednak sprzeczne z duchem tego miasta.

Sądziłem, że przejeżdżamy przez dzielnicę przemysłową, jakie spotyka się też w innych kulturach, które miały zbyt mało rozsądku, by zostawić podobne operacje robotom i przenieść je w jakieś nie zamieszkane miejsce. Gdy jednak wjechaliśmy na wzniesienie i mgła rozrzedziła się na chwilę, ujrzałem wyraźnie, że całe miasto składa się z takich betonowych prostopadłościanów.

Wreszcie je opuściliśmy. Ze zdziwieniem zauważyłem, że droga to po prostu wąska wstęga wygładzonej skały, z której zdarto cienką warstwę gleby.

– Chyba powinienem cię o to zapytać – odezwał się nagle Bruce, gdy już miałem zamiar zagadnąć go o prymitywny wygląd drogi. – W pierwszym liście wspominałeś, że

Charlie nie żyje.

– Ta – potwierdził Aimeric, nie zdradzając nic więcej.

Bruce skinął powoli głową, jakby dowiedział się bardzo wiele.

– Nie byłem w kościele od dziesięciu lat – zauważył. Wydawało się, że nie ma to nic wspólnego z tematem. – A ponieważ nie przybyłeś jako Ambrose...

– Chwileczkę – przerwał mu Aimeric. – Nie byłeś w kościele...

Bruce wzruszył ramionami.

– Hmm... no wiesz, jak to było. Ty i Charlie polecieście, a ja zostałem. Na statku były tylko dwa miejsca dla kaznodziejów. Przez pewien czas miałem za złe Bogu, że mnie powołał, a potem chciałem sam siebie ukarać za to niegodne uczucie. W rezultacie stałem się jednym z tych zawziętych fanatyków, którzy z jakiegoś powodu zawsze dostają pracę gdzieś na głębokiej prowincji. Wtedy właśnie napisałem te ostatnie listy...

– Ta.

Dotarliśmy do rozwidlenia drogi. Buczenie nasiliło się trochę, a jego tonacja stała się wyższa. Kot przechylił się nagle, wzbijając w powietrze wielką fontannę piasku i żwiru, po czym skręcił i ruszył w górę, pokonując serpentyny. Wszystko spowijała mgła i nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy. Zostawiliśmy za sobą światła miasta i znowu zrobiło się straszliwie ciemno – widoczność nie przekraczała trzydziestu metrów, nawet w blasku reflektorów kota.

– No cóż, potem przez pewien czas było ze mną coraz gorzej – ciągnął Bruce. – Oczywiście, wtedy tak nie uważałem, bo jeśli naprawdę wierzy się w to wszystko, to nie ma miejsca na kompromisy czy nawet na współczucie. Miałem kongregację w Bentham i przez trzy lata przyczyniłem się do całego mnóstwa cierpień, domagając się dosłownego przestrzegania wszystkich zasad. Ale pewnego ranka... chyba mniej więcej wtedy, gdy twój statek docierał do Nou Occitan... coś się wydarzyło. Jeden z tych przypadków, które zmusiły mnie do zdania sobie sprawy, że unieszczęśliwiam ludzi, zamiast im pomagać. Wróciłem do mieszkania. Modliłem się przez pewien czas... no, szczerze mówiąc, przez miesiąc. Kiedy to nie pomogło, rzuciłem tę robotę, kupiłem farmę w Sodomskiej Niece i mieszkam tam po dziś dzień. – Minęliśmy kolejny ostry zakręt. Spod obracających się szaleńczo gąsienic trysnął żwir, który zastukał głucho o dno kabiny kota. Za oknem nie dostrzegałem nic poza ciemną mgłą, zalegającą daleko w dole. – Musiałem bardzo zaniżyć ofertę, żeby pozwolili mi was zabrać. Woleliby wyznawcę słuszniejszych poglądów.

– Sodomka Niecka leży dość daleko – zauważył Aimeric. – Musiałeś nadłożyć kawał drogi. Chyba trudno ci było uzasadnić tę propozycję.

– Ni. To tylko jeden z elementów kontraktu. Jestem waszym gospodarzem.

Aimeric na chwilę oniemiał, po czym aż zapał głośno z zachwytu. – Bomba, Bruce, zawsze był z ciebie bystrzak! Minęliśmy wzniesienie, po którym droga opadała nagle. Poczuliśmy ostre szarpnięcie w żołądkach, a reflektory skierowały się w głąb wąwozu, który wydawał się nie mieć dna. Wtem spod gąsienic znowu trysnął żwir i ruszyliśmy wzdłuż półki w ścianie kanionu.

Ponieważ Aimeric i Bruce swym zachowaniem wyraźnie dawali do zrozumienia, że nie dzieje się nic niezwykłego, musiałem brać z nich przykład. Odwróciłem wzrok od okna, by zobaczyć, jak znosi to Bieris, i przekonałem się, że omal nie weszła mi na kolana, próbując wyjrzeć na zewnątrz.

– Jak myślisz, jak tu może być głęboko? – wyszeptła.

– *Non sai*. Dość głęboko.

– To, na co patrzycie, nazywa się Wyłomem – wyjaśnił Bruce. – To długi fiord. Na dnie wąwozu jest morze, głębokie na prawie osiemdziesiąt metrów. Znajdujemy się jakieś trzy tysiące metrów nad jego powierzchnią, a musimy wspiąć się na siedem tysięcy trzysta, żeby przejechać przez Sodomską Bramę. Cała niecka jest wielkim pęknięciem w skorupie planety, kraterem pozostałym po upadku planetoidy.

– Po upadku planetoidy?

Bieris pochyliła się ku Bruce'owi, który – ku mojemu zaniepokojeniu – spojrzał na nią, odwracając wzrok od wąskiej drogi skapanej w tańczącym świetle reflektorów.

– Ta – potwierdził. – Ale nie bój się, w najbliższym czasie nie spodziewamy się następnego. Chociaż krater jest świeży. Liczy sobie zapewne mniej niż tysiąc stanlat. Mam wrażenie, że nie powiedzieli wam za wiele o tym, co was tu czeka? – Ani słóweczka – odparłem. – Czy tak jest tu wszędzie? Bruce ryczał ze śmiechu, a Aimeric podążył za jego przykładem.

– Bardzo uprzejmie wyrażasz swój niepokój, hmm... Grot?

– Mniej więcej. Dwie sylaby. „Gir-aut”.

– Giraut. – Tym razem wymówił to prawidłowo. – Nie dziwię się, że siedzisz tak cicho. Nie, Rada Racjonalizatorów chce, żeby ludzie siedzieli w Utilitopii, bo to zwiększa wydajność. Dlatego nałożyła wysoki podatek na każdą prowadzoną gdzie indziej działalność, którą można by przenieść do stolicy. Rolnictwo z początku nie pociągało mnie zbyt, ale żadne inne zajęcie nie pozwoliłoby mi zamieszkać po ciepłej stronie Gór Optymalnych. Zostawimy je za sobą dopiero za jakieś dwie godziny, ale powinno ci się spodobać to, co zobaczysz.

– Jeśli tam jest ładnie, to skąd nazwa „Sodomská Niecka”?

– Chodzi o to, żeby ci, którzy upierają się, by tam mieszkać, wiedzieli, że okazują irracjonalne przywiązanie do niewłaściwych wartości – wyjaśnił Bruce. – Wkroczyliśmy na drogę wiodącą ku duchowej zagładzie.

Wydawał się raczej znużony niż rozgniewany.

– Może wyjaśniłbyś tym z nas, którym brak cierpliwości, dokąd właściwie jedziemy? – wtrąciła Bieris.

Aimeric skinął do niej głową, jakby był wdzięczny za zmianę tematu.

– Łańcuch górski, w który wrzyna się Wyłom, i który przecina Sodomską Bramą, biegnie wzdłuż wschodniego wybrzeża Kaledonii. Po jego drugiej stronie leży Sodomská Niecka, tworząca basen słonego jeziora. To jedna z najcieplejszych okolic na całej tej zwariowanej planecie. Jestem pewien, że przerazi cię wiadomość, iż znajdujemy się obecnie niespełna pół stopnia od równika. Rzecz w tym, że Morze Sodomskie to potężny zbiornik ciepła, a otaczające je góry są tak wysokie, że odcinają dostęp większości chmur, wskutek czego nasłonecznienie jest bardzo znaczne. Dlatego w dolinie jest ciepło. Temperatura spada poniżej zera tylko na parę godzin Mroku.

– Jak możecie mieć tu Mroki? Z pewnością roślinności jest za mało, żeby pożary...

– Tutaj to słowo oznacza co innego – wyjaśnił Aimeric. – Doba na Nansenie trwa tylko czternaście godzin. Łatwiej jest łączyć je w pary niż żyć w cztemastogodzinnym rytmie. Dlatego dzieli się dobę na Pierwszą Jasność, Pierwszy Mrok, Drugą Jasność i Drugi Mrok. W tej chwili od Pierwszej Jasności dzieli nas jeszcze dwadzieścia minut.

– To chyba bardzo blisko świtu – zauważyłem, spoglądając w rozświetloną słabym blaskiem mgłę. – Ale dlaczego jest tak jasno?

– Przed chwilą wzeszedł księżyc – odpowiedział Bruce.

Nastąpiła długa, pełna zażenowania cisza. Poczułem się głupio. Jak mogłem zapomnieć, że Nansen ma wielkiego, pokrytego lodem, krążącego po ciasnej orbicie satelitę?

– Co skłoniło was dwoje do przybycia na Nansena z tym zatwardziałym grzesznikiem? – zapytał po chwili Bruce. – Czyżbyście doszli do wniosku, że na Wilsonie jest za mało mgły i deszczu ze śniegiem?

Bieris roześmiała się cicho.

– Można by niemal powiedzieć, że Aimeric mnie do tego namówił.

– Próbowałem cię od tego odwieść! Mówiłem, że to miejsce jest zupełnie różne od wszystkiego, do czego jesteś przyzwyczajona, i że nie znajdziesz tu nawet połowy rozrywek, jakie znaleźliśmy w *Quartier*. – Aimeric sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego. – Tu naprawdę nie ma wielu ludzi, którzy choć trochę przypominaliby twoich przyjaciół.

Bieris kiwała energicznie głową.

– *Ja, ja, dom de mon cor*. Jak mogłam się oprzeć tak silnym argumentom przemawiającym za przybyciem tutaj?

Odnosiłem wrażenie, że drażni się z nim lub chce go sprowokować, nie rozumiałem jednak, na czym polega żart.

– Nie spotkasz tu nikogo, kto by rozumiał, że jesteś *danielha*! – zaprotestował Aimeric.

– No, nie wiem. Bruce, do której płci byś mnie zaliczył, tak na oko, kierując się pierwszym wrażeniem? Spróbuj zgadnąć.

Bruce wybuchnął śmiechem, który jednak brzmiał bardzo nerwowo. Nagle uznał, że powinien poświęcić więcej uwagi prowadzeniu.

– Nigdy nie wtrącam się w kłótnie między osobami przeciwnej płci – oznajmił. – Między innymi dlatego, mimo zaawansowanego wieku wciąż jestem zdrowy i pełen wigoru.

Aimeric zachichotał cicho.

– Naprawdę przydałbyś się nam na statku, Bruce – powiedział. – Taki dyplomata jak ty marnował się jako kaznodzieja.

Po tych słowach zapadła bardzo długa cisza. Wreszcie Bruce zapytał, co skłoniło mnie do przybycia do Kaledonii. Nie wdając się zbyt w szczegóły – miałem wrażenie, że precyzyjny opis tego, co zobaczyłem w „Entrepot”, uraziłby jego wrażliwość – zdałem mu relację z wydarzeń, które skłoniły mnie do skoku na Kaledonię.

Ku mojemu zaskoczeniu, w przeciwieństwie do Bieris i Aimerica, natychmiast okazał mi zrozumienie. Poczulem do niego nagłą sympatię, przynajmniej do chwili, gdy dodał:

– Ta, to było dawno temu, ale mi też kiedyś przytrafiło się coś takiego, z dziewczyną, z którą chciałem się ożenić.

Aimeric poderwał się nagle, jak uszczypnięty, a Bieris złapał atak kaszlu. Musiałem sobie radzić sam.

– Hmm... małżeństwo w Nou Occitan nie jest dozwolone przed dwudziestym piątym stanrokiem życia, a rzadko zawiera się je przed trzydziestką – wyjaśniłem. – To była tylko... no, *finamor*. Zawstydzony zdałem sobie sprawę, że nie znam terstadz-kiego odpowiednika tego słowa. Być może w ogóle nie istniał. Bruce z emfazą skinął głową.

– Wiesz co, przed wielu laty, kiedy próbowałem się dostać na ten statek, mnóstwo czytałem o Nou Occitan, ale nigdy nie zdołałem się połapać, na czym polega ta cała *finamor*. – Pokonaliśmy kolejny zakręt. Starłem się nie wyglądać przez okno, wiedząc, że na dole nie

zobaczyłbym dosłownie nic. – Ale z pewnością rozumiem, że jeśli człowiek straci coś, co jest dla niego tak ważne, ma ochotę zrobić coś spektakularnego – stwierdził, wyprowadziwszy kota na prostą. – Hmm... interesuje mnie coś jeszcze – dodał po chwili wahania.

– Mów – rzuciłem, ciesząc się, że spotkałem się ze zrozumieniem, choćby nawet ze strony kogoś, kto najwyraźniej nie do końca pojmował, o czym mówię.

– Hmm... po co ktoś miałby wchodzić w wyłączny związek z dziewczyną, z którą nie ma zamiaru się żenić?

Odniosłem wrażenie, że to bardzo osobliwe pytanie, ale przyjaciel Aimerica najwyraźniej zadał je w dobrej wierze, spróbowałem więc mu to wyjaśnić. Wydusiłem z siebie sporo nie trzymających się kupy zdań o inspiracji dla twórczości, znalezieniu obiektu, któremu mogłaby służyć moja *ensein-gnamen*, pomocy w osiągnięciu słodkiego poczucia melancholii... wszystko to brzmiało głupio, nawet w moich uszach.

– To wydaje się całkiem zabawne – przyznał Bruce. – Potrafię przynajmniej zrozumieć, że spędzenie kilku lat w ten sposób może być interesujące. – Miałem wrażenie, że całkowicie zbiłem go z tropu, ale pojął chociaż tyle, że kocham tę tradycję. Raz jeszcze poczułem dla niego głęboką wdzięczność. – Hmm... ale co mają z tego dziewczyny?

Pytanie było tak zaskakujące, że bez namysłu wygarnąłem prawdę:

– Nie mam pojęcia.

Do rozmowy wtrąciła się Bieris, co mnie poirytowało, jako że miałem wrażenie, iż świetnie dogaduję się z Brucem.

– No wiesz, skupiamy na sobie uwagę i możemy czuć się dumne, bo wolno nam robić rzeczy, do marzeń o których zachęcano nas od dzieciństwa. Bardzo często w grę wchodzi także seks, a to jest fajne.

– To bardzo wyrachowane podejście – zauważył Aimeric.

Potrafił się posługiwać niedopowiedzeniem. Ja byłem taki wściekły, że miałem ochotę na nią wrzasnąć, ale czyjejs *en-tendedory* nie wolno tak traktować.

Potrząsnęła włosami i wzruszyła ramionami, gest ten z jakiegoś powodu przywiódł mi na myśl parę safistek, które kiedyś znałem. Unikałem ich, ponieważ były bardzo agresywne i często walczyły zdradziecko, a do tego z upodobaniem wdawały się w spory *zjoventami*, i to z każdego wyobraźnego powodu. Co prawda, Bieris nie ubierała się w męskie stroje, tak jak one, a nawet nie przemawiała charakterystycznym dla nich dominującym, swarliwym tonem, ale coś w jej zachowaniu przypomniało mi, jak niebezpiecznie było z nimi walczyć. Zresztą była *entendedorą* Aimerica, nie moją. Nadal czułem się poirytowany tym, że przerwała nam poważną dyskusję *ofina-mor*, ale

postanowiłem, że będę gniewał się na nią w milczeniu.

– Prawdą jest też – ciągnęła Bieris – że jeśli ktoś nie ma jakiegoś szczególnego talentu, czy nie zajmuje się pochłaniającymi większość czasu studiami, to przed dwudziestym piątym rokiem życia nie ma po prostu zbyt wiele do roboty. Można więc również powiedzieć, że *finamor* dostarcza nam rozrywki.

Bruce pokiwał głową. Zdałem sobie sprawę, że z jakiegoś powodu jej uwierzył. Będę musiał przy okazji przedstawić mu lepsze, mniej nieprzyjemne wyjaśnienie.

Kiedy tylko przyjdzie mi jakieś do głowy.

Zauważyłem, że Aimeric wcisnął się w siedzenie. Zrozumiałem, że na pewno umiera ze wstydu. Na jego miejscu czułbym się tak samo.

– Hmm, nie sądzę, żebyś znalazł u nas kogoś, kto byłby zainteresowany podobnym układem, Giraut, ale mamy tu kobiety, jeśli to stanowi dla ciebie jakieś pocieszenie – odezwał się po chwili Bruce. Chyba miał to być żart, ale nie miałem pojęcia, jak na niego zareagować, podobnie jak Aimeric i Bieris, zawisł więc w próżni. Słysząc było jedynie buczenie i wizg gąsienic oraz cichy stukot marznącego deszczu, uderzającego o szybę i dach kabiny.

Rozmowa stała się drętwa i pozbawiona życia. Wschodzący księżyc – a może było to już słońce – zaczął rozświetlać mgłę bladożółtym blaskiem, dzięki czemu mogliśmy zobaczyć mnóstwo niewielkich, zamrzniętych wodospadów oraz grubą warstwę szronu pokrywającą skały. Wskaźnik temperatury nadal nie wspinał się do punktu zamrażania wody.

– Coś tu wyraźnie nie wyszło z terraformowaniem – zauważyła Bieris. – Osiągnięcie planowanej temperatury musi się znacznie opóźnić.

Gdy pokonaliśmy kolejną górską serpentynę, Bruce i Aimeric popatrzyli na siebie, najwyraźniej próbując rozstrzygnąć, który z nich ma wyjaśnić tę sprawę. Kot ześliznął się o jakiś centymetr w stronę przepaści. Szarość w dole wydawała się teraz jaśniejsza i trochę odleglejsza. Zadałem sobie pytanie, jak długo trwałby upadek do morza przy panującej tu wyższej grawitacji?

Do mojego znękanego kaczem i brakiem snu mózgu zaczęło docierać, że w Noupeitau można znaleźć mnóstwo efektownych, tradycyjnych *donzelh*, z których żadna nie jest Garsendą, i że będę musiał spędzić na tym lodowym pustkowiu stanrok albo i dwa. Samobójstwo ma jedną istotną zaletę: bez względu na to, jak bardzo jest absurdatne i krótkowzroczne, człowiek nie musi się później gryźć własną głupotą.

Przechodząc stopniowo od tej myśli do pełnej depresji, usłyszałem nagle, że Aimeric odchrząknął.

– No wiecie, próbowałem odwieść od tego kroku was oboje – zaczął – ale skoro już tu

jesteście, może powinienem po prostu... hmm, no, jakby to powiedzieć... hmm, to znaczy...

– Ambrose, przepraszam, Aimeric ma na myśli to, że większości mieszkańców odpowiada obecny stan rzeczy – wtrącił cicho Bruce. – A tej planety nikt nie terraformował. Była taka od początku.

Nim dotarliśmy do Sodomskiej Bramy, zdążyli nam wszystko opowiedzieć.

Nansen był pod wieloma względami osobliwą planetą, największe zdziwienie budził jednak fakt, że powinien być jednym z pierwszoplanowych kandydatów do terraformowania. Jego klimat mógłby potencjalnie być znacznie lepszy niż na Wilsonie i nie odbiegać o więcej niż jeden procent od tak zwanego Standardu Tahiti.

Prosta luka prawna pozwoliła jednak obu kulturom, które się tu osiedliły, Kaledonii i Świętemu Michałowi, radować się obrzydliwą pogodą, którą wołały z przyczyn ideologicznych.

Nansen mógł uniknąć terraformowania dzięki temu, że gdy dotarły tu sondy, istniało już na nim życie. Częściowo wyjaśniał to fakt, że gdzieś około naszego stanroku tysiąc siedemset pięćdziesiątego planetoida, która stworzyła Wyłom, wybiła w skorupie Nansena wielką dziurę. Impakt i wywołany przezeń wzrost aktywności wulkanicznej zaczerniły lodowce i pola lodowe, a potężne erupcje cieplarnianych gazów ociepiły klimat jeszcze bardziej. Na dodatek wydzieliła się wielka ilość kwasu siarkowego, co z kolei spowodowało zapoczątkowanie w oceanach cyklu przemiany siarczku wapnia w siarczan wapnia, a co za tym idzie pojawienie się niezbędnych dla życia prądów morskich.

W tym właśnie punkcie zaczynała się tajemnica. Było wytłumaczalne, choć bardzo mało prawdopodobne, że Nansen sam zaczął się terraformować bez ludzkiej pomocy. Skąd jednak wzięło się życie, które kontynuowało ten proces? Egzobiolodzy spierali się o to zawzięcie, lecz doszli do bardzo niewielu konkluzji.

Gdy gwiazda Nansena, Mufrid, przeszła w fazę olbrzyma, efekt Faju-Fakutoru odarł z substancji lotnych wszystkie gazowe olbrzymy w jego układzie planetarnym, jak dzieje się to prawie zawsze w podobnych przypadkach. Pozostały tylko jądra o wymiarach zbliżonych do Ziemi, a ponieważ ekosfera gwiazd olbrzymów jest bardzo rozległa, przynajmniej jeden ze światów musiał się w niej znaleźć.

Na ogół jednak, po przejściu planety w stan ciekły, jej ponownym ostygnięciu i utworzeniu nowej atmosfery, podobne światy zamarzają, jak Wilson i Nansen, wypalają się, jak Wenus, albo też stają się pozbawionymi życia piekielkami z mnóstwem małych, słonych mórz oraz atmosferą opartą na nieorganicznym cyklu azotu i dwutlenku węgla. Istnieją krótko, najwyżej kilkaset milionów lat, za mało, by zdążyło rozwinąć się życie.

Czekają tylko biernie, aż zjawi się ktoś, kto zasieje na nich organizmy i zacznie tworzyć serię ekologii, które uczynią je zdolnymi do zamieszkania dla ludzi.

Nansen nie czekał. Gdy pod koniec dwudziestego drugiego wieku do planety dotarły pierwsze wysłane z Ziemi sondy, znalazły tam kwitnącą, mikrobiologiczną ekologię opartą na fotosyntezie. Życie pojawiło się tu bardzo niedawno bądź też było wielką rzadkością, do chwili gdy impakt stworzył dla niego szansę. Świadczył o tym kompletny brak jakichkolwiek skamieniałości. Potwierdzały to też wyniki wierceń przeprowadzonych później w ocalałych pierwotnych lodowcach.

Liczba teorii wyjaśniających pochodzenie nansenckiego życia sprowadzała się do czterech.

Po pierwsze, na zniszczonych wewnętrznych planetach Mufrida istniała cywilizacja. Garstka jej przedstawicieli dotarła do odartego z atmosfery gazowego olbrzyma, lecz próby terraformowania zawiodły i ocalało tylko trochę prostych organizmów, żyjących w oceanach, które nigdy nie zamarzyły do końca. Ich populacja eksplodowała, gdy umożliwił im to impakt. Było to jednak z oczywistych względów niemożliwe, gdyż rozszerzająca się gwiazda pochłonęła planety wewnętrzne na dwa miliony stanlat przed ulotnieniem się atmosfer gazowych olbrzymów.

W związku z tym faktem druga koncepcja głosiła, że Nan-sena skazała sonda, wysłana po cichu przez jeden z licznych, nie istniejących już ziemskich rządów. Był to nonsens, ponieważ, by doprowadzić do rezultatów zaobserwowanych przez pierwsze znane próbniki, nie mogłaby ona wystartować wiele później niż w roku tysiąc osiemset dwudziestym piątym.

Grupka odrzucających obie te teorie uczonych twierdziła, że gazowy olbrzym, którego jądro przerodziło się w Nansena, był wystarczająco ciepły, by mogło na nim powstać życie, które następnie jakimś cudem wytrzymało nagłe zniknięcie dziewięćdziesięciu procent masy planety, przeniknęło do jądra i przetrwało długie lata w zupie z płynnego żelaza, podczas gdy dawne księżycy gazowego olbrzyma, które znalazły się teraz na ekscentrycznych orbitach, co kilka stuleci uderzały w świeżo stopioną planetę.

Ponieważ to również nie było możliwe, istniała jeszcze opinia, że pozaludzka cywilizacja, na którą nigdy dotąd nie udało się nam natknąć, odkryła łatwą do terraformowania planetę, wysyłając kosztowną międzygwiazdą sondę, następnie rozpoczęła jeszcze bardziej kosztowne działania terraformujące, a potem jej przedstawiciele nie raczyli się tu wprowadzić. Być może po prostu im się odechciało.

– Każdy z tych pomysłów jest absurdalny – mówił Bruce – ale do tego wszystko się

sprowadza. Gdy przybyliśmy na Nansena, było na nim życie. – Wzruszył ramionami. – A to znaczy, że kultury, które kupiły tu ziemię, mogły się powołać na Przepisy Ochronne. Żadnego terraformowania, a tylko wprowadzenie nowych gatunków.

– I żeby lepiej zrozumieć, jaki to ponury świat – wtrącił z westchnieniem Aimeric – zajrzyjcie do historycznych dokumentów, a przekonacie się, że z łatwością mogli wykorzystać pewną prawną niezgodność. Nikt z ludzi, którzy zaplanowali i założyli Świętego Michała oraz Kaledonię, nie chciał tu żadnych zmian.

Mufrić wzeszedł już za naszymi plecami – jaskrawożółta plama w oceanie wyblakłej szarości. Zrobiło się znacznie jaśniej. Od szyby kota odbijały się brązowe kulki zamarzającego deszczu. Mój wzrok sięgał już kilkaset metrów w głąb Wyłomu. Dostrzegałem nawet, choć niewyraźnie, jego drugą stronę jako mroczny, najeżony kolcami cień. Skały zaczęły nabierać kolorów.

– Ale... może jestem tępa – odezwała się Bieris – dlaczego nie chcieli przyzwoitej pogody?

– Och, obie kultury miały różne powody – wyjaśnił Aimeric. – Święty Michał musiał być szarą, ponurą krainą, gdzie ludzie zajmują się ciężką, bezsensowną pracą fizyczną, pozwalającą im na należytą kontemplację nieodłącznego smutku i beznadziejności życia. Dzięki temu docenią wspaniałą szczodrobliwść Chrystusa, który ich od tego wszystkiego uwolni.

Bruce uniósł nagle rękę.

– Hej, spójrzcie. Bramowa Tęcza.

Wszyscy pochyliliśmy się gwałtownie do przodu, by wyrzeć przez przednią szybę. Przed nami i w górze rozpościerała się największa podwójna tęcza, jaką widziałem w życiu. W przeciwieństwie do prostych, czerwono-zielonych tęcz Wilsona docierała aż do najgłębszego fioletu.

– Jeśli chcecie wiedzieć, skąd się bierze, zapytajcie meteorologa – mówił Bruce. – To ma coś wspólnego z tym, w jaki sposób w Wyłomie tworzą się chmury. Można ją zobaczyć tylko wcześniej rano na tej wysokości, może raz na dwadzieścia Jasności.

– *Deu*, ależ to zachwycający widok – odezwała się Bieris. – Na pewno ktoś napisał o tym symfonię albo hymn. Bardzo bym chciała coś takiego usłyszeć!

Aimeric kaszlnął z zażenowaniem.

– Hmm, może któryś z hymnów przelotnie o tym wspomina.

– Nie sądzę, by na to pozwolili – zaprzeczył z westchnieniem Bruce. – Zainteresowanie powierzchownością to pierwszy z Dziewięciu Wskaźników Błędnego

Systemu Wartości, a Bramowa Tęcza to czysta powierzchowność.

Nie pytałem, kto tak uważa. Zapewne później miałem się tego dowiedzieć, czy będę chciał, czy nie.

Poza tym, lepiej było podziwiać Bramową Tęczę. Po mrocznej, brudnej, słonej burzy, która nas przywitała, i szarej, deszczowej jeździe wzdłuż nagich, skalnych ścian, ujrzałem turkusowe, skapane w pięknym bursztynowym świetle niebo, na którym widniały wspaniałe, gorejące pasy, przypominające ogromny, pełen wdzięku most rozpięty nad Sodomską Niecką.

Zjawisko trwało kilka minut. Cały czas jechaliśmy pod górę i słońce nawet ogrzało trochę kabinę. Oczy przyzwyczyły mi się już nieco do tutejszego światła i choć skalne warstwy wciąż wydawały mi się nieznośnie jaskrawe, ból, jaki sprawiał mi ich widok, miał charakter czysto estetyczny.

Gdy Bramowa Tęcza wreszcie znikła, wszyscy westchnęliśmy z żalu.

– To już niedaleko – rzucił Bruce. Ominął wylot małego rurociągu wpadającego w tym miejscu do Wyłomu.

Ostatnie piętnaście kilometrów drogi wiodącej ku Bramie biegło po nagich półkach. Niektóre z nich były naturalnego pochodzenia, inne zaś wypalono w skale. Ich szerokość wahała się od osiemdziesięciu metrów do zaledwie trzydziestu – dwukrotna szerokość kota. Słońce pokonało już jedną czwartą swej trasy po niebie, a chmury w Wyłomie opadły tak nisko, że musiałem przyciskać się do okna, żeby je zobaczyć. Naprzeciwko nas, w odległości czterech kilometrów, opadał w przepaść Czarny Wodospad Lodowy.

– Spada tylko wtedy, gdy grzeje słońce – wyjaśnił Aimeric. – I nim sięgnie morza, zamienia się w grad. Z jednej z tych wyniosłości widać po drugiej stronie dziurę, którą kulki gradowe tworzą w chmurach, a w niej zieloną wodę morską.

By chronić półki Drogi Sodomskiej zaprojektowano wielkie, kolczaste pnącza, które następnie zasadzono na ścianach klifów, dzięki czemu po naszej stronie pionowe urwiska porastał splątany las, a jego pnie – potężne jak dorosłe drzewa – tworzyły kratownicę grubości kilku metrów.

– Czy żyją tam jakieś zwierzęta? – zapytała Bieris. – Odpowiedniki małp albo wiewiórek?

– Zdziczałe kury – odparł Bruce. – Pewnie kilka zobaczymy, nim dojedziemy na miejsce. Wyposażono je w potężne mięśnie piersiowe i skrzydła jak u kondorów, a ponadto przystosowano do żywienia się porostami, których pełno jest na całej planecie. Miały stanowić żyjące na swobodzie źródło mięsa. Fakt, żrą porosty, tak jak wszystko, co wpadnie im w dzioby, najbardziej jednak smakują im szpilki tych pnączy, a wśród nich trudno jest je

dorwać.

Gdy minęliśmy zakręt, przemknęły nad nami dwie kury o odblaskowej, pomarańczowej barwie. Rozpiętość ich skrzydeł wynosiła co najmniej dwa metry.

– To one – wyjaśnił Bruce. – Chcieliśmy, żeby łatwo było je zauważyć. Ale to wcale nie ułatwia polowania. Piętnaście kilo mięsa, po opracowaniu, ale dobrać się do niego to prawdziwa sztuka. Nie mają w genach nic, co skłaniałoby je do włożenia w pułapki, a jeśli się którąś ustrzeli, na ogół wpada wprost do Wyłomu. Jedyny pożytek, jaki z nich mamy, to guano.

Gdy wreszcie wjechaliśmy na ostatnie zbocze i znaleźliśmy się na przełęczy – po obu jej stronach wznosiły się góry, wysokie na kilometr – oboje z Bieris wciągnęliśmy głośno powietrze, a oczy Aimerica zaszkliły się odrobiną łez.

Ostatni odcinek Wyłomu przechodził w siodło, które było położone między dwiema potężnymi turniami o pokrytych lodem szczytach. Przed naszym pojazdem, mknącym z furkotem po skalnej powierzchni przełęczy, rozpościerała się długa na kilometr płaszczyna nagiej skały, opadająca potem w dół. Za jej krawędzią widać było rozległą równinę o intensywnie nie-bieskozielonej barwie, urozmaiconą złotobrazowymi polami zboża i jaśniejszą, zieloną mgiełką sadów. Dalej wznosiły się wyszczerbione szczyty następnego łańcucha górskiego. Pomyślałem, że dzieli nas od niego jakieś dwieście kilometrów.

– *Anc nul vis bellazor!* – zawołałem. Po długiej podróży przez bezbarwny teren widok tych wszystkich kolorów sprawił mi wielką radość.

– *Ver, pensi tropa zenza* – dorzucił Bruce.

Oboje z Bieris zachichotaliśmy. Aimeric wybuchnął głośnym śmiechem.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że zmarnowałeś szansę szpiegowania naszych okcytańskich gości, Bruce?

– *Avez vos Occitan?* – zapytała Bieris.

– *Ja, tropa mai* – odparł z westchnieniem Bruce. – Ostatnio nie miałem okazji go ćwiczyć. Pomyślałem sobie jednak, że wypadałoby was poinformować, iż rozumiem wasz język.

– Nasza trójka poświęciła sporo czasu na naukę okcytańskiego – wyjaśnił Aimeric.

– Ta, ty, ja i Charlie. Często wprawialiśmy się w nim podczas wycieczek w te okolice.

– Prawie już o tym zapomniałem – przyznał z westchnieniem Aimeric.

Znałem go niemal cały wilsoński rok – niespełna dwanaście stanlat – gdyż nasza rodzina gościła go po jego przybyciu do Nou Occitan, i przez cały ten czas ani razu nie

słyszałem, by wspominał o kimś noszącym imię Charlie. Najwyraźniej był to jeden z ludzi, którzy zmarli w zbiorniku hibernacyjnym podczas lotu. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że wszyscy trzej byli ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni... nie byłem pewien, czy ucieszyłem się na wieść, że Aimeric potrafi tak gruntownie zapomnieć o przyjacielu.

Bruce pokiwał głową.

– Do dziś nie przestaję się dziwić, że uszło nam to na sucho.

Bieris przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

– Wycieczki są zabronione?

– Nie zabronione, ale irracjonalne. Człowiek musi potem dowieść, że nie zakłócił odnoszącego się do jego życia planu bożego – wyjaśnił Bruce, całkowicie zbijając nas z tropu.

– Co w tym irracjonalnego? – zapytałem. – Każdy, kto tu trafił, powinien zrozumieć, co was do tego skłaniało.

– Estetyka stoi poza rozumem i jest pozbawiona znaczenia – wyjaśnił Aimeric nieprzyjemnym, zimnym głosem, w którym pobrzmiwał zupełnie bezbarwny ton, przypominający jakiś osobliwy akcent. Wiedziałem, że imituje czyjś głos, choć nie miałem pojęcia czyj.

– Ponieważ nie sposób dowieść, że to jest wartościowe, musi to być kwestia indywidualnego gustu, a do takich spraw nie powinno się przywiązywać zbyt wielkiej wagi – dorzucił Bruce. – Nam jednak udało się to ominąć. Kiedy wpadliśmy na ten pomysł, poświęciliśmy prawie rok na wyrobienie w sobie fetyszu chodzenia.

Aimeric wybuchnął śmiechem.

– Łaziliśmy na piechotę wszędzie, gdzie tylko się dało, przy każdej okazji. Przekonaliśmy ich, że cała kultura mogłaby podwoić swą sumaryczną użyteczność, gdybyśmy tylko zdołali namówić ludzi, żeby więcej chodzili.

– Podczas trzech ostatnich wycieczek mówiliśmy tylko po okcytańsku – wspominał Bruce. – Ten język lepiej się nadaje do opisu piękna. Oczywiście to były długie wyprawy i trudniej nam było uzyskać pozwolenie. Żeby dojść do Sodomskiej Niecki trzeba dobrych pięciu dni albo dziesięciu Jasności. Dlatego musieliśmy z tym zaczekać. I całe szczęście, bo byliśmy chyba jedynymi ludźmi w Kaledonii, którzy kiedykolwiek obozowali pod gołym niebem, i musieliśmy wszystkiego się uczyć metodą prób i błędów. Sodomka Brama nie byłaby odpowiednim miejscem do tego rodzaju nauki. Ta przełęcz raczej nie należy do niskich.

– Jak wysoko jesteśmy? – zapytała Bieris. – Czy może raczej byliśmy? To znaczy, jak

wysoko jest ta przełęcz?

– Jakies siedem kilometrów – odparł Aimeric. – Ale temperatura i ciśnienie spadają tu znacznie wolniej niż na Wilsonie i na tej wysokości można swobodnie oddychać bez aparatu tlenowego. Jest tu niewiele zimniej niż na dole.

Zjechaliśmy już w miejsce, z którego widzieliśmy, że szlak opada serią ostrych serpentyn ku dolinie.

Wkrótce zostawiliśmy za sobą gęste pnącza osłaniające trasę i zobaczyliśmy poniżej więcej wysokiej trawy.

– To pszenica! – zawołała zdumiona Bieris.

– Ta. Praktycznie każda zaprojektowana kaledońska roślina, nawet okrywowa, nadaje się do jedzenia albo przynosi jakiś inny pożytek. Wszystko ma służyć maksymalizacji szczęścia – tłumaczył Bruce. Minęliśmy kolejny ostry zakręt i pomknęliśmy w dół skąpaną w jaskrawym blasku słońca drogą, zostawiając za sobą pióropusz pyłu. Bruce wiozł nas już prawie trzy godziny i teraz, kiedy widziałem otoczenie, jazda śmigającym po górskich drogach kotem zaczęła sprawiać mi przyjemność. – Cała ta część planety to jedno wielkie gospodarstwo rolne. Jednym z powodów, dla których nie prowadzimy zbyt ożywionego handlu ze Świętym Michałem, jest fakt, że, chcąc utrudnić sobie życie, wprowadzili tam specjalnie zaprojektowane chwasty. My też jesteśmy stuknięci, ale nie aż tak.

Gdy wjechaliśmy między wzgórza ciągnące się po wschodniej stronie Gór Optymalnych, zobaczyłem, że wszystkie drzewa zasadzono maszynowo. Rosły w długich, wyrównanych szeregach, i to, co z daleka wyglądało jak las, z bliska przypominało raczej ogród zaplanowany przez ogrodnika mającego obsesję na punkcie porządku.

– Założę się, że wszystkie są beznasienne – zauważyłem.

– Ta – przyznał Aimeric. – Dzięki temu rosną tylko tam, gdzie je zasadzono, a ponieważ dryf genetyczny jest bardzo niewielki, maszyny mogą regularnie zbierać owoce.

Zbliżyliśmy się do domu Bruce'a. Na pierwszy rzut oka wydawał się on kolejnym betonowym sześcianem... – Hej! Tu są okna!

– Ta. Musiałem trzy stanlata uskarżać się psyprogradowi na klaustrofobię, nim uznali, że to racjonalne pragnienie. Sprzyja wam szczęście, bo dowolnie odczytałem pozwolenie na budowę i w pokojach gościnnych też zamontowałem okna.

Kiedy wygramoliliśmy się z kota, było już ciepło i przyjemnie, może ze dwadzieścia stopni, wzięliśmy więc parki w ręce. W blasku jaskrawobursztynowego słońca, które opadało ku górcom na zachodzie, nasze okcytańskie ubrania wydawały się dziwnie krzykliwe i niedorzeczne, natomiast prosty kombinezon, sięgające kolan buty i koszula Bruce'a

okazały się nadszpiewanie barwne i wyraziste.

– Chodźmy coś zjeść i trochę się przespać – zaproponował nasz gospodarz. – Pewnie jesteście zmęczeni, a czeka nas Drugi Mrok, kiedy większość ludzi śpi. Macie szansę przystosować się do miejscowego harmonogramu. Wasz bagaż pewnie dostarczą nie prędzej niż za dwie Jasności, ale mam wolne pokoje, w których podczas żniw mieszkają robotnicy rolni, przygotowałem więc trzy z nich... oj, chyba że wolelibyście dwa.

Był tak zawstydzony, że gdy Aimeric mrugnął do mnie znacząco, pomyślałem, iż jest bez serca.

– Jesteś bardzo uprzejmy – powiedziałem. – *Que merce!*

Bruce zawstydził się jeszcze bardziej. Odwrócił się ode mnie i spojrzął na Aimerica, akurat na czas, by zobaczyć, że jego przyjaciel sięga do kieszeni.

– Oj – zaprotestował – miasto i gliny są daleko. Wystarczy mi, że poczujesz się zobowiązany.

Odwróciłem się na chwilę, by się rozejrzeć. Okolica, w której się znalazłem, przypominała raczej *vu* niż rzeczywistość. Poszukałem odruchowo umysłu Raimbauta, chcąc mu to pokazać, i moje serce przeszły niemal równie odruchowy ból, gdy przypomniałem sobie, że już go ze mną nie ma. Od czterech dni zdarzało mi się to raz za razem, lecz – patrząc na niezwykle kolory, surowe, splukane deszczem góry, rozległe, otwarte pola i posadzone w prostych szeregach sady – zdałem sobie sprawę, że podobne zaburzenie pamięci przytrafiło mi się po raz ostatni.

Obserwując niezwykle otoczenie, zadałem sobie pytanie, co Raimbaut pomyślałby o tym wszystkim. Ku swemu zaskoczeniu poczułem się z tego powodu inaczej, zupełnie jakby nagle rozerwała się pętla, w której byłem uwięziony od kilku dni. Nim jeszcze założyli mi jego psypyks, zawsze znałem opinię Raimbauta na temat wszystkiego, na co można było natrafić w *Quartier des Jovents*. Gdyby jednak zobaczył coś takiego... Nie miałem pojęcia, co by poczuł, pomyślał albo zawołał.

Wróciłem myślami do Garsendy i zdałem sobie sprawę, że to samo dotyczy jej. Choć w *Quartier* znałem ją znakomicie, nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak oceniałaby ten widok. Odnosiło się to również do Marcabru i Yseut, a także całej reszty moich przyjaciół. Nie wiedziałem nawet, co czuje Aimeric, po raz pierwszy od wielu lat widząc swą ojczystą planetę, którą od dawna uważał za na zawsze utraconą. Nie miałem też pojęcia, co może czuć Bieris.

A Bruce, rzecz jasna, był dla mnie zupełnie nie do odgadnięcia.

Całe życie miałem pewność, że moje myśli są identyczne z tymi, które przemknęłyby

przez głowę któregokolwiek z mych znajomych, gdyby tylko znalazł się na moim miejscu. Było tak rzeczywiście. Psypyks Raimbauta potwierdził jedynie fakt, że wszyscy, których znałem, są tacy sami jak ja.

Gdyby w owym momencie jakimś cudem otworzyły się przede mną drzwi skoczka wiodące do mojego mieszkania, w niczym nie zmieniłoby to stanu rzeczy. Nie mogłem znowu stać się tym, kim byłem przedtem, a niczego innego nie znałem. Moje myśli prześledziły w szalonym tempie wydarzenia dwóch ostatnich dni, w poszukiwaniu chwili, w której przekroczyłem granicę i rozpocząłem nowe życie...

– Hej, Giraut! – zawołał Aimeric. Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi w śluźce ciepłej domu Bruce’a. Pozostali zniknęli w środku. – Nawet nie zauważyliśmy, że nie wszedłeś z nami. Wystarczy parę godzin, a zamarznie tu na kamień. Czemu nie idziesz?

Potrząsnąłem głową, chcąc rozjaśnić umysł.

– Zamyśliłem się tylko.

Wyszedł z domu, zamykając za sobą zewnętrzne drzwi śluźki, i zbliżył się do mnie powoli i ostrożnie, jakby się bał, że mogę nagle eksplodować.

– Tego się właśnie obawiałem – stwierdził. – Dotarło do ciebie, że nie ma powrotu?

– Można by tak to ująć. – Stał przede mną. – Czułeś się tak kiedyś? – zapytałem, rozumiejąc, dlaczego do mnie przyszedł.

– W pierwszych tygodniach bardzo często, później tylko niekiedy. – Westchnął. – Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu, żeby wybić ci to z głowy. No, ale przynajmniej nie musisz tu zostać na zawsze. Za stanrok czy dwa wrócisz do domu.

– Wrócę na Wilsona – poprawiłem go odruchowo, po czym wziąłem w rękę futerał na lutnię i poszedłem za Aimerikiem do domku jego starego przyjaciela. Odwrócił się i popatrzył na mnie. Być może zastanawiał się nad jakąś ripostą, nic jednak nie powiedział.

Zamknęliśmy za sobą drzwi śluźki ciepłej, otworzyliśmy drzwi wewnętrzne i weszliśmy do środka. Dopiero gdy zasypiałem w jednym z pokoiów gościnnych Bruce’a, zdałem sobie sprawę, że sam nie wiem, co czuję.

Część druga

Poselstwo do zimnego Świata

Słońce wstało już, rozświetlając kuchnię radosnymi promieniami. Siedzieliśmy z Bieris naprzeciwko siebie, wytrzeszczając oczy, zajęci słuchaniem dwóch ludzi zdających sobie relację z wydarzeń, które rozegrały się na długo przed naszym urodzeniem. Od czasu do czasu któreś z nas wzruszało ramionami.

Fizycznie nie czułem się źle. Po raz pierwszy od dwóch stanlati nie miałem kaca, trochę się przespałem i nikt mnie nigdzie nie gonił. Niemniej jednak, stopniowo docierało do mnie, że będę musiał spędzić co najmniej dwa stanlata na nieprzyjemnym, zimnym świecie zamieszkanym przez dwie nieprzyjemne, zimne kultury.

Aimeric i Bruce bez końca opowiadali sobie o tym, kto umarł, kto się z kim ożenił i kto gdzie pracuje, a Bieris i ja musieliśmy czekać. Przynajmniej jedzenie było dobre, jeśli ktoś nie ma nic przeciwko anglosaskiej kuchni. (Głównie smażone mięso, pozbawione smaku, gotowane kluchy i gęste tłuste, słone sosy. Na ogół nie przypadło mi do gustu, ale Bruce nie przesadzał z solą i tłuszczem, a przyprawy dodawał szczodłą ręką. Ponadto kawa była ciemna i gorzka, taka jak trzeba). Ponieważ w pobliżu nie było *companho*, którzy dogadywaliby mi z powodu Garsendy, mogłem wzruszyć ramionami, zapomnieć o tej małej, niewiernej zdzirze i cieszyć się życiem. Problem w tym, czy życiem w Kaledonii można się było cieszyć.

Wreszcie udało mi się wcisnąć w przerwę w rozmowie.

– Hmm, Bruce, jestem pewien, że dysponujecie tu taką samą techniką jak my – wtrąciłem. – Powiedz mi, co właściwie robi farmer?

Westchnął.

– Zdumiałbyś się, słysząc, jak wiele dawno wymarłych zawodów nadal tu istnieje. Mój kuzyn jest kowalem, jego żona programistą, a ich syn roznosicielem mleka. Robię to samo co wszyscy w Kaledonii, oprócz nauczycieli i innych osób, których pracę musi wykonywać żywy człowiek. Komuję do centrali i sprawdzam, którego robota mam dzisiaj zastąpić. Na chwilę przed moim przybyciem robot się wyłącza i cztery godziny pracuję za niego. Założę się też, że Aimeric nie wspomniał wam, iż muszą to robić wszyscy, w tym również cudzoziemcy.

– Ale myślałam, że pracujemy dla Aimerica – sprzeciwiła się Bieris.

– Rada Ludzkości uznaje to za pracę – wyjaśnił Aimeric – ale miejscowe pieniądze

emituje kaledoński rząd, a żadnych innych tu nie honorują. Można je zdobyć, jedynie pracując cztery godziny dziennie jako zastępca robota.

– Ta – potwierdził Bruce. – Do diabła, chcieli zmusić do pracy nawet ambasadora. Aimericu, u władzy jest ta sama cholerna banda twardogłowych, z którą walczyliśmy w dawnych czasach. Nie zmienili się nawet o włos. Formalnie rzecz biorąc, Rada Ludzkości wypożycza was kaledońskiemu rządowi, a ponieważ nikomu nigdy nie płacą za pracę dla rządu, musicie odbębnić rynkową modlitwę, tak jak wszyscy.

– Rynkową modlitwę? – zapytała Bieris.

– Pracę, którą wykonuje się jako zastępca robota – wytłumaczył z westchnieniem Aimeric, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy. Spojrzał przez ramię na Bruce'a. – Jeszcze o kogoś cię nie zapytałem...

– Ta. Jest przewodniczącym Rady Racjonalizatorów.

Bruce nie wyjaśnił, o kim mowa. Popatrzyłem na Bieris, która wzruszyła ramionami.

– Bruce, co się stało? – zapytał wreszcie Aimeric.

Nasz gospodarz oparł się o blat, pocierając zgrubienie na dłoni.

– Bałem się, że o to zapytasz. Czy nie możemy po prostu powiedzieć, że ludzie utracili zainteresowanie?

– Sam w to nie wierzysz.

– Ta. Nie wierzę. Ale na pewno nie mogę mieć do was pretensji o to, że wyemigrowaliście na Wilsona. – Bruce popatrzył na niego, zaciskając mocno usta. – Mój Boże, sam ze wszystkich sił starałem się polecić. Niemniej wasz odlot poderżnął ruchowi gardło.

– Mieliśmy w Związku Liberalnym siedem tysięcy członków. Co mogła zmienić utrata dwudziestu albo trzydziestu?

– Niemal każdy z was pełnił ważną funkcję w kierownictwie. Poza Charliem w grupie było jeszcze pięciu przewodniczących regionów.

– Każdy inteligentny człowiek należał wtedy do Związku!

Aimeric wbił wzrok w ścianę, bębniąc palcami po blacie.

– Pomyśl, jak musiał na to patrzeć PPP – odparł cicho Bruce. – Nadarzyła się szansa pozbycia się sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu heretyków i wichrzycieli, sprowadzenia w zamian ludzi, którzy zajmą ważne pozycje na uniwersytecie i uniknięcia w ten sposób ryzyka, jakim byłoby wyszkolenie Kaledończyków, którzy musieliby w tym celu czytać zakazane teksty. Nie twierdzę, że którekolwiek z was postąpiło niesłusznie, emigrując, Aimericu. Mówię tylko, że z waszym odlotem straciliśmy więcej, niż nam się wówczas

zdawało. Myślę też, że pipki tego właśnie chcieli.

Aimeric kilka razy głęboko odetchnął. Wyjrzał przez okno, wpatrując się w nicłość. Wreszcie na jego ustach pojawił się słaby uśmiezek.

– Spójrz tylko na nas – powiedział. – Żywe kopie własnych ojców, pomijając fakt, że nie przepraszamy Jezusa za to, iż jesteśmy irracjonalni.

Bruce parsknął śmiechem.

– Na honor Dzikiego Chłopaka... – zaczął. Aimeric dołączył do niego i ich głosy rozbrzmiały szalonym crescendo – ...przysięgam, że nie będę przepraszał za to, że dobrze się bawię, nigdy@ nie przepuszczę okazji, żeby sobie bzyknąć, ani nie będę podobny do mojego staruszka.

– Charlie napisał to, kiedy mieliśmy trzynaście lat – wyjaśnił nam Aimeric. – Był z nas najlepszy.

– To fakt – zgodził się Bruce. Sięgnął po kom, by ustalić nasz przydział pracy. – Mamy szczęście – oznajmił. – Przynajmniej dzisiaj. Idziemy zbierać jabłka.

Podczas długiej drogi do sadów słyszeliśmy jedynie szelest liści poruszających się na słabym wietrze oraz chrzęst żwiru pod stopami. Zdumiewał mnie fakt, że po przerażającej zadymce, na którą natknęliśmy się wczoraj w Utilitopii, zaledwie trzy godziny drogi stamtąd było całkiem ciepło.

Widok otaczającej nas ruiny nappełnił mnie przerażeniem. W Nou Occitan pod otwartym niebem sadzimy tylko te rośliny, które absolutnie nie nadają się do uprawy hydroponicznej, na przykład winorośl potrzebną do produkcji wina. Resztę zajmuje głusza, parki albo miasta. Tutaj zamiast otwartych przestrzeni bądź lasów – czy co tam pojawiłoby się po porządnym terraformowaniu i zaprojektowaniu gatunków zwierząt, które wypełniłyby nowo utworzony krajobraz – były tylko brzydkie, kwadratowe pola urozmaicone kamiennymi murkami, żywopłotami oraz szeregiem rosnących wzdłuż rzeki drzew. Pejzaż był w oczywisty sposób sztuczny, a brak wszelkiego zamysłu czynił go jeszcze brzydszym. Przypominał stare, dwuwymiarowe zdjęcia Vermont czy Normandii.

– Dla kogo właściwie pracujesz, Bruce? Dla siebie? – zapytała Bieris.

Bruce wyjął z kieszeni przenośny aparat do kawy.

– Nie wiem, czy ktoś chce jeszcze filiżankę, ale pozwólcie, że coś wam pokażę – powiedział.

Zatrzymaliśmy się na poboczu, oparci plecami o wielki, rozgrzany promieniami słońca głaz. Bruce rozłożył filiżankę, ustawił na niej cylinderek aparatu i wskazał na umieszczony na jego szczycie ekran. Kiedy nacisnął START, rozległ się syk wysysającej

wodę z powietrza maszyny i po dłuższej chwili płyn pociekł z bulgotem do filiżanki.

Na ekranie rozbłysnął tekst:

ZIARNA KAWY 0,0082

WODA 0,00005

PRĄD ELEKTR. 0,00002

WYNAJ. AP. KAW. 0,000001

WYNAJ. FILIŻ. 2E-8

CHWAŁ BOGA

WZNOŚ DZIĘKI

MYŚL RACJONALNIE

BĄDŹ WOLNY

– Coś takiego można tu przeczytać wszędzie – wyjaśnił Aimeric. – Gdziekolwiek jesteście, coś od kogoś wynajmujecie i za każdym razem musicie za to płacić.

– Łącznie z rozporkiem – dodał Bruce. – Ale nie da się zaoszczędzić, szczając w gacie. Zapłaci się wtedy odszkodowanie za zniszczenie bielizny.

– Ale od kogo to wszystko kupujesz? – dopytywała się Bieris.

Bruce wklepał na klawiaturze aparatu jakiś numer. Na@ ekranie rozbłysło:

POPZ. PŁATN. W TYM SYSTEMIE:

SPÓŁKA KAWOWA „WOLNOŚĆ”

WYTWÓRNIA NAPOJÓW „BOŻA SPRAWIEDLIWOŚĆ”

KALEDOŃSKI LICENCJONOWANY MONOPOL WODNY

HURTOWNIA KAWY I HERBATY

„JEZUS-MALTHUS SP. Z O. O.”

KALEDOŃSKI LICENCJONOWANY

MONOPOL

ENERGETYCZNY

WYPOŻYCZALNIA

SPRZĘTU

GOSPODARSTWA

DOMOWEGO ROGERSA

WYPOŻYCZALNIA NACZYŃ KUCHENNYCH

„MARY CARTER I DZIECI”

CHWAŁ BOGA

WZNOŚ DZIĘKI

MYŚL RACJONALNIE

BĄDŹ WOLNY

– No dobra, ale kto jest właścicielem tych wszystkich spółek i korporacji? Muszą przecież być jacyś akcjonariusze lub coś w tym rodzaju!

Bieris wyraźnie uważała całą tę sprawę za osobistą zniewagę.

– Wszyscy jesteśmy właścicielami – wyjaśnił Aimeric. – Ale wpływy z akcji idą na ubezpieczenie na zdrowie i życie, żebyśmy nie stali się ciężarem dla społeczeństwa. To, co zostanie po naszej śmierci, przejmuje rząd, który kupuje akcje dla nowych pracowników...

– A więc wszystko się tu wynajmuje, pożyczka albo podnajmuje? – nie ustępowałem. Pytając drugi raz o to samo, czułem się jak idiota, żywiłem jednak gorącą nadzieję, że tym razem usłyszę inną odpowiedź.

– Ta. Bagaż, który przywieźliśmy ze sobą, stanowi zapewne największe nagromadzenie autentycznej prywatnej własności, jakie kiedykolwiek znalazło się na obszarze Kaledonii. To element doktryny. Tylko w ten sposób rynek może sprawić, że wszyscy zawsze będą pracować, a praca jest tym, czego wymaga od nas Bóg.

Zapadła długa cisza. Nie chodziło o to, że bałem się pracy, a przynajmniej nie sądziłem, by tak było. Wycieczki, taniec i pojedynki pozwoliły mi zachować dobrą formę. W myśli, że mam zastępować maszynę, było jednak coś, co budziło we mnie chęć dzielenia w gębę każdego, kto by to zaproponował.

– Ale dlaczego Bóg miałby chcieć czegoś takiego?! – nie wytrzymała Bieris.

Bruce wybuchnął pełnym bólu śmiechem.

– Mogę ci powiedzieć, jak sam odpowiedziałbym na to pytanie w czasach, gdy byłem kaznodzieją. On nas kocha. Praca to sposób, w jaki uczy nas myśleć i pozwala stać się rozumnymi istotami, ponieważ w społeczeństwie, którym rządzi moralność, moralnie poprawny wybór zawsze zapewnia najwyższą nagrodę.

Przez pozostałą część drogi nie mówiliśmy zbyt wiele. Zeszliśmy z traktu, skręcając w wąską ścieżkę prowadzącą do sadu. Stały tam nieruchomo cztery człekokształtne roboty, przypominające nagie manekiny. Ich beżoworóżowa powłoka@ lśniła w promieniach słońca, a pozbawione twarzy i włosów jednookie głowy były zwrócone w przód.

Bruce skoczył na stare, sękate drzewo. Po chwili był już na dole, trzymając w rękach cztery jaskrawożółte jabłka.

– Stój, złodzieju – rzucił, wręczając nam owoce. Skinął dłonią, powstrzymując nasze próby wydobycia pieniędzy. – Dobrze zrozumieliście miejscowe zwyczaje. Faktycznie byłoby uprzejmie, gdybyście mi zapłacili, ale obaj z Aimerikiem już w dzieciństwie nauczyliśmy się, że żadne jabłka nie smakują tak dobrze jak kradzione.

Aimeric pokiwał z powagą głową.

– Święta prawda.

Jabłko było chłodne i bardzo chrupiące, pełne słodkiego, lepkiego soku, który spływał mi po brodzie.

– Oj – odezwał się Bruce. – Powiniennem was ostrzec. Żeby mieć odporność na mróz, muszą być bardzo lepkie.

W rezultacie musiałem wyciągnąć z rękawa zapasową chusteczkę do nosa, by wykorzystać ją jako serwetkę. Wszyscy strasznie się upapraliliśmy.

Mimo woli poczułem się weselszy. W tak piękny dzień zbieranie jabłek wcale nie było przykrą pracą. Niebo miało zdumiewający, intensywnie błękitny odcień, jakiego nigdy dotąd nie widziałem, a w bursztynowym blasku Mufrida kolory były tak jaskrawe, że wszystko wyglądało jak obrazy namalowane przez genialne dziecko, które opanowało już sztukę kreślenia konturów, lecz nadal używało jedynie jaskrawych, podstawowych kolorów. Jaśniejsze światło pozwalało dostrzec w odległych górach zdumiewające bogactwo szczegółów. Wysoki wodospad widoczny na stoku doliny lśnił niczym rozgrzane do białości srebro.

Gdy weszliśmy na drzewa, wszystko przesłonił słodki i apetyczny zapach jabłek. Za namową Bruce'a od czasu do czasu przerywaliśmy pracę, by pożreć szczególnie dojrzały lub piękny owoc. Skórę miałem lepką od soku, a nie przyzwyczajone do wysiłku ręce były obolałe. Zaczęło mi też trochę ciec z nosa, gdyż słońce opadało już ku zachodowi i szybko robiło się zimno i mokro. Choć gardło bolało mnie lekko i od@ wieków nie czułem się tak zmęczony, to gdy rozbrzmiały dzwonki alarmowe robotów, informując nas, że maszyny zaraz wrócą do życia, było mi odrobinę żal, że to już koniec.

– Oczywiście możecie zostać u mnie jak długo zechcecie – powiedział Bruce, gdy już wracaliśmy – ale zakładam, że gdy tylko dostarczą wasze bagaże, będziecie się woleli przenieść do domków gościnnych. Droga prowadzi obok nich. Macie ochotę je obejrzeć?

Bruce zaprowadził nas do trzech pobielonych, betonowych budyneczków stojących w osłoniętym przed wiatrem gaju morelowym. Każdy z nich był pusty i świeżo wypucowany. Czekały na roboty, które miały dostarczyć nasze meble i dobytek. Przypominały tymczasowe budynki gospodarcze wznoszone na Wilsonie.

Aimeric rozejrzał się wokół.

– To twoje dzieło, Bruce? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

Jego przyjaciel zająknął się, a twarz pokrył mu rumieniec, przyznał jednak, że to prawda. Dobrze rozumiałem, dlaczego się wstydzi.

Bieris klasnęła w dłonie.

– Są cudowne! – zawołała. – Masz bardzo interesujące spojrzenie. Nigdy bym nie pomyślała, że samą geometrią można osiągnąć tak wiele.

Uznałem, że trochę przesadziła. Zwróciła się do Aimerica.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że twój przyjaciel jest tak dobrym architektem? – zapytała półzartem.

Twarz Bruce'a nabrała intensywnie czerwonego koloru, nie sądzę jednak, by był niezadowolony. Gdy zdałem sobie sprawę, że Bieris mówiła poważnie, doznałem szoku. Przyjrzałem się domkom raz jeszcze, próbując odgadnąć, co dostrzegli moi towarzysze w ich surowych, kwadratowych kształtach.

W Nou Occitan przeżywaliśmy akurat szczyt drugiego odrodzenia baroku, z jego niezliczonymi iglicami, skomplikowanymi wiszącymi strukturami i natłokiem szczegółików. Pewien krytyk nazwał ów styl „wystawnymi pajęczynami obłąkanych, romantycznych półpająków półelfów”. Proste, @ wyraziste linie zaprojektowanych przez Bruce'a budynków stanowiły dla mnie wstrząsający widok. Żaden Okcytańczyk nigdy nie wymyśliłby czegoś takiego. Nadal nie dostrzegałem tego, co wszyscy pozostali najwyraźniej widzieli, i choć pocieszyłem się myślą, że po prostu wolę to co ciepłe i ludzkie, wydawało się to słabą odpowiedzią na taniec radości Bieris, która ganiała od ściany do ściany i od okna do okna, zachwycając się grą światła na łagodnie zakrzywionych powierzchniach.

Gdy wreszcie wróciliśmy do domu Bruce'a, zaczynał się już prawie Drugi Zmierzch i zrobiło się dość zimno. Podniósłszy wzrok, zauważyłem pierwsze jasne gwiazdy lśniące w zdumiewająco błękitnej otchłani nanseńskiego nieba, poczułem czysty, kłujący w język aromat powietrza oraz chłód, z niewielkimi wyjątkami ciągnący się od granic ciepłej niecki, w której stałem, aż po grube na metr warstwy zamrożonego dwutlenku węgla, które pokrywały lód na obu biegunach. Pozostali weszli do środka, ja jednak zostałem jeszcze trochę na dworze, by popatrzeć na ostatnie różowe rozbłyski nad górami na zachodzie.

Potem nad tym samym masywem górskim, który piętrzył się na zachód od nas, naprzeciw Sodomskiej Bramy, wzeszedł nan-seński księżyc, oślepiająco jasny i wyczuwalnie ciepły. Jego okres obrotu wynosił niespełna dziesięć godzin i choć przemieszczał się po niebie powoli, można było zauważyć jego ruch. Przybywało go po drodze. Ziemia była coraz jaśniejsza, a cienie, które z każdą chwilą stawały się głębsze, pełzły po gruncie jak wsysane ku źródłu. Podobno w ciągu kilku najbliższych tysięcy lat trzeba będzie odsunąć satelitę od planety. Jeśli ktoś przyjrzał się uważnie, na jego ciemnej części mógł zauważyć słabą iskierkę – olbrzymi, sztuczny wulkan, który był źródłem potrzebnego impulsu. Nasunęło mi to

cudowny pomysł na pieśń, wszedłem więc do środka, by nad nią popracować.

Gdy tak sobie siedziałem, brzdąkając na lutni, zakomowali do nas z Rady Racjonalizatorów. Mieliśmy spotkać się z jej członkami za trzy dni, celem omówienia tego, w czym możemy im pomóc. Mieliśmy też przy tej okazji zgłosić się do Biura Przydziału Pracy w Utilitopii, by wybrać sobie jakieś stałe@ zajęcie. Do tej pory mogliśmy pracować dla Bruce'a jako robotnicy rolni.

Przespaliśmy część Pierwszego Mroku – większość ludzi uciniała sobie wówczas dwu – albo trzygodzinną drzemkę, a potem spała przez cały Drugi Mrok – po czym zjedliśmy obfity obiad. Została jeszcze chwila do kolejnej Jasności i było zbyt zimno, bym mógł się wybrać na spacer – na co czekałem z niecierpliwością – spędziłem więc dłuższy czas przy czytniku, chcąc się przekonać, co się tu robi dla rozrywki. Początkowo szukałem recenzji, gdy jednak nie znalazłem żadnych, zacząłem przeglądać numery komowe.

Odkryłem garstkę instruktorów muzyki, lecz ani jednego muzyka. Nie było galerii malarstwa ani teatrów. Odzyskałem na chwilę nadzieję, gdy natrafiłem na kategorię „instruktorzy literatury”, wyglądało jednak na to, że uczą oni wyłącznie studentów college'ów. Faktycznie, po nich znalazłem „instruktorów matematyki”.

Wydawało się, że nie urządzi się tu żadnych zawodów sportowych, a w całym ogromnym mieście było mniej kawiarni, tawern i restauracji niż w moim rodzinnym miasteczku Eli-norien. Nie było szkół sztuki walki, w otaczających uniwersytet studenckich dzielnicach nie brakowało jednak „Wyp-rzecz wyg-przym-mod-wyp dla-stud-przym-mod-wyg”. Z początku sądziłem, że mogą być to miejscowe odpowiedniki knajp, ponieważ skrót „OWD” niczego mi nie wyjaśniał, a nie umiałem czytać po rozumnemu. Kiedy sprawdziłem, okazało się, że są to wielkie sale nauki.

Potrafiłbym wymienić dwudziestu zawodowych poetów mieszkających w samym Elinorien, a potrzebowałbym długiego czasu, żeby wyliczyć wszystkich ludzi utrzymujących się z grania i śpiewania na terenie kilku otaczających moje mieszkanie kwartałów *Quartier des Jovents* w Noupeitau. Zawsze uważałem, że problemy zrodzone przez pełną robotyzację gospodarki wszędzie rozwiązuje się tak samo jak w Nou Occi-tan – dając każdemu jakieś interesujące zajęcie. Tu najwyraźniej zastosowano inną strategię. Lista zawierała ponad sto siedemdziesiąt tysięcy pozycji pod hasłem „praca fizyczna”.

Niemal wszyscy z wymienionych byli przedsiębiorcami, którzy wynajmowali innych, by ci pracowali za nich.

Przyszło mi do głowy, iż opuściłem Wilsona tak nagle, że nawet nie zdążyłem powiedzieć Marcabru, co się stało ani dokąd się wybieram. Skrobnąłem do niego krótki liścik,

w którym podkreśliłem romantyczne cechy skoku na inny świat. Dodałem też akapit opisujący Kaledonię jako „kulturę pozbawioną kultury”.

Całe popołudnie Drugiej Jasności wałęsałem się z lutnią w rękę, ukradłem jeszcze parę jabłek i starałem się przywyknąć do prostokątnej scenerii. Gdy słońce zachodziło naprzeciwko Gór Optymalnych – dowiedziałem się, że dalej położony łańcuch nie ma nazwy, ponieważ nikt nigdy go nie odwiedza, ale miejscowi żartownisie nazwali go „Górami Pesymalnymi” – miałem już ułożone początki kilku pieśni, a nawet zacząłem się przyzwyczajać do wyglądu okolicy. Jeszcze z dziesięć stanlat, a uwierzę, że istnieje różnica między „atrakcyjną” a „nieatrakcyjną” formą uprawy ziemi. Musiałem przyznać, że niektóre z murków i wijących się strumieni cechują się swego rodzaju prymitywnym urokiem. Kiedy wróciłem do domu, by spożyć wieczorny posiłek i wypocząć, szybko nadciągał już Drugi Mrok. Spałem zaskakująco dobrze. Kiedy się obudziłem, poczułem się winny, gdyż ani razu nie pomyślałem o Garsendzie.

Następnego dnia wylosowaliśmy nowe przydziały pracy. Aimeric i Bruce znowu mieli zbierać jabłka, Bieris zaś wsiąść na elektryczny wózek, by rozwozić po okolicy uzupełniającą paszę dla należących do Bruce'a stad miejscowych owcokóz.

A ja miałem posprzątać w jego oborze.

Ten wredny syntelekt zauważył radosnym tonem, że owo zadanie wymaga około dwunastu godzin pracy, będę więc mógł mu poświęcić wszystkie trzy pozostałe mi zmiany.

Po pierwszych czterech godzinach, które spędziłem jako źródło napędu łopaty, cały byłem sztywny i jęczałem z bólu. Na domiar złego, choć do tej pory właściwie tego nie zauważałem, grawitacja jest tu o trochę ponad osiem procent większa niż na Wilsonie i dlatego teraz – gdy każda trzykilowa zawartość łopaty ważyła ćwierć kilo więcej, a każda trzydziestokilogramowa taczka trzydzieści dwa i cztery dziesiąte kilograma – pod koniec zmiany odczuwałem każdy dodatkowy gram. Potrzebowałem też kilku godzin, by przyzwyczać się do nowych relacji między bezwładnością a ciężarem. Przez pierwszą godzinę ciskałem niechcący gnój na ścianę, tak że spryskiwał mi ubranie, przez drugą zaś wysypywałem go za blisko i w efekcie spadał mi na buty.

Napisałem jeszcze dwa listy do Marcabru. W pierwszym opisywałem niedorzeczne wskrzeszenie archaicznego zwyczaju przymusowej pracy, w drugim zaś wspominałem o odkrytym przez siebie fakcie, iż w ciągu ostatnich pięćdziesięciu@ lat osiemnaście milionów mieszkańców Kaledonii stworzyło łącznie dziewiętnaście powieści, około tysiąca świeckich utworów muzycznych (z jakiegoś nie znanego mi powodu wyłącznie instrumentalne sola) oraz dwieście sześćdziesiąt dwa zaprojektowane przez ludzkich architektów budynki użyteczności publicznej. Autorem trzynastu z tych projektów był Bruce. Obejrzałem fotografie ich wszystkich i byłem zmuszony uznać, że w owej kulturze faktycznie nie narodził się dotąd nikt, kto bardziej od niego zasługiwałby na miano architekta. Na koniec napisałem:

Nadzieję napawa mnie jednak fakt, że w tym samym okresie powstało tu około siedemdziesięciu ośmiu milionów kazań i stu tysięcy hymnów. Marcabru, kiedy wrócę – jeśli szczęście będzie nam bardzo sprzyjało, może będzie to ostatni miesiąc panowania Yseut – poczuję się dozgonnie zobowiązany, jeśli będziesz laził za mną przez trzy dni, powtarzając bez

końca: „A teraz nie rób już nic głupiego”. Zakładając, że będę jeszcze w stanie chodzić po spędzeniu tak długiego czasu na wyrzucaniu gnoju. Sądząc po tym, jak bolą mnie ramiona, byłby ze mnie idealny Rigoletto. Bruce zapewnia, że to wkrótce minie.

Bruce okazał się kłamcą. Gdy po dwóch dniach wyruszyliśmy do Utilitopii, sztywność wcale nie ustąpiła. Być może w charakterze pokuty zaproponował, że nauczy mnie prowadzić kota. Skwapliwie skorzystałem z tej oferty. Teraz jednak, gdy zasiedliśmy za przyrządami sterowniczymi, zaczął przejawiać wątpliwości.

– Te łódki są skomplikowane i trudno sobie z nimi poradzić – powiedział. – Jesteś pewien, że chcesz się tego nauczyć?

– Wszystko jest lepsze od przrzucania gnoju.

– Ha – odezwał się Aimeric, zasiadając wygodnie na tylnym siedzeniu. – Pracujesz dla zatrudnianego przez rząd ekonomisty jako asystent do spraw administracyjnych. Dopiero zaczniesz przrzucać gnój.

– Każdy, kto nie dostrzega różnicy między sensem dosłownym a przenośnią, nigdy nie zetknął się z tym pierwszym.

Na polecenie Bruce'a pociągnąłem dźwignię podnoszenia. Gdy magnetyczne podnośniki wysunęły gąsienice, kot uniósł się o kilka centymetrów.

– Ależ zetknąłem się. Jako nastolatek robiłem to cały czas na parceli żywnościowej w Utilitopii. Ojciec uważał, że pomoże mi to w karierze politycznej, którą dla mnie zaplanował. Naprawdę brudna praca zapewnia pewien prestiż. Boże, jak ja go wtedy nienawidziłem.

– Czy on nadal, hmm... – zaczęła Bieris.

– Ta. Jest nawet przewodniczącym Rady Racjonalizatorów – wyjaśnił Aimeric. – To mniej więcej to samo co u nas premier.

Bruce skończył sprawdzanie systemu.

– Rozmawiałeś z nim wczoraj, Aimericu? – zapytał, gdy przez umieszczony przed nim holograficzny sześcian przetoczyła się ostatnia fala zieleni.

– Wie, gdzie jestem. I kim jestem. Może zakomować do mnie, jeśli tylko zechce.

Bruce zachowywał się tak, jakby nie usłyszał tej wymijającej odpowiedzi. Zwrócił się w moją stronę.

– Pamiętaj tylko, prawa noga na gazie, a lewa na hamulcu, prawy dźwignik sterowy skręca prawe gąsienice, a lewy lewe. Przycisk na szczycie lewego dźwignika powoduje zbieżność gąsienic, a na szczycie prawego zbieżność przesuniętą o pół stopnia. Naciśnij dwa

razy gaz, żeby określić izoprędkość, a potem trzy razy, żeby określić izoładunek. Następnie zdejmij nogę z gazu aż do chwili, gdy będziesz musiał przejść na sterowanie ręczne albo ponownie nastawić przyrządy. Żeby odzyskać kontrolę, wystarczy dotknąć nogą pedału. I nie przejmuj się! Masz dwadzieścia pięć kilometrów, nim natkniesz się na coś na tyle przypominającego drogę, by można było z tego zjechać czy spaść. Na płaskim terenie gaśienice muszą być ustawione równolegle, do jazdy pod górę zbieżnie, a przy zjeździe w dół, albo jeśli zechcesz się bardzo szybko zatrzymać, rozbieżnie.

Ruszyłem z gwałtownym szarpnięciem, nikt jednak tego nie skomentował. Pomyślałem, że może Aimeric opowie coś więcej o swoim ojcu, zachował jednak milczenie, a przy szybkości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i tak miałem wystarczająco wiele roboty z wykonywaniem poleceń Bruce'a. Nim zdążyłem się w tym wszystkim połapać, pokonaliśmy już połowę dystansu dzielącego nas od Sodomskiej Bramy. Krajobraz był tak spektakularny, że rozmowa ograniczała się do okrzyków zachwytu. Ja jednak podczas jazdy widziałem właściwie tylko drogę. Pół godziny później minęliśmy Bramę i ruszyliśmy w głąb Wyłomu, krętą drogą do Utilitopii.

Rada Racjonalizatorów zbierała się w niewielkim pomieszczeniu, w którym nie było żadnych okien ani dekoracji. Na przedniej ścianie umieszczono wielki, interaktywny ekran, a przy każdym z około pięćdziesięciu siedzeń mały terminal. Miałem wrażenie, że moje krzesło celowo uczyniono trochę niewygodnym, gdyż albo oparcie uciskało mi plecy, albo siedzenie wpijało się irytująco w uda. Wyblakłe kolory sugerowały, że salkę powinien wypełniać paskudny, kwaśny zapach, czułem jednak tylko słabą, sterylną woń mydła, środka dezynfekującego i twardych, zimnych powierzchni.

Zaczęli od modlitwy, która brzmiała jak kontrakt. „Ojczy Nasz, przyznając, że rozsądne jest, by... jako istoty obdarzone zdolnością racjonalnego myślenia... zakładając, że... ze wspomnianego fragmentu Twego Prawa wynika, iż...” i tak dalej, aż do „albowiem udowodniono, że żadna istota w dostępnym zmysłom królestwie nie jest, nie może być, ani nigdy nie mogła być pod żadnym względem większa od Ciebie”.

Następnie załatwili codzienne sprawy: ratyfikowali całe mnóstwo zmian cen (najwyraźniej tutejszy „rynek” nie miał nic wspólnego z „siłami rynku”) i przyjęli nie mającą końca serię raportów, które chyba miały stwierdzać, że udało im się zredukować niemoralność do minimalnego osiągalnego poziomu.

Wreszcie przeszli do nowych zadań, to znaczy do nas. Czuli się wyraźnie skrzepowani faktem, że Aimeric nalegał, by zwracając się do niego, używali jego okcytańskiego nazwiska,

obejrzeni jednak uprzejmie wykresy, które na jego rozkaz zatańczyły dla nich na ekranie. Zamarłem w pozycji, w której krzesło niszczyło mi powoli kość ogonową, a uda marszczyły się stopniowo, lecz oba te procesy nie przebiegały zbyt szybko.

Potem nastąpiła trzygodzinna debata. Choć nie rozumiałem jej ani w ząb, musiałem sprawiać wrażenie, że słucham z wielkim zainteresowaniem. Po długich sporach, w których chodziło chyba o to, czy zasady mają mieć pierwszeństwo nad praktyką czy też na odwrót, doszli do wniosku, że nie można wykluczyć, iż rynek, który mają tu teraz, może nie przystosować się samoistnie do zmienionych warunków i mianowali Aimerica, Bieris i mnie doradcami Pastor Funkcji Rynkowych. Ponieważ stanowisko to piastowała niepozorna kobieta nazwiskiem Clarity Peterborough, z pewnością miało ono czysto ceremonialny charakter. Oznajmiono nam, że naszym zadaniem będzie pomóc jej w przygotowaniu projektu uporania się z przewidywanymi zmianami.

Po zakończeniu zebrania przewodniczący Carruthers obwieścił, że chce pomówić z nami oraz z Pastor Funkcji Rynkowych, zostaliśmy więc w salce. Nikt nie raczył porozmawiać z nami przed wyjściem, nie odzywali się też jednak do siebie; po prostu wstali i wyszli, odmówiwszy najpierw końcową modlitwę, nie poczułem się więc szczególnie urażony.

– Cieszę się, że znajduję cię w tak dobrym zdrowiu, sir – powiedział Aimeric do ojca, gdy wszyscy opuścili już salę. – Mam nadzieję, że nasza współpraca okaże się obopólnie korzystna.

Stary Carruthers uniósł gwałtownie głowę.

– Doceniam twą uprzejmość. Przed nami wiele spraw do załatwienia. Czy znalazłeś satysfakcję w swym nowym życiu?

– Można by tak powiedzieć – odparł Aimeric tonem tak bezbarwnym, jakby ćwiczył go przez lata.

Carruthers nawet na niego nie spojrział.

– Z pewnością więc zdecydowałeś się na emigrację na podstawie poprawnej, racjonalnej analizy nieuchwytnych czynników wpływających na sytuację. Gratuluję ci.

– Jestem z tego powodu bardzo wdzięczny.

Czułem się tak, jakbym obserwował dwoje ludzi kochających się za pośrednictwem semafora.

Obaj pokłonili się, bardzo głęboko i uprzejmie. Na twarzy Aimerica pojawił się błędnutki uśmiech. A może było to tylko napięcie.

Wtem, jakby nic się nie wydarzyło – i nadal nawet nie dotknąwszy syna, którego nie

widział od ćwierćwiecza – stary przewodniczący przystąpił do rzeczy.

– Siadajcie, proszę. To głupie spotkanie już się skończyło i możemy dać sobie spokój z ceremoniami. Aimericu... dobrze to wypowiadam? Akcent na pierwszą sylabę? Świetnie... mam wrażenie, że znasz wysoce wielbłą Clarity Peterborough.

Wszyscy się pokłoniliśmy, gdyż wyglądało na to, że takie panują tu zwyczaje. Tytuł „wysoce wielbna” brzmiał poważnie. Jednocześnie przez głowę przemknęła mi myśl, że Rada Racjonalizatorów składa się w połowie z kobiet. Z początku sądziłem nawet, że jej członkowie na spotkanie przybyli z żonami, wszystkie jednak brały udział w głosowaniach. Nadal byłem wstrząśnięty, widząc kobietę pełniącą funkcję, do której nie zniżyłaby się żadna Okcytanka, najwyraźniej jednak musiałem przywyknąć do miejscowych zwyczajów, próbowałem więc spoglądać na nią ze spokojnym obiektywizmem.

Clarity Peterborough była szczupła i niska, mogła mieć ze czterdzieści lat i nieustannie mrugała, jakby oczy miała wrażliwe na światło. Jak większość bardziej religijnych Ka-ledończyków włosy strzygła krótko, lecz nie obcinała ich już od dosyć dawna, a nadal nie były wystarczająco długie, by mogła je przyczesać. Fałdy jej spódnicy i kombinezonu w paru miejscach wydymały się lekko, a w innych opadały, tworząc dziwne zmarszczki, zupełnie jakby ubrania nie całkiem na nią pasowały albo jakby zakładała je więcej razy, niż mogły to znieść.

Popatrzyła kolejno na każde z nas, jakby próbowała zapamiętać nasze twarze i nazwiska. Wyglądała jak kolekcjoner motyli, studiujący rzadkie, bardzo cenne okazy.

– Ojej – powiedziała. – Jesteście tacy kolorowi. Ludzie zachwycają się waszym widokiem.

Zaczerwieniliśmy się wszyscy. Bieris jej podziękowała.

Chyba zauważyłem, że stary Carruthers uniósł brwi w wyrazie rozbawienia, nie znałem go jednak jeszcze na tyle dobrze, bym mógł mieć pewność. Czy Kaledończycy cały swój czas poświęcali na próby odgadnięcia uczuć?

– Upewnijmy się, czy poprawnie wymawiam wasze imiona – zaproponował przewodniczący. – Bieris i Grott? Całkiem nieźle.

– Giraut – poprawiłem go. – Krótkie *i* między *g* i *r*, dyftong *au* jak w niemieckim z wieku przemysłowego albo klasycznej łacinie.

Skinął głową.

– Giraut – powtórzył bezbłędnie. – Mam nadzieję, że wybaczysz mi zły akcent. Czytam w kilku językach, ale mówić tak, by uniknąć ośmieszenia, potrafię tylko po terstadzku i po rozumnemu.

Służący przyniósł wielkie kufle gorącej, lekko słonej wody. W każdym z nich pływał plasterek cytruli. Bruce i Aimeric udzielili nam niezbędnych wskazówek i wiedzieliśmy, że musimy poczekać, aż Carruthers zacznie pić, a potem wychylimy zawartość kufli razem z nim, trzema potężnymi łykami, między którymi odmawia się modlitwy. Gdy się tego nauczyliśmy, cały rytuał wydawał się nam głupi, choć nie głupszy od wielu innych, teraz jednak zauważyłem, że ciepła woda dobrze wpływa na gardło i znacznie łagodzi ziąb. Zastanawiałem się, jak w tej kulturze mogło zachować się coś równie przyjemnego.

– Pozwólcie, że zacznę od sformułowania problemu, żebyście mogli się upewnić, czy dobrze go zrozumiałem – odezwał się Carruthers z lekkim westchnieniem. – Sądzę, że dzięki wieloletnim doświadczeniom w matematycznej analizie, zarówno poprawnej polityki, jak i poprawnej teologii, posiadam wyjątkowo rozsądny i logiczny pogląd na tę sprawę. Nawet jeśli nie potraficie od razu zaakceptować toku mojego rozumowania, mam nadzieję, że uznacie, iż moje odczucia są uzasadnione.

Nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy chce nas obrazić, czy też przyznać się do jakiejś słabości.

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas naprawdę pragnął wynalezienia skoczków – kontynuował. – Dzięki izolacji od reszty Tysiąca Kultur, mieliśmy kilka stuleci na stworzenie w pełni rozumnego świata. Dzieło nie jest jednak ukończone. Mam wrażenie, że połączenie może jedynie opóźnić rozwój racjonalnego chrześcijaństwa. Uznaliśmy jednak, że skoro jest ono prędzej czy później nieuniknione, przeciąganie sprawy może co najwyżej pogorszyć sytuację. Dlatego postanowiliśmy zrobić to natychmiast. Mógłbym też dodać, że wielu wpływowych obywateli i tak sprzeciwiało się tej decyzji.

Poruszyłem się niespokojnie na krzesło – to cholera znowu zaczęło mnie uwierać – i zauważyłem, że pozostali, nawet Carruthers, zrobili to samo.

– Odnoszę wrażenie – ciągnął przewodniczący – że w pierwszej kolejności muszę się zająć tą tak zwaną pomocą w przetrwaniu okresu przejściowego, której postanowiła nam udzielić Rada Ludzkości. Możecie zaproponować jakieś rozwiązanie albo kurs polityki wewnętrznej, którego nie zechcemy zaakceptować. Czy wolno nam powiedzieć „nie”?

Aimeric zastanawiał się chwilę w milczeniu.

– Moim zadaniem jest jedynie służyć radą i fachową pomocą w uporaniu się z gwałtownymi wstrząsami, które czekają waszą gospodarkę – powiedział wreszcie. – Radzie Ludzkości bardzo zależy na tym, by reintegracja Tysiąca Kultur przebiegała gładko, i dlatego chce zminimalizować społeczne dolegliwości.

– To znaczy, że jej członkowie w ogóle nie studiowali naszej kultury – odparł

Carruthers, przyciskając palce do siwobiałych skroni. – Gdyby to zrobili, z pewnością wiedzieliby, że ekonomiczny chaos nie jest tu możliwy.

Aimeric wyświetlił na wielkim ekranie trzy wykresy.

– W pewnym sensie masz rację. Wstrząsy będą zresztą tylko przejściowe i bez względu na to, co zrobicie, nawet jeśli dręczy was przewrotna tęsknota za katastrofą i spróbujecie celowo ją wywołać, za sześć czy siedem lat wszystko wróci do normy. Dlatego mówię tylko o złagodzeniu siły ciosu.

– Nie rozumiem, dlaczego w pełni racjonalny rynek w ogóle miałby odczuć ten cios.

– Nie dysponuję jeszcze wszystkimi danymi dotyczącymi Kaledonii. Za parę dni będę w stanie powiedzieć więcej. Historyczne doświadczenie mówi, że dochodzi do tego wszędzie. Za trzydzieści dni na terenie ambasady zacznie działać Bazar. W istocie stanowi on połączenie olbrzymich targów handlowych z katalogiem. Każda kultura, która zbudowała już skoczka, przysyła swych przedstawicieli i towary. Nie będziecie mieli wyboru. To nie kontrolowany wolny handel, zarówno jeśli chodzi o ceny, jak i o ilość.

– Rozumiem, że mogło to zaszkodzić innym kulturom, ale przy naszym całkowicie racjonalnym...

Aimeric mówił spokojnie dalej, jakby tłumaczył rzecz czterolatki:

– Zaczekaj. Ceny są nie kontrolowane i ludzie też. Nie będziecie mogli zamrozić nikomu konta ani nawet ograniczyć dostępu, czy wprowadzić innych zarządzeń, które spowodowałyby, że obywatele „racjonalnie” chcieliby kupować to, czego waszym zdaniem powinni pożądać. Mogą wypłacić wszystko z konta, nabyć, co tylko zapragną, i mieć to na własność, zamiast wynajmować.

Jego ojciec podniósł się bardzo powoli, jakby ugryzło go coś ukrytego pod stołem i krwawił z rany w nodze. Pochylił się i wsparł ręce na blacie. Nagle wydał się starszy.

– A więc za trzydzieści dni całkowicie utracimy niezależność gospodarczą?

– Zostanie wam bardzo wiele władzy. Będziecie mogli regulować emisję waluty i działalność banków, powiększać albo zmniejszać budżet, podnosić lub obniżać podatki. Wszystko to, a także ustalać ceny i liczbę towarów oraz usług dostępnych na rynku miejscowym. Nie wolno wam tylko zakazywać handlu międzygwiazdowego, opodatkowywać go, ustalać cen ani tknąć żadnego uzyskanego tą drogą towaru. Zachowacie kontrolę nad znaczną częścią gospodarki. Nie będziecie tylko mogli zabronić ludziom wychodzenia poza jej granice.

Dłonie Carruthersa splotły się ze sobą niczym walczące zwierzęta.

– Nadal nie... ale mniejsza z tym. To i tak nie będzie dla nas żaden problem.

Najwyżej próba wiary, a tych nigdy nie brakuje. Musimy ufać, że dzięki stuleciom uprawiania się w racjonalności Kaledończycy będą pragnęli jedynie tych towarów, które naprawdę ich uszczęśliwią.

Aimeric potrząsnął głową jak ogłuszony byk.

– Chcę powiedzieć, że ludzie nie będą chcieli kupować tego, czego waszym zdaniem powinni chcieć. Szczególnie zaskoczy was fascynacja posiadaniem przedmiotów na własność.

– Westchnął. – Ale o tym wszystkim można zapomnieć, przynajmniej na razie, ponieważ nawet gdyby wszyscy kupowali dokładnie to, czego, jak sądzicie, powinni pragnąć, i tak nie uniknęlibyście kłopotów.

Carruthersowi najwyraźniej również trudno było nad sobą zapanować. Wstał i zaczął spacerować po sali. Peterborough wyglądała na bardzo zaniepokojoną. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz przewodniczący wreszcie się odezwał:

– Chyba to również będziesz musiał mi wyjaśnić. Słucham.

– Doceniam ten fakt. – Aimeric odchylił się z krzesłem do tyłu. – Spróbuję znaleźć najlepszy sposób wyjaśnienia tego problemu. No dobra. Jeśli ludzie zachowają się racjonalnie, kupią to, co jest tańsze, zamiast wynajmować kaledoński odpowiednik. Przyznajesz, że mam rację?

– Nie musisz robić wykładów własnemu ojcu. Uczyłem cię rozumnego.

– Wiem. Pamiętam. Przepraszam, jeśli cię uraziłem, sir.

– Przyjmuję przeprosiny. Mów dalej, proszę.

– Dobrze. No więc towary, które zostaną zastąpione przez dobra pochodzące z importu, w wielu przypadkach już wyprodukowano, w innych zaś zlecono ich produkcję. Powstanie poważna nadwyżka, której trzeba będzie zaradzić przez obniżenie produkcji i cen, ale niższe ceny po jednej stronie systemu oznaczają niższe płace po drugiej, a spadek produkcji to mniej godzin pracy. Wszyscy będą mieli mniej pieniędzy i rynek się skurczy. Rzecz jasna, ludzie będą oszczędzać na mniej atrakcyjnych towarach produkcji rodzimej. Import cały czas będzie powodował wyciek pieniędzy, co doprowadzi do podwyższenia stóp procentowych i co za tym idzie podniesienia kosztów produkcji. W ten sposób produkcja towarów będzie coraz kosztowniejsza, a ich sprzedaż i ceny wciąż będą spadały. Cała gospodarka pomknie po spirali w dół. Na ogół zjawisko to nazywa się kryzysem połączeniowym.

Peterborough pokiwała energicznie głową.

– To brzmi bardzo logicznie, nawet jeśli nic podobnego nie wydarzyło się od jakichś pięćset lat. Jak mamy wyjść z tego kryzysu? Czy minie sam, jak w klasycznym modelu

wolnorynkowym?

– Zgadza się. Gdy ceny spadną już tak nisko, niektóre z waszych towarów staną się nagle najtańsze w całym Tysiącu Kultur. Na dodatek stopy procentowe będą najwyższe. Zaczną do was napływać pieniądze. W efekcie dojdzie do gwałtownego wzrostu gospodarczego i galopującej inflacji. System może przejść przez cały ten cykl jeszcze raz albo dwa, ale „hamowanie” jest bardzo silne. Każdy kolejny okres wzrostu i kryzys będą nadawały waszej gospodarce charakter lepiej przystosowany do makroekonomii Tysiąca Kultur. Dlatego po jakichś sześciu, siedmiu latach cały system ustabilizuje się na wyższym poziomie produkcji. Mówiąc krótko, Bazar zostanie otwarty i za kilka tygodni zacznie się kryzys połączeniowy, który potrwa dwa lata, może trochę dłużej, a potem nastąpi połączeniowa prosperity i przez kilka lat z rzędu będziecie mieli gwałtowną inflację. Nim wszystko się uspokoi, czeka was wiele wstrząsów. Jeśli zastosujemy właściwe środki, możemy mieć pewność, że wszyscy zacisną tylko trochę pasa i jakoś to przetrzymają. Z drugiej strony, jeśli pozwolimy wydarzeniom wymknąć się spod kontroli, garstka ludzi bardzo się wzbogaci, a wielu czeka ruina, co oznacza powszechną zazdrość, niezadowolenie i gniew.

Aimeric zakończył bardzo głośną, stanowczą nutą. Wbił wzrok w ojca. Stary odwzajemnił jego spojrzenie.

– Potrafisz tego dowieść? – zapytał cicho po dłuższej chwili.

– Ta, war-przedm cał-dod przed-mod-cał – odparł Aimeric. Nigdy nie nauczyłem się zbyt dobrze rozumnego, ale przybliżone tłumaczenie brzmiałoby: „Jasne, do cholery”. Wówczas pomyślałem tylko, że u mojego przyjaciela ujawniła się nagle jakaś tajemnicza wada wymowy. Moje uszy nie nauczyły się jeszcze tolerować podobnych serii zakończonych spółgłoskami monosylab.

– To znaczy – powiedział bardzo powoli Carruthers – że cele Rady Ludzkości są przynajmniej częściowo racjonalne, w formalnym sensie tego słowa. Musimy też przyjąć możliwość, że Rada naprawdę jest w stanie nam pomóc. W tej sytuacji rozsądnie będzie natychmiast rozpocząć przygotowania. Pozwól mi dodać, że z niecierpliwością czekam na twój raport. – Przeciągnął się i ziewnął. – Sądzę też, że to całkowicie racjonalne, ale wolałbym, żeby funkcję przewodniczącego pełnił w podobnych czasach ktoś inny. Rozsądne jest również, że człowiek w moim wieku potrzebuje pierwszomrokowej drzemki. Aimeric uśmiechnął się lekko na te słowa.

– Sir, jeśli spotkanie jest już oficjalnie zakończone, czy mogę zapytać, kiedy wygraleś rozstrzygnięcie? Przynajmniej, że tego nie sprawdzałem.

Stary Carruthers skinął głową.

– To absolutnie poprawne. Postąpiłbym irracjonalnie, gdybym poczuł się urażony faktem, że nie sprawdziłeś informacji, która nie była ci potrzebna.

– Tato – sprzeciwił się Aimeric – wspominając o tym, zachowałem się bezmyślnie. Okazałem brak kultury i dobrego wychowania. By to sprawdzić, wystarczyłoby mi sekunda, a interesując się twymi sprawami, mógłbym dać ci odrobinę satysfakcji. Przyjmij, proszę, moje przeprosiny, a potem opowiedz mi, jak wygrałeś rozstrzygnięcie!

Carruthers, nie okazując żadnych emocji, wpatrywał się bardzo spokojnie w twarz Aimerica, tak długo, że każdy normalny człowiek oderwałby od niego spojrzenie, rozgniewany i zawstydzony. Jego syn odwrócił wreszcie wzrok.

– Przypuszczam, że zgodnie z wyznawanymi przez siebie zasadami powinienem przyjąć te przeprosiny – powiedział wreszcie przewodniczący. – Mnie nie będzie to nic kosztowało, a tobie może przynieść jakąś korzyść. Wszelka satysfakcja, jakiej mogłoby mi to przysporzyć, byłaby jednak irracjonalna. Podobne przyjemności kuszą do zejścia ze ścieżki racjonalnego chrześcijaństwa.

Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej.

– Mimo to przyjmuję przeprosiny – odezwał się w końcu stary, głosem tak cichym, że ledwie go dosłyszałem.

– Dziękuję – odparł Aimeric.

Jego ojciec ruszył ku drzwiom.

– Obawiam się, że nie jestem przyzwyczajony do podobnych demonstracji uczuć. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, ale naprawdę przyda mi się ta drzemka.

Wyszedł, nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.

– Niesamowite – stwierdziła wielebna Peterborough. – Nigdy go takim nie widziałam, a przyjaźnimy się już od wielu lat. – Wstała. – Podejrzewam, że resztę dzisiejszego dnia poświęćcie na wybieranie pracy w mieście. Uzgodnijmy plany przez kom, kiedy już wrócicie do domu, i spotkajmy się za parę dni. – Rozejrzała się wokół, uśmiechając się do wszystkich. – Jestem zachwycona, że tu przybyliście. Kaledończycy często zapominają o dobrych rzeczach, które nie są racjonalne. Sądzę, że pomożecie nam sobie o nich przypomnieć.

– Dobre rzeczy, które nie są racjonalne? – zdziwił się Aimeric. – Myślałem, że to...

– Herezja. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Sądzi tak całkiem spora grupa osób. – W jej oczach pojawił się błysk, który sprawił, że ja również uśmiechnąłem się głupkowato. Nigdy dotąd żadna brzydka, a co dopiero niechlujna kobieta, nie przypadła mi do gustu tak

bardzo. Pożegnała się z nami kolejnym uprzejmym ukłonem.

Nie byłem pewien, jak mam zrelacjonować Marcabru wydarzenia dzisiejszego ranka. Może po prostu zaczekam na jego list, który z pewnością powinien nadejść za dzień czy dwa. W gruncie rzeczy byłem trochę zaskoczony, że jeszcze do mnie nie napisał.

Odwrociłem się do Aimerica, by coś mu powiedzieć, on jednak wpatrywał się w ścianę, pogrążony w myślach. Ramiona skrzyżował na piersi.

Nikt nic nie mówił, dopóki nie przyszedł Bruce. Dopiero wtedy Aimeric powoli dźwignął się z krzesła.

– Pewnego dnia, *companho*, przy wielkiej ilości wina, postaram się wam wyjaśnić, co tu było grane – powiedział z westchnieniem. – Ale nie w tej chwili. Musimy teraz przybrać superspokojne maski i udać się na wywiad do Biura Przydziału Pracy. Jak sobie przypominam, jego pracownicy nie wiedzą, co to ironia, pamiętajcie więc, żeby nie mówić nic, czego nie traktujecie dosłownie.

Bruce zachichotał.

– Charlie musiał przez przydział pracy spędzić cztery tygodnie na Terapii Korekcji Moralnej, bo na polecenie: „Opisz zajęcie, które byłoby dla ciebie idealne” odpowiedział, że chciałby zostać wikingiem i że marzeniem jego życia jest złu-pić i spalić Utilitopię. Bądźcie bardzo ostrożni.

Biuro Przydziału Pracy było przestronne i czyste, ze ścianami w radosnych, pastelowych kolorach. W Noupeitau widziałem coś podobnego tylko w jednym miejscu – w poczekalni dla gości w szpitalu psychiatrycznym.

Podczas wczorajszego przerzucania gnoju przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Bruce pomógł mi go dopracować, nikt mnie jednak nie ostrzegł, że będę musiał wytłumaczyć całą sprawę nie żywemu, oddychającemu kaledońskiemu urzędnikowi, ale syntelektowi. Przypuszczam, że Bruce i Aimeric uważali to za tak oczywiste, iż żadnemu z nich nie wpadło do głowy, by o tym wspomnieć.

Rzecz jasna, sądząc z tego, co zaobserwowałem na porannym spotkaniu, różnica między syntelektem a kaledońskim urzędnikiem mogła nie być zbyt wielka.

Gdy za pośrednictwem klawiatury odpowiedziałem na pierwsze pytania, z sufitu opuścił się mikrofon i maszyna zapytała mnie, jaka praca najbardziej by mi odpowiadała.

Miałem przez chwilę ochotę palnąć coś głupiego, w stylu: „Chyba jestem wystarczająco przystojny na zigolaka” albo „Czy macie jakieś miejsca dla gladiatorów?”. Przekląłem w myśli Bruce’a za to, że opowiedział mi tę historię. Potem się uspokoiłem.

– Chciałbym otworzyć empiryczną szkołę nowookcytań-skiej kultury – oznajmiłem.

– Proszę zdefiniować empiryczną szkołę – odparł syntelekt.

– W takiej szkole uczniowie zdobywają wiedzę nie przez słuchanie wykładów, lecz drogą doświadczenia i ćwiczeń. W praktyce ma to polegać na tym, że podczas lekcji będą się zachowywali jak Okcytańczycy zajęci jakąś określoną czynnością.

Syntelekt ucichł na moment. Gdzieś w głębi elektronicznego chaosu ukształtowała się myśl.

– Sprzeciw. Brak realnych korzyści dla uczniów albo kaledońskiego społeczeństwa. Okcytańska myśl nie jest zrationalizowana. Spodziewany rezultat to zanieczyszczenie kaledońskiej myśli niekanonicznymi założeniami, co doprowadzi do jej zbytecznej różnorodności.

Ponieważ Bruce miał pewność, że usłyszę ten sprzeciw, byłem na to przygotowany.

– Okcytańska kultura jest bardzo skomplikowana i łatwo w niej wywołać obrazę. Kaledończyk może być tam bezpieczny tylko wtedy, gdy toleruje się go jako coś w rodzaju towarzyskiego idioty. – Z pewnością tak właśnie traktowano Aimerica podczas pierwszego

stanroku pobytu na Wilsonie. – Bezpiecznie funkcjonować w okcytańskiej kulturze może jedynie ten, kto nawykowo przestrzega wymogów tamtejszego złożonego systemu. Nie wystarczy nauczyć się wszystkich reguł na pamięć.

– Sprzeciw – zaczął syntelekt. Najwyraźniej wybiegł myślą naprzód. – Przez całą swą historię obie kultury utrzymywały stosunki handlowe na poziomie niższym, niż było to ekonomicznie możliwe. Następowala jedynie powolna wymiana ekonomistów na historyków sztuki i instruktorów literatury. Fakt ten sugeruje, że bardzo niewielu Kaledończyków będzie chciało robić interesy w Nou Occitan i w związku z tym racjonalny popyt na usługi pańskiej szkoły okaże się zbyt mały, by mogła się utrzymać.

Chyba znaczyło to, że syntelekt przyznał mi rację, jeśli chodzi o punkt pierwszy, pozwoliłem więc sobie na odrobinę nadziei.

– Historyczne analogie nie mają tu zastosowania – odparłem – gdyż dotyczą jedynie wymiany informacji. Gdy tylko ceny usług skoczkowych spadną, można się spodziewać napływu znacznej liczby dóbr materialnych. Patrz teoria handlu międzynarodowego, kluczowe nazwiska: Ricardo, Hecksher, Ohlin. – Podał mi je Aimeric, twierdząc, że wyszukiwanie danych dostarczy tak wielu informacji, że syntelekt zapewne nie będzie próbował ich studiować i da sobie spokój z zadawaniem pytań. Na wszelki wypadek mówiłem pośpiesznie dalej: – Jest prawdopodobne, że zamiast uczonych, którzy poświęcili lata na studiowanie Nou Occitan, wyruszy tam wielu prostych biznesmenów. Nie byłoby dobrze, gdyby Ka-ledończycy zdobyli sobie opinię chamów.

Nie dysponowałem żadnymi faktami na poparcie tej tezy, ale miałem wrażenie, że mój wywód brzmiał niezłe.

Tym razem przerwa trwała bardzo długo. Rozglądałem się uważnie po małej budce w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów dekoracji lub zbeczeszczenia, nie znalazłem jednak niczego w tym rodzaju. Być może czyszczono ją po każdym wywiadzie.

Pomyślałem o dziesięciu milionach Kaledończyków, którzy przychodzili tu po to, by syntelekt powiedział im, co mają zrobić z resztą życia. Żaden z nich nie zostawił po sobie nawet śladu. Przeszył mnie zimny dreszcz. Podziękowałem każdemu bogu, jakiego imię przyszło mi na myśl, że za stan-rok, z górą dwa, już mnie tu nie będzie.

– Końcowy sprzeciw – odezwał się wreszcie głos. – Znajomość okcytańskiej kultury może stać się źródłem irracjonalnych nawyków myślowych, które z kolei mogą znacząco zmniejszyć całkowitą racjonalność kaledońskiego społeczeństwa, gospodarki i organizmu państwowego.

Nie wiedziałem, czy „końcowy sprzeciw” oznacza ostatni test przed podjęciem

pozytywnej decyzji, czy też moja sugestia została w tych słowach odrzucona. Tak czy inaczej, chodziło o to samo co przy pierwszym punkcie i nie zamierzałem pozwolić, by synteleftowi uszło to na sucho. Jeśli dojdą do wniosku, że mogą nas nabrać, znowu zaczną tę bzdurę z prawem głosu.

– Chwileczkę – zaprotestowałem. – Gdyby ktoś zwariował lub stał się nieracjonalny z powodu uczęszczania do Ośrodka Sztuki Okcytańskiej, znaczyłoby to, że z jego racjonalnością już przedtem było krucho jak sto diabłów. Jeśli mój wpływ jest demoralizujący, przynajmniej przekonacie się, kto jest podatny na demoralizację. Możecie mnie uznać za system wczesnego ostrzeżenia albo coś w tym rodzaju.

Deu, nie chciałem poświęcić dwóch lat na przerzucanie gówna łopata!

– Prośba o wyjaśnienie. Zwrot „jak sto diabłów” oznacza silne podkreślenie poprzedzających słów?

– Jasne jak sto diabłów.

Z całą pewnością zawałem sprawę. Okazywanie normalnych uczuć w obecności tubylców wyraźnie napędzało im strachu, można więc było mieć pewność, że prawdziwy wybuch złości przekona synteleft, iż jestem stuknięty i że nie wolno mi pozwolić na nauczanie czegokolwiek, nie mówiąc już o prowadzeniu powszechnie dostępnych kursów. Może pozwolą mi przebierać zgniłe jarzyny albo coś w tym rodzaju.

– Propozycja w zasadzie zaakceptowana – oznajmił synteleft. – W skład przewidywanych korzyści wchodzi społeczna profilaktyka irracjonalnych i grzesznych zachowań, nauczanie umiejętności niezbędnych dla ewentualnych rozszerzonych kontaktów handlowych oraz uzasadnienie obecnego kursu politycznego. – Odsunęła się płyta, za którą znajdował się ekran roboczy. – Proszę wprowadzić wszystkie wymagane dane, by nasza agencja mogła ustalić wymogi odnośnie do kapitału i zasobów oraz poczynić niezbędne przygotowania.

Wciąż lekko oszołomiony odpowiedziałem na mnóstwo pytań dotyczących wymagań lokalowych oraz sprzętu potrzebnego dla różnych form działalności szkoły, liczby uczniów, których byłem gotowy przyjąć na poszczególne kursy, jakie zamierzałem prowadzić, i tak dalej. Trwało to dość długo. W liście, który napisałem nocą do Marcabru, zaznaczyłem, że syntelefty sprawiają tu wrażenie życzliwszych i rozsądniejszych od ludzi.

Kiedy skończyliśmy i przyjechał po nas Bruce, była już pora obiadowa – późny Pierwszy Mrok. Aimeric otrzymał stanowisko profesora okcytańskiej literatury na uniwersytecie. Obaj z Bruce'em próbowali mi wytłumaczyć, w jakim celu na Uniwersytecie

Kaledońskim wyklada się taki przedmiot jak literatura. Nic z tego nie rozumiałem, wyglądało jednak na to, że ponieważ nigdy nie było wielkiej kultury, która nie okazywałaby żadnego zainteresowania literaturą, postanowili ją zachować, żeby się przekonać, do czego może się przydać. Musieliśmy wrzeszczeć do siebie, by przekrzyczeć łoskot gradu uderzającego o kabinę kota. Na rozmowie upłynęła nam większość krótkiej drogi po ciemnych, oblodzonych ulicach Utilitopii do Zakładu Sprzedaży Żywności i Wynajmu Sal Jadalnych Numer Siedemnaście, który podobno szczyił się dobrą miejscową kuchnią. Ja atakowałem, a Aimeric i Bruce wszystko mi tłumaczyli. Bieris milczała.

– A co ty będziesz robiła? – zapytałem, gdy znaleźliśmy się w prowadzącym do restauracji tunelu.

– Bruce przyjmie mnie na stałe jako pomoc na farmie. Naprawdę spodobało mi się to zajęcie i pomyślałam sobie, że mogę przy nim zostać.

– Nie chodzi ci czasem o to, żeby uniknąć pracy tutaj, w tym zimnie i mgle? – zapytałem. – Wiem, że tu jest ponuro, ale...

– Oczywiście, to też się liczy – przyznała. – Ale naprawdę polubiłam tę robotę.

Nastała długa, pełna zażenowania cisza. Wreszcie Aimeric zaczął rozmawiać z Bruce'em o jakichś dawno już zmarłych ludziach. Bieris była na mnie wyraźnie poirytowana, ale na szczęście przyniesiono jedzenie.

Ze względu na prawo o zastępowaniu robotów, w niemal każdym lokalu można było tu spotkać ludzkich kelnerów, barmanów, pomywaczy i tak dalej. Oboje z Bieris podziękowaliśmy młodemu człowiekowi, który przyniósł nam posiłek. Wyglądał na zdumionego, najwyraźniej więc było to sprzeczne z miejscowym obyczajem.

Trzeba się było trochę namęczyć, żeby wyłowić kawałki mięsa z gęstego, słonego i tłustego sosu, nie plamiąc nim jednocześnie ziemniaków. Dało mi to chwilę na zastanowienie. Naprawdę nie chciałem urazić Bieris, było jednak oczywiste, że to zrobiłem. Zachowując wielką ostrożność, tłumaczyłem jej; że niektóre kobiety, nawet w Nou Occitan, autentycznie pasjonują się podobnie ekscentrycznymi zajęciami i że niezwykle zainteresowania z pewnością nie ujmują wartości *donzelhy*. Tego typu zajęcie mogłoby nawet podkreślać przez kontrast jej wdzięk i styl, dodawać urody, zwłaszcza jeśli dziewczyna jest piękna i pełna życia. Pomyślałem, iż owo ostatnie zdanie to udany pośredni komplement, który powinien sprawić przyjemność Bieris, nie obrażając jednocześnie Aimerica.

Przeszyła mnie wściekłym spojrzeniem, wyraźnie zbyt oburzona, by mówić, jeść czy robić cokolwiek innego poza patrzeniem na mnie wilkiem. Może źle sformułowałem komplement? Nie, przypomniałem go sobie uważnie. Był bardzo udany, prawdziwy klejnot

tej sztuki. A może uznała, że mówię nieszczerze? Tak nie było i chyba powinna to wyczuć.

Wciąż była zła.

– Przepraszam – wydusiłem z siebie wreszcie. – Ostatnio byłem pod wpływem *finamor*; ale wreszcie otrząsnąłem się z melancholii, w którą wpędziła mnie Garsenda, i będę chyba musiał się poprawić.

Porwała następną kęs tak gwałtownie, że od razu się zorientowałem, iż nie powiedziałem tego co trzeba.

– Giraut – zaczęła – to jest takie głupie, że nie jestem pewna, czy warto o tym z tobą rozmawiać. Zastanawiałeś się kiedyś, jak wy, *jovenci*, wyglądacie w oczach *donzelh*? Pytam tylko z czystej ciekawości.

– Hmm... no więc, czytałem mnóstwo poezji autorstwa kobiet mówiącej o mężczyznach.

– Pisanej dla mężczyzn.

– *Ja, verai*. – Kiedy nic innego nie skutkuje, przyznaj, że jesteś idiotą. – Masz rację. Nie wiem, o czym mówisz.

– Faktycznie, nie wiesz – przyznała, połykając kolejną porcję ziemniaków, z których nawet nie strząsnęła paskudnej, brązowej mazi. – Dlaczego tobie było wolno całymi tygodniami robić z siebie kompletnego kretyna i wszyscy musieli wzdychać i cię podziwiać, mimo że każdy wiedział, iż Garsenda jest niestała i do tego po prostu głupia. A kiedy ona robiła to, co każda młoda, gorliwie podążająca za modą kobieta robi ostatnio w Noupeitau, to co sam byś przewidział, gdybyś miał choć trochę oleju w głowie, my mieliśmy obowiązek rozpaczać nad straszliwą niesprawiedliwością, która cię dotknęła? Odpowiedź wydawała mi się oczywista.

– To tylko zabawa, Bieris. *Joventem* jest się dla rozrywki, przez kilka lat życia. I to wszystko. Poza tym myślałem, że mówimy o tym, dlaczego chcesz pracować na farmie. Chciałem okazać uprzejmość.

Popatrzyłem na Aimerica w poszukiwaniu wsparcia, lecz mój przyjaciel nadal był pochłonięty rozmową z Brucem. Z westchnieniem odrzuciła włosy z twarzy.

– Zauważyłeś może, że nic z tego, co robią *jovenci*, nie miałoby sensu bez podziwiających ich kobiet?

Nim jej odpowiedziałem, zjadłem prawie połowę obrzydliwego, polanego tłustym sosem mięsa. Zmusiłem się do zwolnienia tempa i pociągnąłem długi łyk wody.

– Hmm, nie, ale to prawda – przyznałem wreszcie.

– To samo dotyczy wszystkich w Nou Occitan – ciągnęła. – Pomyśl tylko o swoich

albo o moich rodzicach.

– Jest bardzo wiele kobiet zajmujących ważne pozycje. – Był to słaby argument i Bieris skrzywiła się tylko. – Chyba... no, na pewno, *verai*, wiem, co chcesz powiedzieć – ciągnąłem, jękając się z zakłopotania. – Dopóki mieszkańcy Wilsona otrzymują apanaże, nie poświęcają najmniejszej uwagi temu, co robi rząd albo korporacje, a jeśli przyjrzeć się Pałacowi bądź sztuce, gdzie skupiają się cała energia i inteligencja, to są one niemal wyłączną domeną mężczyzn.

Bieris skinęła głową, po raz pierwszy okazując aprobatę.

– Pomijając taniec. Mężczyźni lubią na nas patrzeć, kiedy prawie nic na sobie nie mamy. Założę się też, że bez mojej pomocy nigdy byś tego nie zauważył.

– Masz rację. Przepraszam.

Zjadłem jeszcze trochę, straciłem jednak apetyt. Ponownie odrzuciła włosy. Nie zauważyłem dotąd, że irytuje ją, iż ciągle spadają jej na twarz.

– Giraut, przepraszam cię – powiedziała po chwili.

– Nic nie szkodzi. Masz rację.

– *Ja*, mam, ale to nie na ciebie byłem zła. Właściwie sama nie wiem na kogo. Rzecz w tym... kiedy tylko tu przybyłam, Bruce od razu poprosił mnie o wykonywanie pracy fizycznej i nie było w tym nic nadzwyczajnego. Zwrócił się do mnie tak samo jak do ciebie czy Aimerica. – Westchnęła i rozejrzała się po sali. – Niełatwo mi to wyjaśnić, Giraut.

– Chyba nieźle sobie radzisz. To, co mówisz, ma sens, nawet jeśli tego nie rozumiem.

– Pewnie chodzi o to, że po raz pierwszy w życiu poczułam się jak osoba, nie jak *donzelha*. Widziałeś kiedyś moje obrazy, Giraut?

Bieris była na wszystkich moich publicznych występach. Umarłem nagle dwoma tysiącami śmierci.

– Nie. Ale chciałbym je zobaczyć.

Otworzyła medalion, który miała na szyi, wydobyła z niego swój album i podała mi go. Wyjąłem kieszonkowy czytnik, wsunąłem album w szczelinę i uniosłem go do oczu.

– Przyjrzyj się, zwłaszcza dziesięciu ostatnim – powiedziała. – Pamiętasz *aurocs-demerl*

– Trudno je zapomnieć.

– Są właśnie na tych obrazach.

Wcisnąłem kod, nastawiając aparat na dziesięć ostatnich obrazów. Aimeric i Bruce gadali o czymś zmarłym kuzynie trzeciego stopnia.

– Jeśli ci się nie spodobają i uznasz, że są okropne, skłam – poprosiła. Uniosłem

wzrok znad ekraniku. Na jej ustach pojawił się krzywy uśmiezek, który pamiętałem z dzieciństwa i lat szkolnych. Kiedy widziałem go po raz ostatni? Może w dzień zakończenia szkoły, gdy toalety eksplodowały nagle, w chwili kiedy wszyscy zakładali ceremonialne szaty? Gdzie się podział ten aspekt osobowości Bieris, gdy wdała się *v/finamor* z Aimerikiem?

Jeśli już o tym mowa, miałem w swej karierze sześć *enten-dedor*; ale co właściwie wszystkie na mój temat sądziły? Jakie zachowały o mnie wspomnienia?

Wątpię, by Bieris wiedziała, o czym myślę, zauważyła jednak, że coś zaprzątnęło mój umysł, zaczęła więc chwilę, nim wskazała na czytnik, który wciąż trzymałem w ręku.

Uniosłem go do twarzy i wypuściłem powoli powietrze z płuc w długim westchnieniu. Obraz był świetnie namalowany. Dopadł mnie nagły atak poczucia winy. Zdałem sobie sprawę, że gdyby Bieris była mężczyzną, uważano by ją za jednego z najlepszych malarzy wśród *joventów*. O wysokiej jakości dzieła świadczyła nie tylko znaczna przejrzystość kompozycji czy sama technika, choć obie robiły wielkie wrażenie, lecz również bystra inteligencja spojrzenia. Czuję niemal, że moje wspomnienie owego dnia ustępuje miejsca jej wizji. To Bieris naprawdę zobaczyła olbrzymie stado, które pokryło brzeg rzeki, delikatne czerwienie, brązy i żółć równin.

Przeszedłem do następnego obrazu i ujrzałem unoszący się nad równinami dym, pierwszą oznakę nadchodzącego pożaru. Na trzecim przerażony *auroc-de-mer* miotał się w błocie, i tak dalej. Trzeba będzie wielu seansów, bym mógł powiedzieć, że naprawdę zrozumiałem te obrazy.

Jak zawsze, gdy zachwycałem się sztuką, zacząłem mówić po okcytańsku, lecz nagle przerwałem. Konwencjonalne zwroty uwięzły mi w gardle. Nie potrafiłem znaleźć słów opisujących uczucia, które wzbudziły we mnie te obrazy. W okcytańskiej wrażliwości czegoś brakowało...

Raz jeszcze uniosłem czytnik do oczu i przełączyłem go na pierwszy obraz. W tle lśniła zwierciadlana plama czerwonego blasku słońca, odbijającego się w rurociągach zaopatrujących w wodę polarne lodowce. Na następnym *auroc-de-mer* ginął otoczony rusztowaniem podtrzymującym rurociąg dostarczający nawóz do obszarów, na których sadzono lasy.

Na otwartym pejzażu, przedstawiającym opadające ku wąwozowi równiny, na horyzoncie widać było niebiesko-biały pióropusz tańczący na czerwonym niebie – pobierany z oceanu wodór, transportowany rurociągiem na odległość pięciuset kilometrów i spalany, celem nawodnienia wielkiej, suchej niecki otaczającej Biegun Południowy. Na ścianach

wąwozu można było dostrzec nie zniszczone jeszcze przez erozję ślady topnienia skał oraz fragmenty szkliska pozostałe po kierowanych impaktach, które były potrzebne, by połączyć nieckę z morzem.

Na innych obrazach wyraźnie widoczne były linie elektroenergetyczne, dostarczające prądu ogrzewaczom, które zapobiegały tworzeniu się wiecznej zmarzliny, betonowe przegrody spowalniające nurt Wielkiej Rzeki Polarnej i zmieniające jej kierunek, dzięki czemu wydawała się znacznie starsza, a nawet wysokie tamy zamykające górskie wąwozy. Na okcytańskich pejzażach powstałych w ciągu całych czterech stuleci nie widywało się żadnej z tych rzeczy. Na każdym przedstawiającym Biegun Południowy obrazie, jaki oglądałem w życiu, można było ujrzeć drzewa pochylające się nad rzeką, rozsiane wszędzie małe jeziora i stawy oraz lasy porastające odległe góry – krajobraz taki, jaki miał być za czterysta lat, nie taki, jaki był teraz.

Spoglądając na Bieris, z bólem zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będę takim artystą jak ona i że jeśli po dniach mej młodości zostanie coś, czym mógłbym się chwalić, to będzie to przyjaźń z nią.

– Rozmawialiśmy o tym kiedyś – stwierdziła. – Na Wilsonie ludzie chcą oglądać obrazy przedstawiające planetę taką, jaka będzie po ukończeniu terraformowania.

– Ale Bieris... tutaj w Kaledonii w ogóle nie ma sztuki, a... one są wspaniałe! W domu podobna wystawa zapewniłaby ci sławę! – Przyszła mi do głowy nagła myśl. – Pokazywałaś je Aimericowi?

Skrzywiła się.

– Chyba żartujesz.

Porzuciłem ten temat.

– Ale... jeśli potrafisz tak malować, to dlaczego chcesz pracować jako pomoc na farmie?

Znowu się skrzywiła.

– To znaczy, że Sodomskiej Niecki również nie widziałeś.

Tym razem przynajmniej wiedziałem, co powiedzieć.

– Masz rację. Nie widziałem. Opowiedz mi o niej. Albo, jeśli nie potrafisz, zaczekam na obrazy.

– Niewykluczone, że będziesz musiał na nie poczekać, żeby wszystko zrozumieć – ostrzegła. – Ale chodzi o światło, o jego odbicie w śniegu na szczytach Gór Pesymalnych i o to, jakie wszystko jest zielone...

– Ale, czy pracując na farmie, możesz zobaczyć coś, czego nie dostrzeżesz podczas

wycieczek w wolnych godzinach? A może chodzi ci o to, żeby uniknąć codziennej jazdy?

Nagle uśmiechnęła się do mnie w sposób, którego nie pamiętałem od czasu, gdy oboje weszliśmy w wiek dojrzewania. Spodobało mi się to tak bardzo, że nie potrafiłem wyrazić tego słowami.

– Naprawdę to rozumiesz – zauważyła.

– Może odrobinę. Wytłumacz mi powoli i w prostych słowach, *companhona*.

Było to głupie słowo, które przypadkowo wymknęło mi się z ust – żeńska forma wyrazu określającego bliskiego przyjaciela. W Nou Occitan dorosły mężczyzna nigdy nie zwraca się tak do *donzelhy*, nie wspominając już o dorosłej kobiecie.

Najwyraźniej tego nie zauważyła.

– Kiedy pracuje się pod gołym niebem, trzeba zwracać uwagę na szczegóły. Żeby rozpoznać chmurę burzową, muszę wiedzieć, jak wyglądają wszystkie chmury, a żeby dobrze dbać o sad, powinnam dostrzegać poszczególne jabłka rosnące na drzewach. To wszystko. Przepraszam cię. Pewnie mogłabym wytłumaczyć ci to w trzech zdaniach, ale od wieków nikt mnie nie słuchał. Znasz to stare powiedzenie: „Jeśli nie chce ci się już jej słuchać, zrób ją swoją *entendedora*”.

– Skończyliście już ze znakomitą lokalną kuchnią? – zapytał Aimeric, przerywając nam znienacka. Oboje podskoczyliśmy gwałtownie.

Dwa dni później zostawiłem wynajętego kota na parkingu nowego budynku Ośrodka Sztuki Okcytańskiej, który wyhodowano przed niespełna trzema godzinami. Ostatni wóz dostawczy wyjeżdżał właśnie przez drzwi załadownicze. W tym, co miało się stać salą główną, leżały wielkie stopy materiałów potrzebnych do umeblowania ośrodka. Żeby je rozpakować i wszystko urządzić, zażądałem pomocy kilku robotów, które zjawily się, gdy zamykałem drzwi.

Po raz trzeci w ciągu trzech dni rozpakowywałem i ustawiałem meble. Wczoraj przyjechały wreszcie moje rzeczy. Najwyraźniej były jakieś kłopoty z wyekspediowaniem ich z Wilsona. Natychmiast zauważyłem, że barokowe sprzęty nie pasują do prostych, gładkich linii gościnnego pokoju Bruce'a, wspomniałem mu więc, że z przyjemnością zobaczyłbym, jak zamierza urządzić zaprojektowane przez siebie wnętrza. Był chyba zachwycony, o ile w przypadku Kaledończyka można to ocenić. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu Bieris również się ucieszyła i natychmiast zażądała, by ją również zapoznał ze swymi planami. Tak naprawdę chodziło mi tylko o to, bym nie zaczął tęsknić za domem na widok kontrastu między moimi pięknymi meblami a tym pozbawionym wyrazu i życia domem.

Bruce miał pod ręką całkiem sporo planów; Pierwszego Popołudnia przekazaliśmy więc nasze okcytańskie meble do magazynów i po raz drugi zabraliśmy się do przesuwania gratów.

A teraz miałem to robić po raz trzeci, i to w znacznie większym budynku.

W rzadkiej, żółtej mgle, przy temperaturze kilku stopni powyżej punktu zamarzania wody, ośrodek – ze swymi wyniosłymi przyporami, na których szron zamieniał się już w błyszczące krople – wyglądał na tle szarych, betonowych pudełek jak okrucieństwo magii ciśnięty w sam środek lekcji geometrii. Pierwsze dwie godziny pracy były wspaniałą zabawą. W jednej z sypialń urządziłem dla siebie przytulny apartament, by móc w razie potrzeby zostać tu na noc; kazałem robotom rozłożyć maty w sali pojedynkowej, a z głównego holu zrobiłem prawie dokładną kopię lokalu Pertza, choć celowo pomiąłem Ścianę Honoru. Miałem wrażenie, że Kaledończycy nie od razu będą gotowi zaakceptować coś takiego.

W ten sposób uporałem się z pierwszym transportem. Została mi jeszcze przeszło godzina Pierwszej Jasności, zamówiłem więc meble do sali seminaryjnej i małego teatru.

Ponieważ wytwórnia była odległa tylko o piętnaście minut drogi torowcem, a wyhodowanie mebla trwało niespełna czterdzieści minut, musiałem pamiętać, by zamawiać je w takiej kolejności, w jakiej chciałem je ustawiać.

Usiadłem, by zjeść kanapkę i śliwkę, podczas gdy roboty usuwały z górnych pięter pył z materiałów budowlanych. *Gratz'deu*, miałem w bagażu skoczkowy odkurzacz – zapewne jedyny w Kaledonii – a zakład przerobu surowców wtórnych uruchomił już skoczka, pył więc zniknął z mojego budynku i stał się problemem pracowników zakładu.

Gdy się przekonałem, jak meble wyglądają w zaplanowanych miejscach, zacząłem się zastanawiać, czy niektórych by nie przestawić; ogólnie jednak byłem zadowolony. Kiedy dwa roboty ustawiły wreszcie ostatni stół, jedna z maszyn zatrzymała się nagle.

– Zastępca tej jednostki przybędzie za dwadzieścia dwie minuty – oznajmiła. – Przepraszam za ewentualne niewygody. Proszę o potwierdzenie odbioru. Zastępca tej jednostki...

– Rozumiem – odparłem, mając nadzieję, że to poprawna formuła. Zapewne tak było, gdyż robot przesunął się do kąta

(na szczęście nie zamierzałem w nim nic ustawić), wyprostował kończyny, po czym się wyłączył.

Czekając na człowieka, który miał się zjawić, przygotowałem listę artykułów spożywczych, jakie zamierzałem nabyć, i kazałem robotom sprawdzić wszystkie instalacje wodociągowe i elektryczne oraz złącza danych. Drukarka w bibliotece beztrako produkowała kolejne plakaty i *vu*, w tym również wszystkie dziesięć obrazów Bieris przedstawiających *aurocs-de-mer*. Choć autorka podkreślała, że nie są one typowymi przykładami okcytańskiej sztuki, sprzeciwiłem się, twierdząc, że po pierwsze, są znakomite, a trudno byłoby znaleźć bardziej okcytańską cechę, po drugie, jako dyrektor i główny instruktor ośrodka jestem ogólnoplanetarnym autorytetem w kwestii tego, co jest okcytańskie, a co nie.

Ludzki robotnik miał się pojawić dopiero za kilka minut, kazałem więc robotom zabrać się za sprzątanie (w świeżo wyhodowanych budynkach zawsze jest pełno pyłu), wziąłem termos z gorącą kawą i udałem się do małego pokoju słonecznego na drugim piętrze, by popatrzeć na zachód słońca. Postanowiłem, że dam sobie spokój z drzemką i będę pracował cały Pierwszy Mrok, uważałem jednak, że należy mi się chwila odpoczynku.

Pomieszczenie, w którym ustawiono szerokie, wygodne, wyposażone w mnóstwo poduszek ławy, miało służyć do rozmów lub czytania, lecz widok za wysokimi, łukowatymi oknami był zaskakująco piękny. Przyznali mi miejsce nieopodal uniwersytetu, w nisko

położonej, zimnej i odrażającej części miasta. Utilitopię, podobnie jak Noupeitau, zbudowano na otaczających zatokę wzgórzach, ale naszą stolicę zaprojektował genialny Arnaut de Riba Brava i każdy większy budynek został usytuowany tak, by kierować spojrzenia ku Wielkiemu Gmachowi Sztuk na Serra Sangi, po którego bokach stoją Pałac i Forum. Tutaj miejscowy siarkowo-wapniowy cykl sprawiał, że morze cuchnęło zgniłymi jajami, a okolice położone w pobliżu brzegu były zimne i wilgotne. Prawo, zwane „równowagą użyteczności”, które miało powodować, by nikt nie stał się irracjonalnie przywiązany do żadnego miejsca, wymagało, by najatrakcyjniejsze elementy ludzkiego środowiska były ulokowane w najbardziej odrażających częściach środowiska fizycznego i vice versa. Dlatego, podobnie jak uniwersytet, mój ośrodek wzniesiono nad samym morzem, dzięki czemu miałem wspaniały widok na dwa dominujące nad Uti-litopią gmachy, wznoszące się na Bliźniaczych Wzgórzach niczym pokryte bliznami sutki: Miejski Zakład Przerobu Ścieków na północy oraz Centralną Rzeźnię na południu.

Niemniej jednak, na zachód od brzydkich i obskurnych pudełek Utilitopii, pomiędzy wysokich szczytów Gór Optymalnych sięgało ziemi gorące, bursztynowe spojrzenie Mufrida, który w krótkim, wolnym od mgły okresie Pierwszej Jasności stał się wreszcie widoczny. Ze skutych lodem szczytów tryskało jaskrawe światło, a ze stoków spływały ku morzu głębokie cienie. Gdy stygnąca para wodna pochodząca z lodowców opadła w mroczne, zimne rozpadliny i zwrócone wylotami ku mnie fiordy, rozpełtały się krótkie, lecz gwałtowne burze, które rozświetliły swymi błyskawicami pęknięcia i szczeliny górskiego łańcucha.

Na moich oczach księżyc oderwał się od zachodniego horyzontu i pomknął ku górze, w stronę słońca, ciemniejąc po drodze. Jako posiadacz jednego z nielicznych przyzwoitych okien w mieście, miałem je tylko dla siebie. Niewykluczone jednak, że po odrobinie szkolenia ci ludzie nauczą się doceniać to, czym dysponują.

Zdałem sobie sprawę, dlaczego czuję się lepiej niż kiedykolwiek od chwili przybycia na Nansena. Cały dzień zajmowałem się prawdziwą pracą – wstałem nawet wcześniej, żeby przyjechać tu kotem – która służyła czemuś naprawdę pożytecznemu, miała przynieść tym zimnym, pozbawionym uczuć ludziom odrobinę blasku kultury. Powiedziałem sobie stanowczo, że nie mogą się dowiedzieć, iż przybyłem tu po to, by nauczyć ich lepszego sposobu życia. Misjonarze, nawet ci, którzy propagują zwykłe ludzkie ciepło i światło, nigdy nie są lubiani! Ale i tak wiedziałem, jakie jest moje zadanie.

Na ulicy pojawił się torowiec, który wysunął koła, uniósł się i opuścił tor, by zaparkować obok mojego kota. Kiedy zadzwieczał dzwonek, pokonałem już większą część drogi do drzwi.

Młody człowiek, który stał, przestępując z nogi na nogę, w służbie ciepłej ośrodka, miał afrykańskie rysy, a włosy jas-noblond.

– Zgłaszam się do przydzielonej pracy – oznajmił, nawet na mnie nie spoglądając.

– Świetnie – odparłem. – Niech pan wejdzie. Jestem Giraut Leones.

Wziąłem od niego parkę i powiesiłem na wieszaku. Był wyraźnie zdumiony moim gestem. Chyba uznał go za pracę, a ludzie przecież nie pracują dla robotów.

– Proszę tędy. Swoją drogą, jak się pan nazywa? Nie chcę się zwracać do pana. Jednostka Numer Dwa”.

– Thorwald Spenders.

Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu wyrecytował też swój numer identyfikacyjny.

Jakąś godzinę poświęciliśmy na rozwieszanie plakatów w korytarzach. Od czasu do czasu przenosiliśmy je w inne miejsca, kiedy zmieniałem zdanie albo coś nie wyglądało tak jak chciałem. Przypuszczam, że mój pomocnik uważał je za coś w rodzaju tapety.

Dostarczono bar, który miał stać w holu. Potrzebowaliśmy obaj dziesięciu minut, by wtaszczyć go na schody. Przez cały ten czas żałowałem, że nie kazałem tu zainstalować prawdziwej windy zamiast jednoosobowego skoczka.

Wreszcie dowlekliśmy bar na miejsce.

– Może pan teraz zaopatrzyć go w alkohol – stwierdziłem. – Butelki są w tych skrzyniach. Wystarczy ustawić je alfabetycznie.

Skinął głową i zabrał się do pracy. Ja postanowiłem umieścić gobelin na przeznaczonym dla niego miejscu. Była to maszynowa imitacja ręcznej roboty. Z reguły tego typu gobeliny łatwiej jest zawiesić, ale i tak trzeba się zdrowo namęczyć, żeby zrobić to jak trzeba.

Gdy minęła połowa zmiany Thorwalda, zapadła całkowita ciemność. Chmury ponownie przesłoniły księżyc. Włączyłem światła i zacząłem manipulować regulatorem, by uzyskać kolor, w którym gobeliny będą wyglądały najkorzystniej.

Potrzebne mi było nie tylko widmo światła Arktura, które można było znaleźć w bazie danych, lecz także widmo światła Arktura wpadającego przez okna w nawie głównej i odbijającego się od szorstkiej powierzchni wykonanego z różowego, bogatego w mikę granitu sklepienia. W domu po prostu zamówiłbym spektrometrię, przekonałem się jednak, że do chwili otwarcia Bazaru dane między obiema kulturami wymieniano jedynie pod postacią listów, a bardzo wątpiłem, by Marcabru był skłonny przesłać mi jakieś dwadzieścia stron tekstu. O ile w ogóle jeszcze do mnie napisze.

– Jest trochę za ciemno, żeby odczytać etykiety – poskarżył się Thorwald.

Zapisałem w pamięci regulatora najlepsze przybliżenie, jakie udało mi się do tej pory uzyskać, i przestawiłem światło na miejscowy standard, jednolite bursztynowe.

Gdy odwróciłem się do konsoli, usłyszałem coś, co brzmiało niemal jak westchnienie. Uniosłem wzrok akurat na czas, by zobaczyć, że Thorwald się pochylił, a tę część jego czoła, którą jeszcze widziałem, pokrywa rumieniec.

– Butelka wysliznęła się panu z rąk?

– Nie. Zobaczyłem tylko, że ten... hmm, materiał na ścianie jest bardzo kolorowy. Coś się ze mną stało.

Podszedłem do baru i przyjrzałem się uważnie Kaledoń-czykowi. Uparcie wbijał wzrok w podłogę. Popatrzyłem na gobelin.

Wiedziałem, że światło nie jest odpowiednie, nie poświęcałem więc dotąd uwagi tkaninie. Okcytańskie gobeliny uzyskują ciemny, intensywny odcień dzięki połączeniu jaskrawych barwników z czerwonym światłem Arktura, podobnie jak niektóre z obrazów starych mistrzów zawdzięczają swój głęboki, subtelny światłocień pociemnieniu werniksu.

– To się nazywa gobelin – wyjaśniłem, starając się nadać głosowi maksymalnie obojętny ton. Błagam, błagam, niech się okaże, że w tych zimnych jak lód, pragmatycznych barbarzyńcach ocalała iskierka zmysłu estetycznego. – Podoba się panu wrażenie, jakie wywiera?

Przyjrzał się tkaninie bardzo dokładnie.

– Ta – powiedział. – Chyba tak. Rzeczywiście. Czy takie jest jego zastosowanie? Służy do skupiania uczuć?

– To nie najgorsze określenie.

Jego język będę mógł wygładzić później. W tej chwili radowałem się, że posiada zmysł estetyczny, choćby nawet sprowadzony na manowce.

Zaczerwienił się lekko.

– Myślałem, że ma tylko... hmm, ogrzewać ścianę. To znaczy, nie dosłownie, jak koc, a tylko izolować powietrze w pokoju od zimnego muru. Słyszałem w szkole, że w waszych domach jest chłodno, więc pomyślałem sobie, że ten gobelin służy właśnie do tego.

– Gobelin – poprawiłem go, starając się nadać głosowi obojętny ton. Z drugiej strony, ten dwuletni pobyt może się okazać bardzo długi. – Czy zauważył go pan, nim włączyłem światło i przestawiłem je na żółte?

– No więc, zauważyłem, ale, hmm...

Wyglądał zupełnie jak Marcabru, wtedy gdy przyłapałem go w łóżku z moją

pierwszą prawdziwą *entendedora*, na krótko przed tym, nim stoczyliśmy pierwszy prawdziwy pojedynek.

– Proszę pozwolić, że coś panu pokażę – powiedziałem. – Nie ma pan nic przeciwko temu, by przez parę minut grać rolę obiektu eksperymentalnego zamiast robota?

Nie powinienem był tego mówić.

– Oj, ni, ni, naprawdę nie powinienem robić nic poza pracą. Po to tu przyszedłem. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Odwrócił się do baru i zaczął pilnie ustawiać butelki. Miałem ochotę wymierzyć mu kopniaka.

– To, co w pana wstąpiło, nazywa się przeżyciem estetycznym – wyjaśniłem. – Podobne stany zdarzają się bardzo wielu ludziom. Są nieszkodliwe, ale obawiam się, że nie ma na nie lekarstwa. Przynajmniej ja o żadnym nie słyszałem. Jeśli się nad tym zastanowić, niewykluczone, że u was, w Kaledonii, je odkryto.

Nie przestał ustawiać butelek, zauważyłem jednak, że ze-sztywniał.

– Żartuje pan sobie ze mnie.

Miał rację, zaprzeczyłem więc stanowczo temu zarzutowi i przeprosiłem go najgoręcej, jak potrafiłem.

– Niech pan posłucha – powiedziałem, gdy wreszcie na mnie spojrział. – Jest parę rzeczy, które naprawdę chcę panu pokazać. Może mógłby pan po zmianie zostać jeszcze z pół godziny, żebyśmy mogli porozmawiać? Jeśli zgodzi się pan pomóc w moim eksperymencie, zrekompensuję to panu posiłkiem.

– Może być. – Z cichym, wibrującym stukotem ustawił w barze kilka ostatnich butelek. – Co trzeba zrobić teraz?

– Zawiesić żyrandole w sali tanecznej.

Zaprowadziłem go na dół i wręczyłem dokumentację.

Popatrzył na nią i skinął głową.

– Jest tu napisane, że wszystko ma o jeden promil odbiegać od normy. Po co?

– Lekko zamazane światło daje cieplejszy, bardziej ludzki efekt. Jeśli pan chce, niech je pan nastawi dokładnie, a potem na zamazane. Sam pan zobaczy różnicę.

– Oj, ni, to...

– Niech pan spojrzy na to inaczej. Będzie łatwiej, jeśli zobaczy pan to sam, niż gdybym musiał wszystko tłumaczyć. W ten sposób oszczędzi mi pan pracy. Nie musi pan robić wszystkiego dokładnie tak jak robot, prawda? Maszyna musiałaby działać metodą prób i błędów. Wybrać jakieś dwadzieścia albo trzydzieści ustawień, a potem zapytać mnie, które

najbardziej mi odpowiada. Jeśli potrafi pan rozróżniać kolory, powinien pan sam poradzić sobie z tym zadaniem, pod warunkiem, że najpierw porówna pan dokładne ustawienie z zamazanym.

Wstrzymał oddech na dłuższą chwilę, po czym wypuścił powietrze z płuc i uspokoił się nieco.

– Jeśli tak to ująć, to chyba ma pan rację. Powinniśmy wykonywać pracę robota w miarę naszych możliwości. Jeśli poradzimy sobie z nią lepiej niż on, to bardzo dobrze. Przepraszam, że jestem takim sztywniakiem.

– Widziałem już gorszych – odparłem, mając na myśli praktycznie wszystkich Kaledończyków. – Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, proszę mnie zawołać.

Pomyślałem, że jeśli dam mu spokój i przestanę naciskać, praca może mu sprawić więcej przyjemności.

Moje kroki brzmiały dziwnie głucho na sprężynującej podłodze, której jeszcze nie wyciszono.

Gdy Thorwald rozwieszał żyrandole, ja zająłem się tym, co bezwzględnie należy zrobić w nowym budynku – wyszukiwaniem błędów. W programach budowlanych zawsze trafiają się pluskwy, a robot z samego założenia nie potrafi znaleźć pomyłek, których człowiek nie umie opisać, dopóki ich nie zobaczy. Biorąc pod uwagę występujące na Nansenie przeciągi, nie chciałem nigdzie mieć szczelin wywołanych nieprawidłowym wzrostem konstrukcji.

Znalazłem trzy szpary wymagające zrestartowania konstrukcyjnych nanobotów oraz jeden wielki guz w tunelu wentylacyjnym. Wokół bezkształtnej bryły wielkości jabłka pojawiło się już wgłębienie w betonie, wywołane przez zezłościwione nano-boty, które czerpały materiał ze ściany, by karmić guz.

Natychmiast powiadomiłem o tych usterkach firmę budowlaną, która załadowała do systemu konstrukcyjnego właściwe oprogramowanie, mające naprawić wszystkie błędy. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby zajrzeć tu za parę dni i sprawdzić, czy tak się stało.

Kiedy wróciłem do sali tanecznej, Thorwald nastawiał właśnie ostatnie zielone światło w ostatnim laserze ostatniego żyrandola. Do końca zmiany zostało piętnaście minut.

– Próbował pan zmieniać nastawienie?

– Ta. Rozumiem, o co panu chodzi, chociaż sam nigdy bym na to nie wpadł.

Do zakończenia pracy kazałem mu wyjmować książki z pojemników i ustawiać je w bibliotece, po czym zszedłem na dół, by przyrządzić posiłek.

Ponieważ Thorwald był Kaledończykiem, ograniczyłem przyprawę do niezbędnego

minimum, a ponieważ wyglądał młodo, przygotowałem wyjątkowo duże porcje. Gdy zjawił się po zakończeniu zmiany, chciał mi wręczyć pieniądze, twierdząc, że posiłek to zbyt hojna zapłata za udzielenie odpowiedzi na kilka pytań. Pozwoliłem na to, lecz nie mogłem się powstrzymać od dodania, że „kiedy ośrodek zostanie oficjalnie otwarty, ci, którzy go odwiedzają, będą przestrzegać okcytańskich zwyczajów, przynajmniej chwilowo. Od czasu do czasu będą musieli przyjąć posiłek bez zapłaty, po prostu dlatego, że chcemy go im oferować”.

Gdy przełknął kilka kęsów, rozciągnął usta w uśmiechu.

– To naprawdę świetne! Nigdy w życiu nie jadłem nic podobnego. Cieszę się, że jeszcze nie otwarto ośrodka. W przeciwnym razie cały ten pomysł z poczęstunkiem mógłby mnie tak zniechęcić, że nigdy bym się nie przekonał, że to lubię.

Bez namysłu zadałem nasuwające się pytanie.

– A co jest takiego złego w przyjęciu poczęstunku?

Wzruszył ramionami i nabrał kolejną porcję. Gdy przeżuwał ją ze smakiem, na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Kiedy przełknął jedzenie, stało się oczywiste, że zmaga się z jakimiś wątpliwościami.

– Wie pan – stwierdził po chwili – chyba chodzi o to, co mówią nam wszystkim w szkole. Kiedy się nad tym zastanowić, można dojść do wniosku, że część z tego jest błędna, fałszywa czy coś w tym rodzaju.

Ja również przełknąłem kilka kęsów. Przyrządziłem wszystko jak należy, lecz smak nadal był zbyt mdły. Zastanawiałem się, jak by zareagował Thorwald, gdybym dodał coś więcej niż najpospolitsze przyprawy. Zauważyłem jednak, że i tak pije bardzo dużo wody, jakby musiał regularnie chłodzić sobie usta.

– A co takiego mówią wam w szkole? – zapytałem po chwili. Podsunąłem mu połowę pieniędzy, które mi dał. – To zapłata za konsultację, żeby nie miał wyrzutów sumienia z powodu zadawania tylu niedyskretnych pytań.

Przyjął pieniądze bez komentarza.

– Mówią, że choć nie wymieniacie pieniędzy, wymieniacie przysługi, a ich wartości nie da się porównać i dlatego każdy zawsze czuje się winny, a jednocześnie oszukany – wyjaśnił po chwili.

– Z jakiego powodu?

– Chodzi chyba o nierówność. Wrażenie, że albo wykorzystano się partnera, albo dało mu za dużo. – Nie patrzył już na mnie. Skupił się na odrywaniu kawałka chleba, który chciał zanurzyć w zupie. – Tak nam mówią. Wygląda, że to nieprawda. Chciałem już zdecydowanie

przyznać mu rację, lecz przyszło mi nagle do głowy, że najbardziej podstawowa zasada – *enseingnamen* (pamiętałem, że matka nauczyła mnie jej, gdy tylko mogłem już zrozumieć, co do mnie mówi) głosi, że każdy, kto jest naprawdę *gens* zawsze będzie próbował dać więcej niż ci, którzy go otaczają (choć rzecz jasna należy okazywać wdzięczność za otrzymane od innych dary i wychwalać je przesadnie).

– Powiedzmy, że jest to prawda, ale nie cała, i ludzie podchodzą do tego zupełnie inaczej. To tak, jakby mieszkańcy Nou Occitan uważali, że Kaledończycy zrobią wszystko dla pieniędzy. Tak nie jest, ale można zniekształcić rzeczywistość w ten sposób, by wydawało się to prawdą.

Przełknął parę kęsów, nadal na mnie nie patrząc. Miałem nadzieję, że go nie rozgniewałem. Przemknęło mi też przez głowę, że w ostatnich dwóch listach do Marcabru, który nadal mi nie odpowiadał, to właśnie napisałem.

Gdy wreszcie uniósł wzrok, zauważyłem, że ledwie może oddychać ze śmiechu.

– To świetny przykład – powiedział. – Wielu moich przyjaciół uznałoby, że to bardzo zabawne. Zawsze miło jest stroić sobie żarty z tego, czego nauczono nas w szkole.

– Ponieważ jestem tu gościem, postaram się zostawić to wam – odparłem.

Stanowczo nakazałem sobie dotrzymać słowa. Ci ludzie byli tak odporni na sztukę, kulturę i piękno, że musiałem prowadzić ich ku nim stopniowo, a nie wyśmiewać i ganić za brak estetycznej wrażliwości.

Zakończyliśmy posiłek dobrym, ostrym cheddarem i słodką gruszką. Okazało się, że Thorwald nie zdał za pierwszym podejściem egzaminu do szkoły wyższej nie dlatego, że był za mało bystry, lecz ze względu na fakt, iż nie opanował w wystarczającym stopniu teologii.

– Mam po prostu za mało matematyczny umysł – wyjaśnił, wzruszając ramionami. Nie sprawiał wrażenia, by miał na tym punkcie zadrę; czytając między wierszami, domyśliłem się jednak wkrótce, że jest to dosyć ważne dla jego rodziców, zwłaszcza dla matki, która pracowała dla Rady Racjonalizatorów.

Wrzuciliśmy naczynia do odzyskiwacza, gdzie miały być stopione i odlane na nowo, po czym zabrałem Thorwalda do holu, by mu pokazać, jak wyglądają gobeliny we właściwym dla nich czerwonym oświetleniu. Dostrzegał bogactwo kolorów, ale bardziej podobał mu się jaskrawy, nieharmonijny blask, którym lśniły w bursztynowym świetle. Przypuszczam, że każdy, kto dorastał w Utilitopii z jej monochromatyczną mgłą, czarną skałą i brudnym, pastelowym betonem, musiał być rozpaczliwie spragniony barw. Przyjdzie jeszcze czas na bardziej wyrafinowane gusta. Poza tym, wykorzystując jego zainteresowanie kolorami, mogłem mu pokazać sztychy i vu, co da mi szansę usłyszenia nieoficjalnej opinii na temat

kursów, które zamierzałem prowadzić.

Po pięciu minutach ponownie uznałem go za barbarzyńcę. Sztuka pojedynku była dla niego odrażającą „nauką kaleczenia ludzi”, taniec zaś „całkowitą stratą energii, nawet nie zoptymalizowaną gimnastyką”. Choć posiłek mu smakował, był przekonany, że nauka gotowania uwięzi wszystkich w niemożliwej do rozsąpania sieci zobowiązań.

Pociągały go jednak poezja i muzyka. Wydawał się też zadowolony, że wynająłem Bieris, która miała nauczać malarstwa, a także zamierzałem zaoferować każdemu, kto zapisze się na co najmniej trzy kursy, bezpłatną dodatkową naukę podstaw języka okcytańskiego.

– No cóż – powiedziałem wreszcie, wyciągnąwszy z niego tyle, ile tylko zdołałem – wygląda na to, że mam już jednego słuchacza. Dziękuję za wskazówki. Chyba muszę już pana pożegnać.

Odprowadziłem go do drzwi przy przystanku torowca. Na zewnątrz było zupełnie ciemno. Księżyc już zniknął, a do drugiego wschodu słońca zostały jeszcze trzy godziny. Wtem wpadła mi do głowy pewna myśl.

– Zgodnie z miejscowymi przepisami o zatrudnieniu będę musiał przyjąć woźnego. Chce pan dostać tę posadę? Będzie też panu przysługiwało niewielkie lokum, jeśli ma pan dość mieszkania z rodzicami.

Był wyraźnie zdumiony i zadowolony, wahał się jednak przez chwilę.

– Hmm, nie chciałbym pana wykorzystywać. Powinien pan wiedzieć, że nie mam pieniędzy na porządną łapówkę. To niezła robota i można za nią sporo wziąć. Jeśli oddają pan za darmo, pipki mogą panu zrobić test racjonalności.

– Nie ma sprawy – odparłem po chwili zastanowienia. Co to są pipki? Będę musiał zapytać o to Bruce’a. – To tylko dwugodzinny etat. Resztę czasu poświęcimy na szkolenie, które zrobi z pana instruktora sztuki pojedynku. Trudna, bolesna i moralnie odrażająca praca nie powinna wydawać się zbyt atrakcyjna jak na możliwości pana kieszeni.

– To na pewno poskutkuje. – Spodobał mi się jego uśmiech. – Tak, zgadzam się. Prześlę przekaz jeszcze dzisiaj, powiedzmy o dwudziestej piątej zero pięć, jeśli zarejestruje mnie pan o dwudziestej piątej.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Znacznie później wyznał mi, że dopiero gdy wrócił do domu i załatwił wszystkie formalności, zdał sobie sprawę, że z radością przyjął pracę, która jest trudna, bolesna i moralnie odrażająca.

Gdy po paru godzinach wszedłem do sali konferencyjnej Pastoratu Funkcji Rynkowych, zobaczyłem, że Bieris i Aime-ric włączyli sześć ekranów, na których demonstrowali wzorcowy model. Ambasador Shan i wielebna Peterborough siedzieli z tyłu, przyglądając się uważnie i od czasu do czasu wymieniając szeptem uwagi.

– Tego, kto przychodzi ostatni – oznajmił Aimeric – spotyka zaszczyt wyruszenia na poszukiwanie danych. Na tamtym terminalu masz listę pytań, na które nie potrafiły odpowiedzieć automatyczne wyszukiwarki. Chciałbym, żebyś poszukał odpowiedzi. Gdy tylko jakąś znajdziesz, połącz ją z sygnalizatorem pytania, a sama zapisze się w programie głównym.

Usiadłem za terminalem i wziąłem się do roboty. Bieris i Aimeric ukończyli tymczasem prezentację modelu.

Pierwszą kwestią, z którą się uporałem, był „czas reakcji średnich rozmiarów sprzedawanych ziemniaków na zmianę w stosunku ceny do wielkości”. Po paru minutach udało mi się wyszukać „prędkość zmian długości obróbka ceremonialnych kiltów w stosunku do jej średniej wartości”. Czekają mnie długie popołudnie.

Ponieważ najtrudniejsze pytania zostawiłem sobie na koniec, przerwy między odpowiedziami stawały się coraz dłuższe. Dzięki temu Aimeric i pozostali mieli więcej czasu, by zobaczyć, jak przewidywane zmiany wpływają na ich model. Słyszałem podekscytowane głosy, ale wszyscy czworo mówili jednocześnie, a ja musiałem się skupiać na pracy, nie byłem więc pewien, o co chodzi.

Na ostatnie odpowiedzi musiałem czekać po osiem do dziesięciu minut, gdyż szerokokresowe, skojarzeniowe wyszukiwanie danych pochłania mnóstwo czasu. Przerwy między napływającymi z systemu informacjami stawały się coraz dłuższe i miałem czas usłyszeć, o czym mówią pozostali.

– Ale czy to nie jest osobliwe, panie de Sanha Marsao? – pytał Shan. – Dlaczego miałyby tak się dziać?

– Faktycznie, wydaje się dziwne, że wszystkie nieznane wartości, kiedy już je ustalimy, popychają system w tym samym kierunku – dodała wielebna Peterborough. – Może jest to nawet trochę błuźniercze, jako że ten kierunek jest wyjątkowo nieprzyjemny. Czy nie myślę się, sądząc, że to nie może być prosty błąd w waszym modelu?

Aimeric odparł, wzdychając, że nigdy nie można czegoś takiego wykluczyć. Powiedział też coś innego – chyba chciał skłonić ambasadora, by zwracał się do niego po imieniu. (Jeśli się nad tym zastanowić, nie miałem pojęcia, skąd pochodzi ambasador i czy „Shan” to jego imię, nazwisko, nazwa klanu, regionu czy też tytuł honorowy. Nigdy się tego

nie dowiedziałem). Zaczęły nadchodzić wyniki, ominęło mnie więc to, co powiedziano później, a gdy zaczęło się następne wyszukiwanie, nadal mówił Aimeric:

– ...całkowicie zgodny z teorią powód, by tak właśnie postąpić.

Nadeszła odpowiedź i wiedziałem już, jak zabrać się do przedostatniej kwestii: „stosunek ceny wydobywanych na planetoidach metali do wartości dodanej narzędzi ręcznych trwałego użytkowania o opóźnionym rdzewieniu”. Zestawiłem wreszcie dane i przesałem je do programu głównego. Model zatańczył po raz kolejny.

Wszyscy umilkli, wpatrując się w niego. Zabrałem się do pracy nad ostatnim problemem, prawdopodobieństwem wzrostu nakładów na terraformowanie, wskutek zwyżki cen ziemi uprawnej. Tym razem zastosowałem brutalną siłę – po prostu pozwoliłem, by program wyszukał wszystkie akty sprzedaży ziemi od założenia Kaledonii i Świętego Michała oraz wszelkie wydatki budżetowe na terraformowanie, biorąc pod uwagę w tym pierwszym przypadku zmiany cen, w tym drugim zaś koszty utraconych możliwości. Trzeba było uwzględnić ponad czterysta milionów wartości cen ziemi oraz niespełna osiemdziesiąt miliardów aktów sprzedaży. Program ocenił, że potrwa to około minuty, usiadłem więc wygodnie i znowu zacząłem słuchać.

– Ta krzywa skacze jak zszokowany wąż – stwierdziła po chwili Bieris.

– Ehe.

Aimeric przesunął palcami po konsoli.

– Co tu jest grane? – zapytał Shan, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Niektóre systemy nie dążą do równowagi, a wzmacniają zmiany – wyjaśnił Aimeric. – Algorytm wykorzystał interpolowane wartości z innych kultur i gospodarek, by zastąpić dane, których nam brakowało. Dzięki temu mógł przyciąć ekstrema funkcji. Niemniej kaledońska gospodarka zajmuje ekstremalny zakątek przestrzeni systemowej i szacunkowe wartości były znacznie mniej skrajne od rzeczywistych. Dlatego, gdy otrzymywaliśmy dokładne dane, zachowanie modelu za każdym razem stawało się bardziej ekstremalne, co zwiększało kompensację pozostałych szacunkowych wartości, wskutek czego każda nowa rzeczywista wartość wywoływała większy skok, gdyż bardziej odbiegała od szacunkowej.

Peterborough wstała, podeszła do ekranu i niemal dotknęła go nosem, gapiąc się na skaczące jak szalone krzywe, przewidujące wydarzenia najbliższych dziewięciu lat.

– Wiecie co – powiedziała cicho – sama w dziesiątkach kazań powtarzałam, że stworzyliśmy w Kaledonii absolutnie niepowtarzalną cywilizację, a teraz z przerażeniem przekonuję się, że to prawda.

Ponownie przebiegła wzrokiem po wzbijającej się w górę krzywej, po czym skinęła głową, jakby to jej wszystko wyjaśniało.

– Może robimy jakiś systematyczny błąd?

W głosie Shana nie słyszało się nadziei.

Aimeric chciał coś odpowiedzieć, lecz Peterborough nie dała mu dojść do słowa.

– Nie, to niemożliwe. Przez ostatnie dziesięć lat zajmowałam się gospodarczym planowaniem, w niewielkim zakresie, na jaki pozwala nasza kultura, i gdybym tylko się zastanowiła, spodziewałabym się tego. – Pokręciła głową. – Aimericu, bardzo się cieszę, że cię tu mamy. Jestem jednak pewna, że żaden inny pastor szczebla rządowego nie podziela moich uczuć.

– Nie sędzę, żeby to się spodobało mojemu ojcu i jego bandzie – przyznał Aimeric. Odwrócił się do kredensu i napełnił sobie szklanekę. Zauważyłem, że to piwo. Nigdy dotąd nie widziałem, by pił alkohol w godzinach pracy. – Ale to jeszcze nic. Zaczekajcie, aż usłyszają, co muszą zrobić, by uniknąć najgorszego.

Zdołałem wreszcie dorwać się do wolnego ekranu i zobaczyć, o czym mówią. Wykres przewidywał, że zapotrzebowanie na pracę spadnie w ciągu trzech lat o czterdzieści procent, a produkcja o piętnaście, wkrótce zaś potem produkcja zacznie gwałtownie rosnąć, a zatrudnienie razem z nią... ale przez dwa lata z rzędu inflacja będzie przekraczała sto procent w stosunku rocznym.

Po sześciu czy siedmiu latach system miał się ustabilizować na wyższym poziomie produkcji, przy stałych cenach i pełnym zatrudnieniu. Do tej pory jednak gospodarkę czekała szalona jazda kolejką górską, najpierw w dół, a potem do góry.

– Czy nie tak to wyglądało w Nou Occitan? – zapytałem. – Jakoś to przetrzymaliśmy...

– Jasne – przyznał Aimeric. – Kształt krzywej po każdym połączeniu jest taki sam. Liczy się jednak zakres zmian. W Nou Occitan były one prawie o rząd wielkości mniejsze. Po prostu o parę lat przedłużono niektórym ludziom wakacje, a bank centralny wyemitował trochę więcej pieniędzy, by powstrzymać gwałtowny wzrost cen. Można to uważać za najtrudniejsze zadanie, przed jakim stanęliśmy w *Manjadorita d Oecon*, nadal jednak był to zwykły problem z dziedziny zarządzania. Tutaj połowa gospodarki jest ściśle kontrolowana, by rynek dawał teologicznie poprawne odpowiedzi, wskutek czego jest zbyt sztywna, by zdołała znieść taki wstrząs. Druga połowa zostaje poza wszelką kontrolą, również z powodów religijnych, jest więc mnóstwo obszarów, w których zaburzenia mogą narastać. Na domiar złego przywódca Świętego Michała najprawdopodobniej po prostu wyeksportują

swe problemy. To oni trzymają na Nansenie lepsze karty, jeśli chodzi o stosunki handlowe, i nigdy nie cofali się przed wykorzystaniem posiadanej przewagi. Ponadto spodziewam się, że Kaledonia, znowu z powodów teologicznych, zdecyduje się na podjęcie środków obronnych powoli i z niechęcią. Na koniec, zaburzenia z natury rzeczy będą potężne, silniejsze niż po poprzednich połączeniach. Nie, to będzie fatalny kryzys, gorszy niż wszystko, co dotąd widziano. Szkoda, że nie mamy nikogo wykwalifikowanego, kto pomógłby nam się z nim uporać.

– Na podstawie tego raportu mogę praktycznie z dnia na dzień sprowadzić tu każdego specjalistę z Tysiąca Kultur – zauważył Shan.

Aimeric potrząsnął głową, wypił piwo i ponownie napełnił szklanekę.

– Badałem już tę możliwość – wyjaśnił. – Pomijając fakt, że umiem postępować z miejscowymi i łączyć mnie z nimi więzy rodzinne, które możecie wykorzystać, nie należy zapominać, że kryzys połączeniowy na Wilsonie, w Nou Occitan, był jak dotąd najpoważniejszy w Tysiącu Kultur. Nikt nie ma większych kwalifikacji ode mnie.

Wypił piwo.

Pastor wstała i wykonała jakiś gest, po czym odwróciła się i wyszła.

Ambasador Shan wybałuszył oczy z wrażenia.

– Czyżbym ją czymś obraził? Czy powiedziałem coś niestosownego?

Głos Aimerica brzmiał dziwnie, jakby mój przyjaciel recytował tekst, którego wyuczył się na pamięć dawno temu.

– Zauważył pan jej gest? – Powtórzył go dla nas. – To znaczy, że złożyła przysięgę milczenia. Będzie się modlić i medytować. Poszła do sali modlitwy. Może pan do niej zakomować wieczorem.

– Nigdy nie pojmę tej kultury – odparł z westchnieniem Shan. – Nigdy.

Aimeric sprawdził, czy wszystko jest zamknięte i zachowane na jutro.

– No cóż, z jej punktu widzenia pozostało jedynie to – odparł, przełykając ostatni łyk piwa. – Niewykluczone, że ma rację. Biorąc pod uwagę, ile dobrego mogą tu zdziałać ekonomiczne teorie, równie dobrze moglibyśmy wziąć w ręce grzechotki i przystąpić do tańca, by przepędzić złe duchy.

Wróciliśmy do domu wyczerpani, dwie godziny przed Drugim Zmierzchem. Nikomu z nas nie chciało się spać, nawet więc nie próbowaliśmy się kłaść. Bruce zaczął wyświetlać nową kolekcję obrazów, którą właśnie otrzymał z Buisso-na w systemie Metallah. Oboje z Bieris zajęli się oglądaniem hologramów, nie można więc było z nimi rozmawiać.

– Może wpadniesz do mnie coś łyknąć? – zaproponował Aimeric.

Zgodziłem się. Słońce już zaszło i na dworze było zimno, choć w porównaniu z Utilitopią wydawało się to drobiazgiem. Nie zawracaliśmy sobie głowy uruchamianiem kota, szliśmy jednak szybko. Ledwie zdążyliśmy nalać sobie wina, gdy zadźwięczały nasze komy. Obaj otrzymaliśmy osobistą korespondencję.

Wreszcie nadeszły listy od Marcabru. Usadowiłem się wygodnie, by móc czytać spokojnie. Choć Okcytańczyka łączą z przyjaciółmi więzy honoru, rywalizacja jest bardzo silna i większość ludzi próbuje wspiąć się na szczyt po dawnych druhach. Jeśli więc był na mnie z jakiegoś powodu zły – a nie można było tego wykluczyć – albo po prostu chciał się pochwalić, list mógł być nieprzyjemny. Jeśli ktoś miał ambitnych, interesujących przyjaciół, musiał się liczyć z podobnym ryzykiem.

Giraut, ty głupi toszecie,

Najpierw oczywiście najważniejsza wiadomość. Yseut będzie w przyszłym roku królową. A ciebie z jakiegoś głupiego powodu tu nie ma. Czy naprawdę zrobiłeś to z miłości do tej małej, niestalej ślicznotki, której imienia chwilowo zapomniałem?

– Garsendy – odpowiedziałem na głos. Nie myślałem o niej od wielu dni.

No cóż, okazałeś się prawdziwym donz de finamor i postaram się, by twoja sława zatoczyła jak najszersze kregi, gdyż z pewnością wiesz, że wszelka chwała, jaką będziesz mi zawdzięczał, wróci do mnie jako przyjaciela legendy. Po powrocie z pewnością znajdziesz należne miejsce wśród joventów.

Poczułem nagle gwałtowny przypływ tęsknoty za domem, być może dlatego, że cały dzień poświęciłem na przygotowywanie ośrodka. Zapragnąłem napić się u Pertza, odwiedzić grób Raimbauta, wybrać się na wycieczkę, by nacieszyć się północną wiosną polarną,

pożeglować sobie po bezkresnych morzach Wilsona albo po prostu poleżeć w ciepłym, czerwonym blasku słońca na plaży na południe od Noupeitau. Chciałem się upić, skrzyżować z kimś szpady z jakiegoś błahego powodu, wdać się w *finamor*, wrócić do starego mieszkania.

Usunąłem mruganiem łzy z oczu i czytałem dalej.

Yseut jako królowa-elektka wygląda promiennie. Wpłynęło to też w cudowny sposób na jej twórczość, która stała się (o ile to w ogóle możliwe) jeszcze bardziej sztuczna i epigramatycz-na, przerodziła się w powłokę pięknych, połyskliwych słów, spowijającą absolutną, zimną pustkę, coś w rodzaju koronki tworzącego się w przestrzeni kosmicznej szronu. Jako królowa na pewno będzie publikować bardzo wiele. Bezzwłocznie prześlę ci wszystkie tomiki.

Niech ci się jednak nie zdaje, że zajmujemy się tylko tym. Nie mieliśmy nawet czasu wybrać się w Północne Góry Polarne.

W tym roku lód spływa z lodowców z wręcz wybuchową prędkością. To skutek uboczny działalności terraformujących ogrzewaczy. Rzecz jasna jest to sztuczny efekt i jako taki nie nadaje się na temat dla sztuki, ale cała ta masa lodu wpadającego do świeżo uwolnionych od skuwającej je skorupy rzek wygląda naprawdę wspaniale. Nie mieliśmy jednak na to czasu, gdyż choć któryś ze starych nudziarzy, jacy zwykle pełnią funkcję króla, mógłby po prostu nosić suit-biz, Yseut musi stać się prawdziwą dykta-torką mody, sama zdecydować, w czym jest jej najbardziej do twarzy, opisać to projektantom i nakazać im wykonanie tych strojów. Ze względu na moją nieoficjalną funkcję księcia małżonka muszę robić to samo...jest to wyczerpujące i prawie cały czas poświęcamy na rozmowy z krawcami i projektantami oraz zakup ubrań. Przekonałem się, że choć przesadnie obfite rękawy w podstawowych kolorach wyczerpały już swe możliwości, to żeby je pogrzebać, trzeba będzie jeszcze jednego sezonu. Dlatego zamawiam wszystko tak ekstrawaganckie, jak to tylko możliwe, by za jakieś sześć stanmiesiący móc dokonać nagłego, śmiałego zwrotu w jakimś innym kierunku.

Przyjrzałem się kaledońskim strojom, ale wygląda na to, że pozwalają tam robić vu tylko w więzieniach albo na wyprawach alpinistycznych. Na wszystkich vu wykonanych w budynkach ludzie mają na sobie ubrania odpowiednie w tym pierwszym przypadku, natomiast na tych, które zrobiono na dworze, odpowiednie w tym drugim. Chyba nie ubierasz się w coś tak okropnego? Błagam, błagam, in nomne deu, napisz i zapewnij mnie, że coś podobnego nigdy nie przyszłoby ci do głowy!

Muszę przyznać, że nie wszystko u nas toczy się w dobrym kierunku. Czegóż zresztą można się było spodziewać od chwili, gdy spadła na nas po dwakroć przekłeta plaga międzygwież-dników? Zajęli dla siebie jeszcze dwa stare lokale w Quartier des Jovents, nie powiem ci które, gdyż nie odwiedzaliśmy ich zbyt często. Niemniej oba miały co najmniej sto lat, a to wystarczy, by człowiekowi pękło serce na myśl, że przerobiono je w teatrzyki sadoporno, w których młode ślicznotki i mięśniacy za wszelką cenę usiłują się wdrzeć na scenę.

Przyznaję, że powyżej trochę ci nakłamałem. Oczywiście, znakomicie pamiętani imię Garsendy, a także ją samą. Nie wiem, czy uznasz to za dobrą, czy za złą wiadomość, czy też po prostu za potwierdzenie swych oczekiwań, ale stała się wśród międzygwieżdników prawdziwą towarzyską i aktorską gwiazdą. Ubiegają się o nią wszystkie ich kluby. Mam nadzieję, że te wieści nie przysporzą ci bólu. Z pewnością znalazłeś już sobie jakąś młodą, uroczą donzelhę o włosach przyszczyżonych krótko jak u mężczyzny, która w swej ocieplanej bieliźnie i plastikowych kaloszach stanowi prawdziwe wcielenie urody... nie gniewaj się na mnie, wiesz, że lubię się z tobą drażnić!

Tak czy inaczej, problem z międzygwieżdnikami polega na tym, że wnieśli skargę, iż żadnej z ich brzydkich, stukniętych donzelh nie zakwalifikowano do finału konkursu na królową. Próbowali się zwrócić do ambasady, lecz ich pretensje natychmiast odrzucono. Jak rozumiem, Rada stanowczo zakazuje swym agentom mieszać się w podobne sprawy. Dzięki Bogu, nawet jeśli ich miejscowym naśladowcom do cna odbiło, biurokraci z Tysiąca Kultur nie zamierzają ingerować w tak wspaniałą i miłą instytucję jak monarchia!

Poważniejszy wydaje mi się fakt, że wielu owych grubiań-skich międzygwieżdników, zasłużenie pominiętych w konkursie, którego i tak nie mieli szans wygrać, ani dzięki stylowi, ani walorom osobistym (o enseingnamen nie wspominam, bo nie mają jej w ogóle!), udaje teraz, że nie było się o co ubiegać, i drwi ze zwycięzców! Nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Nie znają wstydu, nie cofają się przed żadnym plu-gastwem, a ich biedne, udęczone sumienia z pewnością są martwe lub nieprzytomne. Yseut zaczęła nosić trochę większe dekolty i ubierać się (to oczywiste, pamiętasz jej cerę) w ja-snolawendowe suknie. Ich obrzydliwe dziewczuchy zakładają suknie o takim samym kolorze i zbliżonym kroju, ale odsłaniają sutki i okropne kolczaste gwoździe, którymi je sobie przebijają. Dodam też, że wielu ich chłopaków ubiera się w obcisłe trykoty i buty podobne do noszonych przeze mnie, dokładając do nich okropną, obsceniczną ozdobę, o której aż boję się ci wspomnieć... no dobra, przyszywają sobie do siedzenia gigantycznego, bardzo realistycznie wyglądającego fallusa, ale jeśli jesteś moim przyjacielem, wybuchniesz gniewem, zamiast się śmiać...

Stłumiłem śmiech, ale nie potrafiłem wzbudzić w sobie gniewu. Marcabru był tak wariacko upartym heteroseksuali-stą, że nigdy nie poszedł do łóżka z mężczyzną, ani z przyjaciółmi, ani ze zwykłej uprzejmości. Nie wiedziałem, w jaki sposób międzygwiazdnicy domyślili się, jak najłatwiej go obrazić, musiałem jednak podziwiać ich bystrość.

Wróciłem do listu.

...wybuchniesz gniewem zamiast się śmiać. Niemniej jednak, poradziłem sobie z problemem tej nędznej karykatury bardzo gruntownie.

Przed kilkoma dniami spotkałem na ulicy czterech między-gwiazdników i choć nie miałem ze sobą przyjaciół, wyzwiałem wszystkich na seryjny pojedynek. Byli zachwyceni, ale pierwszych dwóch załatwiłem w mgnieniu oka. Najpierw ogarnęły ich drgawki, a potem zapadli w śpiączkę. Zostawiłem ich walających się w rynsztoku. Dwaj pozostali, jak najgorsi tchórze bez śladu honoru złamali przysięgę, że będą walczyć po kolei, i rzucili się na mnie jednocześnie, bez salutu i ostrzeżenia.

Tym razem omal nie eksplodowałem gniewem. Ścisnąłem blat tak mocno, że miałem wrażenie, iż jego kant przebija mi kostki dłoni. Przyjaciel w niebezpieczeństwie, walczący z przeważającymi siłami, a mnie tam nie było? Nie mogłem dzielić się z nim chwałą? I ten tchórzliwy atak. Czyżby sprawy w domu wyglądały aż tak źle? Czemu nie zauważyłem tego przed odjazdem? Co zastanę po powrocie?

Przewinąłem tekst, by czytać dalej.

O wszystkim rozstrzygnęła jednak enseingnamen.ya/fco że byłem rzecz jasna znacznie spokojniejszy i lepiej przygotowany od nich. Zauważyłem, że ten z mojej lewej strony, który wysunął się nieco do przodu, ma takie same, charakterystyczne blizny jak biedny, stary Raimbaut. Postanowiłem zaryzykować, licząc na

ni to, że tak jak nasz przyjaciel, jest powolny i niezaradny oraz doznał poważnych obrażeń wewnętrznych. Zignorowałem tego, który został z tyłu, i zadałem bliznowatemu trzy solidne pchnięcia, w które włożyłem całą siłę. Zakończyłem sprawę potężnym ciosem w serce. Padł na ziemię, nawet mnie nie dotknął.

Potem starłem się z ostatnim z przeciwników, obrzucając go wszelkimi obelgami, jakie tylko przyszły mi do głowy. Cofnął się pobladły. Omal nie zemdlął ze strachu. Szukał rozpaczliwie sposobu ucieczki, ale przyparłem go do muru!

Wtedy właśnie usłyszałem wycie karetki i zrozumiałem, jak wielki sukces odniosłem. Tak jak to sobie wyobrażasz, opadła gwałtownie na ziemię i zabrała mojego niedawno powalonego przeciwnika do szpitala.

„Mam nadzieję, że twój przyjaciel umarł prawdziwą śmiercią” – oznajmiłem – „i że ty wkrótce do niego dołączysz, z pewnością jako kolejne śliskie, zakrwawione gównno, które przecisnie się przez odbytnicę diabła”.

Wypowiedziawszy te słowa, skoczyłem naprzód i rozbroiłem go. Chyba nie miał pojęcia, jak powinno się trzymać broń, a o enseingnamen oczywiście nie ma nawet co wspominać. Potem zabrałem się do cięcia. Nim przyszła kolej na coup de merce, zadałem mu chyba z tuzin ran, w przerwach między nimi zmuszając go, ku uciesze gromadzącej się gawiedzi, do przyznawania się do wszelkich postaci kazirodztwa i sodomii, a także ryczenia na całe gardło dziecinnych piosenek. Gapie pokładali się ze śmiechu. Wreszcie kazałem mu błagać o zmiłowanie, aż smarki pociekły mu z nosa i zaczął lkać, nie mogąc zaczerpnąć tchu. Leżał już wtedy na ziemi i przeciąłem mu większość ważniejszych ścięgien, tak że miał wrażenie, iż stracił władzę w rękach i nogach. Przedostatnim cięciem była kastracja. Krzyczał tak, jakby naprawdę wszystko stracił... ten gołąbek był prawdziwym holdem dla twórców neuroinduktora. Na koniec poderżnąłem mu gardło długim, powolnym cięciem, tak by minęło wiele czasu, nim uwierzy, że umarł, po czym pokloniłem się tuzin razy rozentuzjzmowanemu tłumowi.

Nie wątpię, że nawet po wyjściu ze szpitala pozostaną mu głębokie psychologiczne blizny, a ból nie opuści go przez kilka lat.

Ach, Giraut, po takiej walce brak mi było starego przyjaciela, z którym mógłbym się upić, krzyczeć i śmiać, by uczcić to zwycięstwo! A gdzie ty byłeś? Sześć i pół roku świetlnego stąd, a kiedy wrócisz, wspaniale panowanie Yseut przejdzie już niemal do historii! Szczerze mówiąc, na myśl o moim najdawniejszym druhu omal się nie rozplakałem, co zepsułoby mój triumf.

Na szczęście przynajmniej z ulic natychmiast zniknęły te obelżywe kostiumy. Zauważyłem też, że wielu międzygwiazdni-ków na mój widok przechodzi na drugą stronę ulicy. Odważ-niejsi spluwają rozgniewani na mnie, ponieważ ich kretyński, pozbawiony honoru przyjaciel naprawdę umarł, ale przecież musiał wiedzieć, jakie ryzyko podejmuje? Tak czy inaczej, odebrali mi część zaszczytu, uznając za przyczynę śmierci wypadek neuroinduktorowy. Z drugiej strony, ten, którego torturowałem, nadal, jak rozumiem, przebywa w szpitalu i mogą minąć lata, nim przestaną mu grozić nawroty ataków.

No cóż, pochwaliłem się już i poużalałem, a także zapoznałem cię z wiadomościami,

zostało ci więc tylko napisać do mnie bezzwłocznie, by mi opowiedzieć o tym, co stało się z tobą, Aimerikiem i naszym aniołkiem, Bieris!

Serdecznie te salut, Marcabru

Radowałem się triumfem przyjaciela jak własnym. Sprawił się dzielnie, a do tego, choć zapewne pomścił Raimbauta z przyjemnością, nie wątpię, iż dokładne, systematyczne, przeciągające się upokorzenie tej młodej małpy zdyskredytowało międzygwiazdników w jeszcze większym stopniu. Serce bolało mnie z pragnienia, by znaleźć się u jego boku i dzielić z nim ową radość. Gardło ścisnął mi smutek.

Zastanowiłem się, co by powiedział mój nowy przyjaciel, Thorwald, na wieść, że ktoś przechwala się zabójstwem, nie mówiąc już o pięknie wykonanych torturach, którym Marcabru poddał swą ofiarę? Uznałem, że podobne tematy poruszę na zajęciach jedynie wtedy, gdy będę miał już grupę odpowiednio przygotowanych słuchaczy, i że być może powinienem zrezygnować z tradycyjnego otwarcia kursu sztuki pojedynku – „obcinania” uczniom nosów neuroinduktorem, a potem ożywiania ich, by odczytać ich strachu przed tym wrażeniem.

W gruncie *rzeczy*, kiedy się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że życie Raimbauta mogłoby być szczęśliwsze, a już z całą pewnością dłuższe, gdyby tylko bał się neuroinduktora trochę bardziej i pozwolił sobie na okazywanie tego strachu...

Nie byłem pewien, skąd wzięły się u mnie takie dziwne myśli. Poczulem niesmak. Być może zazdrościłem Marcabru jego osiągnięć, zapewne jednak byłem po prostu zmęczony i tęskniłem za domem. Zakręciłem ciepłym, przezroczystym winem jabłkowym, które miałem w szklance, napawając się jego bukietem. Rotacja nadała mu woń kwiatów z Siódmego Pola. Aromat był tak słodki, że aż przeszywał nos, choć samo wino było wytrawne, bez śladu słodczy. Postanowiłem, że wraz z listem do Marcabru wyślę też krótką notatkę do Pertza, by go poinformować, że warto importować kaledońskie wina owocowe. Z pewnością można by u nas za nie dostać niemal każdą cenę, bez względu na wysokość opłat skoczkowych.

– Wygląda na to, że Marcabru jest krwiożerczy jak zawsze – stwierdził Aimeric, składając terminal.

Skinąłem głową, unosząc szklanke w toaście.

– Marcabru!

– Marcabru – powtórzył dziwnie pozbawionym entuzjazmu tonem. Z pewnością on również tęsknił za domem. Uniósł szklanke do ust i wypiliśmy wino.

Rozejrzawszy się po mieszkaniu, zdałem sobie sprawę, że jego wystrój nieco nasila dręczącą mnie nostalgię. Każdy sprzęt domagał się tu ciemnoczerwonych cegieł i syntodrewna, skomplikowanej, gęstej plataniny łukowatych linii, okcytańskiej architektury. Nawet ciemnoczerwone światło, które nastawił mój przyjaciel, nie było w stanie skompensować nagości białych ścian (nadawało im tylko różową barwę) czy braku cieni na ich rozległych płaszczyznach. Proste, zdecydowane linie, które zaprojektował Bruce, sprawiały, że meble i sprzęty Aimerica wydawały się przesadnie ozdobne i z jakiegoś powodu niegustowne.

– Jest tu trochę zimno – zauważyłem. – Czy można by nieco zwiększyć ogrzewanie?

– Nie ma sprawy, sam chciałem to zrobić. Jeszcze wina?

– Zawsze – odparłem. – Na pewno było ci go brak po przybyciu na Wilsona.

– To prawda – przyznał poważnym tonem. – Do tego wszystko smakowało dziwnie.

Z pewnością już zauważyłeś, że jedzenia zawsze dają tu więcej, ale przypraw mniej? Znacznie trudniej jest się przestawić w drugą stronę, kiedy posiłki ciągle wydają się zbyt skąpe i za mocno przyprawione. Po wszystkich tych latach zaskoczony zdałem sobie sprawę, że podczas pierwszych stanmiesięcy pobytu w Nou Occitan byłem tak nieprzyjemny między innymi dlatego, że bardzo tęskniłem za domem. – Usiadł obok mnie. – Przypuszczam, że w twoim przypadku wygląda to podobnie, nawet jeśli wiesz, że za stanrok albo dwa wrócisz do domu?

Skrzywiłem się.

– Czy aż tak łatwo to dostrzec?

– Chyba tak. – Westchnął. – Ciągle mam wyrzuty sumienia z powodu tego, że cię tu ściągnąłem. Mam wrażenie, że gdybyśmy z Bieris okazali choć trochę więcej stanowczości, siedziałbyś sobie teraz w Noupeitau, wywołując kłopoty w zwykły dla siebie sposób.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jest tak źle. Stanrok, czy nawet dwa, to nie tak dużo. Potem będę mógł wrócić i znowu bawić się w *joventa*, jeśli jeszcze będę miał na to ochotę. Przypuszczam, że będę, przynajmniej z początku, żeby móc po powrocie zająć się czymś znanym. Gdzież jednak mogliby nas potrzebować bardziej niż na tym ślamazarnym, zimnym, zacofanym świecie? Uważam się za misjonarza zabawy, wdzięku, stylu, dowcipu, piękna, namiętności! Zakładam, że ty też tak czujesz...

– Poświęciłem młodość na przekonywanie Kaledończyków, żeby pozwolili sobie na odrobinę radości. Rzecz jasna, robiłem to w typowo kaledoński sposób, wojowniczy, poważny i trzeźwy. Jeśli tym razem oczekują ode mnie tego samego, będą się musieli

zadowolić obserwowaniem mojego przykładu. – Jego głos wydawał się zmęczony i odległy. Byłem już gotowy pomknąć do domu. – Poza tym, muszę okazywać więcej konformizmu od ciebie. W skład moich zadań wchodzi komunikowanie się z twardogłowymi starcami.

Wyjrzał przez okno na skapane w jasnym blasku księżycy sady. Gdy na połowę jego twarzy padło światło, zauważyłem, że z wiekiem skóra mojego przyjaciela staje się bardziej szorstka, a w brodzie pojawiają się pierwsze nitki srebra. Kiedy wróci, nie znajdzie już dla siebie miejsca wśród *joventów*.

– Mam wrażenie, że Bieris znosi to nieźle – zauważyłem, mając nadzieję na zmianę tematu.

– Jest mniej samotna od nas, bo znalazła tu bliskiego przyjaciela w osobie Bruce’a.

– Wydaje mi się, że się polubili – przyznałem ostrożnie. – Po części dlatego, że oboje są wzrokowcami i najwyraźniej mają podobne poglądy na temat tego, jak wszystko powinno wyglądać.

– Po części dlatego – zgodził się.

Jakąś częścią swej jaźni już od początku rozmowy obawiałem się, że jej tematem będą Bieris i Bruce.

– Nie denerwuj się, Giraut – uspokoił mnie Aimeric. – Nie mam ataku zazdrości. Po prostu też czuję się samotny. – Znowu nappełnił nasze szklanki winem. – Poza tym, kiedy się dowiesz, jak kaledońscy mężczyźni zachowują się w podobnej sytuacji, będziesz zgorzony i przerażony.

– Naprawdę? – zapytałem, wyczuwając, że zaraz usłyszę jakiś żart.

– Zapewne pomyślisz, że to odrażające i zboczone – ciągnął z powagą w głosie.

Skinąłem głową, lekko zawiany i trochę smutny, czekając, co powie.

– Ściskamy sobie dłonie i staramy się pozostać przyjaciółmi.

Nie rozumiałem, co w tym śmiesznego, byłem jednak zmęczony. Odrzuciłem propozycję skorzystania z wolnej sypialni. Wolałem popędzić sprintem do własnego domku. Pomyślałem sobie, że jeśli obudzę się w umeblowanym po okcytańsku, oświetlonym na czerwono pokoju, a potem zdam sobie sprawę, gdzie jestem, mogę tego nie wytrzymać.

Dwa dni później, niespełna godzinę przed planowanym rozpoczęciem pierwszych zajęć, gdy siedziałem sobie w pokoju słonecznym, sporządzając notatki, terminal poinformował mnie, że jest dla mnie wiadomość. Odebrawszy ją, przekonałem się, że mam zakomować do wielbnego Saltiniego z Pastoratu Projektów Publicznych.

Zgodnie z informacjami, które udało mi się zebrać przez następną minutę czy dwie, gdybym tego nie zrobił, musiałbym przedstawić jakieś wyjaśnienie. Saltiniemu brakowało chyba ze trzech rang do szczebla rządowego, ale z pewnością był ważniejszy ode mnie. Nieraz już słyszałem przelotne wzmianki o PPP i miałem wrażenie, że od tej instytucji lepiej się trzymać z daleka. Podejrzywałem też (jak się okazało słusznie), że to właśnie są „pipki”, o których wspominało tylko szeptem.

Połączyłem się z nim natychmiast i jak zwykle musiałem wymienić kilka słów z filtrem rozmów, którą to funkcję również pełnił tu żywy człowiek. (W Kaledonii nie należało wdawać się w towarzyskie pogawędki ani zawierać znajomości z niższymi rangą urzędnikami, a jedynie przekazać im swoje życzenia i nakazać je spełnić. Wydawało mi się to nie tylko nieuprzejme, lecz również straszliwie nieefektywne... jak można było w ten sposób nawiązać owe szczególne stosunki, które umożliwiały wzajemne świadczenie sobie przysług, bez czego nie można przecież nic załatwić?).

Mężczyzna zgodził się, że faktycznie powinienem porozmawiać z wielbnym Saltinim, i po chwili na ekranie pojawił się mały, łysy człowieczek o psotnym uśmiechu.

– W liście ludzi, którzy zlecieli transfer gotówki na konto pańskiego Ośrodka Sztuki Okcytańskiej, znalazłem coś bardzo osobliwego. Sądzę, że powinien pan ponownie rozważyć swe plany.

– Te plany są powszechnie znane – odparłem. – Można je znaleźć w programach, które są dostępne w planetarnej centrali komowej.

– No właśnie. No właśnie. Widzi pan, problem polega na tym, że te programy przyciągają... hmm, prawie wyłącznie jeden typ osób. Inteligentnych, młodych ludzi, którzy kilkakrotnie oblewali egzaminy do szkół wyższych, i to najczęściej z matematycznej teologii. Jest też znacząca liczba osób, które nie zdały egzaminów z nauk przyrodniczych i z matematyki, można jednak podejrzewać, że sedno ich problemu polega na niechęci do nauki tego ostatniego przedmiotu, wywołanej, szczerze mówiąc, faktem, że wiele problemów, które

należałoby rozwiązywać na lekcjach, ma charakter teologiczny.

Nim człowiek zdecyduje się na walkę lub ucieczkę, zawsze powinien sprawdzić, czy nie może po prostu zrobić uniku.

– W Nou Occitan nie traktujemy religii zbyt poważnie. Właściwie ogranicza się ona u nas do ceremoniału i nie planowałem poruszaniai religijnych na kursach kwestii.

– Wiemy o tym i doceniamy ten fakt. Gdyby było inaczej, nie zgodzilibyśmy się na otwarcie ośrodka. Nie, obawiam się, że chodzi o wstępne – podkreślam, wstępne – dochodzenie w sprawie racjonalności pańskich planów. Niech mnie pan dobrze zrozumie, nie mówię o formalnym śledztwie. W tej chwili chcę jedynie zgromadzić trochę danych, które umieszczę w aktach, ponieważ gdyby zaczęto stawiać pytania, ci z nas, którzy odpowiadają za całą sprawę, będą potrzebowali rozsądnych podstaw, pozwalających im udzielić odpowiedzi.

Mówił zupełnie jak *gestora*, którzy przyłapali mojego ojca na oszustwie podatkowym. Tego właśnie się bałem. Z jakiegoś powodu podpadłem miejscowej tajnej policji, a nadal rozumiałem tak mało, że nie wiedziałem, w jaki sposób mógłbym się od niej uwolnić (o ile w ogóle było to wykonalne), o co mogę zostać oskarżony ani co Saltini może mi zrobić. Niemniej jednak, nieformalne, nieoficjalne dochodzenie zawsze oznacza, że podejrzany nie ma żadnych praw, nie wie, co mu zarzucają ani jakie mają przeciw niemu dowody. Dlatego właśnie każdy gliniarz w Tysiącu Kultur chętniej odbędzie z człowiekiem małą pogawędkę, niż każe go aresztować. Czekałem coraz bardziej podenerwowany, zdając sobie powoli sprawę, że mam poważniejsze kłopoty, niż mogłoby się z początku zdawać. Wielebny Saltini nie przestawał mnie obserwować. Wreszcie najwyraźniej uznał, że kontynuując rozmowę, może coś ode mnie uzyskać.

– No cóż – zaczął cicho – pamięta pan, że jednym z celów założenia ośrodka było ułatwienie komunikacji i wzajemnego zrozumienia między Kaledonią a Nou Occitan. Obecnie wygląda jednak na to, że przygotowane przez pana programy kursów nie przyciągają ludzi nadających się do tego zadania. Osoby, które znalazły się poza głównym szlakiem wiodącym do awansu, bez względu na to, jak dobrze znają okcytańską kulturę, z pewnością nie osiągną pozycji, w której mogłyby wykorzystać swą wiedzę. Rzecz jasna, mogą pracować jako tłumacze albo prywatni sekretarze, czy może przedstawiciele firm, żadne z tych stanowisk nie wymaga specjalnych licencji ani stopni, ale z drugiej strony, ponieważ to oni będą naprawdę wiedzieli, co robią, jest bardzo prawdopodobne, że skonfliktują się ze swymi lepiej wykwalifikowanymi przełożonymi, co może tylko spowodować ogólne niezadowolenie. Nie rozumie pan?

– Ni – odpowiedziałem, używając jednego z dwóch znanych mi słów rozumnego. Było to prawdą, gdyż dawno już przestałem za nim nadażać, a poza tym zwlekanie mogło się okazać całkiem niezłą strategią. – Jeśli obroty handlowe wzrosną do takiego stopnia, że wszyscy moi słuchacze znajdą zatrudnienie w handlu z Nou Occitan, powinno to zachęcić większą liczbę ludzi do uczęszczania na kursy.

– Ale najpierw sukces odniosłyby osoby nie mające pojęcia ani o etyce, ani o miejscu człowieka we wszechświecie.

Z pewnością rozumie pan, jak będzie to wyglądało, jeśli rynek nagrodzi występki, a w związku z tym, przez implikację, ukarze cnotę. Nie może pan oczekiwać, że pozwolimy, by wola rynku, którą utożsamiamy z wolą bożą, spowodowała coś równie śmiesznego. Co ważniejsze, prolongując pożyczkę, Rada Racjonalizatorów i Pastorat Projektów Publicznych udzieliły wspólnie poparcia pańskiemu projektowi, uznając, że jest on korzystny dla Kaledonii i wszystkich jej obywateli. Sam pan nas o tym przekonał w znakomitym stylu. Gdyby wśród słuchaczy pańskich kursów bardzo podejrzani – niektórzy powiedzieliby wprost „bezwartościowi”, ja jednak uważam, że to zbyt surowe określenie – gdyby więc ci, jak powiedziałem, bardzo podejrzani ludzie zdobyli zdecydowaną przewagę wśród słuchaczy pańskich kursów... no cóż, nie może pan oczekiwać, że zachowamy bierność, jeśli tak ważny projekt, w który zainwestowaliśmy wiele pieniędzy i prestiżu, będzie kojarzony z osobami uważanymi w najlepszym razie za nieprzystosowanych społecznie nieudaczników, osobami, którymi wielu naszych obywateli otwarcie gardzi. Z pewnością rozumie pan naszą sytuację. Nie widziałem wyjścia.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

Z jego twarzy ani na moment nie zniknął dziwny, psotny uśmiech, który przy tym ani się nie pogłębiał, ani nie stawał bardziej wymuszony. Wydawał się po prostu stałym jej elementem.

– Sądzimy, że odrobina zwłoki w rozpoczęciu kursów, może tylko kilka tygodni, oraz pomoc paru wykwalifikowanych ludzi, powiedzmy jednego specjalisty od teologii i jednego od badań rynkowych, pozwoli panu sformułować program tak, by przyciągnąć odpowiednią grupę słuchaczy. Rozumie pan, do czego zmierzam?

– Przypuszczam, że gdybym zmienił programy, musiałbym również zmienić treść tego, czego będę nauczał – odparłem. Przez głowę przemknęła mi wizja półtora roku spędzonego w połowie na wypełnianiu formularzy, a w połowie na przerzucaniu gówna, jakby między tymi czynnościami istniała jakaś różnica. – Wolałbym tego nie robić. Nauczanie ma polegać na ekspozycji na okcytańską kulturę. Jeśli ludzie poczują się nią urażeni lub zbici

z tropu, czy też po prostu nie zechcą zawrzeć z nią pokoju, lepiej będzie, jeśli dowiedzą się o tym natychmiast. Dlatego – olśnienie! – niewykluczone, że nawet lepiej będzie zacząć od osób, które w waszej kulturze uchodzą za dewiantów. Po pierwsze, jeśli nie osiągnę z nimi powodzenia, nie okaże się to dla was zbyt wielką stratą, po drugie zaś, ponieważ pozostają Kaledończykami, mogą stanowić dobrą grupę kontrolną. Wyjątkowo dobrą, ponieważ jestem pewien, że nie pozostaną obojętni, ale mogą nie oburzyć się tak mocno jak wasi bardziej typowi obywatele. A gdyby nawet próbowali wyrobić ósrodkowi złą opinię, nikt by im nie uwierzył, ze względu na to kim są. Ponadto, gdyby ich talenty okazały się użyteczne, będziecie mogli ogłosić, że wasza decyzja pozwoliła odzyskać dla społeczeństwa grupę bezproduktywnych dotąd osób.

Nie potrafiłem uwierzyć, że wygaduję takie rzeczy. Czyżby Saltini był zaraźliwy albo coś w tym rodzaju?

Nie powiedział nic, przebiegł jednak palcami po klawiaturze i wpatrywał się w coś – zapewne kolumny cyfr albo dossier kandydatów na moich słuchaczy. Z jego twarzy ani na moment nie zniknął uśmiech.

Dlaczego zacząłem gadać jak on? Zdałem sobie sprawę, że była to rozpaczliwa próba przemówienia w jego języku... wydawało się, że mówi po terstadzku, ale im dłużej słuchałem jego słów, tym mniej go rozumiałem. Być może, jak ojciec Ai-merica, w dzieciństwie używał rozumnego? Stary Carruthers był jednak szczerzy aż do granic nieuprzejmości; śliska mętność, z jaką mówił Saltini, nie mogła więc być owocem systemu.

Wreszcie uniósł wzrok. Tym razem jego uśmiezek stał się szerszy. Zaniepokoiło mnie to. Byłem pewien, że tego właśnie chciał.

– No cóż, jeśli tak to pan ujmuje, wygląda, że doszło do szczęśliwego zbiegu okoliczności. Sądzę, że powinien pan go wykorzystać, tak jak pan mówił. Nie wątpię też, że z radością pan usłyszy, iż wszystkie siedemset synteletów, które zapytałem o teologiczną poprawność pańskiej propozycji, zgodziło się z moją oceną. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, sądzę, że znajdzie pan tu dom. Świetnie pan sobie radzi z improwizowanym rozumowaniem.

– Zamierzam wkrótce podjąć naukę rozumnego – oznajmiłem. Było to prawdą. Byłem ciekawy, a poza tym Aimeric mówił, że nie jest to trudny język. Ponadto wzmianka o tym z pewnością nie mogła mi zaszkodzić w oczach Saltiniego.

– Nie jestem bynajmniej zaskoczony. Muszę już pana pożegnać. Mam bardzo wiele roboty, a kiedy zajrzy pan do swoich akt, przekona się pan, że nadliczbowi kandydaci, którym pozwoliliśmy zapisać się na pański kurs, mogą przysporzyć panu kłopotów.

Rozłączył się, zostawiając mnie sam na sam z moimi nerwami.

Dotąd nie sprawdzałem, ilu słuchaczy się zapisało, a ilu chciało to zrobić. Sądziłem, że interes będzie się rozkręcał powoli, i na początek planowałem najwyżej dwunastoosobowe klasy.

Zajrzawszy do odnośnego pliku, przekonałem się, że jeszcze przed minutą, nim Saltini dopuścił resztę kandydatów, w żadnej klasie nie miałem więcej niż pięciu słuchaczy, a łącznie było ich dwudziestu jeden.

W pliku zatrzymanym przez Saltiniego znajdowały się dwieście sześćdziesiąt cztery osoby.

To była niewiarygodnie wielka liczba. Gdybym wiedział o tym wczoraj, podzieliłbym klasy na sekcje i wprowadził rotację, by móc przyjąć wszystkich. W efekcie musiałem poświęcić cały dzień na ułożenie planu zajęć. Nie ulegało też wątpliwości, że przynajmniej przez kilka pierwszych miesięcy mój dzień pracy będzie bardzo długi, a na dodatek będę musiał płacić Aimericowi i Bieris wymagane przez prawo premie za dodatkowe lekcje, które poprowadzą.

Gdybym wiedział o tym przed dwudziestoma czterema godzinami...

Nie mogłem uwolnić się od myśli, że tego właśnie chciał Saltini.

– Oczywiście – przyznał mi rację Thorwald, gdy zrobiłem sobie później dziesięć minut przerwy, by mu pokazać, jak ma utrzymywać porządek w sali pojedynkowej. – Dziwię się, że zaszedłeś tak daleko i spędziłeś tu tak wiele czasu, nie wpadając na Saltiniego przynajmniej parę razy. No wiesz, na tym polega jego robota.

– Na tworzeniu chaosu?

Thorwald popatrzył na mnie, jakby chciał coś rozstrzygnąć.

– Wszyscy znają wielebnego Saltiniego – powiedział cicho. – Prędzej czy później, każdy musi załatwić z nim jakiś rutynowy interes. Wielu ludzi sądzi, że tak naprawdę jest on syntelektem podłączonym do wizualnego symulatora czasu rzeczywistego, ja jednak uważam, że to żywy człowiek. – Thorwald nie patrzył na mnie. Równie dobrze moglibyśmy kontynuować rozmowę o zamiataniu podłogi oraz różnych ustawieniach jej elastyczności, potrzebnych do *Id hara do*, *ka-tajutsu*, szermierki i stylu wolnego. – Jeśli chcesz o nim porozmawiać, staraj się nie okazywać podniecenia. Monitory wykrywają napięcie w głosie i jeśli będziesz podekscytowany, jest znacznie większa szansa, że przyciągniesz ich uwagę.

Zdałem sobie sprawę, że chce mi w ten sposób powiedzieć, iż w pomieszczeniu jest podsłuch. Czuję się tak, jakbym uczestniczył w jakimś groteskowym ćwiczeniu w szkole aktorskiej, odgrywał scenę rozgrywającą się setki lat przed powstaniem Tysiąca Kultur, być może podczas jednej z czterech wojen światowych albo trzech zimnych wojen, które

poprzedziły racjonalne zorganizowanie ludzkości. Nie mógłbym być bardziej zaskoczony, nawet gdyby ostrzegali mnie przed czarownicami.

Najwyraźniej jednak mówił poważnie. Z trudem przełknąłem ślinę, starając się rozluźnić mięśnie gardła.

– Słucham – powiedziałem.

– No więc – zaczął – on wierzy w to, co mówi. Albo, jeśli rzeczywiście jest syntelektem, ktoś wierzy w to, co on mówi. To element doktryny. Rynek, jako jedyny prawdziwy instrument Boga, pokaże, kto jest, a kto nie jest dobrym człowiekiem. Zadaniem Saltiniego jest dopilnować, by tak się stało. By osiągnąć ten cel, ma prawo zrobić praktycznie wszystko. Wystarczy? Nie mam ochoty mówić na ten temat zbyt długo.

Nie dodał już nic więcej. Po chwili wróciliśmy do rozmowy o sali pojedynkowej, a potem o regularnym pastowaniu podłóg, które będzie konieczne w sali tanecznej.

Gdy wróciłem na górę, zastałem tam sto pięćdziesiąt osób oczekujących na rozpoczęcie nauki podstaw okcytańskiego. Podzieliłem kandydatów na trzy sekcje, które nadal były za duże, i zrezygnowałem z paru obiadów tygodniowo, by móc obsłużyć wszystkich.

Jak dotąd potwierdzała się opinia Thorwalda: jedynym kursem, którego nie trzeba było dzielić na sekcje, był kurs sztuki pojedynku. Nie potrafiłem sobie wyobrazić ludzi, którzy nie chcieliby się nauczyć walczyć, czy którym umiejętność władania bronią nie dodawałaby pewności siebie. Ci jednak byli właśnie tacy.

Gdy wreszcie uporałem się z administracyjnymi bzdurami, zrobiło się późno, byłem więc bardzo zadowolony, że mam mieszkanie w ośrodku i nie muszę jechać na farmę Bruce'a, zwłaszcza że rano wczesnym rankiem czekała mnie praca dla Aimerica.

Gdybym wiedział, że wrócę tam dopiero za sześć dni, mógłbym wówczas dać za wygraną i po prostu się rozplakać. Zamiast tego kazałem dostarczyć do ośrodka nowe ubrania, żeby móc jutro założyć coś czystego i przyzwoitego, po czym położyłem się spać.

Po kilku dniach nauczania sporządziłem notatki o wszystkich tych buntownikach i wyrzutkach, którzy tak bardzo niepokoiли wielebnego Saltiniego.

Po pierwsze, co do jednego byli bardzo potulni. Wydawało się, że lubią nudny dryl, któremu ich poddawałem, powtarzanie moich słów i wkuwanie na pamięć rozmówek po okcytańsku. (*Jio die, donz*". *Bo die amico, patz a te*". Powtarzając te słowa po raz setny tego samego dnia, zaczynałem się zastanawiać, czy przerzucanie gówna nie ma jednak jakichś zalet, których dotąd nie dostrzegałem). Żadne z nich nie lubiło improwizowanej konwersacji,

choć wielu potrafiło już czytać po okcytańsku.

Na zajęciach z poezji nikt nie chciał kontynuować dyskusji, gdy uzgodnili już „poprawną” interpretację. Prozodia stanowiła dla nich bełkot, chyba żeby traktować ją jako zbiór reguł, jak przy rozwiązywaniu krzyżówek. Jeśli chodzi o malarstwo, mieliśmy kilku niezłych kreślarzy, ale według Bieris tylko Thorwald potrafił naprawdę malować.

Z muzyką było albo najlepiej, albo najgorzej. Po krótkim zetknięciu się z okcytańską formą tej sztuki dwie trzecie kandydatów postanowiło przenieść się na inny kurs lub poprosić o zwrot pieniędzy. Jeśli chodzi o pozostałych, problem polegał na tym, że Kaledonia stworzyła własną muzykę.

Na tutejszych festiwalach, którym nadawano wielki rozgłos, nie było żywych widzów. Wykonawcy siedzieli w dźwiękoszczelnym budkach i próbowali odtworzyć na żywo „idealną” wersję, wygenerowaną przez synteleft na podstawie partytury. Trzy inne syntelefty porównywały z nią ich wykonanie i wystawiały ocenę, odejmując punkty za każde odchylenie od wzoru.

Większość słuchaczy przyprawilem o szok już pierwszego dnia, wspominając o improwizacji, lecz tym, którzy pozostali, owa myśl najwyraźniej zbyt nie przeszkadzała. Mieli przynajmniej intuicyjne wyobrażenie, że spisana partytura nie jest jeszcze wszystkim, nawet jeśli w pełni wykorzystuje się skomplikowane znaki diakrytyczne, których używano w kale-dońskiej muzyce.

Zbijała ich jednak z tropu myśl, że powinni „czuć, jak to ma brzmieć”. Powtarzałem im to z tuzin razy na każdej lekcji gry na lutni, marnując w ten sposób cały przeznaczony na nią czas. Widziałem, że to zbyt nie pomaga, nie przychodziło mi jednak do głowy nic innego.

– Posłuchajcie teraz – powiedziałem i zacząłem grać. – To smutny nastrój z odrobiną melancholii, domieszką słodkiego żalu, *comprentz, companhol* A teraz zagram to samo żywiej. Zwiększę tempo i może nawet zacznę synkopować.

Siedemnaście par oczu – wszyscy słuchacze, którzy nie zrezygnowali z zajęć, łącznie z Thorwaldem, który siedział tu tylko dlatego, że udawał, iż mi pomaga – wpatrywało się we mnie z uwagą, jakbym był obiektem doświadczalnym w laboratorium psychologicznym, który właśnie popadł w obłąd i zjadł poręczę jednego z foteli.

– Co usłyszeliście? – zapytałem, starając się, by w moim głosie nie ujawniła się desperacja.

– Pierwszy kawałek był wolny. Drugi szybki – odparła pękata blondynka (miała na imię Margaret). Czekałem, aż usłyszę coś więcej, wyglądało jednak na to, że było to już

wszystko, co miała do powiedzenia. – Nie rozumiem, jak mamy poznać, czy muzyka jest smutna, czy nie, dopóki nie usłyszymy słów.

To przynajmniej podsunęło mi pewien pomysł.

– Pozwólcie, że wykonam jeden utwór. Nie, dwa utwory.

Najpierw zagrałem i zaśpiewałem *Canso de Fis de Jovent* w terstadzkiem tłumaczeniu. Pochlebiałem sobie myślą, że niektórzy ze słuchaczy wyglądają na wzruszonych. Potem przerzuciłem się nagle na sprośne *Canso de Fis de Potentz* (albo „I nigdy już nie stanął”, jak brzmi to w przekładzie).

– To ten sam zestaw nut – podkreśliłem, skończywszy grać przy akompaniamencie śmiechu Margaret, Thorwalda i wysokiego, muskularnego faceta imieniem Paul. Większość pozostałych słuchaczy sprawiała wrażenie zawstydzonych. – I co możecie o tym powiedzieć?

– Pierwszy utwór jest smutny i powolny. Drugi szybki i zabawny – odpowiedziała Margaret. – Ale nie wydaje mi się, żeby to tempo określało ich nastrój. Chodzi o opisywaną w nich sytuację.

Zaśpiewałem pierwszą zwrotkę *Canso de Fis de Jovent* w rytmie „I nigdy już nie stanął”.

– Hmm, to już nie było takie ładne – odezwał się Thorwald po długim wahaniu.

Paul skinął głową na znak poparcia.

– Jedno nie pasowało do drugiego.

– O to właśnie chodzi – stwierdziłem. – Muzyka i słowa mogą do siebie pasować albo nie. A kiedy już zrozumiecie, że w piosence można w ten sposób wyczuć nastrój, słowa przestają być potrzebne, zgadza się?

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

– Myślę, że to samo można by zrobić z niektórymi z naszych utworów – odezwała się niepewnie Valerie, wysoka, smukła dziewczyna, która sprawiała wrażenie trochę nieśmiałej. – To byłoby nawet dość interesujące.

Pozostali słuchacze odwrócili się i wlepili w nią wzrok. Miałem ochotę stłuc wszystkich do nieprzytomności, a potem porozmawiać sobie spokojnie z Valerie.

– To zasada, którą można rozszerzyć – powiedziała jednak, nim zdążyłem otworzyć usta w jej obronie.

– Jak by to brzmiało? – zapytał Thorwald. – To znaczy, jak mogłabyś zrobić coś takiego z piosenką nie mającą słów, które powiedziałyby ci, jaki jest jej nastrój?

Valerie wskazała na ścianę, gdzie na półce leżała moja gitara. Skinąłem głową. Nie

wiedziałem, co chce zrobić, pragnąłem jednak, by ktoś, ktokolwiek, uczynił na tym zimnym świecie coś spontanicznego. Wstała i podeszła powoli do instrumentu. Wszyscy się w nią wpatrywali, a przynajmniej ja z pewnością to robiłem. Nagle zauważyłem, jak wielkie wydają się jej ciemne oczy w zestawieniu z czarnymi jak noc, krótko przystrzyżonymi włosami. Zadałem sobie pytanie, jak by to było, gdybym w nie spojrział, jednocześnie obejmując dłońmi jej szczupłą talię.

Wzięła gitarę i wróciła na taboret. Przebiegła palcami po strunach, by sprawdzić, czy instrument jest nastrojony, skinęła z uznaniem głową i spróbowała bezgłośnie zagrać kilka akordów. Całą uwagę skupiła na swej lewej dłoni.

Chciałem ją ostrzec, że to męska gitara, zauważyłem jednak, że paznokcie ma obcięte krótko jak mężczyzna. Rzecz jasna, u tutejszych kobiet widywało się to bardzo często, gdyż wiele z nich pracowało na farmach albo przy obsłudze maszyn, niemniej jednak poczułem się rozczarowany, widząc kolejny uszczerbek na jej urodzie.

Zaczęła grać. Z początku było to zwykłe arpeggio, podstawowa, czteroakordowa sekwencja flamenco. Wykonanie było precyzyjne, ale nie wyróżniało się niczym szczególnym. Wtem zaczęła szarpać struny mocniej i gwałtowniej, wręcz staccato. Zwalniając tempo, melodia nabrała posępnego, żalobnego nastroju, który jak nic innego wyrażał ducha Nansena. Słyszając ją, pomyślałem o surowych ludziach, stawiających czoło zimnym wichrom, i gęstych jak syrop, zamarzających morzach, których fale rozmywały nagie, skaliste kontynenty. Była cicha i skromna jak Bruce, bezlitosna jak wielebny Carruthers, pusta i wspaniała jak szczyty Gór Optymalnych i pełna zaskakującego piękna jak Bramowa Tęcza wylaniająca się z mgły Wyłomu.

Słyszając tu coś podobnego, poczułem się wzruszony i wstrząśnięty.

Kiedy skończyła, salę wypełniła wrzawa. Wszyscy mówili bardzo szybko, a kilkoro po rozumnemu. Nic z tego nie rozumiałem.

– *Patz, patz, companho!*

Wszyscy się odwrócili i popatrzyli na mnie, a potem spoglądali po sobie. W całym pomieszczeniu nagle zapadła cisza.

Musiałem teraz się zastanowić, co mam powiedzieć.

Zaczerpnąłem głęboko tchu. W sali śmierdziało potem i gniewem.

– Czy zechcielibyście mi wytłumaczyć, o co te krzyki? Przyznaję, że utwór był piękny i nadzwyczajny. Nigdy nie słyszałem niczego *bellazor*, piękniejszego! *M'es vis*, że mamy wśród nas prawdziwą artystkę, prawdziwą *trobadore*!

Valerie cały ten czas siedziała z gitarą na kolanach, wpatrzona w podłogę, teraz

jednak uniosła wzrok, jakby zdumiała ją moje słowa. Zauważyłem, że mimo młodego wieku skórę ma poraną bruzdami od ultrafioletowego promieniowania i zimnych wichrów, ale te wpatrzone we mnie lśniące oczy, głębokie i czarne jak sam kosmos – *deu!*

– Panie Leones, nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z okcytańską muzyką – odezwał się bardzo cicho Paul. – A już zupełnie nie rozumiem, co podobne wykonanie... no więc, jeśli uważa pan, że muzyka powinna być jakimś emocjonalnym porywem albo, hmm, czymś w tym rodzaju, to jest to zupełnie irracjonalne! Co będzie, jeśli ona tak zagra na konkursie? Wiem, że pan o tym nie słyszał, ale Valerie startuje w tym roku, w Ogólnokaledońskim Konkursie Solistów, a to jest obowiązkowy utwór. Nie powinna grać go w ten sposób. To może zaszkodzić jej występowi.

Wszyscy znowu zaczęli się przekrzykiwać. Tym razem jeszcze więcej osób posługiwało się rozumnym. I po raz drugi, gdy udało mi się przyciągnąć ich uwagę, natychmiast zaległa przerażająca cisza.

– Niech ktoś przynajmniej wyjaśni mi, o co chodzi – zażądałem. Choć myślałem najszybciej, jak tylko potrafiłem, wiedziałem, że to nie wystarczy. – Czy komuś podobało się wykonanie Valerie? Nie, proszę już nie krzyczeć... – Zaczynałem żałować, że nie mam przy sobie szpady, która pomogłaby mi zaprowadzić porządek. – Będziemy głosować przez podniesienie rąk. Komu się podobało?

Około jednej trzeciej słuchaczy uniosło ręce.

– A komu się nie podobało? – Mniej więcej taka sama liczba rąk powędrowała w górę. – A ilu z was chodziło o coś zupełnie innego i tylko przypadkowo znalazło się w sali w tym samym czasie?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i napięcie opadło. Przyjrzałem się tym lekko zawstydzonym ludziom, z których większość wciąż trzymała w dłoniach lutnie, i uderzył mnie dziwny fakt: prawie wszyscy byli w moim wieku albo młodszy. Choć serce waliło mi jak szalone, starałem się mówić cicho i łagodnie.

– *M'es vis*, że tylko Valerie ma prawo decydować, co jest dla niej ważne. To ona jest prawdziwą artystką. Jak uważasz, Valerie, czy to wykonanie ci zaszkodziło?

Spuściła wzrok. Jej brązowa twarz skryła się w cieniu, nabierając ciemniejszych barw. Poczulem się zdegustowany widokiem białej skóry głowy, przeświecającej między ciemną, krótką szczecina jej włosów.

– Nie, panie Leones, nie uważam. W domu na ogół gram ten utwór właśnie tak jak teraz. Robiłam to już na długo przed pana przybyciem. Po prostu brakowało mi dotąd słów, żeby to opisać.

Paul był wyraźnie oszołomiony.

– Valerie, dlaczego robiłaś coś takiego?

Odwrociła się od niego, odniosła swoją gitarę na półkę i położyła ją tam ostrożnie.

– W ten sposób brzmi to właściwie. Uważam, że jestem lepszym muzykiem niż syntelekt.

– Nic mi o tym nie mówiłaś!

Sprawa miała wrażenie głęboko urażonego.

– Nie rozmawiałam o tym z nikim, poza wielebnym Saltinim, oczywiście.

Paul wciągnął głośno powietrze.

– Słyszeli cię przez monitory, a ty nadal to robiłaś?

Skinęła głową.

– Jak już mówiłam, to jest właściwe brzmienie.

Rwetes, jaki nastąpił poprzednio, był niczym w porównaniu z tym, który rozległ się teraz. Nie słyszałem tak wielu gniewnych obelg od nocy śmierci Raimbauta. Krzyczeli prawie wyłącznie po rozumemu, nie tylko więc nic nie pojmowałem, lecz na dodatek ich słowa miały szczególnie irytujący rytm, zupełnie jakby wszyscy straszliwie się jękali.

– *Patz! Pati marves!* – wrzasnąłem nagle, jakbym był zmuszony do powstrzymania bójki albo pojedynku. Stałem na samym środku sali, starając się kierować gniewne spojrzenie we wszystkie strony naraz.

I znowu zapadła ta przerażająca cisza. Tym razem wszyscy pochylili głowy i zaczerwienili się, jakby przyłapano ich na jakiejś straszliwej zbrodni.

– Bardzo pana przepraszamy – odezwał się Prescott Diligence, niski, rudowłosy chłopak, syn pastora czegoś tam. Widziałem jego matkę w Radzie Racjonalizatorów, gdzie siedziała w małej grupce nietwardogłowych. – Te emocje są zupełnie niestosowne.

Rozejrzawszy się po sali, zauważyłem, że Thorwald i Margaret zwiesili głowy jak zbite psy, Paul szurał nogami po podłodze, a Valerie popłakała się ze wstydu. Po raz pierwszy tego dnia naprawdę się rozgniewałem.

– Kazałem wam się uspokoić, bo chciałem, żebyście mogli się słyszeć nawzajem. Jestem waszym nauczycielem i na tym polega moja praca. Nie pozwolę jednak, żebyście mnie przepraszali. Nie macie czego się wstydzić. Sztuka, czysta, surowa, wstrząsająca sztuka, jest jedynym naprawdę uzasadnionym powodem do walki.

Usłyszałem cichy śmiech Raimbauta dobiegający z jakichś neuronów, które spędziły zbyt wiele czasu w jego towarzystwie. Sam znacznie częściej walczyłem dla *enseingnamen* albo nawet dla czystego dreszczyku emocji. Odsunąłem od siebie tę myśl.

– Daliście tylko wyraz swym szczerym reakcjom na to, co zrobiła Valerie. Macie do nich prawo. Są wasze. Nikomu i niczemu nie wolno wam mówić, co powinniście czuć.

Powiedziałem to prosto w twarz Prescottowi, przyprawiając go o zdumienie i szok. Stłumiłem dziecinną chęć pokazania mu języka.

– Będę wyrażał się jasno. Dla niektórych z was najważniejsze jest, że Valerie, wykonując powszechnie znany utwór, nadała mu postać silnie i bezpośrednio oddziałującą na wasze uczucia. Jesteście pod wrażeniem, ponieważ nigdy dotąd nie zetknęliście się z czymś podobnym. Dla innych Valerie swymi emocjami skaziła klasyczną formę. O to właśnie się kłóciliście i jest to bardzo ważna sprawa. Chodzi o to, kim jesteście i jaką rolę macie odegrać w otaczającym was świecie. To oczywiste, że spór jest gwałtowny. Jak mogłoby być inaczej?

W pomieszczeniu panowała głęboka cisza. Prescott wyraźnie nie miał ochoty się ze mną spierać, usiadł więc na swoim miejscu. Odzyskałem już panowanie nad sobą i miałem nadzieję, że skłoniłem go do zastanowienia, a nie po prostu obraziłem. Wszyscy pozostali wydawali się jeszcze bardziej zawstydzeni niż wcześniej. Udało mi się powstrzymać przed westchnieniem czy jękiem irytacji.

– No dobra, wracajmy do lutni – powiedziałem. – Prescott, teraz ty. Zagraj mi „Dzikich rabusiów z Serras Vertz”.

Wydawało mi się, że słyszę w jego grze odrobinę pasji. Pochwaliłem go trochę, nim zdałem sobie sprawę, że uzna to tylko za kolejne upokorzenie. Zakończyłem szybko zajęcia, po czym pozwoliłem sobie na to, by pójść do pokoju i napisać bardzo długi list do Marcabru, opisując Kaledonię jako kulturę, w której artystów dusi się po urodzeniu, a ludzie pozbawieni uczuć karzą wszystkich, którzy odważą się je

okazywać, i tak dalej. Wysłałem go, nim zdążyłem pomyśleć o złagodzeniu tonu.

Marcabru nie pisał do mnie od dziesięciu dni. Jeszcze przez co najmniej dwa dni nie miałem znaleźć czasu na to, by wrócić do Bruce’a. Nigdy w życiu nie czułem się bardziej samotny.

Kilka dni później Aimeric wygłosił swój referat. Bieris i ja na jego polecenie robiliśmy użytek ze wskaźników, a członkowie Rady siedzieli poważni i pogrążeni w milczeniu, kiwając od niechcienia głowami, gdy przechodził do kolejnego punktu – z wyjątkiem Clarity Peterborough, która potakiwała nieustannie i z wielkim entuzjazmem.

Gdy Aimeric skończył, nastąpiła bardzo długa cisza.

Wreszcie z miejsca wstał Carruthers, który rozejrzał się po sali.

– Chyba mogę w imieniu wszystkich tu obecnych przyznać, że pański referat był bardzo pożyteczny, panie de Sanha Marsao – zaczął. – Chodzi o wyjątkowo ważne problemy. Chciałbym, żebyśmy przenieśli się do innego pomieszczenia, by je przedyskutować. Wielebna Peterborough, sądzę, że zechce pani pozostać z naszymi gośćmi.

Wszyscy wstali i wyszli, zostawiając wielebną Peterborough i ambasadora Shana, którzy ruszyli za nami do jednej z małych salek tak zawstydzeni, że wcale się nie odzywali ani nawet nie podnosili wzroku.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Peterborough najwyraźniej dopadł atak sielankowego nastroju.

– Tak mi przykro, że w większości pokoi nie ma tu okien – oznajmiła. – To głupie, bo dzienne światło wyglądałoby radośniej. Ale pewnie nie chcą marnować energii, a radości nie cenią. Chyba dobrze by było wypić coś ciepłego.

Włączyła maszynę, żeby zrobić wszystkim kakao.

– I jak wypadliśmy? – zapytał Aimeric spokojnym, obojętnym tonem, jakiego zawsze używał przed naprawdę niebezpieczną walką.

Nim mu odpowiedziała, wręczyła wszystkim kubki gorącego, pianistego płynu.

– Wiesz, wolałabym, żeby było więcej protestów. Żeby próbowali cię zakrzyczeć.

– Ojciec siedział bez ruchu, ale sądząc po tym, co powiedział później, z pewnością słyszał każde słowo.

– Tak jest. – Pastor dmuchnęła z westchnieniem na kakao, po czym przełknęła powoli jeden łyk. – Nie jestem pewna, czy mam ochotę zgadywać. Fakt, że mnie pominęli, zapewne nie wróży dobrze. To znaczy, że pewnych punktów widzenia po prostu nie zechcą wziąć pod uwagę. Z drugiej jednak strony, twój ojciec chyba naprawdę słuchał uważnie, uwierzył w twe słowa i zrozumiał ich implikacje. W tym tkwi nasza nadzieja.

– Za cholerę nie rozumiem tej przeklętej kultury – warknął Shan. – Jeśli zrozumieli Aimerica, to czym się pani tak martwi?

– No więc... hmm... – zaczęła Peterborough. – No, ale może to nie jest taka zła wiadomość – dodała po trochę zbyt długiej przerwie.

– Problem polega na tym, że zrozumieli wszystko bardzo szybko i natychmiast to zaakceptowali – wtrącił Aimeric. – Gdyby doszło do sporów, moglibyśmy nakierować ich myśli na nasz punkt widzenia. W obecnej sytuacji nie można wykluczyć niczego. Mogą wybrać kurs, który zasugerowałem, ale mogą też zdecydować się na coś zupełnie niewykonalnego.

– A więc właściwie nie oczekuje pan rozsądnej reakcji – zauważył Shan.

Pociągnąłem za duży łyk kakao i płyn poparzył mi przętyk. Oczy zaszyły mi łzami i przez chwilę nie mogłem zaczerpnąć tchu. Gdy już sobie z tym poradziłem, usłyszałem słowa Peterborough:

– O to właśnie chodzi. Są tak przejęci logiką i rozumem, że zdrowy rozsądek do nich nie dociera.

Shan potrząsnął gwałtownie głową, jakby chciał wysypać z niej jakiś pomysł.

– To znaczy, że możliwa jest jakiegoś rodzaju katastrofa, ale ponieważ tubylcy sami ją na siebie ściągną, nie ma to znaczenia.

– Dla nich ma – sprzeciwiła się Bieris. – Nie będą kierować się czyimiś wytycznymi, jeśli nie mają one nic wspólnego z całym ich dotychczasowym życiem. Bez względu na to, co wymyślą, czy będzie to skuteczne, czy nie, potrzebne jest kaledońskie rozwiązanie.

Z zapalem pokiwałem głową, zaskoczony tym, że się z nią zgadzam.

– Tysiąc Kultur podobno opiera się na zasadzie stanowiącej, że każdy może postępować po swojemu. Trzeba pozwolić ludziom na znalezienie własnych rozwiązań, nawet jeśli okażą się one błędne. Zresztą, czy w Occitan nie wydarzyło się coś podobnego?

Aimeric skinął głową.

– To prawda. Ale tam chodziło tylko o dystrybucję przysyłanej pomocy. Musieliśmy im wytłumaczyć, że jeśli nasz system ma działać zgodnie z planem, niezbędne jest, by szlachta miała wyższe dochody niż nisko urodzeni. Tutaj chodzi o coś więcej niż podział otrzymanych w ramach pomocy dóbr, a mianowicie o to, co, gdzie i w jaki sposób powinno ich zdaniem płynąć. Bardzo wiele przestarzałych koncepcji ekonomicznych, które gdzie indziej zniknęły przed stuleciami, stanowi tu element doktryny. Dlatego właśnie mają tu rynek, który opiera się na szpiegowaniu konsumentów i wydawaniu im rozkazów, a także cały ten pogląd, że transakcje gotówkowe stanowią jedyną moralnie dopuszczalną postać

społecznych interakcji. Podejrzewam, że jakąś jedną czwartą rzeczywistego budżetu poświęcają na sterowanie gospodarką w taki sposób, by sprawić wrażenie, że ich dogmaty są prawdą. Tak czy inaczej, wkrótce wyrwie się ona spod tego typu kontroli i nie ma mowy, żeby Rada dała im pieniądze na podtrzymywanie podobnej fikcji.

– Ale to element ich widzenia świata i mają prawo... – zaczęła Bieris.

– Nie chrzań. Ludzie, dla których zasady są ważniejsze od ludzi, są ludźmi, którzy nienawidzą ludzi. Nie chodzi im o to, by rozwiązanie było skuteczne. Ono tylko ma być słuszne... możliwe nawet, że woleliby, żeby okazało się bolesne.

Bieris splotła ciasno ręce na piersiach.

– Czy ludzie nie mają prawa do popełniania błędów? – zapytała.

– W zasadzie mają. W praktyce jednak cierpią nie ci, którzy podejmują decyzje. Jeśli uda nam się ich przekonać, by nie popełniali tego błędu, wyjdzie to na dobre wszystkim. Nie widzę powodu, by mieli robić użytek ze swego prawa do głupoty, krzywdząc całe mnóstwo niewinnych osób.

– W pewnym sensie, każde rozwiązanie, na które się zdecydują, po pewnym czasie okaże się „skuteczne”, bo za jakieś sześć, siedem lat gospodarka powinna odzyskać równowagę – przerwała mu Peterborough. – A nawet jeśli twardogłowi chcą udawać, że nic się nie zmieniło od czasów uchwalenia karty Wolnego Państwa Kaledonia, sprawy wyglądają dziś inaczej. Na przykład, nawet jeśli podejmą najgorsze wyobrażalne decyzje, nikt nie umrze z głodu czy zimna.

Ktoś zapukał do drzwi i jako znajdujący się najbliżej niższy rangą pracownik, wstałem i poszedłem je otworzyć. Do środka, bardzo cicho, wszedł Carruthers.

– Jestem ci winien przeprosiny – powiedział do Aimerica. – Podane przez ciebie liczby okazały się całkowicie zgodne z prawdą. Rozumiem też w części twój emocjonalizm, bez względu na to, co sędzę o jego demonstrowaniu. – Aimeric kilkakrotnie podniósł głos, a raz uderzył pięścią w stół, by podkreślić swe słowa. – Byłem z ciebie bardzo dumny – dodał przewodniczący po długim wahaniu. Odchrząknął i mówił dalej: – Poświęćmy na debaty i modlitwy tyle czasu, ile okaże się konieczne, będziemy więc musieli skontaktować się z tobą w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że nie przysporzy ci to kłopotów?

– Ni – odparł Aimeric. – Za to właśnie płaci mi Rada Ludzkości. Możecie się do mnie zwrócić w każdej chwili.

Carruthers odwrócił się szybko od niego.

– Wielebna Peterborough, pozwól, bym cię przeprosił za to, że cię pominąłem. Popełniłem błąd. Może okażesz się na tyle uprzejma, że nie tylko przyłączysz się do naszych

debat, lecz również zdasz z nich później relację ambasadorowi Shanowi? – Nie czekał na jej odpowiedź. – To już chyba wszystko.

Carruthers wyszedł. Peterborough podażyła za nim. Spojrzała jeszcze za siebie, by pożegnać nas ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion i uniesieniem brwi, po czym zamknęła drzwi.

Gdy jechaliśmy kotem do domu, ciszę mącił tylko warkot napędzanych poduszkami magnetycznymi gąsienic oraz cichy zgrzyt żwiru pod pojazdem. Prowadziłem ja, co dało mi pretekst do zwrócenia uwagi na drogę i zapomnienia o uczuciach Aimerica.

– Ojciec powiedział, że był z ciebie dumny – odważyła się napomknąć Bieris, gdy pokonaliśmy już dwie trzecie trasy do Sodomskiej Bramy.

– To nie znaczy więcej niż przeprosiny, których udzielił Clarity.

Na tym zakończyła się rozmowa. Nocą nie mogliśmy rzecz jasna liczyć na to, że zobaczymy Bramową Tęczę, a wschodzący księżyc również przesłoniły chmury. Droga na Sodomską Bramę wyglądała jak zawsze, to znaczy, że widzieliśmy niewiele, ale za to, gdy już coś dostrzeżliśmy, widoki były wspaniałe.

Bruce przygotował obfitą, naprawdę znakomitą kolację i zaprowadził nas natychmiast do stołu. Z jakiegoś powodu Ai-meric zrobił się jeszcze bardziej markotny, jakby zazdrościł przyjacielowi jego daru. To z kolei sprawiło, że Bieris stała się opryskliwa w stosunku do niego, a w rezultacie również wobec pozostałych. Szukałem jakiegoś pretekstu, który pozwoliłby mi ich przeprosić i pójść do siebie. Następnego dnia miałem jechać do Utilitopii, co znaczyło, że będę musiał wstać wcześniej, a już drugą noc z rzędu kładłem się późno. Nagle zabrzmiał kom Aimerica i mój przyjaciel odszedł od stołu.

Kiedy wrócił, był niespokojny i zatopiony w myślach.

– To był tata. Chcą, żebym już jutro stawił się na konsultacje. Wydaje im się, że wykombinowali jakieś rozwiązanie.

Giraut, będę się mógł z tobą zabrać? I czy to znaczy, że muszę wstać tak wcześniej, jak się tego obawiam?

– Na oba pytania odpowiedź brzmi: „tak”. Czy powiedział coś o tym ich rozwiązaniu?

– Nie, i to zły znak. Kiedy poznasz nas lepiej, przekonasz się, że Kaledończycy mówią innym rzeczy, których ci nie chcą usłyszeć, tylko prosto w twarz. Wracasz już do domku, Giraut?

– Miałem taki zamiar. – Wstałem. – Podwieźć cię? Bieris? Skinął głową i sięgnął po nasze płaszcze. Bieris potrząsnęła głową.

– Ja nie muszę wstawać wcześniej – odpowiedziała. – Pójdę na piechotę, kiedy księżyc będzie lepiej widoczny.

Podczas krótkiej jazdy do domku Aimerica, zauważyłem, że mój przyjaciel nadal jest nie w sosie.

– Czwarta rano – zapowiedziałem.

Mruknął coś pod nosem i wysiadł. Miałem ochotę zapytać go, o co chodzi, było już jednak późno i sprawa mogła poczekać do rana. Skierowałem kota do domu.

Nie do domu. Domem było moje stare mieszkanie w *Quar-tier*. Nie mogłem o tym zapominać.

Podczas jazdy do ośrodka udało mi się trochę pospać, gdyż prowadziliśmy na zmianę z Aimerikiem. W budynku kręciło się mnóstwo ludzi i Thorwald rozpaczliwie próbował wyciągnąć z nich informacje potrzebne do wypełnienia formularzy.

– Późne zgłoszenia – wyjaśnił. – Skoro byłem na miejscu, uznałem, że powinienem się tym zająć.

– Absolutna racja. Skąd się ich wzięło aż tylu?

– Och, wygląda na to, że PPP zatrzymał mnóstwo pozwoleń i wydał je dopiero dziś wczesnym rankiem. Dlatego do tłumu, który mieliśmy już wcześniej, dołączyło jeszcze trzydziestu ośmiu ludzi.

– Saltini? – mruknałem cicho.

– Chętnie bym zjadł jakieś śniadanie. Takie rzeczy tu się zdarzają, tak, chyba można by tak powiedzieć.

Nigdy nie miałem się przyzwycząić do tego, że mnie szpiegują, nie wspominając już o przejmowaniu się tym faktem; nie miałem jednak właściwie pojęcia, jak wielkie niebezpieczeństwo może grozić Thorwaldowi i pozostałym, porzuciłem więc ten temat.

Po jakiejś godzinie zarejestrowaliśmy już wszystkich kandydatów. Ku zgorszeniu Thorwalda, po wypełnieniu nielicznych wolnych miejsc na kursie tańca („To przynajmniej jest nieszkodliwe”), reszta zdecydowała się na ostatnią pozostałą możliwość – naukę sztuki pojedynku.

– Słyszałem, jak niektórzy z nich zapewniali, że są gotowi zabić, żeby tylko się tu dostać, ale nie sądziłem, że mówią poważnie – powiedział podczas śniadania, które pochłanialiśmy pośpiesznie przed czekającym nas długim dniem.

– Nikt nikogo nie zabije – zapewniłem go. Zachowywałem cierpliwość, gdyż przekonałem się już, że rankiem Thorwald zawsze narzeka i że to nie ma większego

znaczenia. W rzeczywistości należał do najsympatyczniejszych, najuprzejmiejszych i najbardziej rozrywkowych ludzi, jakich tu poznałem, był jednym z nielicznych, którzy wykazywali jakąkolwiek wrażliwość na kulturę i cywilizację. Po prostu, tak jak wielu innych, źle znosił poranki. – Nie będziemy nastawiać neuroinduktorów na maksimum, a tylko na mrowienie. Zresztą to przecież nie są prawdziwe szpady.

– To bardzo pocieszające – rzucił, mieszając ohydną maź z rozgotowanego zboża, którą tubylcy zwykli jadać na śniadanie (odnosiłem wrażenie, iż uważa, że w moim upodobaniu do ciasta i świeżych owoców jest coś beznadziejnie dekadentckiego). – Nikogo nie zabijają. Mogą sprawić ludziom ból, ale nikogo nie zabijają.

– To spora różnica – zauważyłem. – Myślę, że twoi krewni inaczej by zareagowali, gdybym cię zdzielił w ramię, a inaczej, gdybym uciął ci głowę.

Zachichotał.

– Ta, woleliby to drugie. W ten sposób uwolniłbyś ich ode mnie i za jednym zamachem potwierdził ich opinię o pozaświatowcach.

Wybuchnąłem śmiechem. Choć byłem zmęczony i niewyspany, czułem się dobrze, gdyż ranek był słoneczny. Kiedy słońce świeciło przez cały dzień, w Utilitopii robiło się niekiedy tak ciepło i sucho, że miasto zaczynało przypominać wyjątkowo brzydkie tereny fabryczne.

– Czemu się tak uśmiechasz? – zapytał Thorwald. – Myślisz o nowych sposobach zadawania bólu?

– Tylko tym, którzy tego chcą – odparłem. – Zresztą możesz się uspokoić. Kurs sztuki pojedynku w ciągu pierwszych dwóch tygodni przewiduje tylko *ki* i naukę padania. Na razie nie będzie prawdziwego bicia. Chyba powinieneś mieć więcej wiary w swych rodaków. Kiedy zaczniemy poważne, kontaktowe walki, zapewne wszyscy poczują taki niesmak i odrazę, że masowo wypiszą się z kursu.

– Chciałbym w to wierzyć. – Ziewnął i nalał sobie kolejny kubek kawy. – Wstałem dziś wcześniej i całe szczęście, biorąc pod uwagę ten nieoczekiwany napływ kandydatów. Zdażyłem wypucować maty i posprzątać w sali balowej.

– Znakomite tempo – pochwaliłem go. – Muszę lecieć do głównej sali. Za kilka minut zaczyna się lekcja podstaw okcytańskiego. Teraz chyba powinieneś się wziąć za odkurzanie i odelektryzowywanie powierzchni *vu*. Robiłeś to już kiedyś?

– Ta. Nim zacznę, sprawdzę jeszcze raz instrukcje robota. Nie chciałbym uszkodzić dzieła sztuki.

Być może powodem jedynie był dobry nastrój, w jakim zacząłem lekcje, ale wydały

mi się one tego dnia wyjątkowo zniechęcające. Sluchacze dobrze znosili proste powtarzanie (głównie koniugacje i deklinacje) i nie mieli większego problemu z radzeniem sobie z rozmówkami.

– *Bo die, donz.*

– *Bo die, donzelha. Ego vi que i'es bella, trop bella, hodi.*

– *Que merce, donz!*

Gdy jednak przyszła kolej na improwizowaną konwersację, zamienili się w kamień. Być może nie znaleźliśmy jeszcze interesującego dla nich tematu... może na lekcjach rozumnego, które miałem rozpocząć w przyszłym tygodniu, zapoznam się z jakimiś konwersacjami, które ich zaciekawia.

Po lekcji nie mogłem przestać o tym myśleć. Czując się głęboko sfrustrowany, zszedłem na dół, żeby zabrać Thorwalda na poranną rozgrzewkę. Jeśli miał być moim pomocnikiem na kursie sztuki pojedynku, musiał umieć więcej od słuchaczy i dlatego jedną z czterech wymaganych godzin pracy kazałem mu poświęcać na prywatne lekcje ze mną.

Obserwując jego ruchy, zauważyłem, że te zajęcia wiele go kosztują. Nie ulegało wątpliwości, że jest obolały, nie skarżył się jednak. Zapewne tylko ten ból przekonywał go, że to, co robi, można nazwać pracą.

Kiedy go znalazłem, uporał się już ze sprzątnięciem i właśnie się przebierał. Ja również szybko włożyłem strój i poszliśmy do sali gimnastycznej, żeby najpierw rozciągnąć trochę mięśnie. Mieliśmy dziś kontynuować *ki hara do* (na razie ćwiczenia w walce bez broni), które zaczęliśmy wczoraj.

– *Venez!* – zawołałem. – *Atz sang!* Atak na wewnętrzną nogę, pierwsza forma. Twarzą do lustra. *Uno, do, tri...*

Odkąd przybyłem na Nansena, piłem znacznie mniej alkoholu, a w dodatku ćwiczyłem trzy godziny dziennie – lekcje z Thorwaldem, klasa tańca i kurs sztuki pojedynku, wszystko to w przyciąganiu silniejszym o osiem procent. Dzięki temu szybko osiągnąłem formę, w jakiej nie byłem od czasu ukończenia szkoły. Wiedziałem, że pojedynek z dowolnym przeciwnikiem nie byłby dla mnie problemem. Wyglądało na to, że goją się nawet stare obrażenia pozostawione przez ciosy neuroinduktora. Przestało mnie boleć prawe ścięgno Achillesa, przecięte przez Rufe'u podczas bijatyki w barze, a neuroin-duktorowa blizna na czole, która została po starciu z dwoma pijanymi zawadiakami, zniknęła.

W niespełna pół godziny odbębniłem pełen zestaw podstawowych ćwiczeń. Rzecz jasna, narzuciłem bardzo ostre tempo, najważniejsza jednak była zawzięta determinacja Thorwalda, który chciał za wszelką cenę dotrzymać mi kroku.

– *Bo, bo, companhon!* – zawołałem, gdy skończył ćwiczyć. – Jak na człowieka, który nie chce walczyć, okazujesz stanowczo za dużo *espiritu*.

– Jeśli to jest okcytańskie słowo określające brak tchu, to masz rację – odparł. Pochylił się i wsparł dłonie na kolanach, dysząc ciężko.

Roześmiałem się, co go wyraźnie usatysfakcjonowało.

– No dobra, teraz przechodzimy do trudniejszej części – rzuciłem. – Stoczmy dziś małą walkę sparingową. Wiem, że to ci się raczej nie spodoba i że wolałbyś tego unikać, ale nie masz wyboru. Jeśli masz uczyć innych, musisz się do tego wszystkiego przyzwyczaić. Włożymy hełmy, rękawice i ochraniacze. Zaczniemy powoli.

Okazało się, że znaczenie słowa „powoli” jest względne. Minęło pięć minut, nim uznał, że ubiór ochronny jest wystarczająco zabezpieczony, a ochraniacz szczęki pasuje. Nagle jednak zerwał się z miejsca, gotowy zaczynać.

Krażyłem wokół niego, od czasu do czasu markując cios, by zachęcić go do podjęcia próby ataku. Pod pewnymi względami niechęć do walki okazała się dla niego korzystna. Bardzo wielu nowicjuszy daje podczas początkowych ćwiczeń upust agresji. Walą na oślep, nie zważając na to, co robią. Thorwald jednak był spokojny, cierpliwy i skupiony, a to najlepszy sposób, żeby się czegoś nauczyć.

Jego ruchy były szybkie, a mięśnie miał rozluźnione, tak jak go nauczyłem. Gdy prowokowałem go do spontanicznej reakcji, ruszał do ataku, jakby chciał wygrać. Doświadczenie i wyczucie prawdziwej walki zapewniały mi zdecydowaną przewagę i w starciu ze mną czy z jakimkolwiek innym okcytańskim mężczyzną w jego wieku Thorwald byłby bezradny jak kociątko, dostrzegałem jednak, że wkrótce się to zmieni.

Z czasem zacząłem odnosić wrażenie, że świetnie się bawi. Rzecz jasna, nie zamierzałem o tym wspominać, żeby go nie obrazić.

Gdy się zbliżyłem, by ponowić próbę ataku z prawej, odwrócił się błyskawicznie i zdzielił mnie w nos. Poczułem się, jakby eksplodowała mi twarz.

– *Patz!* – wydyszałem.

– Boli cię? – Miałem wrażenie, że Thorwald zaraz się rozplacze. – Krwawisz z nosa.

– To walka *atz sang, companhon*. Wygrałeś. – Próbowałem zmusić się do uśmiechu, ale chyba nie bardzo mi to wyszło, gdyż nos ciągle mnie bolał. – Muszę tylko iść do łazienki i spryskać trochę twarz zimną wodą.

Poblądł jeszcze bardziej.

– Może powinieneś pójść do lekarza?

Jeśli w *Nou Occitan* ktoś mówi coś takiego, to znaczy, że chce zasugerować, iż drugi

jovent jest hipochondrykiem albo maminsynkiem. Już przedtem byłem na niego wściekły z powodu głupiej reakcji na zwycięstwo w walce, żeby więc nie powiedzieć czegoś, co by go upokorzyło, odwróciłem się i pomaszerowałem do łazienki. Gdy obmywałem sobie twarz cudownie zimną wodą – i obmacywałem nos, by się przekonać, że chyba tylko się trochę odkształcił – za moimi plecami Thorwald zwracał śniadanie do toalety.

– Nic ci nie jest? – zapytałem wreszcie.

– Czy można się do tego przyzwyczaić? – zapytał, podchodząc do zlewu, by się umyć.

– Nawet to polubisz. To znaczy przelew krwi, nie rzyganie.

Zadrzał cały, ale potulnie podążył za mną do *dojo*, by się pokłonić. Co dziwne, gdy tam weszliśmy, wyprostował się nagle i przyjął dumniejszą postawę. Jego ukłon był dziarski i prawidłowy. Pierwszy raz wykonał go jak trzeba.

Cofając się od linii *senseia* po przyjęciu jego ukłonu, zerknąłem przypadkowo w górę.

Na galerii siedziały Margaret i Valerie.

Nawet tutaj, w Kaledonii, nic nie wpływało korzystniej na *enseingnamen* niż obecność *donzelh*. Musiałem przyznać, że Bieris miała trochę racji. Jeśli jednak spojrzeć na to w ten sposób, z jakiegoś powodu wydawało się to zabawne, nie obraźliwe. Gdy braliśmy prysznic, ledwie zdołałem się powstrzymać przed próbami dokuczania Thorwaldowi z tego powodu. Równie trudno było mi stłumić krzyk, gdy przypadkowo dotykałem nosa.

Miałem zamiar zostać w mieście, by dotrzymać towarzystwa Aimericowi, który planował nocleg w pokoju gościnnym w ośrodku, a także po to, żeby się kilka godzin przespać. Miałem już na miejscu sporo ubrań, nie było więc większego problemu. Nie martwiłem się zbytnio tym, że nocne życie Uti-litopii utrudni mi odpoczynek, gdyż, o ile się nie myliłem, składało się ono głównie z kazań. Dlatego, gdy późnym popołudniem, zajęty jakimś administracyjnym nonsensem, przekonałem się, że otrzymałem zaproszenie na „Wykonanie nowych dzieł kaledońskich artystów”, które miało się odbyć w mieście wieczorem, poczułem się zaskoczony.

Było to co najmniej intrygujące – kaledoński artysta kojarzył mi się z wystawą suchej wody albo ciężką próżnią. Możliwe też, że miał tam występować któryś z moich słuchaczy. Chciałem zapytać o to Thorwalda, ale zdążył już wyjść, zapewne więc miał coś wspólnego z tą sprawą.

Tak czy inaczej, było to niecodzienne wydarzenie i z pewnością nie chciałem, by mnie ominęło. Zakomowałem do Ai-merica i dowiedziałem się, że cały dzień siedział znudzony w ośrodku, odpowiadając na różne specjalistyczne pytania. Miał wielką ochotę wybrać się na kolację, a po ciężkim dniu ja również cieszyłem się na myśl o posiłku w Restauracji Numer Dziewiętnaście, którą mój przyjaciel uważał za najlepszy lokal w Utilitopii. Ustaliliśmy, że tam się spotkamy.

Zostawiłem kota na parkingu i pojechałem torowcem. Rozsiadłem się wygodnie, czerpiąc radość z szybkiej, bezgłośnej jazdy na strome wzgórze miasta. Przyszło mi do głowy, że z nastaniem skoczków Utilitopia naprawdę coś straci, a jeszcze niedawno mógłbym przysiąc, że temu miastu nic nie jest w stanie zaszkodzić. Restauracja Numer Dziewiętnaście zyskała tak dużą popularność, że drakoński podatek od przyjemności zmusił ją do przeniesienia się w miejsce odległe o niespełna dwieście metrów od bram Miejskiego Zakładu Przerobu Ścieków. Dzięki temu, przez czysty przypadek, rozpościerał się z niej wspaniały widok. Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób uzasadnili konieczność założenia okien, udało im się jednak tego dokonać.

Co jakieś trzydzieści sekund automatyczny głos przypominał mi, że „Odsunięcie żaluzji, gdy ogrzewanie jest włączone, to marnotrawstwo energii, sir”. Nie dałem się wyprowadzić z równowagi. Patrzyłem na promienie słoneczne Drugiego Południa, odbijające się w skutych lodem szczytach Gór Optymalnych. Nim opuszczę Nansena, muszę jakoś załatwić, żeby popróbować tam wspinać się.

Specjalność Restauracji Numer Dziewiętnaście nazywała się „gulasz pasterza”. Można to w przybliżeniu opisać jako „rozgotowane jarzyny i kawałki nie oczyszczonej z tłuszczu baraniny zalane przesolonym puree z ziemniaków”.

– Chyba przeradzałem się w tubylca – przyznałem się Aimericowi, nakładając sobie drugą porcję. – Mam wrażenie, że zaczyna mi to smakować.

– Po prostu się aklimatyzujesz. Przyzwyczajasz się do niższych temperatur – odparł. – Gdzie właściwie cię zaproszono? I kto przysłał zaproszenie? Chyba zmiany sięgają tu głębiej, niż mi się zdawało. Za moich czasów nic takiego się nie zdarzało.

– Nie wiem nawet, co mają wykonywać. Nazywa się to Okolicznościowy Wędrowny Kabaret. Zostało nam jeszcze półtorej godziny, możemy więc sobie tu posiedzieć, uporać się z deserem i trochę pogadać. Odkąd tu przybyliśmy, prawie wcale ze sobą nie rozmawialiśmy. Mieliśmy za dużo roboty.

Aimeric westchnął.

– Mało tematów do rozmów i dużo pracy. To właśnie uwielbiają Kaledończycy. Muszę przyznać, Giraut, że znosisz to lepiej, niż się spodziewałem.

Jego słowa sprawiły mi ból, przypomniały o ostatnim liście od Marcabru, który skarżył się, że piszę tak, jakbym był „nieznajomym o imieniu Giraut”.

Aimeric siedział chwilę bez słowa, przyglądając się, jak myślę. Wreszcie uśmiechnął się do mnie.

– Masz spuchnięty nos.

– Wypadek podczas walki z początkującym.

– Och.

Przypomniałem sobie, że przez jakieś dwieście standni po przybyciu na Wilsona był gniewnym, zasadniczym młodzieńcem, który na przemian to rzucał się z dziką zapamiętałością w wir okcytańskiego życia, to pogrążał się w agresywnym, nadąsanym moralizatorstwie. Był wówczas o cztery lata starszy niż ja teraz.

– Dzieciństwo tutaj musiało być zupełnie inne niż na Wilsonie – powiedziałem cicho.

– Ta. Zawsze sobie powtarzałem, że muszę być dorosły, a potem nagle zostałem *joventem*. Czułem się bardzo dziwnie. Po przybyciu do Nou Occitan przekonałem się, że wcale mi nie przeszkadza status dziecka. Gdybym nie dostał miejsca na statku, mógłbym skończyć jako duszpasterz, tak jak Bruce.

– Nadal nie załapałem, co właściwie robi duszpasterz – przyznałem.

– Zastępuje dorosłym rodziców. Mówi im, co jest dobre, a co złe, pociesza ich, gdy są przygnębieni, tłumaczy im świat

– wyjaśnił Aimeric, wruszając ramionami. – Zawstydz ich, by skłonili się ku dobru, i namawia do porzucenia złej drogi. – Westchnął. – Jeśli tę funkcję pełni ktoś dobry i porządny, jak Clarity, zapewne nie ma w tym nic złego. Pewnie dlatego jej kongregacja jest najliczniejsza w całej Kaledonii.

– Naprawdę? – zapytałem. – W takim razie, dlaczego ją dyskryminują? Dlaczego nie ma większej władzy w Radzie Racjonalizatorów?

– To rodzaj machinacji wyborczej, która działa automatycznie. Clarity ma tak liczną kongregację dlatego, że toleruje dysydentów, czego nikt inny nie robi. Cała ta grupa ma jednego reprezentanta, podobnie jak każda mała, ortodoksyjna kongregacja. Tata ma w swojej około trzystu ludzi, a Peterborough na pewno ponad dwieście tysięcy. Rzecz jednak w tym, że porządni, dobrzy duszpasterze, tacy jak Clarity, są wyjątkami. – Pociągnął kolejny długi łyk wina. – Z reguły kandydaci do tego zawodu kierują się ambicją i jak każda grupa ludzi wybierana tylko na takiej podstawie prezentują się raczej nieciekawie. To tak jak z chińskimi mandarynami, kolonialną administracją Imperium Brytyjskiego, prawnikami w dawnej Ameryce Północnej czy agencjami odbudowy po Rzezi. Mogą się wśród nich trafić przyzwoite osoby, które robią coś dobrego, ale jako klasa są amoralnymi, chciwymi pijawkami, maskującymi swą działalność sprytnymi kłamstwami.

Zaskoczyła mnie gorycz brzmiąca w jego głosie.

– To niedobrze, że mówię coś takiego – dodał. – Każdy, kto nas podsłucha i nie złoży donosu, może mieć kłopoty z wielebnym Saltinim, a nie chcę, żeby to kogoś spotkało. Nam, jako cudzoziemcom, nic oczywiście nie grozi, ale nie podoba mi się, że wykorzystujemy w ten sposób naszą pozycję. Chcę też, żebyś zrozumiał, że wiele spraw, które dla ciebie są tylko źródłem rozrywki albo zabawnym pomysłem, dla twoich słuchaczy może się okazać bardzo niebezpieczne.

– Co masz na myśli?

– Hmm, Kaledonia to nie Thorburg czy Fort Liberty. Tutaj nie torturuje się dysydentów ani ich nie więzi, jeśli o to się martwisz. Po prostu usuwa się ich poza nawias społeczeństwa. Heretycy przez całe lata nie mają nic poza nagim gniewem. Wykonują najgorsze prace i nie otrzymują w zamian nic poza najbardziej podstawowymi dobrami, a na domiar złego ignorują ich wszyscy poza innymi pełnymi gniewu świrami. Wreszcie pewnego dnia, zwykle po czterdziestce, zdają sobie sprawę, że ich życie nie jest nic warte i dalszy opór nie ma sensu, urządzają więc wielką, publiczną spowiedź, wyrzekają się błędów i z opóźnieniem zaczynają normalne życie. To znacznie skuteczniejszy sposób niż policyjne represje. Władze demonstrowają, że obrzucanie obelgami potrafią wytrzymać znacznie dłużej,

niż większość dysydentów jest w stanie znieść żywot niewidzialnych ludzi.

Zaczerwienił się. Zdałem sobie sprawę, że jest pijany. Wypił do kolacji mnóstwo wina, a z pewnością wychylił już parę kieliszków, nim się zjawilem.

Zaczął mi opowiadać o dawnych czasach, o przyjaźni z Bruce'm i Charliem. Ciągłe wspominał o fakcie, który wydawał mi się zaskakujący – Bruce był w młodości wcielonym diabłem i jedynym spośród trzech przyjaciół prawdziwym *to-szet des donzelhas*.

– To zupełnie nie pasuje do Bruce'a, którego znam – stwierdziłem, wysłuchawszy chyba już piątej opowieści o ich eskapadach. – No ale to było dawno.

– Chyba wciąż myślę o tym, dlatego... no cóż, może jestem kompletnym idiotą, ale gryzę się tym, że Bieris spędza z nim cały czas.

Czekając, aż Aimeric uniesie wzrok i znowu zacznie mówić, nalałem sobie kolejny kieliszek. Poczulem, że u podstawy kręgosłupa zapłonął mi mały, gorący ognik. Do mojego życia wracał dramat.

– Hmm – odezwał się wreszcie. – Chyba rozumiesz, co czuję. – Zamiast mi się zwierzyć, pokręcił tylko głową, wstał i strząsnął okrucy z ubrania, po czym z przesadną, pijacką dbałością poprawił strój. – Nie mogę demonstrować tubylcom utylitaryzmu – oznajmił z powagą. – Trzeba dbać o zachowanie pozorów, a zwłaszcza o styl.

Zaswędziało mnie na ten widok i również musiałem poprawić ubiór.

– Najbardziej żałuję tego, że to mój odlot na Wilsona mógł skłonić Bruce'a do zostania wielebnym – powiedział, gdy skończyłem.

Zamarłem bez ruchu, nie siadając. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

– Lepiej chodźmy już do tego kabaretu, jeśli chcemy znaleźć jakieś miejsca – stwierdził Aimeric. Było jasne, że chce zmienić temat. Gdy jednak brnęliśmy przez śnieg i pod wiatr do torowca, powiedział nagle: – Wiesz co, gdyby Bruce dostał darmowy bilet skoczkowy do Nou Occitan, zapewne przez sześć miesięcy ganiłby wszystko, co by tam zobaczył, po czym przeniósłby się nagle na Północne Wybrzeże i przyłączył do komuny neohedonistów. A po dwóch latach obaj wyglądalibyśmy na ten sam wiek.

Z nastaniem Drugiego Mroku znad morza nadciągnęła wyjąca burza. Odważyłem się zdjąć maskę dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się w torowcu i zamknęły się za nami drzwi.

– Dlaczego nie robią tych przystanków pod ziemią, pod budynkami? – zapytałem. – Dlaczego musimy gnać do nich przez deszcz ze śniegiem?

– Dlatego, że odległość między budynkiem a przystankiem jest za mała, by komuś mogło grozić prawdziwe niebezpieczeństwo, a zwykle niewygody dobry Kaledończyk powinien ignorować.

Gdy tylko zadałem to pytanie, zdałem sobie sprawę, że było głupie.

Torowiec zatrzymał się przy dużym, wielozadaniowym budynku. Okolicznościowy Wędrowny Kabaret okazał się „salą użyteczności publicznej”, wielkim pomieszczeniem, które każdy mógł wynająć na krótki okres w dowolnym, zgodnym z prawem celu. Młody mężczyzna, którego nie znałem, sprawdzał przybyłych za pomocą czytnika odcisków kciuka. Nim urządzenie mnie rozpoznało, minęło sporo czasu. Zapewne najpierw przejrzało całą ludność Kaledonii i Świętego Michała, a dopiero potem przeszło do zamieszkałych tu na stałe cudzoziemców.

– Widownia dziś dopisała? – zapytałem.

– Trudno wyczuć. Robimy to po raz pierwszy – odparł. – Ale już w tej chwili wyszliśmy na zero, nie ulega więc wątpliwości, że nie jesteśmy poważnie irracjonalni. – Powiedział to z mieszaniną entuzjazmu i ostrożnie wyrażanej szczerości, co z pewnością znaczyło, że wziął mnie za gliniarza. – Mam nadzieję, że spodoba się panu przedstawienie.

Skinąłem głową. W tej samej chwili urządzenie mnie zidentyfikowało i mogłem wejść do środka. Aimeric potrzebował na to tylko krótkiej chwili.

– System był na tyle inteligentny, żeby szukać cię w tym samym miejscu, czy też nadal zna cię jako Ambrose’a Carruthersa? – zapytałem. Weszliśmy do sali i rozejrzeliśmy się wokół.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dałem temu facetowi mały napiwek. To często czyni cuda.

Nadal nie potrafiłem zrozumieć tego, dlaczego za niektóre usługi płaci się tu dodatkowo wykonującej je osobie, a za inne nie. Zapewne uznał mnie za gliniarza dlatego, że tylko oni byli tak nieuprzejmi – według kaledońskich standardów – że nie dawali napiwków. Byłem zły na Aimerica za to, że mnie nie uprzedził, i jeszcze bardziej zły na siebie za to, że sam na to nie wpadłem.

Po raz pierwszy w Kaledonii ujrzałem pomieszczenie, w którym światła nie były albo włączone na maksimum, albo zgaszone. Stało tu kilka tuzinów standardowych krzeseł i kwadratowa, przenośna scena. Całość wyglądała jak dotknięty atakiem nędzy amatorski teatr na Wilsonie.

Po sali kręciło się kilka tuzinów ludzi, którzy nawiązywali krótkie, pełne podniecenia rozmowy, po czym przechodzili dalej, zbyt podekscytowani, by zatrzymać się na dłuższą chwilę.

– Panie Leones! – usłyszałem czyjś krzyk.

Odwrociłem się i zobaczyłem Thorwalda i Paula, którzy zmierzali w naszą stronę.

– Cieszę się, że pana widzę – powiedział Paul. – Miałem nadzieję, że dostanie pan zaproszenie.

– Jak widać, dostałem – potwierdziłem. – Zakładam, że to jest Okolicznościowy Wędrowny Kabaret?

– Jeden i absolutnie jedyny – odpowiedział Thorwald. – Drugiego zapewne nigdy nie będzie. To spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Nim będziemy mogli rozpocząć stałą działalność, musimy obaj z Paulem wykazać się zyskiem, wystarczającym, by dowieść, że to racjonalne.

– Wy jesteście właścicielami?

– Wygląda na to, że jeśli w Kaledonii byłoby więcej radości i sztuki, a obaj wiemy, że by się to przydało, to ktoś mógłby na tym zarobić. Oczywiście, jeśli nasze przedsięwzięcie zacznie przynosić zysk, będą musieli zdecydować, czy jest on moralnie racjonalny, ale o to będziemy się martwić później.

– W najgorszym przypadku będziemy przez pewien okres czamorynkowymi handlarzami, a tylko niewielu ludzi w całej historii Kaledonii może się tym pochwalić – dodał z uśmiechem Paul.

Usiadłem obok Aimerica i Thorwald wbiegł na scenę. Byliśmy w Kaledonii i nikomu by nawet nie przyszło do głowy, żeby opóźnić rozpoczęcie, choć ludzie nadal wchodzili do sali, szukali miejsc i zatrzymywali się przy stojącym w głębi stole, by kupić coś do jedzenia i picia.

– Cześć wszystkim. Dziękuję, że odwiedziliście Okolicznościowy Wędrowny Kabaret. Przygotowaliśmy dziś dla was cztery występy. Wiun, że zapowiadaliśmy sześć, ale kierownictwo nie bierze odpowiedzialności za nagłe napady tchórzostwa...

Z głębi sali dobiegł głośny ryk. Najwyraźniej siedział tam jeden z ludzi, którzy wycofali się w ostatniej chwili i jego przyjaciele głośno zwracali na ten fakt uwagę widzów. Spojrzałem na uśmiechającego się Aimerica.

– Nie spodziewałem się, że zobaczę kiedyś w Kaledonii hałaśliwy tłum. Może jest jeszcze jakaś nadzieja dla tej starej dziury – zauważył.

– Z drugiej strony, występ, do którego przed chwilą doszło z tyłu sali, nie był planowany i nie musicie za niego dodatkowo płacić – ciągnął Thorwald. – Jest też wart tyle, ile za niego daliście.

To uciszyło krzyki, które przeszły w dobroduszne szemranie.

– Potrafi sobie radzić z tłumem – rzekłem do Aimerica.

– Ta. W Occitan zostałby politykiem albo krytykiem sztuki.

Skinąłem głową. To była prawda. Ponieważ Thorwald wyraźnie nie śpieszył się z wypuszczeniem artystów na scenę, poszedłem do stołu z jedzeniem, by kupić po kieliszku wina dla siebie i Aimerica.

Okazało się, że sprzedającymi są Valerie i Margaret. Pozdrowiłem je uśmiechem.

– A więc was też w to wciągnęli.

Margaret odwzajemniła mój uśmiech.

– Mnie tylko płacą za sprzedawanie jedzenia i picia. Swoją drogą, miseczka na napiwki stoi tam. To Val jest naprawdę niebezpiecznym przypadkiem. Ma później występować.

Zamówiłem wino, po czym obdarzyłem Valerie swym najbardziej ujmującym uśmiechem. Ostatecznie, jeśli Paul chciał poznać okcytańskie zwyczaje, powinien się też nauczyć ich wystrzegać.

– Czekam na twój występ z niecierpliwością. Czy będziesz grała?

– Grała i śpiewała.

Nie chciała patrzeć mi w oczy. Na jej twarzy zauważyłem przepiękny rumieniec.

– Jestem pewien, że twój występ będzie najlepszy. Wziąłem kieliszki od Margaret, wrzuciłem napiwek do miseczki i ponownie uśmiechnąłem się do Valerie.

Jej rumieniec nabrał intensywniejszej barwy. Dziewczyna wbiła wzrok w blat stołu. Margaret wyglądała na zbitą z tropu.

Kiedy wróciłem do Aimerica, Thorwald tłumaczył właśnie widzom, że drugi z odwołanych występów nie odbędzie się, z uwagi na trudności ze sforsowaniem Babilońskiej Bramy. Była to przełęcz jeszcze wyższa i zimniejsza od Sodomskiej Bramy i przez jakieś trzydzieści procent dni nie mógł się przez nią przedrzeć nawet w pełni wyposażony kot.

– Jeszcze jeden powód, dla którego ucieszą się ze skoczków – stwierdziłem.

Aimeric potrząsnął głową.

– Gdyby zależało im na wygodzie i praktyczności, mieliby już automatyczne drogi, przeprowadzone przez tunele pod górami. To był kiedyś ulubiony projekt taty.

Stojący na scenie Thorwald z podniecenia podniósł nieco głos.

– I to już wszystko na temat tego, czego dzisiaj nie zobaczycie. Światła, proszę! – Światła przygasły. Audytorium wstrzymało oddech. – A teraz, po raz pierwszy na jakiegokolwiek scenie, a przy odrobinie szczęścia, nie po raz ostatni, przedstawiamy z dumą Annę K. Terwilliger, która będzie czytała własną poezję.

Odwrócił się i zszedł ze sceny, utykając lekko. Najwyraźniej nigdy nie zastanawiał się

nad tym, jak powinno wyglądać wyjście.

Na jego miejscu pojawiła się pulchna kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat. Była blada, miała słaby podbródek i twarz poraną śladami trądziku, ale jej kasztanowe, kędzierzawe włosy były ładne i gęste, a oczy duże i niebieskie. W dłoniach trzymała grubą, staromodną książkę, taką z papierowymi stronami, które trzeba przewracać. Otworzyła ją z namaszczeniem, jak zawsze robią to księża podczas Dni Świątecznych w Nou Occitan.

– Pierwszy poemat napisałam podczas jazdy torowcem – oznajmiła. – Nie ma jednak nic wspólnego z tym środkiem komunikacji. To tylko miejsce, w którym powstał. – Audytorium odpowiedziało wesołym pomrukiem aprobaty. – Pisząc go, myślałam chyba o tym, jak to wygląda, gdy człowiek się starzeje. No wiecie, kiedy robi się starszy, niż to kiedykolwiek planował, i nie wie, co ma ze sobą zrobić. Nosi tytuł: „Starzenie się: poemat torowcowy”.

Uniosła książkę i zaczęła czytać:

*Koniec jeszcze nie nadszedł, ale początek już minął.
Nikt tego nie rozumie, aż jest już za późno.
Mija chwila, na którą czekałeś na próżno.
I widzisz wtedy, że twój czas upłynął.
Wszystkich czeka starość i śmierć, rozpad i gnicie
A wszystko się rozkłada albo rozlatuje
I niczego nie znajdzie ten, kto poszukuje,
Poza tym jednym, co przesłania mu całe życie.
Dlatego abstrakcyjny rozum, bez duszy pomocy,
Nie odsunie czarnej śmierci kurtyny
I nie zaczerpnie powietrza bez oddechu odrobiny.
Dlatego wiecznie patrzymy w głąb nocy,
Która wciąga nam oczy i twarze do swej czarnej jamy,
Odrzucając wszystko. Dlatego nie zaczynamy.*

Czytała ten tekst z powagą, kończąc każdy wers dziwaczną, wznoszącą się nutą. Ciężki, rytmiczny ton jej głosu miał wbijać słuchaczom do głowy: „Na boga, to poezja”. Wszyscy siedzieli cicho, wsłuchując się w okropne, monotonne, nieudolne wersy. Przygryzałem język, by nie zacząć chichotać. Czułem, że siedzący obok Aimeric drży bezgłośnie. Najwyraźniej Anna K. Terwilliger miała zasłynąć jako pierwsza, nie jako

najlepsza kaledońska poetka... chyba że była również jedyną.

Skończyła i mrugając, uniosła wzrok, z całą, pełną nadziei, nieśmiałością kogoś, kto po raz pierwszy występuje na scenie. Spodobało mi się to i miałem nadzieję, że widzowie nie okażą się zbyt okrutni.

Najpierw dwóch, potem trzech, następnie tuzin, a wreszcie wszystkich sześćdziesięciu słuchaczy wybuchnęło szalonym aplauzem. Niektórzy wstali z miejsc. W powietrzu unosiły się radosne, podniecone okrzyki.

Poetka rozpromieniła się, a oczy zaszczyły jej łzami.

Popatrzyłem na Aimerica.

– Nie było mnie tu przez długi czas – wyszeptał mi do ucha. – Naprawdę nie wiem, jak zareagowałbym na coś takiego w młodości. Fakt, że technika była okropna, ale ci ludzie o tym nie wiedzą. Najpierw doświadczenie, a potem smak, Giraut.

– Chyba masz rację – przyznałem z westchnieniem. – Może po prostu zazdroszczę im tej radości.

Audytoryum uspokajało się już. Anna K. Terwilliger odgarnęła potargane włosy i przeczytała kolejne dzieło, którego wymowa polegała na tym, że wszystko, co umiera, podlega recyklingowi. Gdyby nie było pisane do rymu, mogłoby się nadawać na wstęp do podręcznika ekologii dla dzieci. Aplauz był jeszcze burzliwszy niż za pierwszym razem.

Potem coś o Bogu, rozumie i liczbach, czego w ogóle nie zrozumiałem, rzuciło publiczność na kolana. Później nastąpiło kilka prostych, opisowych poematów, które przynajmniej nie były całkowicie nieudolne. Mówiły o jej rodzinie i miejscu, w którym mieszkali... ani jeden z nich nie zasłużyłby na ocenę dostateczną w żadnej szkole w Noupeitau. W okcytańskich klubach poetyckich już po trzech wersach na autorkę runąłby deszcz orzechów i piwa. Miałem nadzieję, że eksport kultury uda się nam lepiej niż im.

Wreszcie Anna K. Terwilliger zeszła ze sceny przy akompaniamencie ogłuszających braw i ponownie pojawił się Thorwald.

– Przed nami kolejny debiut. Jeśli jeszcze kiedyś to powtórzymy, będę musiał wymyślić inny tekst. Oto Taney Peterborough.

Thorwald usiadł. Znowu nie było oklasków. Miałem już zapytać Aimerica, czy to jakiś krewny Clarity, ale gdy pojawił się na scenie, nie było wątpliwości, że to jej brat albo kuzyn.

Jego kostium i mina poinformowały mnie natychmiast, że zamierza spróbować sił w starożytnej sztuce *statz-sursum*. Ogarnęła mnie rozpacz. Żeby opanować ją biegle, potrzeba lat treningu, ale żeby wykonywać ją źle, wystarczy kilka chwil pobieżnego zastanowienia. Ponieważ nie miał gdzie się tego nauczyć, spodziewałem się, co mogę

zobaczyć. (Może powinienem otworzyć odpowiedni kurs w ośrodku? Ale nie miałem nikogo, kto mógłby go poprowadzić).

Taney Peterborough miał nie najgorszą osobowość sceniczną i widzowie od razu go polubili. Nie było to korzystne, gdyż dodali mu w ten sposób odwagi. Jego dowcipy nie były ze sobą powiązane, tworzyły całkowicie przypadkowy zestaw, połączony tylko luźno tematem. Do tego były stare, zwłaszcza te polityczne, które musiały mieć co najmniej tysiąc lat i z pewnością opowiadali je poddani wszystkich autorytarnych reżimów, zwłaszcza tych, które miały skłonności do purytanizmu. Wysłuchaliśmy też obowiązkowych kawałów o ojcu Aimerica, wielbnym Saltinim i systemie jako takim.

– Chyba jest tu więcej swobody, niż mi się zdawało – powiedziałem do Aimerica.

– On ma *carte blanche* – odpowiedział szeptem. – To racjonalne, że chce, by jego siostra odniosła sukces w polityce, może więc dowieść, że próbując zdyskredytować jej przeciwników, również zachowuje się racjonalnie. Dlatego nie mogą go oskarżyć o irracjonalność albo skierować na terapię, co spotyka wszystkich przestępców politycznych.

– A czy to racjonalne, że cała reszta słucha, śmieje się i bije brawo? – chciałem się dowiedzieć.

– To celne pytanie. Saltini z pewnością już się nad tym zastanawia.

Po tych słowach nie zostało zbyt wiele do powiedzenia, usiadłem więc spokojnie i wysłuchałem reszty beznadziejnych kawałów. Ze zdumieniem zauważyłem, że wielu widzów wykazuje odwagę, potrzebną, by śmiać się z nich bez zastanowienia.

Wreszcie występ się skończył. Brawa były głośne, choć nie mogły się równać z tymi, które otrzymała Anna K. Terwilli-ger. Na scenę znowu wyszedł Thorwald. Na jego twarzy pojawił się łatwo dostrzegalny wyraz napięcia.

– Teraz nastąpi piętnaście minut przerwy, a potem odbędą się następne dwa występy – poinformował widownię.

Aimeric wzruszył ramionami.

– Nie przywiązuj do tego zbyt wielkiej wagi. To może nie mieć większego znaczenia. Niewykluczone nawet, że Pastorat Projektów Publicznych uzna to za pretekst do poluzowania śruby. Albo też gliniarzy po prostu nie obchodzi, co robią ci ludzie.

On znał Kaledonię, a ja nie. Niemniej jednak, miałem wrażenie, że próbuje tylko mnie uspokoić.

Gdy kierowałem się do stołu z jedzeniem po kolejną porcję wina – i może też kolejną porcję Valerie – poczułem klepięcie w ramię. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Bru-cem i Bieris.

– Cześć! Jak tu trafiliście?

– Ktoś zostawił dla mnie wiadomość w ośrodku. Znalazłam ją po lekcji malarstwa – wyjaśniła Bieris. – Natychmiast za-komowałam do Bruce’a. Okazało się, że ma czas przyjechać po mnie kotem, wybraliśmy się więc tu razem. Widzieliśmy, jak wchodziliście, ale nie było czasu podejść i przywitać się przed rozpoczęciem przedstawienia.

Z jakiegoś powodu w to wątpiłem. Zresztą panował tu wielki luz i nikomu by nie przeszkadzało, gdyby wstali z miejsca podczas występu. Czy był to tylko wytwór mojej wyobraźni, czy też Bruce puścił na mój widok dłoń Bieris?

Poczułem w głębi duszy rozkoszny dreszcz, zapowiadający, że lada dzień wszystko skomplikuje się i stanie tragiczne. Być może poszczęści mi się i Aimeric poprosi mnie, żebym był jego *secundo*... ale tutaj się nie pojedynkowali, jak więc mogli mieć *secundos*? A jeśli nawet ich mieli, to czy byli oni tylko zwykłymi pośrednikami, czy też grali jakąś rolę w rozstrzygnięciu spraw honoru?

Myśl, że mógłbym być *secundo* w sporze między przyjaciółmi... no cóż, zawsze zazdrościłem Raimbautowi, że miał taką okazję. Pierwszy raz widziałem, jak umarł, gdy służył mi jako *secundo* w walce z Marcabru. Byliśmy jeszcze wtedy nastolatkami i przyłapałem go *in flagrante delicto* z moją *entendedorą*.

Bieris rozmawiała z parą uczniów z prowadzonej przez nią klasy malarstwa, których uważała za obiecujących.

– Oczywiście, Anna też jest w mojej klasie. Ona naprawdę czuje okcytańską kulturę.

– Czyżby? – zapytałem bez zastanowienia. Na szczęście chyba nikt mnie nie podsłuchał.

Bruce zachichotał.

– Widzę, że tobie również niezbyt spodobały się jej wiersze.

Bieris spojrzała na niego spode łba. Zdałem sobie sprawę, że za chwilę dojdzie między nimi do gwałtownej wymiany zdań, nim jednak zdążyłem się wycofać, Bruce przeprosił nas i poszedł po wino dla wszystkich, co niestety sprawiło, że Valerie znalazła się chwilowo poza moim zasięgiem. Zwróciłem się ponownie do Bieris, która uśmiechała się sympatycznie, niż to było konieczne, co w jej przypadku zawsze jest złym znakiem.

– Nie twierdzisz chyba, że naprawdę podobał ci się ten występ? – zapytałem. – Rozumiem, że Aimeric okazuje wyrozumiałość, bo to jego ojczyzna i jest pod wrażeniem, że coś takiego w ogóle mogło się tu wydarzyć, ale jeśli wziąć pod uwagę treść i wartość...

Bieris uniosła lekko kąciki ust.

– Giraut, wiem doskonale, że jeśli zacznę się teraz z tobą spierać, powiesz tylko, że

chcę być lojalna wobec mojej słuchaczki.

I nie, z pewnością nie zaimponowała mi retoryka, spojrzenie, technika ani wykonanie.

– Innymi słowy, to nie była poezja. Cóż więcej można w niej znaleźć?

Przygryzła dolną wargę.

– Dwie sprawy, Giraut, i obie pewnie próbujesz obrócić w żart. Po pierwsze, samo wydarzenie. Tych ludzi sztuka obchodzi znacznie bardziej niż nas. Naprawdę nas zawstydzają. A po drugie, ta kobieta. Fakt, że komuś, kto wygląda jak ona, pozwalają tu być poetką, imponuje mi bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić.

– Widzę, że mówisz poważnie, ale nie rozumiem, jak możesz twierdzić, że ludzi, którzy w ogóle nie tworzą sztuki, obchodzi ona bardziej niż tych, którzy nie zajmują się niczym innym. A co do tego drugiego... no cóż, muszę przyznać, że masz rację. Dzieła brzydkiej kobiety nigdy nie zasłużą na miano poezji, podobnie jak utwory brzydkiego mężczyzny. Co pomyślą jej potomkowie, jeśli kiedyś zrobi taśmę ze swego występu, a oni ją obejrzą?

Bieris odwróciła się gwałtownie i pognała za Bruce'em. Stałem przez chwilę bez ruchu, myśląc, że wyraźnie uległa wpływowi Kaledończyków. Zrobiła się równie niepojęta jak oni.

Nim zdążyłem za nią ruszyć, usłyszałem czyjś głos.

– Ale impreza. Czy to efekt pańskich wpływów?

Odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą ambasadora Shana.

– Chętnie przypisałbym sobie zasługę, gdyż bardzo wielu z nich to moi słuchacze, ale to ich własne pomysły i ich odwaga.

Być może Bieris zawstydziła mnie trochę i nie gardziłem już tak ich nieudolnością. Poza tym, jeśli się nad tym zastanowić, w Okolicznościowym Wędrownym Kabarecie kryła się iskierka odwagi, rycerskości oraz szaleństwa i nie byłbym Okcytańczykiem, gdyby nie zdobyli tym mojego serca, choćby w niewielkim stopniu.

– Skąd się pan dowiedział o tym występie? – zapytałem.

– Byłbym kiepskim ambasadorem, gdybym nie wiedział, co się dzieje w Utilitopii, a jeszcze gorszym, gdybym komukolwiek zdradzał, skąd o tym wiem.

– Byłby pan też zapewne kiepskim dyplomata, gdyby wyraził pan szczerą opinię o tym, co do tej pory obejrzelśmy.

Uśmiechnął się.

– Och, bynajmniej. Szczerze uważam, że każdy przejaw sztuki, z jakim zetknąłem się w trzynastu kulturach, które odwiedziłem odkąd pracuję dla Rady, jest czarujący i zachwycający. To wchodzi w zakres moich obowiązków.

Odwrócił się, żeby porozmawiać z kimś innym. I całe szczęście. Na samą myśl, że coś musiałoby mi się podobać, przeszył mnie dreszcz.

Wrócił Bruce z winem. Pogawędziliśmy minutę czy dwie, o tym, jak się mają sprawy na farmie. Potem, ku mojemu zaskoczeniu i zachwytowi, podeszła do nas Valerie.

– Cześć – powiedziała. – Chciałam cię o coś poprosić. To poważna przysługa i nie będę miała ci za złe, jeśli odmówisz.

Bruce zachichotał.

– Coś mi mówi, że dla Girauta będzie to propozycja, której nie można się oprzeć.

– To „coś” ma rację – przyznałem.

Zaczerwieniła się.

– Czuję się głupio, bo mogłam poprosić cię o to wcześniej. Słuchałam trochę okcytańskiej muzyki. Czasem sprawdzałam też przypisy i odkryłam, że macie tam zwyczaj grupowego improwizowania. To znaczy, więcej niż jeden muzyk na raz. Zastanawiałam się, czy to trzeba ćwiczyć, czy też dwoje ludzi, którzy nigdy ze sobą nie grali, może zabrzmieć wystarczająco dobrze, żeby wystąpić publicznie. Bardzo bym chciała, żebyś przyszedł... to znaczy, jak już zaśpiewam parę piosenek, ale gdybym cię poprosiła, żebyś wystąpił...

– Chcesz, żebyśmy zrobili dżem? – zapytałem.

Wybałuszyła nagle oczy. Nawet Bruce miał lekko zdumioną minę. Zdałem sobie sprawę, że mimo woli zapoznałem się z miejscowym slangowym wyrażeniem.

– Odpowiedz, przynajmniej jeśli chodzi o wspólne muzykowanie, brzmi tak – dodałem pośpiesznie. – W okcytańskich klubach bardzo często można usłyszeć przygodnie zestawione zespoły. Bardzo się na to cieszę.

Znowu się zaczerwieniła – moim zdaniem wyglądała bardzo ładnie – i powiedziała, że oczekuje tego z niecierpliwością, po czym pomknęła do stolika, żeby zastąpić Margaret, która wyglądała na wyjątkowo zbitą z tropu. Valerie szepnęła coś do przyjaciółki. Widząc, jak ta parsknęła nagłym śmiechem i walnęła dłonią w blat, byłem pewien, że chodziło o drobne nieporozumienie w sprawie słowa „dżem”.

Bruce mrugnął do mnie porozumiewawczo.

W tej samej chwili na scenę znowu wpadł Thorwald.

– No dobra, wszyscy...

– Daj mi wypić jeszcze jedno piwo, nim będę musiał obejrzeć coś, co ty napisałeś! – wrzasnął ktoś siedzący z tyłu.

Publiczność ryknęła głośno. Thorwald uśmiechnął się nieśmiało.

– Przedłużymy przerwę?

Ta propozycja wywołała najgłośniejszą dotąd owację. Thorwald usiadł, a ludzie nadal rozmawiali ze sobą, choć już powoli zajmowali miejsca.

Gdy dotarłem na miejsce, zauważyłem, że po mojej drugiej stronie siedzi teraz Margaret. Ponieważ Aimeric był zajęty rozmową z sąsiadem, usiadłem i – przyznaję, że z pewnym wewnętrznym oporem – postanowiłem być uprzejmy dla tej wyjątkowo nieatrakcyjnej dziewczyny.

Sądzę, że Margaret byłaby brzydka w każdej kulturze. Nawet pełen zestaw okcytańskich spódnic nie zdołałby ukryć zbyt wielkich pośladków, żadna bluzka nie nadałaby innego kształtu niżbyt szerokim ramionom i małym, zwiotczonym piersiom, a żadna fryzura nie złagodziłaby wyrazu surowych płaszczyzn jej twarzy ani nie ukryła kostropatej cery. W bezpłciowym kaledońskim ubraniu była jednak autentycznie paskudna. Ostrzyżone na jeża włosy podkreślały tylko niezdrową bladość błyszczącej twarzy, pulower zdradzał, że jej biust i brzuch wyglądają jak u starej kobiety, a sięgające kolan buciory i workowate spodnie nieustannie budziły w wyobraźni widok chudych nóg i wielkich, obwisłych pośladków. W Nou Occitan mogłaby zostać strażnikiem leśnym, dołączyć do jednej z ekip badających liczne pozbawione życia planety Arktura albo może startować w wokółplanetarnych wyścigach śmigła-czowych. W każdym razie musiałaby wybrać zajęcie, które pozwalałoby jej przez większość czasu unikać kontaktu z ludźmi. Tutaj wydawało się, że jest wręcz lubiana.

Jak jednak by nie wyglądała, nie miałem zamiaru pozwolić sobie na okazanie nieuprzejmości.

– Podoba ci się przedstawienie? – zapytałem.

Jej uśmiech zbladł nieco.

– Chyba jestem w nie zbyt zaangażowana. Wstydę się wszystkiego, co nie jest doskonałe, a jeśli coś się uda, chce mi się skakać i krzyczeć z radości. Czy... czy w Nou Occitan naprawdę zawsze można, to znaczy, czy jest tam dużo podobnych rzeczy?

Byłem zdecydowany pozostać uprzejmy, odrzuciłem więc wszystkie nasuwające się na myśl odpowiedzi.

– To fakt, że mamy tam mnóstwo występów i bardzo dużo sztuki... – odpowiedziałem po prostu. Zamierzałem na tym poprzestać, w nadziei że Margaret nie dojdzie do narzucających się konkluzji, popatrzyłem jednak na wiercących się na krzesłach widzów, którzy z niecierpliwością oczekiwali na wznowienie przedstawienia, zamiast obserwować się nawzajem, by odgadnąć właściwy komentarz, jak działałoby się w każdym teatrze w Noupeitau, i – właściwie mimo woli – dodałem: – Ale nie sądzę, byśmy ją cenili tak

wysoko jak wy. Kiedy czegoś jest w nadmiarze, przestaje to być ekscytujące... i rzecz jasna jesteśmy okropnie apolityczni, nie spotyka się więc takiej... pasji.

Chyba uznała moją odpowiedź za komplement i niewykluczone, że miała rację. Mogła być brzydka, ale ją lubiłem. Cieszyłem się, że sprawiłem jej przyjemność. Przez chwilę poczuliśmy się skrepowani, jak często zdarza się to na początku znajomości.

– Valerie naprawdę się denerwuje – odezwała się nagle, zapewne chcąc po prostu coś powiedzieć.

– Nie ma powodu. Zapewne będzie gwiazdą wieczoru. Ale to chyba jej pierwszy publiczny występ albo przynajmniej pierwszy występ przed publicznością, której reakcję słyszy.

– Ehe, ale jeszcze bardziej... zrezygnowała z tak wielkiej...

– Zrezygnowała?

– Nic o tym nie wiesz? No, ale przecież nie miałeś skąd się dowiedzieć. Muzyków uczestniczących w festiwalu wybiera się na podstawie średnich ocen ostatnich dziewiętnastu publicznych występów albo startów w konkursach. Ponieważ syntelety oceniają ten występ bardzo nisko...

– *Deu!* Straci wszystko!

– Ale ona chce to wykonywać w taki właśnie sposób. I jak sama powiedziała, dopóki wolno jej sprzedawać bilety, wystarczy, by jej muzyka podobała się wielu ludziom. A jeśli nie, zawsze zostaje praca. No wiesz, nie jesteśmy barbarzyńcami.

Umilkłem. Myśl, że taka dziewczyna, i do tego artystka, mogłaby zostać zmuszona do czyszczenia stajni albo skrobania ścian, tylko dlatego, że uważała, iż jest lepszym muzykiem niż maszyna... Zacząłem układać w myśli następny list do Marcabru...

– No wiesz, to jej decyzja – powiedziała Margaret, klepiąc mnie po ramieniu. – Do niczego jej nie namawiałeś. Nie gryź się tym zbytnio.

Światła przygasły nagle, ratując mnie przed koniecznością udzielenia odpowiedzi. Na scenie pojawił się Thorwald.

– Poprzednim razem cię spłoszyłem, he? – przywitał go ten sam głos co uprzednio.

– Paul, narażasz nas na straty.

Oboje z Margaret prychnęliśmy nagle, zdając sobie sprawę, że to Paul przygadywał Thorwaldowi.

– Miał rację – wyszeptała. – Trzeba dać ludziom czas. Nie można ich poganiać z zegarkiem w ręku...

– Jesteś dzisiaj prawdziwą Okcytanką – zażartowałem. Natychmiast jednak

zrozumiałem, że to błąd. Margaret zaczerwieniła się, tak samo jak poprzednio Val, co znaczy, że uznała to za próbę flirtu... a flirtowanie z kimś, kim człowiek w ogóle nie jest zainteresowany, to okrucieństwo najgorszego rodzaju. Uznałem, że będę musiał przez pewien czas postępować z nią bardzo ostrożnie, zwłaszcza że zależało mi na jej przyjaźni.

Jak mógłbym wytłumaczyć to Marcabru? Dałoby się przedstawić Thorwalda i Paula jako początkujących *joventów*, a Valerie jako *donzelhę*, ale Margaret?

Wpadło mi do głowy typowo okcytańskie rozwiązanie. Nic o niej nie napiszę, ale jeśli Marcabru kiedyś ją zobaczy, żywą albo na zdjęciu, i wyrazi o niej krytyczną opinię, wyzwę go *atz fis prim*, do pierwszej śmierci.

Życie w domu było prostsze.

Thorwald przedstawiał Valerie. Chyba sądził, że będzie to najbardziej szokujący występ wieczoru, starał się więc przygotować odpowiednio widzów, podkreślając znaczenie „swobody i mocy wyrazu”, którą dawała „nowa, czy raczej nowa dla nas, metoda improwizacji”. Mówił: „Usłyszycie w muzyce elementy, z którymi nigdy dotąd się nie zetknęliście. Jesteśmy przekonani, że kryły się one w niej zawsze, a Valerie tylko je ujawnia”.

Gadał jeszcze przez jakiś czas, tak długo, że gdybym nie wiedział lepiej, byłbym przekonany, iż za chwilę ujrzymy jakiś eksponat z muzeum muzycznej antropologii.

Gdy Valerie wreszcie weszła na scenę, nie przywitały jej brawa tak głośne jak te, które otrzymali Anna i Taney.

– Po takim nudnym wstępie to nic dziwnego – szepnęła mi do ucha Margaret. Z emfazą skinąłem głową.

Valerie najwyraźniej postanowiła stopniowo wprowadzać publiczność w nastrój. Zaczęła od kilku starych ballad, wywodzących się ze szkockiej, argentyńskiej i teksańskiej tradycji. To dziwne, że po przetłumaczeniu na terstadzki wszystkie brzmiały bardzo podobnie. Zapowiedzi były krótkie. Mówiła tylko, skąd wywodzi się utwór i w którym stuleciu powstał. Najbardziej kontrowersyjną piosenką, jaką wykonała, był zapewne „Diego Diabło”, stara ballada napisana w Lidze Półkuli Południowej w latach tuż po Rzezi. Jest ona dogłębnie przesycona tradycyjną latynoską nienawiścią do Zjednoczonej Azji, całą winą za krwawą zagładę transpolis Plata (i stu trzydziestu milionów jego mieszkańców) obciąża „króla-rzeźnika z Taipei” i gloryfikuje odwetowe uderzenie, które zrównało z ziemią transpolis Honsiu. Nawet po kilku stuleciach, na planecie odległej o dziesiątki lat świetlnych od Ziemi, burzyła i mroziła krew w żyłach. Uznałem, że będę musiał zwrócić Thorwaldowi uwagę, iż żądza walki jest dla ludzi czymś zupełnie naturalnym.

Szaleństwo zaczęło się dopiero wtedy, gdy przeszła do następnego kawałka. Wzięła jeden z poematów Anny K. Terwil-liger, tych, które dla mnie były zupełnie niezrozumiałe, ale wzbudziły potężny aplauz, i połączyła go z czymś, co najwyraźniej było kolejnym tradycyjnym konkursowym tematem, zawsze wykonywanym jako utwór instrumentalny.

Natychmiast rozległ się ogłuszający ryk. Tak wielu ludzi zerwało się z miejsc, że pozostali również musieli się podnieść, by cokolwiek widzieć. Większość komentarzy padała po rozumieniu, nie miałem więc wówczas pojęcia, o co chodzi, i do dzisiaj właściwie tego nie wiem, wyglądało jednak na to, że Anna stworzyła w swym wierszu coś w rodzaju twierdzenia G dla miejscowej teologii, dowodząc, że jeśli jest ona prawdziwa, muszą istnieć prawdy, których nie może ogarnąć, co było herezją. Na dodatek Valerie zaśpiewała to na melodię, która tradycyjnie była żałobnym hymnem, wykonywanym podczas ceremonii służącej kontemplowaniu... hmm, po przetłumaczeniu z rozumnego nazywa się to „wymienialność życia”. Tytuł utworu brzmiał: „Nie zawsze możesz dostać to, czego chcesz” – zresztą do dziś nie rozumiem go w pełni i nie sądzę, by nie-Kaledończykowi mogłoby się to udać. Rzecz w tym, że grano go podczas wielu najpoważniejszych religijnych rytuałów, wywodził się z czasów legendarnych założycieli ich wiary, którzy żyli w erze przemysłowej, a ona wykonała go jako ragtime.

Mówiąc krótko, gniewne słowa i drwiąca muzyka zabrzmiały razem jak gorzki sarkazm ciśnięty prosto w twarz kaledońskiej myśli, a zamieszanie, do którego doszło po jego wykonaniu, było zapewne najbardziej powściągliwą reakcją, jakiej można się było spodziewać.

Wszędzie wokół ludzie krzyczeli do siebie. Można było zobaczyć pary obrzucające się gwałtownymi, zjadliwymi słowami i Kaledończyków popychających się nawzajem (*Deu*, cieszyłem się, że nie nauczyłem ich jeszcze wyprowadzania efektywnych ciosów i kopnięć!), a jakaś blada blondynka weszła na krzesło i wrzeszczała na cały tłum, lecz, choć jej usta się poruszały i nie mogło nas dzielić od siebie więcej niż sześć metrów, nie słyszałem ani jednego słowa.

Odwrociłem się w stronę Aimerica, ten jednak zniknął, a na jego miejscu pojawił się ktoś, kto w pierwszej chwili wydał mi się rudowłosym dzieckiem – upłynęła chwila, nim zdałem sobie sprawę, że to Prescott – które krzyczało do stojącej po mojej drugiej stronie Margaret. Zamachnął się pięścią, jakby chciał ją uderzyć. Zbiłem go z nóg i obaliłem na dywan, w nadziei że to go ostudzi i zapobiegnie dalszym kłopotom. Zauważyłem, że Paul i Thorwald ustawili się z przodu sceny, jakby byli bramkarzami w jakimś podejrzanym barze. Pochlebiam sobie, że dzięki moim naukom stali na nogach znacznie pewniej i robili

wrażenie o wiele bardziej zdecydowanych. Po chwili zauważyłem, że dołączyli do nich Aimeric i Bruce. Zacząłem się przepychać przez tłum.

Nagle zapadła całkowita ciemność, po czym najwyraźniej opuszczono sieć tłumiącą, gdyż prawie nic nie było słychać. Wszystkie dźwięki tła zniknęły. Zdałem sobie sprawę, że oznacza to interwencję policji. Nie była to dobra wiadomość, ale ulga, która mnie ogarnęła, była tak silna, że przez chwilę nic mnie to nie obchodziło.

Nagle sieć odezwała się bezbarwnym, pozbawionym uczuć głosem synteletu, tworzonym drogą modulacji impulsów interferencyjnych.

– Istnieją dowody na to, że na tym zgromadzeniu doszło do poważnej irracjonalności. Żądamy, by ujawnili się Thorwald Spenders i Paul Parton.

– Tutaj – odpowiedzieli jednocześnie. Na sali zapadła cisza. Tłumiki wyłączały się powoli, zostawiając w uszach dziwny szum, który zawsze słyszałem po ich zastosowaniu.

– Opracujcie, proszę, jakiś sposób na uspokojenie tego zgromadzenia, gdyż w przeciwnym razie zostanie ono wraz ze wszystkimi podobnymi do niego uznane za zagrożenie dla racjonalności.

Znowu rozbłysły światła. Nastawiono je na maksymalną jasność i wszyscy zamrugali oślepieni. Zauważyłem, że Thor-wald zastanawia się nad czymś gorączkowo. Wreszcie odezwał się Paul.

– Zapewnimy każdemu, kto zechce teraz wyjść, pełen zwrot kosztów, a jeśli sobie tego zażyczy, również darmowy wstęp na wszystkie kolejne przedstawienia.

Nastąpiła pełna oszołomienia cisza, po której rozległy się niepewne brawa, nie rozumiałem dlaczego, gdyż z pewnością było to najprostsze...

– Sprzeciw – zaprotestował syntelet. – To nie jest racjonalne. Ci ludzie skonsumowali już ponad połowę zapowiadanych przez was występów.

– Rozumiem to – odparł powoli Paul. – Zdaję też sobie jednak sprawę, że wielu z nich czuje się rozczarowanymi, gdyż nie zobaczyli tego, co mieli nadzieję obejrzeć. W ten sposób, zakładając, że dojdzie do następnych występów, zachowują się racjonalnie, traktując uczęszczanie na nie jako przedsięwzięcie spekulacyjne, w nadziei że spodoba im się to, co zobaczą.

– Sprzeciw. Będą mogli was oszukać.

– Tak, ale jeśli nasze przedstawienia utrzymają należytą jakość, zechcą obejrzeć je do końca, a wtedy nie będą mogli żądać zwrotu kosztów.

– Wszystkie sprzeciwy wycofane. Kontynuujcie.

Paul i Thorwald potrzebowali kilku minut, by zwrócić pieniądze mniej więcej

dwudziestu osobom, które tego zażądały. Poszedłem tymczasem porozmawiać z Valerie. Chciałem pogratulować jej występu i podtrzymać ją na duchu, głównie jednak miałem ochotę przekonać się, co zwojuję w następnej rundzie flirtu.

Była w zaskakująco dobrym nastroju. Najwyraźniej tłum widzów nie okazał się aż tak przerażający, jak się tego obawiała. Poza tym cieszyła się, że zebrani tak szybko i dokładnie pojęli wymowę jej pieśni.

– Jeśli postanowię pójść w tym kierunku, wiem już przynajmniej, że ludzie to rozumieją – stwierdziła. – Może im się nie spodobać, ale rozumieją. A ta świadomość się liczy.

– Ale... ryzyko, na które się narażasz...

Uśmiechnęła się, potrząsając głową.

– Jakie ryzyko? Gram to, co chcę. Nie mogą mi tego zabronić. Będę mogła pisać piosenki i liczyć na aprobatę widzów, a nie na opinię jakiegoś tam syntelektu. Nawet jeśli będę musiała robić to za darmo, zaśpiewam je.

– Ale mogą cię zmusić do przerwania gówna!

Ze smutkiem pokręciła głową.

– Czy wiesz, ilu wielkich pieśniarzy w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat utrzymywało się z pracy rąk? Nie umrę od tego. Warto zapłacić tę cenę za wolność.

Zdałem sobie sprawę, że gdybym jej zwrócił uwagę, iż w samej myśli o tym, by dziewczyna o pięknym głosie i twarzy anioła wykonywała tego typu pracę, jest coś zboczonego i dogłębnie złego, Okcytanka natychmiast dałaby się przekonać, ale Kaledonka popatrzyłaby tylko na mnie ze zdziwieniem; zadowolilem się więc perspektywą napisania, gdy tylko wrócę do domku, bardzo długiego i pełnego pasji listu do Marcabru.

W tej chwili podszedł do nas Thorwald, który powiedział, że za chwilę wznawiamy przedstawienie.

– Margaret sądzi, że nie wyciśnie już z widzów więcej utili, Val, chciała więc, żebym ci powiedział, że nie musisz już prowokować nieprzewidzianych przerw.

Valerie zachichotała, skinęła głową i zasugerowała, byśmy po prostu wykonali pół tuzina okcytańskich kawalków „żeby trochę uspokoić widzów. Nie sądzisz, że na dziś wystarczy im już silnych wrażeń?”.

Przemknęło mi przez głowę, że gdy tylko rozmowa przechodziła z komplementów na muzykę albo występy, Valerie opuszczała nieśmiałość.

– Nie ma sprawy. Jeśli tego sobie życzysz – odparłem. – Mam nadzieję, że nie poczują się rozczarowani.

– Dziś nic nie mogłoby ich rozczarować – wtrącił Paul, który podszedł do nas i usiadł obok Valerie. – Panie Leones...

– Proszę, mów mi Giraut – odparłem. – Miałem zamiar ci powiedzieć, że wolę, jak się do mnie zwracają po imieniu.

– Proszę bardzo, Giraut. Pewnie nawet sobie nie wyobrażasz, co to wszystko dla nas znaczy.

– Chyba masz rację – przyznałem z westchnieniem.

Światła zaczęły migotać. Gdzie się nauczyli tego tradycyjnego sygnału zapowiadającego rozpoczęcie przedstawienia? Paul raz jeszcze skinął głową i zszedł ze sceny, a Thorwald przyniósł mój futerał z lutnią.

– Kazaliśmy ją przysłać ekspresem z ośrodka, gdy tylko Val powiadomiła nas o waszym występie – wyjaśnił. – Mam nadzieję, że nie masz nam tego za złe.

– Jestem zachwycony – odparłem szczerze. – Zawsze wolę grać na własnym instrumencie.

Miałem tremę, jak zwykle przed występem, rozładowałem ją jednak podczas pięciu minut, które poświęciłem na strojenie lutni. Thorwald tymczasem opowiadał zawołowane polityczne kawały. Mówił o policji, wspomniął też: „Co za noc, przyjaciele. Nasz pierwszy kabaret, nasza pierwsza poetka, nasza pierwsza rozróżba”. Tłum ucichł i uspokoił się nieco.

Jeśli wolno mi tak powiedzieć, nasz wspólny występ okazał się znakomity. Instykt improwizatorski Valerie był w duecie równie błyskotliwy jak solo. Nie sądzę, by istniało wiele lepszych wykonania tuzina okcytańskich standardów, które zagraliśmy we dwoje.

Choć jednak widownia była ciepła i przyjazna, a występ dobry – moim zdaniem stylem i jakością na głowę biliśmy wszystko, co wykonano tu do tej pory – czułem w sobie dziwną pustkę. Ludzie oklaskiwali piękno, tak jak powinno być, lecz z jakiegoś powodu nasza muzyka poruszyła ich mniej niż wyzywający (i dla mnie niezrozumiały) hymn Valerie czy okropna poezja Anny, a nawet – co przyznawałem z wyjątkową niechęcią – kawały z brodą opowiadane przez Taneya Peterborougha.

Cofnąłem się, by ukłony pozostawić Valerie i samemu nagrodzić ją brawami. To właśnie Valerie należał się aplauz, przekonałem się jednak, że mam jej to trochę za złe. Bardzo się zawstydziłem podobnej małostkowości, która stanowiła plamę na mojej *enseingnamen*. Pomyślałem też o niektórych rzeczach, jakie mówiła mi wcześniej Bieris, i zdałem sobie sprawę, że musiała uważać moje pozerstwo za strasznie głupie... podobnie jak słuchacze ośrodka.

Gdy wreszcie pozwolono nam usiąść, Thorwald niemal natychmiast wypadł na scenę,

jakby się bał, że straci impet. Wyglądał na bardziej podenerwowanego niż przedtem, po chwili stało się jasne dlaczego.

– Nasz ostatni utwór jest dziełem dramaturga o wielkim talencie i stanowi tak ważny przełom dla jego kariery i dla całej kaledońskiej kultury, że mogę wam tylko powiedzieć... ja go napisałem.

Widownia ryknęła śmiechem i Thorwaldowi wyraźnie ulżyło. Zrozumiałem, że nie miał pojęcia, jak szeroko znany jest ten stary dowcip. *Deu*, zapewne sądził, że sam go wymyślił.

– Pozwólcie, bym podkreślił, że jest to pierwsze wykonanie tej sztuki, w związku z czym nie istnieją przyjęte formy interpretacji ról i nasi aktorzy muszą je stworzyć z niczego. – Tu i ówdzie rozległy się brawa, zapewne pochodzące od bliskich przyjaciół artystów. – Oznacza to oczywiście, że jeśli zagrają je źle, to nie będzie moja wina. Zapewniam was, że sztuka jest napisana znakomicie. – Znowu zabrzmiały śmiechy. Zauważyłem, że Thorwald zajrzał za kulisy, czekając na sygnał. – No dobra – dodał. – Chyba nie mogę już dłużej zwlekać. Jeśli macie jakieś pytania, będę czekał w korytarzu, albo ogryzając paznokcie, albo wymiotując.

Na scenę wyszła grupa poruszających się bez wdzięku ludzi, odzianych w ciemne stroje, które miały wtapiać się w mrok. Ustawili tam dwa stoły i cztery krzesła.

– Och, hmm, ta... – wyjąkał Thorwald, wróciwszy raz jeszcze na scenę – ...sztuka nazywa się „Praca Creightona”.

Tym razem jego wyjście było jeszcze bardziej niezdarne.

Aktorzy potykali się z łoskotem w ciemności, czemu towarzyszyły chichoty. Gdy światła rozblęły, wszyscy się drapali albo, szurając nogami, zajmowali właściwe pozycje, rzecz jasna więc, że minęła jeszcze chwila, nim mogli zacząć. Zauważyłem, że mają na uszach słuchawki suflerskie, przynajmniej więc miał nas ominąć czarujący widok wysiłków przypomnienia sobie roli.

O ile potrafiłem to ocenić – było zbyt wiele śmiechów i za często rozlegały się brawa, a do tego akcja najwyraźniej rozgrywała się na prowincji, gdzieś za Gomorską Bramą, na dalekim, skutym lodem południu, więc aktorzy mówili z bardzo silnym akcentem. Sztuka opowiadała o Creightonie, którego rodzice chcieli, by znalazł sobie dobrą pracę i wciąż mu dowodzili – na przykład, pisząc kredą na tablicy podczas wspólnie spożywanej kolacji – że on również tego pragnie. Potem udawał się na rozmowę kwalifikacyjną, zawsze z tym samym człowiekiem (nie wiem, czy to też miał być żart, czy może powodem był brak aktorów) i po mnóstwie skomplikowanych obliczeń, a także (najwyraźniej zabawnych i być może

nieprzyzwoitych) dialogów, prowadzonych w rozumnym, pracę dostawał ojciec Creightona.

Po trzeciej rozmowie sytuacja zaczęła się zmieniać – do pracy przyjęto matkę Creightona, prowadzący rozmowę przyjął sam siebie, a potem ukarał Creightona za to, że ten się zgłosił, wyrzucając jego ojca i żeniąc się z matką. Zrozumiałem z tego niewiele – wyłącznie wulgarnie, niewyszukane i stare dowcipy.

Na ceremonii ślubnej, podczas której ojciec Creightona pełnił funkcję pastora, a sam Creighton co chwila zmieniał rolę – był jednocześnie drużbą, druhną, chórem i kwiaciarczką – światła zgasły zupełnie.

Widzowie nieustannie ryczeli z zachwytu – Margaret była tak podekscytowana, że omal nie wskoczyła mi na kolana – teraz jednak uciszeli się nagle, cierpliwie czekając na naprawienie tego, co wyglądało na awarię. Zastanowiłem się, czy nie mógłbym sprowokować trochę buczenia, tupania i szczekania, którym zapewne przyjęto by podobną sytuację w Nou Occitan, ale szczerze mówiąc, cała sztuka była tak amatorska i prymitywna, że przerwa wydawała mi się atrakcyjniejsza.

Wtem odezwały się głośniki i rozbłysły światła.

– Pastorat Projektów Publicznych ustalił, że to przedstawienie w całości i wszystkie jego części są fundamentalnie irracjonalne. Ponadto ustalono, że pozwolenie na jego urządzenie zostaje wycofane z mocą wsteczną, a funkcjonariusze policji, którzy je przyznali i którzy nie stłumili niedawnych zamieszek, zostaną osądzeni w najbliższym możliwym terminie.

Wszyscy obecni mogą zostać wezwani celem złożenia zeznań przeciwko odpowiedzialnym za to funkcjonariuszom, a także w innych toczących się sprawach. Wydruk pełnej kopii deklaracji irracjonalności jest dostępny na żądanie. Wszystkim nakazuje się opuścić pomieszczenie w ciągu trzydziestu minut oraz unikać w najbliższej przyszłości dalszych przejawów irracjonalności pod groźbą dochodzenia.

Wśród widzów wciąż panowała grobowa cisza. Chyba nikt poza mną nie podniósł wzroku. Zauważyłem, że po policzku Margaret spływa łza, a jej dolna warga drży.

Thorwald wstał z krzesła. Wyglądał, jakby otrzymał kopniaka w krocze.

– No dobra – powiedział. – Słyszeliście ich. Wychodzi na to, że udało nam się narobić kłopotów policjantom. Nie zmuszajmy ich, żeby musieli nas usuwać stąd siłą. Pod adresem czynnych urzędzeń monitorujących wygłaszam następujące oświadczenie: natychmiast złożymy odwołanie przeciwko tej akcji, na wszelkich możliwych podstawach. – Kilka osób wstało i zaczęło bić brawo. Reszta wbiła wzrok w podłogę. – Na razie jednak musimy szybko opuścić salę. – Rozejrzał się po pomieszczeniu, najwyraźniej zastanawiając się nad

tym, jak sformułować to, co musiał teraz powiedzieć. – Wszystkie osoby, które chcą wyrazić racjonalny protest przeciw działaniom PPP, są proszone o wyrażenie swej dezaprobaty drogą pomocy w demontażu sceny i sprzątnięciu sali.

Aimeric zagwizdał.

– Świetny pomysł – wyszeptał mi do ucha. – Myśleli, że zwałą całą robotę na kilku inspiratorów i pracowników, a potem obciążą ich grzywną za to, że nie wykonali jej dostatecznie szybko. Thorwald dał ludziom w pełni legalny i racjonalny powód do udzielenia mu pomocy. Nikogo nie będzie można ukarać za pracę bez zapłaty.

Uporali się z tym zadaniem bardzo szybko. Zauważyłem też, że w ogóle się przy tym nie kłócili.

– W Noupeitau narzekania byłyby tak głośne, że zagłuszyłyby stukot mebli – powiedziałem Bieris, gdy oboje przynosiliśmy na zaplecze stopy krzesel. Zauważyłem, że dźwiga ich więcej ode mnie, i pogratulowałem sobie, że powstrzymałem się od wygłaszania głupich uwag z tego powodu.

– Ta. Jeśli w ogóle ktoś by został pomóc.

– To będzie argument na ich obronę, jeśli oskarżą ich o irracjonalność – wtrącił Aimeric, który szedł za nami, taszcząc pudło ze sprzętem nagłaśniającym.

– Gówna prawda – zaprotestowała Bieris. – Wystarczyłoby, żeby donieśli na przyjaciół. Te dzieciaki mają całą tonę odwagi, Aimericu.

Nie odpowiedział jej. Ja również nic nie mówiłem. Gryzłem się tym, że poza występem Valerie nic mi się dziś nie spodobało. Mimo to byłem zadowolony, że tu przyszedłem. Dobrze było znaleźć się po właściwej stronie.

Margaret potrzebowała pomocy z resztą nie sprzedanego towaru, poszedłem więc potem do niej.

– Nie rozumiem, co irracjonalnego może być w dawaniu ludziom tego, czego chcą, zwłaszcza gdy dowodzą tego, płacąc – powiedziałem, gdy wynosiliśmy razem nie napoczętą beczułkę piwa.

– Mogę ci powiedzieć, jakich argumentów użyją w charakterze ćwiczenia w sztuce debaty – odparła z westchnieniem. – Oni nie uznają sprzeczności w kulturze. Dla naszego własnego dobra nie pozwolą nam robić użytku z wolności, dobrobytu i szczęścia celem ataku na źródła owej wolności, dobrobytu i szczęścia. Będą twierdzić, że ponieważ racjonalny rynek uszczęśliwia ludzi...

– To skandal, po prostu skandal – odezwał się ktoś tuż za nami. Obejrzelismy się i zobaczyliśmy Prescott'a Diligence'a i Taneya Peterborougha, którzy we dwóch dźwigali

stół. – PPP tym razem stanowczo przegiał pałę – mówił Prescott. – To oczywiste, że chcą podważyć całą Kartę Reform, dwadzieścia lat po jej uchwaleniu. Jutro urządzamy zebranie. Chcemy wznowić działalność Związku Liberalnego. Przyjdiesz, Margaret?

– Ta, przyjdę – burknęła niecierpliwie. Zapewne nie zapomniała, że wcześniej próbował ją uderzyć.

– Odpowiednie władze nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje. Trzeba natychmiast zwrócić ich uwagę na ten fakt – dodał Taney. Prescott z emfazą skinął głową.

Ustawiliśmy beczkę w prowizorycznym magazynie, po czym zeszliśmy na bok, by zrobić miejsce następnym dzwigającym.

– To już wszystko – stwierdził Thorwald, gdy ostatni z ludzi znalazł się w środku. – Sprawdźcie, czy nie zostawiliście czegoś w sali. Dziękuję wam za to, że postanowiliście racjonalnie bronić swych praw.

Robota była wykonana i wszyscy wybierali się już do domu. Zaproponowałem Thorwaldowi, że pojedziemy razem to-rowcem do ośrodka, miał jednak do załatwienia jakieś pilne sprawy, wróciłem więc tam sam. Po raz kolejny nie zasłoniłem okien, by widzieć wszystko, co można tam było zobaczyć – to znaczy całkiem sporo, bo księżyc świecił jasno. Co dziwne, po mrocznych ulicach kręciło się wiele grup ludzi. Mieli kaptury i maski, nie wiedziałem więc, kim są ani jakie są ich zamiary. W pewnej chwili torowiec przedarł się przez długi szereg przebiegających przez ulicę osobników. Wszyscy byli zwrócenii do mnie plecami, nic więc nie zobaczyłem. Przecznicę dalej drugi szpaler ludzi rozstał się, by mnie przepuścić.

Wysiadłem, pogałem sprintem do ośrodka i natychmiast wbiegłem na górę, by włożyć nocny strój. Rozpaczliwie potrzebowałem wygody i odprężenia. Przebierając się, złapałem pilota i włączyłem kuchenkę, by zamówić dwie ciepłe bułeczki oraz kubek gorącej czekolady. Po chwili, gdy przewiązywałem szlafrok, usłyszałem ciche *ping*, informujące, że otrzymałem pocztę. Z pewnością był to list od Marcabru albo od ojca. Tak czy inaczej, oznaczało to wieści z domu, gdzie sprawy nie wyglądały tak beznadziejnie dziwacznie, gdzie można było podziwiać artystę za styl, wdzięk i talent, a nie za coś tak osobliwego jak odwaga czy zasady; z domu, do którego niedługo miałem powrócić...

Zszedłem szybko do kuchni, gdzie czekał już na mnie posiłek, usiadłem wygodnie za stołem, na którym stały bułeczki, czekolada i czytnik, po czym wyświetliłem dopiero co otrzymany list.

Adres zwrotny świadczył, że napisał go Marcabru. Już od dawna nic od niego nie otrzymałem. Gdy tekst pojawił się na ekranie, z niecierpliwością zabrałem się do czytania:

Drogi Giraut,

Naprawdę bardzo się na ciebie gniewam. Muszę uznać, że tego właśnie chciałeś, gdyż Giraut, którego – jak mi się zdawało – znałem, tak skandalicznej obrazy z pewnością nie dopuściłby się nieświadomie. Czy nie przyszło ci do głowy, że twoja reputacja i honor na dworze zależą od tego, czy będę cię bronił i zachowam wdzięczną pamięć o tobie po niewy tłumaczalnym uczynku, jakim był skok na to mroźne pustkowie, a także od tego, czy będę publicznie czytał twoje listy?

Mimo to w ostatnich czterech nie napisałeś nic, co usprawiedliwiłoby moje pochwały. Potrafiłeś tylko plotkować o swych głupkowatych kaledońskich znajomkach, a na domiar złego w ogóle nie używałeś w ich opisie ognia ani jadu. Wygląda na to, że liczne zmiany w modzie, które wprowadziłem jako księżę małżonek, nic cię nie obchodzą, a przynajmniej nie chcesz się o nich wypowiadać. Czy zastanowiłeś się nad faktem, że sam księżę małżonek poświęca swój czas, by pisać do ciebie o takich sprawach?

A co się stało z twoim prawdziwym powołaniem – nie przysłałeś nam żadnych nagrań – i z finamor oraz enseingnamen? Piszesz o tym całym ośrodku jak stary robot, który uważa, że w życiu liczy się wyłącznie ciężka praca. Zrobiłeś się ponury i zimny, jak ta lodowa kula, na którą tak głupio uciekłeś, a śmiertelna powaga, z jaką opisujesz tych nieszczęsnych barbarzyńców, dowodzi tylko, że stałeś się zimnokrwistym, nadętym nudziarzem, takim samym jak oni.

Mam nadzieję, że rozumiesz moją sytuację, Giraut. Dałem z siebie wszystko, narażając się często na drwiny i opinię sentymentalnego osła, po to tylko, by podtrzymać twą reputację, o którą najwyraźniej w ogóle nie dbasz, jako że w ogóle nie pomagasz mi w jej obronie. W żadnym z twoich listów nie znalazłem nic, co mógłbym zacytować na usprawiedliwienie mojego wysokiego mniemania o tobie. Czy rzeczywiście stałeś się aż tak nieokcytański, że nie pamiętasz, iż reputacja wymaga nieustannej obrony, czy przestało cię to obchodzić?

No cóż, mam już dość walki o ciebie i twoją opinię. Z całą pewnością ludzie mają rację, twierdząc, że jesteś nudny. Jak dobrze wiesz – choć zachowujesz się tak, jakbyś o tym zapomniał – swym postępowaniem postawiłeś mnie w nieznośnej sytuacji, ponieważ enseingnamen nie pozwala mi walczyć, lecz każe przyjąć do wiadomości zarzuty, które z całą pewnością są prawdziwe.

A są, Giraut, są.

Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie umrzeć.

Marcabru

Raz jeszcze przeczytałem powoli cały list, pogryzając bułeczki i czekoladę, ponieważ wiedziałem, że później na pewno będę głodny. Czułem, że Marcabru ma rację, nie widziałem jednak, jak mógłbym postąpić inaczej. Zrobiłem to, o co mnie oskarżał, i był to powód do poważnej obrazy, a nawet wyzwania na pojedynek bez ograniczeń. Po czymś takim nie mogło być mowy o przyjaźni. Mój najbliższy przyjaciel przerodził się w śmiertelnego wroga.

Ale mimo to...

Skończyłem kolację, w ogóle nie czując smaku, cisnąłem naczynia do odzyskiwacza i pomknąłem na górę, by się położyć.

Na schodach natknąłem się na Thorwalda, który schodził na dół.

– Wyglądasz tak, jakbyś otrzymał złe wieści – zauważył ze współczuciem.

– Ty również – wskazałem. – Thorwald, czy to wszystko przeze mnie? Czy ja was do tego sprowokowałem? Jeśli tak jest, może powinienem wziąć całą winę na siebie i zgodzić się na deportację?

– Tak bardzo chcesz opuścić Kaledonię?

– Nie, nie... no, właściwie to naprawdę tęsknię za domem. Ale nie dlatego to zaproponowałem. Niepokoi mnie myśl, że swoim przybyciem przysporzyłem wam tylko kłopotów, chodzi o cały ten ośrodek i tak dalej.

– Zależy, co uważasz za kłopoty – odparł z westchnieniem.

– Czy Saltini już cię przesłuchiwał?

– Teraz myślisz jak Kaledońcyk. Nie, jeszcze nie. Jestem zaskoczony, bo byłem pewien, że to zrobi. A jak z tobą?

Potrząsnąłem głową.

– Przyszło mi właśnie na myśl, że zapewne wkrótce to uczyni.

Thorwald też był o tym przekonany.

– Czy pozwolisz, że zadam ci osobiste pytanie? – odezwał się nagle.

– Mogę nie odpowiedzieć.

– Nieważne. Czy przed chwilą otrzymałeś naprawdę nieuprzejmy list od twojego przyjaciela Marcabru?

Skinąłem głową.

– Pytam dlatego – ciągnął – że kiedy do ciebie pisze, zawsze potem cały dzień chodzisz smutny i zły, a teraz wyglądasz tak, jakbyś autentycznie cierpiał.

Myśl, że ktoś poświęca mi tak wiele uwagi, wstrząsnęła mną dogłębnie. Wyjąkałem pierwsze słowa, które przyszyły mi na myśl: „Że mam nadzieję, iż nie wyładowywałem złości na Thorwaldzie albo jego przyjaciółach”.

Potrząsnął głową.

– Ni. Radzisz sobie z tym całkiem nieźle. Ale nietrudno zauważyć, że jesteś nieszczęśliwy, a... hmm, wszyscy cię lubimy. Dlatego staramy się w takich sytuacjach nie wchodzić ci w paradę, żebyś nie powiedział czegoś, czego potem byś żałował.

Skinałem głową i ruszyłem na górę, nie wiedząc, czy zdołam wykrztusić z siebie jakieś słowa. Poniosłem porażkę nie tylko na dworze. Nawet słuchacze ośrodka litowali się nade mną, opiekowali się mną, ponieważ nie potrafiłem radzić sobie sam. Co zaś do tego maleńkiego, rodzącego się ruchu artystycznego... no cóż, jeśli zostanie rozbity, przestanę im być potrzebny, a jeśli przetrwa, sami będą tworzyć sztukę – taką, jakiej potrzebują i jaką lubią – zamiast próbować sprostać moim arbitralnym kryteriom. Nie mogłem ich niczego nauczyć. Nasunęła mi się myśl, że cały wieczór siedziałem sobie z nimi, uśmiechając się pogardliwie i układając w głowie okrutny list, który miał zabawić Marcabru, a przecież to oni byli tam prawdziwymi artystami.

Nie mogłem się doczekać powrotu do domu, mimo że wiedziałem, iż czeka mnie tam nieunikniona klęska. Dobrze przynajmniej, że byłem w dobrej formie, ponieważ z pewnością nie uniknę wielu tuzinów pojedynków.

Użalałem się nad sobą tak bardzo, że przed zaśnięciem chyba się rozplakałem, gdy bowiem rano obudził mnie sygnalizator, miałem na twarzy ślady łez.

– Panie Leones, dziś ma pan wygłosić referat przed Radą Racjonalizatorów – oznajmiło urządzenie. – Mam zapisane w pamięci, że musi się pan wykapać, ogolić i ubrać.

Była to prawda. Zerwałem się z łóżka, chwając głośno syn-telekt, by, jeśli coś takiego jeszcze się kiedyś wydarzy, zachował się tak samo. Wziąłem prysznic, po czym ogoliłem się tak szybko, jak tylko mogłem to bezpiecznie zrobić, a po opłukaniu twarzy natychmiast się wytarłem. Wysunąłem rękę z kabiny, wziąłem pilota i zamówiłem w kuchni owoce, ciasto, ser oraz kawę.

Ubranie nie stanowiło problemu. Miałem jeden kaledoński wyjściowy ubiór, który wyglądał tak jak wszystkie takie ubiory – czarny kombinezon, sięgające kolan buty tego samego koloru, biała koszula i śmieszny, wąski krawacik barwy jasno-srebrnej. Na koniec założyłem biały pas. Gdy popatrzyłem w lustro i poprawiłem mankiety, zdałem sobie sprawę, że nawet we własnych oczach wyglądam dziwacznie, gdyż włosy opadają mi do ramion, a na dodatek mam brodę i wąsy.

No cóż, będę musiał jakoś się pogodzić z tym dysonansem. Zresztą oboje z Bieris z pewnością wywołały znacznie mniejsze oburzenie niż Aimeric, który uparcie ubierał się po okcytańsku.

Śniadanie wydało mi się pozbawione smaku, pochłonałem je jednak pośpiesznie, podobnie jak kawę. Dziś nie mogłem się spóźnić.

Kiedy wrzucałem naczynia do odzyskiwacza, do kuchni wszedł Thorwald.

– Chciałem cię złapać, nim wyjdiesz – powiedział. – Hej, wyglądasz w tym prawie jak jeden z nas. Mam nadzieję, że nie umrzesz ze wstydu.

Zdobyłem się na blady uśmiech.

– Co jest grane?

– Chciałem ci tylko wskazać, że jeśli nadal chcesz wziąć całą winę na siebie, to dasz im w ten sposób pretekst do zamknięcia ośrodka, a potem będą mogli cię przesłuchać, żeby się przekonać, ilu z nas jeszcze mogą skazać. Rzecz w tym, że możesz nam pomóc tylko wtedy, gdy będziesz siedział cicho i w niczym im nie ułatwisz zadania.

Skinąłem głową. Sam też doszedłem do podobnego wniosku. Życzył mi szczęścia, po czym ruszyłem w drogę.

W torowcu wpadło mi do głowy, że nie czytałem ani nie słuchałem dziś żadnych wiadomości, a biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się wczoraj, oraz fakt, że miałem uczestniczyć w spotkaniu o kluczowym znaczeniu, niewykluczone, że znalazłbym w nich coś na swój temat. Włączyłem torowcowe wejście informacyjne i przekonałem się, że nie działa. Z początku myślałem, że to awaria, lecz wszystkie inne wejścia funkcjonowały bez zarzutu. Gdy włączyłem je ponownie, na ekranie pojawił się zwięzły komunikat.

CHRZEŚCIDAŃSKIE KAPITALISTYCZNE WIADOMOŚCI,
LICENCJONOWANY MONOPOL INFORMACYJNY,
Z ŻALEM POWIADAMIAJĄ,
ŻE KONIECZNE STAŁO SIĘ
OGŁOSZENIE PRZERWY.
CHWAŁ BOGA
WZNOŚ DZIĘKI
MYŚL RACJONALNIE
BĄDŹ WOLNY,

Czy Aimeric nie wspominał coś o tym, że w czasach jego dzieciństwa umieszczano

te cztery przykazania na końcu wszystkich publicznych oświadczeń? Może nadal używano tu starej standardowej formy w przypadkach równie niezwykłych, jak zamknięcie całego kanału na tak długi okres.

Nie mając ochoty słuchać „Pastorskiej godziny dla racjonalnych dzieci”, „Klasycznych świętych racjonalnych tekstów” ani „Kazania o wschodzie słońca”, opuściłem zasłony, by sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz.

Niedaleko od gmachów rządowych torowiec zatrzymał się niespodziewanie. Choć jeździłem tymi pojazdami przez całe dzieciństwo, nigdy jeszcze nie spotkałem się z czymś takim. Na domiar złego wydarzyło się to zaraz po równie bezprecedensowej przerwie w funkcjonowaniu kanału wiadomości.

Równie nagle, jak się zatrzymał, pojazd uniósł się nad torem i ruszył w dalszą drogę. Zbliżając się do siedziby rządu, zauważyłem jeszcze jeden osobliwy szczegół – podwójny rząd czegoś, co wyglądało jak niskie, czarne paliki otaczające budynek. Początkowo myślałem, że to jakiś nowy rodzaj słupków parkingowych, jak jednak mogliby ustawić je przez jedną noc? A może wyhodowali je na miejscu? Potem pomyślałem, że to jakieś zamontowane na stałe w nieznanym celu urządzenia, nagle jednak zobaczyłem, że któryś z nich się poruszył, i zrozumiałem, że to dwa oddalone o kilka metrów rzędy zwróconych do siebie twarzami ludzi, odzianych w grube, czarne, zimowe stroje. Fakt, że ktokolwiek sterczał tu podczas Porannej Nawałnicy, bardziej niż cokolwiek innego uświadomił mi, że coś jest naprawdę bardzo nie w porządku.

Dlatego nie poczułem się szczególnie zaskoczony, zauważywszy, że oba szeregi są wyposażone w broń służącą do rozpędzania demonstracji. Minałem je bezszelestnie i wjechałem na parking, po czym wszedłem do gmachu, choć w obecnej chwili z pewnością wolałbym się udać gdzie indziej.

Aimeric i Bieris byli już na miejscu, wyraźnie podenerwowani. Shan siedział za nimi. Nic nie mówił, ale po obu bokach miał strażników z ambasady. Poza tym w sali rady nie było nikogo, od czasu do czasu skądś jednak dobiegały słabe, gniewne krzyki, niosące się echem w pozbawionych ozdób betonowych korytarzach niczym wrzaski agresywnego, wałęsającego się po ulicy maniaka ze złego snu.

Nie odzywaliśmy się do siebie. Trudno było odgadnąć, jakie słowa mogłyby w najbliższych minutach sprawić nam kłopoty.

Wreszcie zjawili się członkowie rady. Wszyscy weszli razem.

Spotkały nas dwie wielkie niespodzianki: nie było z nimi Clarity Peterborough, a za to był Saltini. Zauważyłem, że siedzący obok Aimeric poderwał się nagle, a Bieris wydała

z siebie dziwny, stłumiony głos. Przypuszczam, że zareagowali tak zarówno dlatego, że jego obecność zapowiadała najgorsze, jak i ze względu na fakt, że nikt z nas nie był przyzwyczajony do myśli, że Saltini naprawdę istnieje.

Ojciec Aimerica, gdy wszedł na mównicę, wydawał się stary i posiwiasty, jakby całą noc spędził bez jedzenia i odpoczynku. Gdy zaczął odmawiać modlitwę, wydawało się, że przymusza się do dodatkowego wysiłku. Ponieważ rozumiałem już trochę strukturę rozumnego i wiedziałem, że tekst jest tłumaczony bezpośrednio z tego języka, dostrzegałem, iż fragmenty, w których podnosił głos i spoglądał w górę – w pewnej chwili zdrząły mu nawet ręce i musiał się chwycić mównicy – dotyczą wzajemnego zrozumienia i zgody, rozumu i kompromisu, które wykluczają użycie przemocy. Choć brzmiało to bardzo niepokojąco, pocieszała mnie myśl, że grzmi w ten sposób; dopóki nie skończy, nic nie mogło się wydarzyć, a ponadto świadczyło to o tym, że wciąż trwa jakiegoś rodzaju konflikt.

Kiedy skończył, zauważyłem, że jedna połowa sali powiedziała „amen” znacznie głośniej niż druga. Myślałem, że pierwszym punktem planu ma być nasze wystąpienie, stary Carruthers zwrócił się jednak bezpośrednio do Saltiniego:

– Ponieważ zaczęła się sesja, jako główny racjonalizator skorzystam z bezwzględnej prawa do informacji. Dlaczego w mieście nadal utrzymuje się kordony strażników PPP, mimo że nigdzie nie doszło do zamieszek, i jakim prawem oddziały te nie wpuszczają na otoczone obszary regularnej miejskiej policji? Podkreślam, że spełniliśmy wszystkie żądania, które postawił pan ostatniej nocy.

Saltini rozpostarł dłonie. W jego uśmiešku można było dziś zauważyć znacznie więcej ciepła i satysfakcji niż wtedy, gdy widziałem go poprzednio.

– To nie były żądania, lecz w pełni zgodna z konstytucją prośba o upoważnienie Pastora Projektów Publicznych do zastosowania wyjątkowych środków. Jak pan sobie przypomina, jedna z klauzul przewidywała przyznanie wszelkich niezbędnych dodatkowych uprawnień. Mamy powody, by sądzić, że fala irracjonalności, dokładnie taka, przed jakimi mamy za zadanie bronić rząd, kościół i całe społeczeństwo, dotarła w szeregi policji, a ponieważ w obecnej chwili nie jesteśmy w stanie ustalić, którzy funkcjonariusze są zagrożeni, niezbędne jest wyłączenie ich z...

– Mniejsza o to. Pańska odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje. Proszę o zaprotokołowanie, że uważam ją za fałszywą. Następne pytanie. Przyznano panu pastora bez kongregacji, co oznacza prawo głosu w Radzie Racjonalizatorów. Było to pierwsze z pańskich wczorajszych żądań. Od tego czasu aresztował pan czterech pastorów, zastępując ich innymi, którzy sympatyzują z pańskimi poglądami...

– To oczywiste – odparł Saltini. – Podkreślałem, że spisek irracjonalistów przeniknął do najwyższych kręgów społeczeństwa...

– Zwłaszcza chodzi mi o wysoce wielebną Clarity Peterborough, która, zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami, miała pozostać nietykalna...

– Tylko jeśli chodzi o zbrodnie popełnione przed zawarciem porozumienia. Po tym czasie...

– Co pańskim zdaniem mogła uczynić w środku nocy?! – ryknął Carruthers, nie ukrywając już wściekłości.

Zapadła długa, grobowa cisza. Wszyscy zdawali się czekać na odpowiedź Saltiniego.

– W tej sali przebywa sześcioro pozaświatowców – stwierdził wreszcie ten ostatni. – A mówimy o najważniejszych kwestiach...

– Gówna prawda!

Niesmak w głosie starego przewodniczącego był równie namacalny jak kawałek wspomnianej substancji. Szef PPP uniósł się lekko z krzesła.

– Być może najprościej byłoby rozstrzygnąć tę kontrowersję przez jakieś głosowanie? Powiedzmy, nad wotum zaufania albo ratyfikacją...

– Czekają nas też inne sprawy – odmówił z westchnieniem Carruthers. – Zajmiemy się najpierw nimi.

– No tak. Mamy prawdziwe kłopoty – stwierdził półgłosem Aimeric.

Oboje z Bieris spojrzeliśmy na niego pytająco.

– To oznacza, że tata nie jest pewien wyniku głosowania.

Osunął się na krzesło i wbił wzrok w podłogę, nie patrząc na nas. Mieliśmy z Bieris tylko sekundę na wymianę spojrzeń. Mam nadzieję, że nie wyglądałem na tak wystraszonego jak ona.

Carruthers i Saltini wciąż gapili się na siebie ze złością. Wtem obaj skinęli powoli głowami i wróciliśmy do pierwotnego porządku dnia.

Gdy Aimeric zaczął mówić, wydawał mi się zaskakująco spokojny. Nie miałem pojęcia, gdzie znalazł siłę, zdołał jednak wygłosić cały tekst bez zająknięcia, tak jak podczas prób. Tym razem to ja wyświetlałem ilustracje, a Bieris stała przy ekranie i wskazywała je w razie potrzeby.

Aimeric drobiazgowo przedstawił standardowy plan zaradzenia kryzysowi połączeniowemu. Bardzo się starał o to, by sformułować wszystko tak, by rada była w stanie to zaakceptować. Problem, rzecz jasna, polegał na tym, że nie mogła ona zaaprobować niemal żadnej z jego propozycji, gdyż standardowa metoda polegała na pompowaniu pieniędzy

w gospodarce przez rozbudowany rząd, pożyczający środki na przeprowadzenie zakrojonych na szeroką skalę robót publicznych: Powstały w ten sposób dług publiczny miała następnie zlikwidować inflacja, wywołana przez nadchodzącą połączeniową prosperity, zwłaszcza że natychmiast po rozpoczęciu tej ostatniej powinno się drastycznie podwyższyć podatki.

Szkopuł w tym, że trudno było znaleźć sformułowania, które przekonałyby Kaledończyków do rozmyślnego zaciągnięcia długu publicznego, arbitralnego zwiększenia stosunku wynagrodzenia do wkładu pracy albo planów dewaluacji waluty.

W miarę, jak Aimeric mówił, w sali robiło się coraz ciszej. Na koniec wyglądało na to, że słucha go tylko ojciec.

– Dziękuję. Jestem gotowy odpowiedzieć na wszelkie pytania – oznajmił na koniec Aimeric. Zauważyłem, że mięśnie na szyi starego Carruthersa i Saltiniego uwydatniły się niczym sznury. Obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie.

Stary otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Saltini nie dał mu dojść do głosu.

– Wszyscy już widzimy, że spisek, mający na celu zniszczenie naszej wiary i sposobu życia, sięga najwyższych kręgów władzy. Aresztuję pana...

– Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że sięgająca ponad półtora tysiąca lat tradycja zabrania wszelkim oddziałom policyjnym wstępu do gmachów parlamentarnych... – warknął Carruthers.

Saltini wzruszył ramionami.

– Czy mamy to przegłosować?

Na zewnątrz rozległy się strzały, tylko kilka stłumionych łoskotów, które zapewne świadczyły o tym, że – jak dotąd – używali tylko naboju ogłuszającego, mających pozbawić przeciwnika przytomności. Później nastąpiła długa cisza. Nikt nawet nie oddychał. Nagle zabrzmiały jeszcze dwa strzały, a potem usłyszeliśmy tupot biegnących korytarzem ludzi.

Carruthers odsunął krzesło od stołu i wstał.

– Przypominam, że jeśli dziewięcioro z nas opuści salę, nie będzie kworum.

– Nieobecność członków, którzy ulegli irracjonalności, to dość osobliwy powód do zaniechania niezbędnych działań.

Przez jedne z drzwi weszło dwóch ludzi z PPP. Nikt się nie poruszył. Na korytarzu rozległ się głośny strzał. Wszyscy poderwali się z miejsc. Potem funkcjonariusze PPP wkroczyli również przez drugie drzwi.

Wyprowadzili ojca Aimerica i jeszcze czworo pastorów, w tym Annę Diligence, matkę Prescottta. Rada potrzebowała zaledwie trzech minut, by ratyfikować wszystkie

pociągnięcia Saltiniego, ogłosić stan wyjątkowy i odrzucić propozycje Aimerica. Po dwóch minutach, na odmówienie kolejnej modlitwy, wszyscy wyszli.

Przez głowę przemknęła mi myśl – coś, co ojciec powiedział w czasie, gdy sam zasiadał w parlamencie: „Demokrację poznaje się po tym, że nic w niej się nie da zrobić”.

Zostaliśmy w sali sami, nas troje i ambasador, otoczeni przez funkcjonariuszy PPR. Nie wiedzieliśmy, czy wolno nam się poruszyć. Upłynęła dłuższa chwila. Widząc, że gliniarze przestępują niepewnie z nogi na nogę, zdałem sobie sprawę, że oni również tego nie wiedzą. Miałem już ochotę wstać i podejść od niechcienia do drzwi, żeby sprawdzić, co się stanie, lecz nagle do środka wszedł Saltini. Uśmiezek nie zniknął z jego twarzy, był teraz jednak niewyraźny i pełen napięcia.

Szef PPP podszedł wprost do Shana, ignorując nas.

– Reszta jest całkiem prosta. Przyznano wam koncesję gruntową na teren ambasady i, szczerze mówiąc, nie sądzę, byśmy byli w stanie was wyrzucić, zwłaszcza że może pan sprowadzić tu armię przez swojego skoczka. Poza terenem ambasady i wzdłuż linii demarkacyjnej będzie jednak obowiązywało prawo kaledońskie.

– Podobne kwestie będzie można rozstrzygnąć, gdy zaistnieje taka potrzeba – odparł spokojnie Shan.

– Zapewne nie zdziwi się pan, że natychmiast przestaniemy płacić za usługi tych tak zwanych doradców. Sądzę, że bardziej odpowiednie byłoby określenie „agitatorzy”. Jestem szczerze przekonany, że gdyby nie zmusił pan nas do ich przyjęcia, żaden z tych zabiegów nie byłby konieczny.

Teraz, gdy jego było na wierzchu, Saltini pozwolił sobie na okazanie odrobiny gniewu.

– Zdaje pan sobie oczywiście sprawę – odparł Shan – że oznacza to, iż nie mogą wrócić do domu, a obawiam się, że w ambasadzie nie mam dla nich miejsca.

Widok Saltiniego porażonego szokiem sprawił mi autentyczną radość – do tego stopnia, że przez chwilę nie docierał do mnie sens słów Shana.

– To pańscy ludzie – sprzeciwił się Saltini bliskim skomlenia tonem.

– To regularni pracownicy waszego rządu. Jeśli chce pan, by wrócili do siebie, musi pan za to zapłacić. Zresztą na pokrycie kosztów biletów skoczkowych dla trzech osób na odległość sześciu i pół roku świetlnego, przy cenach, jakich od was zażądamy, wystarczy równowartość zaledwie dwóch dni bieżącego budżetu waszego rządu. Nie rozumiem, na czym polega trudność. Rzecz jasna, jeśli zechcą tu pozostać jako na stałe zamieszkali cudzoziemcy, będzie pan musiał ich przyjąć, a także honorować umowy o pracę, które

zawarli z waszym rządem. Ponadto, molestowanie cudzoziemców bądź też odmawianie im praw, które przysługują im na ojczystych światach – jak na przykład bezwarunkowe przestrzeganie umów o pracę – jest jednym z kilku powodów, dla których Rada Ludzkości mogłaby wycofać kartę waszej kultury.

– Szczerze mówiąc, od dawna tęskniłem za domem i bardzo bym nie chciał opuszczać go przedwcześnie – wtrącił Aimeric.

Z twarzy Bieris nic nie można było odczytać.

– Chcę zostać – oznajmiła bez chwili zwłoki.

Zrozumiałem, do czego zmierza Shan. Zyska w ten sposób troje mogących swobodnie poruszać się po Utilitopii ludzi, których PPP nie będzie mógł tknąć. Podczas rozgrywek, do których z pewnością dojdzie po puczu, mogą się oni okazać nieocenieni...

Albo i nie. Trudno to było określić. Mogliśmy mu być potrzebni jedynie po to, by dokuczyć Saltiniemu.

I, Boże, w domu czekało mnie mnóstwo roboty. Musiałem odzyskać reputację i należną pozycję. Nocą naprawdę się modliłem o to, żeby tam wrócić, po raz pierwszy od czasów dzieciństwa.

Poza tym, Aimeric i Bieris zostawali. Dadzą sobie radę. Bieris podobało się tu bardziej niż mnie, Aimeric zaś ze względu na swą wiedzę będzie cenny dla Shana. Na czym się znałem? Na muzyce, poezji i walce – i to tylko gołymi rękami i przy użyciu neuroinduktorów, a nie prawdziwej broni...

Ponadto tutejszą gospodarkę miał wkrótce trafić szlag, Saltini więc zapewne znajdzie sposób, by odebrać mi ośrodek i wylądować jako stajenny.

Zauważyłem, że szef PPP przypatruje mi się z uwagą, jakby z jakiegoś powodu był mną zafascynowany. Zdałem sobie sprawę, że na pewno wie, o czym myślę, jako że z pewnością czytał moją korespondencję i zapewne rozumiał zamiary Shana lepiej ode mnie.

Niewątpliwie uzna mnie za całkowicie irracjonalnego.

– Ośrodek to moje dzieło – stwierdziłem. – Nie mogę go zostawić, gdy jest jeszcze nie ukończony.

Chyba powinienem się poczuć urażony faktem, że wszyscy poza Shanem wyglądali na zaskoczonych. Saltini ciskał nam wściekłe spojrzenia.

– Z pewnością zdajecie sobie sprawę, że nieuniknione będą cięcia budżetowe. Podejrzewam, że stanowisko profesora literatury okcytańskiej zostanie wkrótce zlikwidowane. Sądzę też, że pracownica, która zbyt często opuszcza farmę, może zostać uznana za zbyt cenną. Co zaś do ośrodka, to sądzę, że liczy pan na to, iż formalnie jest on

przedsiębiorstwem i cięcia budżetowe go nie dotyczą. Mogę powiedzieć tylko tyle, że wszyscy pańscy słuchacze, oraz ich rodziny, zostali poddani obserwacji jako podejrzani o poważną irracjonalność i że z całą mocą zwrócimy ich uwagę na ten fakt. A jeśli nikt się nie zapisze na kursy...

Wyszedł, nie zadając sobie trudu, by dokończyć groźbę. Nie musiał tego robić.

– Dziękuję panu – powiedział cicho Shan, wychodząc z sali.

Szkoda, że nie poczułem się od tego lepiej.

Torowce kursowały już normalnie i nie miałem trudności z powrotem do ośrodka. Na skrzyżowaniach stali jeszcze tu i ówdzie strażnicy z PPP, ale Poranna Nawałnica skończyła się i słońce świeciło jasno, rozpięli więc parki albo przerzucili je sobie przez ramiona, wskutek czego przypominali teraz raczej zawstydzonych woźnych niż groźnych żołdaków. Włączyłem wiadomości, lecz szybko zdałem sobie sprawę, że podają w nich same kłamstwa, być może poza faktem, że zginęło siedmiu miejskich policjantów. Władze twierdziły jednak, że zabili ich ludzie uczestniczący w zamieszkach, zupełnie jakby podczas szalejącej nocy śnieżycy ktokolwiek mógł mieć w głowie rabunek. Przypuszczam, że chodziło im nie tyle o to, by kogoś przekonać, lecz by coś powiedzieć. Z pewnością mieli zamiar zmienić później wersję bądź też w ogóle wymazać całą tę historię.

Torowiec opadł na parking za ośrodkiem, wysunął koła i podjechał pod samo wejście. Złapałem parkę, nie zadając sobie trudu, by ją włożyć, i wbiegłem na schody. Pod drzwiami czekał na mnie Thorwald.

– Wydarzyło się coś ważnego – poinformował mnie bez żadnych wstępów.

– Ta, wiem – odparłem.

– Zagrozili, że na stałe zabronią przyznawania wszystkim słuchaczom ośrodka wszelkich przydziałów poza prostą pracą fizyczną. Dlatego że wszyscy jesteśmy zbyt irracjonalni, by można nam powierzyć coś ważniejszego. Wiadomość nadeszła zaraz po twoim wyjeździe.

Rzecz jasna, Saltini był pewien, że wrócę na Wilsona, chciał się jednak zabezpieczyć. Zapewne wydał też polecenie, by rozbiórkowe nanoboty skasowały budynek. No cóż, znaczyło to, że z całą pewnością nie uniknę pracy przy łopacie. Może w rzadkich przypadkach, gdy pozwoli na to pogoda, będę mógł śpiewać na rogach ulic albo coś w tym rodzaju. Zapewne mieli tu przepisy, które tego zabraniały.

– Hmm, niektórzy słuchacze chcieliby z tobą o tym porozmawiać – dodał Thorwald.

– Jasne. Chyba nie powinienem do nich komować. Czy przyjdą tutaj?

– Już tu są. W głównej sali. – Jego głos brzmiał jakoś dziwnie. Wyobraziłem sobie

dwoje albo troje słuchaczy, może Margaret albo Paula – czy mogłem liczyć, że zobaczą też Valerie? – czekających w wielkiej, pustej sali, wsłuchujących się w echa wypełniające porzucony ośrodek, czujących, że wszystko się kończy. Jeśli przyszli się pożegnać, niektórzy z nich musieli uważać, że nie zmarnowali czasu. Okazanie tego typu ludzkich uczuć wymagało w podobnej sytuacji szczególnej odwagi.

– Hmm, jeśli uda ci się uchronić ośrodek przed zamknięciem, to czy nadal będę miał u ciebie pracę? – zapytał Thorwald, gdy wchodziliśmy na piętro, gdzie mieściła się główna sala.

– Zawsze – zapewniłem, obejmując go ramieniem. Zdumiał się wyraźnie – Kaledończycy prawie nigdy się nie dotykali – po chwili jednak odwzajemnił uścisk.

Czekały mnie długie, samotne lata przerzucania gówna, niewykluczone jednak, że połączą mnie więzy przyjaźni z Thorwaldem, a także z niektórymi z pozostałych, a to może okazać się dobre...

Otworzyliśmy drzwi głównej sali. W pewnym sensie miałem rację, gdyż czekały tam na mnie Margaret i Valerie...

I Paul, i Prescott, i prawie wszyscy. W pomieszczeniu było tłoczno.

– Chcieliśmy tylko powiedzieć – zaczęła bez żadnych wstępów Margaret – że urządziliśmy głosowanie i wszyscy jesteście gotowi płacić za kursy więcej, żebyś miał pieniądze na spłatę pożyczek i by ośrodek mógł działać dalej.

– Kiedy wszyscy tu się zebraliśmy i PPP dowiedział się, co nas do tego skłoniło, Saltini kazał transmitować do nas na żywo rozmowę, którą odbył z tobą i z pozostałymi, chcąc was zastraszyć i zmusić do powrotu do ambasady – dodał Paul. – Widzieliśmy, że się mu nie dałeś.

Tak wiele zależy od brzmienia głosu, od podejścia, z którym każą człowiekowi robić coś, na co nie ma ochoty. Tylko zwykły zbieg okoliczności zdecydował, że moi przyjaciele nie rozchodzili się teraz spokojnie do domów, wiedząc, że ich opuściłem.

Nie byłem tym, za kogo mnie uważali, ale jedynym przyzwoitym wyjściem, jedynym sposobem usunięcia niewidocznej plamy na mojej *enseingnamen* było zachowywać się tak, jakbym nim był. Nie mogłem pozwolić, by uznali, że popełnili błąd.

Gdyby w *Quartier des Jovents* ktoś mi powiedział, że kiedyś rozplacę się przed całym tłumem, zaleję się łzami jak *donzelha* i nawet nie zasłonię twarzy, zgodnie z wymogami dobrych obyczajów, wyzwiałbym go na pojedynek, żądając zapewne walki do pierwszej śmierci. Tu jednak zachowałem się inaczej.

– Dobrze jest wrócić do domu – wyjąkałem, gdy mogłem już oddychać. – Czeka nas

mnóstwo pracy – dodałem, wiedząc, że poczują się skrepowani podobną demonstracją uczuć.
– Zaczynamy, *mes companho*, nie marnujmy całego dnia.

Część trzecia

DŁUGA DROGA

Najwyrazistszym wspomnieniem z kilku następnych dni, jakie zachowałem na długi czas, był fakt, że rozpaczliwie chciało mi się spać. Po czterech godzinach pucz Saltiniego stał się faktem dokonany. Ostatnich niezależnych duszpasterzy w Utilitopii aresztowano i trzymano w izolacji. Gdy Saltini opanował również wewnętrzne rejony kraju – co nie było trudne, jako że większość odległych, konserwatywnych osad od początku opowiadała się po jego stronie – przywrócono stopniowo łączność.

Bruce'a przetrzymywano przez jakieś trzy godziny. Bieris przeżyła naprawdę przerażające chwile. Stała przed budynkiem Pastoratu Projektów Publicznych podczas Drugoporankowej Nawałnicy, próbując porozmawiać z kimś i załatwić wpłacenie kaucji. Na ulicy zebrały się setki przyjaciół i krewnych aresztowanych. Koty PPP przemykały regularnie między zgromadzonymi, autokamery fotografowały ze schodów pastoratu oczekujących, a ze wszystkich stron otaczał ich kordon pipków uzbrojonych w pałki ogłuszające. Musieliśmy komować do siebie co kilka minut, gdyż pipki nie chcieli się zgodzić, żebym wpłacił kaucję z pieniędzy ośrodka. Wysuwali wciąż nowe sprzeciwy, które kolejno odpierałem, uwalniając w ten sposób fundusze, aż do chwili zgłoszenia następnego sprzeciwu. Dlatego musiałem utrzymywać kontakt z Bieris, żeby wiedziała, czy ma pieniądze potrzebne do wpłacenia kaucji.

Wystarczająco trudno było mi siedzieć za biurkiem i wyklócać się przez kom. Nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżyła Bieris, która nie imponowała kondycją fizyczną i trudno jej było stać przez trzy godziny w zamarzającym deszczu, na domiar złego ze zdjętą maską, gdyż pipki celowo ściszczałośniki. Choć była twarda i przyzwyczaiała się już do pracy pod gołym niebem, gdy wreszcie udało się nam wydostać Bruce'a, cała była sina i dygotała z zimna. Wcześniej powiedziała mi, że wizualny kanał jej przenośnego komu nie działa, gdyż bała się, że przyślę któregoś ze słuchaczy ośrodka, by ją zastąpił.

Z pewnością była to uzasadniona obawa, wiedziałem jednak równie dobrze jak ona, że tego dnia poza ośrodkiem wszystkim im groziło aresztowanie. Po kilku standniach, gdy zasady się ustaliły, okazało się, że ośrodek wcale nie zapewnia ochrony, Saltini był jednak tak wstrząśnięty stanowczą reakcją Shana, że nie miał pewności, czy nie jesteśmy pod taką samą ochroną jak ambasada. Zapewne jeszcze bardziej zaniepokoił go fakt, że niespełna godzinę po powrocie Shana do ambasady, cztery kompanie Specjalnej Policji Rady – to eufemizm na określenie marines – dotarły tu przez skoczka, a ka-ledońscy pracownicy ambasady, wśród

których byli agenci Saltiniego, mówili, że żołnierze SPR poinformowali ich, iż przez wiele godzin pozostawali w stanie gotowości, na wypadek, gdyby konieczne było przyjście z odsieczą pracownikom Rady Ludzkości.

Rzecz jasna, dowiedziałem się o tym dopiero później, co nie było korzystne, gdyż sam się bałem i gdybym wiedział, że mamy tak znaczne wsparcie, poczułbym się pewniej.

Thorwald okazał się naprawdę nieoceniony. Udzielił nieformalnych pełnomocnictw Margaret i Paulowi, którzy zajęli się wyznaczaniem miejsc do spania, zawiadamianiem rodzin i organizowaniem dla wszystkich posiłku. Mieliśmy w budynku prawie dwie setki ludzi, dobrze ponad połowę zarejestrowanych słuchaczy ośrodka. Wszyscy bali się wrócić do domów, gdyż w mieście jeszcze obowiązywała godzina policyjna, a koty PPP krążyły po ulicach, wyszukując opozycyjnych duszpasterzy, ludzi, którzy przed dwudziestu laty byli członkami Związku Liberalnego, starszych kongregacji Clarity Peterborough oraz – jak się zdawało – każdego, kto kiedykolwiek wymamrotał przy piwie jakąś niepochlebłą uwagę o Saltinim.

Na dole często rozlegały się przenikliwe krzyki albo nagłe wybuchy gniewu, świadczące o tym, że ktoś właśnie dowiedział się o aresztowaniu brata, kochanka lub któregoś z rodziców. Piekielnie utrudniało mi to koncentrację podczas kolejnych dyskusji z syntelektami... Bieris jest niezastąpiona w ośrodku, a nie będzie zdolna do pracy, dopóki Bruce nie odzyska wolności... „Sprzeciw: Nadmierne zainteresowanie subiektywnymi uczuciami pracowników jest...”. Bruce jest naszym podstawowym dostawcą i leży w moim interesie, by nie przerywano pracy... „Sprzeciw: Można załatwić tańsze dostawy...”. Jeśli wpłacę kaucję za Bruce’a, Bieris podpisze umowę zobowiązującą ją do pracy w dodatkowych godzinach, co przyniesie mi znaczące zyski... „Sprzeciw: Związki łączące Bieris Real z aresztowanym nie są tej natury, by było z jej strony racjonalne poświęcać tak wiele wysiłku...”.

Wypuścili go wreszcie późną Drugą Jasnością, razem z setkami innych ludzi, których najwyraźniej chcieli tylko nastraszyć. Wtedy właśnie dowiedzieliśmy się, gdzie jest Aimeric. Był naturalizowanym Okcytańczykiem i pracownikiem Rady Ludzkości, nie mogli mu więc nic zrobić, podobnie jak Bieris i mnie. Przebywał w głównym biurze Rady Racjonalizatorów, starając się doprowadzić do zwolnienia ojca i Clarity Peterborough. Nie udało mu się, przynajmniej jednak uzyskał informację, że za dzień czy dwa miano ich wypuścić i umieścić w areszcie domowym.

Na niespełną godzinę przed Mrokiem Aimericowi, Bruce’owi i Bieris udało się wreszcie złapać torowiec do ośrodka. Gdy tylko otrzymałem informację, że są już w drodze,

zszedłem na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje. Po chwili oglądałem już wszystko, co przygotował Thorwald, wychwalając to głośno. Oprawdzała mnie Margaret, gdyż Thorwald siedział na górze. Próbował upchnąć ostatnich pięciu słuchaczy w pokoju słonecznym.

– Jeśli nam się poszczęści – zaczęła cicho – Paul za chwilę dokona pierwszej w historii Kaledonii kradzieży danych... powinnam powiedzieć „pierwszej, o której nam wiadomo...” i może uda nam się zorientować, komu grozi aresztowanie, a komu nie.

– Nie boisz się...?

Wskazałem ręką na kąty.

– Przynajmniej nie tych – odparła z uśmiechem, wysypując na biurko garść zniszczonego sprzętu elektronicznego. – Zresztą znają nasze plany. Problem w tym, że nigdy nie potrafili pogodzić szpiegowania ludzi z tezą, że tego właśnie ludzie racjonalnie chcą. Zakładamy, że w ciągu pierwszych tygodni po przejęciu władzy będą się trzymać doktryny jeszcze ściślej... mamy nadzieję, że znaczy to, iż nie będą mogli przyznać, że te urządzenia stanowiły własność PPP i nie zdobędą się na wysunięcie przeciwko nam oskarżeń.

– To dość ryzykowne założenie – odparłem. Moje słowa zabrzmiały brutalniej, niż tego pragnąłem.

Przez chwilę mi nie odpowiadała. Być może był to efekt żółtego blasku słońca zalewającego pokój, który był zimny i mokry, ale twarz Margaret lśniła jak lustro, przez co jej skóra wydawała się zdumiewająco tłusta i spocona, a krótko ostrzyżone, jasne włosy przywodziły na myśl porastający czaszkę grzyb. Zdałem sobie sprawę, że gapię się na nią bezwstydnie i że bynajmniej nie jest to pochlebne spojrzenie. Odwróciłem pośpiesznie wzrok. Gdy znowu na nią spojrzałem, zauważyłem, że dostrzegła moje zachowanie, lecz – podobnie jak ja – nie ma zamiaru nic na ten temat mówić.

Nigdy w życiu, przedtem ani potem, nie czułem się tak zawstydzony.

Po chwili uśmiechnęła się do mnie niepewnie, jakby się bała, że na nią nakrzyczę.

– No cóż, jeśli nas oskarżą, pójdziemy siedzieć – stwierdziła. – Historia uczy, że znajdziemy się w dobrym towarzystwie... Jezus, Piotr i Paweł... Adama Smitha spalono na stosie na Threadneedle Street, a Milтона Friedmana zjedli kanibale w Zurychu.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie aż tak źle – wtrąciłem pośpiesznie. Wiedziałem oczywiście, kim byli pierwsi trzej. Później miałem się ucieszyć, że o pozostałych dwóch nigdy nie słyszałem i w związku z tym nie powiedziałem na ich temat ani słowa. Okazało się, że stanowią oni element kulturowej historii wariantywnej – mitycznej wersji dziejów, którą założycielom kultur pozwalano zapisywać w bazach danych jako prawdziwą. Podczas diaspory doszło do wielu absurdów, ten jednak należał do najbardziej niedorzecznych,

doprowadził bowiem do trwałych, głębokich podziałów w obrębie Tysiąca Kultur. Gdy po raz pierwszy usłyszałem, jak jakiś międzygwiazdniczek przemawia na rogu ulicy, głosząc, że Edgar Allan Poe nie zginął w paryskim powstaniu w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, Rimbaud nigdy nie był królem Francji, a Beethoven nie zabił Mozarta w pojedynku, wyzwiałem go i usieknęłam jak wściekłego psa. *Deu sait*, jak Margaret, która była doszczętnie wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, zareagowałaby, gdybym zaprzeczył prawdziwości jej słów?

To, czego dokonali we troje z Thorwaldem i Paulem, było po prostu zdumiewające. Nigdy bym nie pomyślał, że mamy w ośrodku tak dużo miejsca dla ludzi, którzy musieli nie tylko spać, lecz również się myć, a także gdzieś usiąść, by zjeść posiłek. Podczas gdy ja siedziałem za komem, oni praktycznie zmienili budynek w dobrze zarządzany akademik albo hotel.

– Hmm, muszę ci zadać delikatne pytanie – odezwała się. – Thorwald i ty macie ostatnie jednoosobowe pokoje...

– Do mojego można wstawić parę łóżek i nie będzie zbyt tłoczno – odparłem. – Czy musimy jeszcze kogoś upchnąć?

– Hmm, zostało mi jedno pomieszczenie, ale to pokój gościnny, w którym zwykle zatrzymują się Bieris albo Aimeric. Jest tam trochę ich rzeczy...

Pomyślałem o uczuciach, które w widoczny sposób rozkwitały między Brucem a Bieris, i o równie widocznych trudnościach, jakie miał Aimeric z pogodzeniem się z tą sytuacją. Miałem już zamiar coś powiedzieć, gdy nagle wszyscy troje weszli do środka. Byli przemarznięci i ociekali wodą, zwłaszcza Bruce, którego przetrzymywano na dworze bez odpowiedniego odzienia. Nie ulegało wątpliwości, że przede wszystkim trzeba ich nakarmić, ogrzać i dać im suche ubrania. To zdumiewające, jak mało w pewnych sytuacjach znaczą sprawy osobiste.

Szybkość działania Margaret była niemal przerażająca. Po dwóch minutach wszyscy troje szli już pod ciepły prysznic, trzymając w rękach ubrania na zmianę, a do kuchni wysłano wiadomość, że potrzebny jest wielki garnek gorącej zupy oraz trochę świeżych bułeczek.

– Obawiam się, że będą musieli za wszystko zapłacić – stwierdziła. – Tylko w ten sposób udało nam się zdobyć żywność dla każdego.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałem. – Kto jest w kuchni?

– Prescott. Chyba nie najgorzej sobie radzi z naciskaniem guzików i zamawianiem towarów. Jeśli tak dalej pójdzie, mogę jeszcze uznać go za człowieka. Prosiłam o to Val, ale

akurat miała atak hysterii i uspokajało ją trzech mężczyzn, z których żaden nie był Paulem.

Nigdy nie słyszałem z ust Margaret równie złośliwych uwag, była jednak zmęczona i przypuszczalnie nie czuła się zbyt dobrze.

Jeśli się nad tym zastanowić, w Nou Occitan nigdy nie słyszałem, by ktoś krytykował atrakcyjną *donzelhę*. Z drugiej strony, nikt nigdy nie kazał im nic robić, trudno więc było określić, co mogłoby im się nie udać.

Margaret pokazała mi książki. Dzięki niej ośrodek miał zapewne zarobić więcej jako noclegownia i restauracja niż jako instytucja edukacyjna. Ponadto załatwiła wszystko tak, że mogliśmy teraz działać, a nawet prowadzić kursy, praktycznie bez końca.

– A tak swoją drogą, przyjmuję cię do pracy – oznajmiłem.

– Do pracy?

– Z taką masą ludzi będziemy mieli mnóstwo dodatkowej roboty – wyjaśniłem. – Thorwald z wieloma sprawami radzi sobie świetnie, ale chcę, żebyś ty od dziś zajmowała się kasą.

Próbowała odmówić, nie dałem jej jednak dojść do słowa.

– Jak inaczej udowodnisz, że cała ta praca, którą już dziś wykonałaś, była racjonalna?

Nie potrafiła na to odpowiedzieć, lecz z jej szyi na twarz przepelzł głęboki rumieniec. Zdałem sobie sprawę, że być może mimo woli zachęciłem ją do czegoś, od czego miałem szczerzy zamiar odwieść. Niemniej jednak była mi potrzebna, a poza tym postaram się, by jej to zbyt nie zaszkodziło. Może z czasem samo jej przejdzie. Być może Thorwald... ale on był za młody. Margaret była raczej w moim wieku... przyjdzie na to czas później. Nie mogę zanadto się o nią zamartwiać, gdyż można by to zinterpretować na zbyt wiele różnych sposobów.

Zadzwęczał kom. Bieris połączyła się ze mną z kabiny dla kobiet.

– Giraut, czy chciałbyś, żebym zaciągnęła u ciebie niespłacalny dług i na zawsze została twoją niewolnicą?

– Pozornie to atrakcyjna oferta. Jakiej niegodziwości muszę się w zamian za to dopuścić?

– Przenieś Bruce'a do mnie i powiedz Aimericowi, że cię o to prosiłam. Aimerica weź do siebie.

– Wolałbym nakarmić szczury własnymi genitaliami. Kawaleczek po kawaleczku.

Usłyszałem, że Margaret głośno zaczerpnęła tchu, wydając z siebie jakiś zdławiony dźwięk. Nie sądzę, by zdążyła się już przyzwyczaić do co bardziej ordynarnych aspektów okcytań-skiego humoru.

– Ale zrobisz to?

– Powiedziałaś „na zawsze”, *companional* – zapytałem. Mycie pleców. Tort na każde urodziny. Wysłuchiwanie mnie, kiedy wygaduję idiotyzmy.

– To ostatnie będzie najtrudniejsze, ale zgoda.

– W takim razie zrobię to.

Przerwaliśmy połączenie. Była to bardzo dziwna rozmowa. Przypominała te, które prowadziliśmy gdzieś do czternastego roku życia. Skąd wiedziała, jak na to zareaguję?

Stojąca obok Margaret westchnęła głośno. W tym dźwięku było coś niepokojąco romantycznego.

– To nie będzie łatwe, prawda?

– W Noupeitau byłoby trudniejsze. Aimeric musiałby rzucić wyzwanie, nawet gdyby mu na niej nie zależało. Nie dałoby się uniknąć pojedynku.

– Ale czy po walce wszystko nie wróciłoby do normy? – W jej głosie brzmiało zdziwienie. – Przecież kiedy parę dni temu, gdy ty i Thorwald...

– Och, *deu*, to był przypadek. On był bardziej zdenerwowany ode mnie. – Wzruszyłem ramionami, odliczając na palcach. – Aimeric i Bieris są ze sobą już jakieś sześć stanmiesięcy. To bardzo długi czas jak na związek z *entendedorą*. Być może, *qui sait*, traktowali to na tyle poważnie, że mieli zamiar wziąć ślub, kiedy tylko Bieris skończy dwadzieścia pięć lat. Niewykluczone, że Aimeric zaangażował się na tyle głęboko, iż przyjmie to źle. Ale przeciętny Okcytańczyk... – Mówienie o tym sprawiało mi ból, ale nie wiedziałem, jak ominąć prawdę, a nie wyobrażałem sobie, bym mógł okłamać Margaret. – ...Hmm, *typowy jovent* właściwie w ogolenie poświęca uwagi swej *entendedorze*. Nawet jej nie zna. Mają czcić i jej służyć, a nie myśleć o zawarciu trwałego związku... to zwykle dzieje się później, już po wyprowadzce z *Quartier*. Oczywiście zdarza się, że ktoś żeni się ze swą *entendedorą*, mój ojciec tak postąpił, albo że mężczyzna i kobieta są nie tylko kochankami, lecz również przyjaciółmi. Nie jest to jednak konieczne. Częściej zdarza się, że ludzie traktują się nawzajem jako... hmm, hobby. *Finamor* jest jak pojedynki. Daje młodym zajęcie, nim dorosną.

Margaret z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Hmm... czy to nie będzie zbyt osobiste pytanie...

Wybuchnąłem śmiechem, zawstydzony czymś, co jeszcze niedawno uważałem za równie naturalne jak oddychanie. Było to dziwne wrażenie, nadal jednak czułem się tak, jakbym narodził się dziś rano, gdy postanowiłem zostać na Nansenie i nie porzucać swych kaledońskich przyjaciół. Jedna nowość więcej mnie nie zabije.

Margaret również sprawiała wrażenie zażenowanej. Może swym pytaniem nawiązała do własnych, ukrytych myśli albo też mój śmiech sprawił, że bała się, iż uznam je za głupie.

– Nie będzie – zapewniłem ją pośpiesznie. – Śmiałem się tylko dlatego, że zdałem sobie sprawę, iż przed przybyciem tutaj w ogóle bym nie zrozumiał, o co pytasz. Odpowiedź brzmi tak, że nie mam najbledszego pojęcia, co się dzieje w głowach tych *donzelh*. Mogę ci opowiedzieć bardzo wiele o ciele Garsendy Mont-Verai, o tym, jaki dokładnie kolor mają jej oczy i co lubi robić... hmm, dla zabawy... – Margaret zaczerwieniła się gwałtownie. Przyszło mi nagle na myśl, że niewykluczone, iż rozmawiam z najstarszą dziewczyną, z jaką zetknąłem się w życiu. – Ale nic zupełnie nie wiem o jej uczuciach i myślach.

Skrzywiła się lekko i potrząsnęła głową, nie odzywała się jednak.

– Chciałaś o coś spytać – zachęciłem ją. – Mów. Nie czuję się urażony.

– Hmm... chodzi o to, że we wszystkim jest chyba jakiś haczyk. Przydałoby się nam trochę więcej uwagi i rozpieszczania, ale myśl, że miałybyśmy to otrzymywać od kogoś, kto w ogóle nas nie zna... – Wzruszyła ramionami i rozpostarła dłonie. Jej uśmiech wydawał się równie bezbarwny, jak cała reszta postaci. – No więc, nie chcę mówić jak kaznodzieja, ale wygląda na to, że za wszystko trzeba płacić.

– Zapewne. Podejrzewam, że niektórzy ludzie lepiej nadają się do jednych kultur niż do innych. Są tacy, którzy czuliby się nieszczęśliwi w Nou Occitan, i, hmm, są też tacy Okcytańczycy, którzy z łatwością przystosowaliby się do waszej kultury.

– Tak sędzę. – Jej osobliwy uśmieszek niemal mi się podobał. – Myślę, że gdy ceny skoczka spadną, podobno ma się to stać za jakieś dziesięć, dwadzieścia stanlat, wszyscy będziemy mogli poszukać sobie miejsca, które najbardziej nam odpowiada. Zakładając oczywiście, że cała reszta go nie zادةpcze, znajdując je przed nami.

Siedzieliśmy we dwoje bez słowa przez długą chwilę. Próbowałem wzrokiem rozłożyć ją na czynniki pierwsze i złożyć z powrotem tak, by mogła mi się spodobać. Mimo najlepszych chęci nie potrafiłem jednak tego dokonać. Podobnie jak wygląd Valerie przyciągał uwagę do piękna i symetrii, powierzchowność Margaret równie pewnie i nieodwołalnie kierowała wzrok na skazy na jej urodzie, które przesłaniały wszystko inne.

Gdy tak tam sterczeliśmy, czując się coraz bardziej zażenowani, z kabiny dla mężczyzn wyszedł Bruce. Poinformowałem go, kto z kim będzie mieszkał. Skinął głową. Nie wyglądał na w pełni szczęśliwego, bez słowa jednak zabrał torbę na górę.

Nie byłem pewien, co mam powiedzieć Aimericowi, nim jednak zdążyłem się zastanowić nad tą kwestią, zobaczyłem go na schodach. Pomyślałem tylko, że szkoda, iż muszę załatwiać tę sprawę przy Margaret, nim zdałem sobie sprawę, że dziewczyna zniknęła

gdzieś bez śladu. Przemknęło mi wówczas przez głowę, że mogłaby mi pomóc uporać się z tą sytuacją; jak jednak sama powiedziała, za wszystko trzeba płacić.

Aimeric przywitał mnie bladym uśmiechem.

– Czy Bieris już zeszła?

– Jeszcze nie – odparłem, starając się zyskać na czasie.

– Posłuchaj, czy mogę się zatrzymać u ciebie? W ten sposób będzie mogła postanowić, czy zaprosić do swojego pokoju Bruce'a, czy też urządzić tam sypialnię dla dziewcząt. Nie chcę, by miała wrażenie, że sama musi mnie powiadomić o swej decyzji.

W Noupeitau powiedziałbym, że mój przyjaciel jest pozbawiony dumy i płaszczy się przed *donzelhą*. Tutaj nie zastanawiałem się ani chwili.

– *Que merce!* – zawołałem, nim dotarło do mnie, co mówię.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Naprawdę się zmieniłeś.

– Nie tak znowu bardzo. – Nagle wróciła do mnie myśl, która zrodziła się poprzedniej nocy. – Hmm, czy kiedy wrócimy, zechciałbyś być moim *secundo* przeciwko Marcabru? Dostałem od niego niewiarygodnie obelżywy list, w którym pisze, że za bardzo się interesuję kaledońskimi sprawami. Przyszło mi właśnie na myśl, że gdyby jakimś cudem udało się nam wrócić w planowanym terminie, może mnie spotkać przyjemność ukatrupienia księcia małżonka.

– Umowa stoi. Kilka ostatnich listów, które napisał do mnie, również trudno było przełknąć. Nie sądzę jednak, bym musiał się wyzwalać z przyjaźni do niego. Nie byliśmy ze sobą zbyt blisko. Szczerze mówiąc, nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co w nim widzisz. Wzruszyłem ramionami.

– Od dawna był moim *companionem*. Wiele razem przeżyliśmy, ale nigdy go naprawdę nie znałem. Odkąd tu przybyłem, wyczytałem w jego listach wystarczająco dużo... dlatego właśnie chciałem go wyzwąć.

– W takim razie będę twoim *secundo*. Wyzwij tego małego, pozbawionego kutasa pozera i poszatkuj go na kawałki.

Zarzucił sobie torbę na ramię i ruszyliśmy razem na piętro. Jego dłoń spoczywała lekko na moim ramieniu.

Wrażenie, które towarzyszyło mi podczas drogi na górę, zamieniło się potem w pieśń. Wielu uważa, że to najlepsze z moich dzieł, wówczas jednak czułem się tak oszołomiony, że musiałem stłumić gwałtowne, przesywające pierś łkanie. Nie udało mi się jednak powstrzymać wypływających z oczu łez.

Aimeric zacisnął gwałtownie dłoń, wpijając w moje ramię palce niczym szpony.

– Giraut, co jest?

Wzięłam się w garść, pociągając lekko nosem. *Deu*, już drugi raz dzisiaj rozplakałam się przy ludziach. Co ze mnie *byl z&joventl*

– Nic, tylko coś przyszło mi właśnie do głowy. Nas czterech, ty, ja, Marcabru i Raimbaut... Raimbauta też właściwie nie znałem, dopóki nie wszczępli mi jego psypyksu. Dopiero wtedy się dowiedziałem, jak potrafił się wszystkim zachwycać i jakie miał mroczne poczucie humoru. Kiedy zaczął zapadać się w siebie i zanikać, czułem większy żal niż po jego śmierci. Rozumiesz, miałem więcej do stracenia. Nagle zrobiło mi się przykro, że go nie poznałem, naprawdę nie poznałem jako przyjaciela, a nie tylko *companhona*, kolejnego *joventa*, kiedy jeszcze żył.

Aimeric skinął głową. Wyglądał odrobinę głupio – łysinka mu się powiększyła, a jego okcytański strój był beznadziejnie zszargany. Ostatecznie, pomijając ubiory, które zakładamy na wycieczki, z reguły przebieramy się trzy razy podczas naszej dwudziestogodzinnej doby i okcytańskie ubrania po prostu nie są przystosowane do tego, by nosić je nieustannie tak jak ich kaledońskie odpowiedniki. Wyglądał jak starzy pijacy, którzy wałęsają się po *Quartier*, starając się przyciągnąć do siebie uwagę opowieściami o czasach, gdy *byli joventami*, ponieważ nie poradzili sobie w dorosłym życiu... niemniej jednak teraz, gdy stałem na długich, szarych schodach, a na kolumnę nad nami padały ostatnie, żółte promienie słońca, przyjrzałem się mu uważnie i zrozumiałem, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak się prezentuje, i zupełnie o to nie dba, ponieważ wie, że ów wygląd jest efektem uczciwej pracy. Większość ludzi nie potrafiłaby się na to zdobyć i w owej chwili kochałem i szanowałem go za to, podobnie jak za wiele innych rzeczy. Niektóre z nich wydarzyły się przed wielu laty.

– Od tej chwili, kiedy kogoś spotkam, będę się starał go poznać – zapowiedziałem.

– Chyba nigdy nie znamy innych wystarczająco dobrze – stwierdził wreszcie.

– Bardzo się cieszę, że zgodziłeś się zostać moim *secundo*. Uważasz, że powinienem go wyzwać na pojedynek bez ograniczeń?

– Dlaczego by nie? Pokaż temu sadystycznemu sukinsynowi, jak to smakuje. – Uśmiech, który wykwitł na jego twarzy, pasowałby raczej do rekina. Jestem pewien, że mój wyglądał podobnie. Uścisnęliśmy sobie dłonie i zamknęła się wokół nas pętla, która otworzyła się w momencie, gdy przybył do domu mojego ojca w Elinorien.

– I jak to znieśli? – zapytałem Aimerica, gdy ustawialiśmy łóżka dla niego i dla drugiego z gości, którzy mieli u mnie nocować. – To znaczy, twój ojciec i wielbna Peterborough.

– Tata zachowuje się jak męczennik... ale to znaczy coś innego niż w Nou Occitan. Chodzi mi o to, że jest w pełni świadomy przykładu tych, którzy w przeszłości wycierpieli bardzo wiele za swoje przekonania, i... stara się im dorównać. – Aimeric westchnął. – Z drugiej strony, Clarity... nie radzi sobie za dobrze, Giraut. – Usiadł na ławie przy stole. Zauważyłem, że z jego mięśni uchodzi napięcie, nie dlatego, że poczuł się lepiej, lecz z uwagi na fakt, że jego ciało zdało sobie sprawę, że nie ma już o co walczyć i nic się nie da osiągnąć. – Całe jej widzenie świata, to co zawsze powtarzała swej kongregacji i czym sama się kierowała, hmm, opierało się na poglądzie, że kaledoński system jest w zasadzie dobry, sprawiedliwy oraz racjonalny i potrzebuje tylko drobnych korekt, a źródłem problemów jest jedynie garstka twardogłowych albo osób o nazbyt sztywnych zasadach moralnych, którzy nie pozwalają, by wszystko działało tak jak powinno. Takie tam rzeczy. Jeśli już o tym mowa, naprawdę wierzyła w łagodnego, rozsądnego, kochającego Boga...

– A teraz przestała w niego wierzyć?

– Chwał Boga. Wznoszę Dziękę. Myśl Racjonalnie. Bądź Wolny. Cztery Postulaty Querozy... Queroza uczył, że wszystkie one są jednym. Chwalimy Boga, naśladując Go, ponieważ jest najbardziej racjonalną istotą, wnosimy do Niego dzięki za to, że jest racjonalny, a czyniąc to, nie musimy więcej walczyć z racjonalnym światem, w którym żyjemy, i dzięki temu jesteśmy wolni. No wiesz, wolni w tym sensie, w jakim wolne jest ciało spadające swobodnie. Ten, kto robi to, co wymusza przyciąganie, w ogóle nie czuje jego działania. – Westchnął i zadrżał, nie wiem, czy z zimna, czy ze współczucia. – Clarity wierzy w to wszystko. Ponieważ jest... no, znasz ją. Wielkoduszna, dobra i wszystkich kocha... ponieważ taka jest, te idee wydają się jej szczególnie ważne. Nie zdaje sobie sprawy, nie wiem, czy ktoś, kto całe życie spędził w Kaledonii, w ogóle może to zrozumieć, że nie jest dobra i wyrozumiała dzięki tym słowom, lecz dlatego, że taka jest, owe słowa to właśnie dla niej znaczą. – Jego spojrzenie znowu nabrało nieobecnego wyrazu. W jednej chwili dowiedziałem się więcej niż kiedykolwiek dotąd o pierwszym stanroku jego pobytu w domu mojego ojca w Elinorien. Pojąłem, że musiał się zdumiewać, widząc, iż ludzie wokół niego zachowują się przyzwoicie, mimo że ich przekonania były dla niego odrażającą herezją. Jego nagłe przeskoki od gniewu do rozpusty były równie łatwe do wytłumaczenia jak Poranna Nawałnica w Utilitopii.

– No i co z nią? – zapytałem po długiej chwili.

– Stanowczo za mało się rusza. Prawie nic nie mówi. Potrzebowałem sporo czasu, by namówić ją choćby do tego, by wysłała za moim pośrednictwem wiadomość do swej kongregacji. A jeśli już coś powie... chyba odechciało się jej żyć, Giraut. Postawiła krzyżyk

na Bogu, przynajmniej takim, jakim zawsze go sobie wyobrażała. Pucz Saltiniego, za którym stali najpobożniejsi ludzie w Kaledonii, przekonał ją, że całe życie się myliła. Kiedy ją wypuszczą, chyba w niczym im już nie zagrozi. Zapewne będzie tylko siedzieć w domu i gapić się w ścianę. Nie ma już sił, by walczyć. Tak dzieje się zawsze, gdy człowiek, który całe życie w coś wierzył, przekonuje się, że to był fałsz. – Wstał i zaczął się rozbierać. – Jestem zbyt zmęczony, żeby jeść. W każdym razie tata czuje się dobrze. Saltini zrobił z niego wojującego liberała. Cieszę się, że stary wojownik jest po naszej stronie. Bardzo się nam przyda.

– Nie sądziłem, że istnieje już coś takiego jak nasza strona – zauważyłem.

– Tak? Będzie istniała. – Cisnął bluzę do czyszczarki. – W każdym społeczeństwie ludzie znajdują mnóstwo powodów do niezadowolenia z istniejącego porządku. Dopóki jednak wszyscy są weń w jakiś sposób zaangażowani, owo niezadowolenie nie może zyskać spójności niezbędnej, by wywrzeć znaczący wpływ na wydarzenia. To klasyczny błąd, gospodarcza teoria gier zamachów stanu. Gdy jakaś mała grupka zagarnia pełnię władzy, całe niezadowolenie skupia się na niej. Mogę się od ręki założyć, że nie miną trzy lata, nim Saltini zapuka do drzwi Shana, błagając o azyl i prawo do bezpiecznego opuszczenia planety.

Przebywaliśmy w jednym z dwóch tylko budynków wielomilionowego miasta, które nie znajdowały się w rękach Saltiniego, a nasza armia składała się z dwustu nie uzbrojonych, przerażonych i wyczerpanych wyrzutków społeczeństwa, nie mogłem więc nie dojść do wniosku, że Aimeric odczuwa skutki hipotermii. Gdy mój przyjaciel cisnął buciory w kąt i wciągnął na siebie piżamę, w drzwiach pojawił się Thor-wald, który przyniósł mu zupę i bułeczki. Aimeric przyjął od niego kolację i zasiadł do niej, jakby był dzieckiem, które wróciło do domu po długim dniu zabawy na śniegu.

– Kiedy pan skończy, proszę się natychmiast położyć – dorzucił Thorwald, zupełnie jakby był jego matką. – Panie, hmm, to znaczy, Giraut. Kilku z nas zebrało się w małej kuchni, żeby napić się kakao. Może przyszedłbyś do nas, żeby pogadać.

– Oczywiście – odparłem. Zostawiliśmy Aimerica samego, żeby skończył kolację i położył się spać. – Jestem pod wrażeniem tego, czego udało się dziś panu dokonać, panie Spenders – powiedziałem, gdy zamknęliśmy za sobą drzwi.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Jeszcze się przyzwyczaję do zwracania się do ciebie po imieniu, Giraut. Może nawet zarazę się twoim paskudnym zwyczajem dogadywania ludziom.

Roześmiałem się, nie zaprzeczając temu zarzutowi. Faktycznie to robiłem. Najwyraźniej śmiech stanowił wystarczające przeprosiny. Gdy schodziliśmy po głównych

schodach, usłyszałem jakieś dziwne buczenie. Po chwili zdałem sobie sprawę, że dwustu ludzi robi tak wiele hałasu, iż nawet w wielkim gmachu ich obecność zawsze daje się odczuć. Ku swemu zaskoczeniu – sądziłem dotąd, że najbardziej podoba mi się w ośrodku fakt, że jest tak doskonale przystosowany do moich potrzeb – przekonałem się, że choć intruzi wywołali trochę zamieszania, dzięki nim budynek stał się znacznie bardziej ciepły i ludzki niż... hmm, niż wszystkie domy, w jakich dotąd mieszkałem.

Była to tylko przelotna myśl, nic więcej, uznałem ją jednak za drugi pomysł na dobrą pieśń, który przyszedł mi do głowy tego samego dnia. Przypomniałem sobie poetę z ery przedko-smicznej, który nosił nazwisko Wordsworth. Znaczna część jego utworów zawdzięczała swego ducha pobytowi autora we Francji podczas upadku *Ancien Regime*... może zdobędę tu chociaż jakiś temat do pieśni, który pozwoliłby mi zakasować wielu innych okcytańskich wykonawców.

Okazało się, że w kuchni oprócz mnie są tylko Paul, Thorwald, Margaret oraz wielka lasagna, którą ktoś zdążył upiec. Zaburczało mi w żołądku. Zdałem sobie sprawę, że od nastania Pierwszego Mroku nic nie jadłem. Pozostali byli w podobnej sytuacji. Na początek wszyscy zabraliśmy się do pochłaniania pysznego, gorącego posiłku.

– No dobra – odezwałem się w końcu. – Paul, skoro wreszcie cię dopadłem, informuje oficjalnie, że ciebie również zatrudniam. Zakładam, że ty przynajmniej się domyślałeś, iż to zrobię.

– Jasne – przyznał wysoki, młody mężczyzna. Odchylił się na krześle z głośnym westchnieniem. – Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że ucieszę się ze znalezienia pracy, która będzie wymagała tak wiele wysiłku... – Uśmiechnął się. – Z pewnością świetnie ci idzie uczenie nas irracjonalności.

– Jak ci się powiódł atak na bazy danych PPP? – zapytałem, uznając jego słowa za komplement.

– Obawiam się, że mi się nie poszczęściło. Wszystkie dostępne w handlu rodzajowe syntelety są zasimowane do entej potęgi. Nie tylko nie mogą krzywdzić ludzi, lecz również nie są w stanie pomóc im w pogwałceniu religijnych przykazań. Wszystko to wbudowano w nie bardzo starannie. Nie sposób tego wymazać podczas ustawiania parametrów. Obawiam się, że wpędziłem dwa z nich w totalny obłęd, nim zrozumiałem, że tego po prostu nie da się zrobić. – Pociągnął wielki łyk ciepłego, czerwonego wina z Babilońskiej Niecki. Thorwald znalazł gdzieś parę dzbanków tego trunku. – A w PPP jest mnóstwo synteletów, które mają ponad sto stanlat. Niektóre z nich cały ten czas przeprowadzały symulacje. Po dwudziestu sekundach od próby penetracji przeszły od niemal całkowitego braku osłon do ich

kompletnego, samodoskonającego się zestawu. Żeby sobie poradzić z czymś takim, potrzebowalibyśmy skoordynowanego ataku dziesięciu tysięcy syntelektów wywodzących się spoza naszej kultury.

Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową. Tak już od tysiąclecia wyglądała historia włamań do baz danych. Przeprowadzany przez tysiąc jednostek atak mógł się załamać na jednej tysięcznej obrony. Niemniej jednak warto było spróbować. Uważam, że dobry włamywacz, nim cokolwiek rozbije, powinien najpierw sprawdzić wszystkie drzwi i okna, na wypadek gdyby któreś z nich nie było zamknięte.

– Złapałem jeden zestaw plików, ale pożytek z niego będzie niewielki – ciągnął Paul.

– Wygląda na to, że Saltini i jego wesoła kompania to selektywiści.

– Co takiego? – zapytał Thorwald, rozdziawiając usta.

– Co właściwie znalazłeś? – wtórowała mu Margaret.

– Była tam lista uchwał, które Rada Racjonalizatorów ma ratyfikować w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Większość z nich przekształca tylko „wyjątkowe środki” Saltiniego w obowiązujące prawa. Jest również kilka ustaw sabatowych, które starali się przepchnąć już od wielu lat. Mają też jednak zamiar uczynić selektywizm oficjalną doktryną, a z naszego punktu widzenia to najlepsze, co mogą zrobić. Jeśli mowa o podżeganiu do buntu...

– O ile nie sprawi wam to zbyt wielu kłopotów, to czy mógłbym się dowiedzieć, co to jest selektywizm?

– Życie ewoluuje szybciej przy obecności umysłu, a jeszcze szybciej przy obecności racjonalnego umysłu – odparła Margaret, szczerząc zęby w uśmiechu.

Musiałem mieć zdziwioną minę, gdyż do rozmowy włączył się Thorwald.

– To zwariowane wyjaśnienie faktu, że przybywszy tu, zastaliśmy już życie na planecie. Wierzą w nie niektórzy z ultrareligijnych Kaledończyków. Twierdzą, że ponieważ racjonalnym celem życia jest inteligencja, tam, gdzie ona już występuje, życie rozwija się szybciej. A ponieważ przeznaczeniem tego świata było stać się ojczyzną racjonalnego, chrześcijaństwa, sam ten fakt wystarczył, by ewolucja odbywała się tu tysiąc razy szybciej niż gdzie indziej.

Trudno mi było stłumić chichot, choć poprzysiągłem, że nie będę się śmiał z niczego co kaledońskie.

– Nawiasem mówiąc, tę tezę potrafiłby obalić każdy w miarę rozgarnięty teolog – dodał z westchnieniem Paul. – Ponieważ Bóg jest nieskończoną inteligencją i jest wszechobecny we wszechświecie, gdyby selektywizm był prawdą, wszystko, skały, gwiazdy,

a nawet próżnia, byłoby żywe.

– Naprawdę chcą to uczynić częścią doktryny? – dopytywała się Margaret, jakby nadał nie mogła w to uwierzyć.

– Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, jakie to ma znaczenie?

– Przed przystąpieniem do komunii trzeba złożyć przysięgę, że wierzy się w całą doktrynę, a nie więcej niż trzy dni przed wzięciem udziału w wyborach należy przystąpić do komunii – wyjaśnił Thorwald.

– A więc mają zamiar pozbawić prawa głosu wszystkich poza swoimi zwariowanymi popiecznikami? Nie wydaje się, by miało to nam przynieść jakąś korzyść...

– Ha. Poczekaj, aż zobaczysz, co się stanie, gdy zwykły, porządny, chodzący do kościoła obywatel będzie musiał przysiąc, że wierzy w oczywistą bzdurę, nim pozwolą mu głosować przeciw podwyżce podatków. Paul ma rację. Nic nie mogłoby nam bardziej pomóc w rekrutacji stronników.

Uwierzyłem mu na słowo. Meandry kaledońskiej polityki zawsze przekraczały moje zdolności pojmowania, nawet w czasach, gdy byłem w niej unurzany po szyję.

– Czy musimy dziś omówić coś jeszcze, poza kwestią dokładki? – zapytała Margaret, odkrawając kolejną porcję. – Sądzę, że to my jesteśmy w tej chwili nieformalną radą naczelną ruchu oporu.

– Mam pewien pomysł – oznajmił z uśmiechem Thorwald. – Jest trochę głupi, ale zobaczymy, czy się wam spodoba. Uważam, że powinniśmy założyć ruch artystyczny.

Jego pomysł spotkał się z niewiarygodnie obojętnym przyjęciem. Nawet mnie, Okcytańczykowi, trudno byłoby sobie wyobrazić mniej sensowny plan. Thorwald jednak uśmiechał się z przekąsem, co znaczyło, że z pewnością coś kombinuje.

Wszyscy zajęliśmy się jedzeniem. Ostatecznie lasagna była smaczna, a my nie zaspokoiliśmy jeszcze głodu, nie mieliśmy też większej ochoty sprawiać mu satysfakcji.

Po przełknięciu jakichś trzech kęsów Paul popatrzył na nas dwoje.

– No dobra, Thorwald – powiedział. – Dłużej już tego nie zniosę. Dlaczego ruch artystyczny? Czemu nie klub szycia albo związek wyścigów windowych?

– To też mógłby być dobry pomysł – zgodził się radosnym tonem Thorwald. – Zastanówcie się jednak nad tym, co racjonalnie powinien robić ruch artystyczny?

– Ubiegać się o popularność – domyśliłem się. – Chyba rozumiem, do czego zmierzasz. Moglibyśmy w ten sposób mówić, a może nawet robić wszystko, co tylko zechcemy, pod pozorem, że jest to sztuka. Ale czy dzisiejszej nocy nie zlikwidowali waszej grupy?

– Ach, ale wtedy nie mieliśmy manifestu.

– A teraz mamy?

– Jutro będziemy mieli – odparł Thorwald, nakładając sobie na talerz trzeci, wielki kawał lasagny. – Swoją drogą, jeśli to jest próbka umiejętności Prescottta Diligence’a, chciałbym zasugerować, żeby Giraut natychmiast przyjął go do pracy jako kucharza.

W gruncie rzeczy kurs gotowania był jedynym, na którym Prescottt jakoś sobie radził, i ten pomysł już wcześniej przyszedł mi do głowy, nie mogłem jednak nic powiedzieć z pełnymi ustami, skinąłem więc tylko energicznie głową.

– A kto napisze ten artystyczny manifest? – zapytała Margaret. – Ja jestem skonana i mam zamiar za jakieś pięć minut pobiec do kabiny, wziąć gorący prysznic, a potem pognać do najbliższego wolnego łóżka. – Dopila wino i cisnęła naczynia do odzyskiwacza. – Czeka nas mnóstwo roboty, chyba że rano naprawdę mamy zamiar zacząć rewolucję.

– Zostały tylko dwa łóżka – oznajmił Thorwald. – Jedno w moim pokoju i drugie u Girauta. Trzeba na nich ulokować Margaret i Paula. Czy ktoś zgłasza jakieś preferencje?

Margaret zrobiła się purpurowa – uboczny skutek bardzo bladej skóry – jej preferencje nie były więc dla mnie tajemnicą. Nim jednak zdążyłem zdecydować, co powiedzieć (zaprosić ją i w ten sposób zachęcić, ale sprawić, by poczuła się doceniona? Wybrać Paula i urazić jej uczucia w chwili, gdy była zmęczona i zniechęcona?), Paul wydobyl monetę i rzucił ją wysoko w górę.

– Orzeł czy reszka, Margaret?

– Orzeł.

Położył z plaśnięciem monetę na nadgarstku.

– Śpisz z Aimerikiem i Girautem. W ich pokoju jest prysznic, mozesz więc od razu z niego skorzystać.

– Dziękuję.

Gdyby wyszła jeszcze trochę szybciej, rozległby się grom dźwiękowy.

– Co wyszło? – zapytałem.

– Reszka, oczywiście. Biedactwo przegrało.

Niewinna mina Paula nie oszukałaby dwuletniego dziecka.

– Ta.

Chyba nie miałem zbyt radosnej miny.

– Giraut – odezwał się Thorwald.

– Słucham?

– Nie musisz się zakochać w Margaret. Wystarczy, że będziesz dla niej bardzo dobry.

Jesteś pierwszym facetem, którym się zainteresowała. Jeśli musisz ją odrzucić, zrób to delikatnie. – Uśmiechnął się do mnie. – W przeciwnym razie będę musiał spróbować złamać ci nos.

– Za mało umiesz – odparłem ponurym tonem, wrzucając naczynia do odzyskiwacza.

– To fakt, ale jeśli cię zmuszę, byś mnie pobił w obronie własnej, wyrzuty sumienia sprawią ci więcej bólu niż wszystko, co mógłbym ci zrobić.

– Najokropniejsze jest to, że masz rację, Thorwald. Tak czy inaczej, Margaret to bardzo wartościowa osoba i nie sprawię jej bólu celowo. Ale młode serca są wrażliwe...

– Ta, rozumiem. – Wyciągnął rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie na znak porozumienia. Przyszło mi nagle do głowy, że zapewne zdobyłem tu więcej prawdziwych przyjaciół niż przez całe życie w Nou Occitan.

Z drugiej strony, pomyślałem, wspinając się na schody, wmanewrowano mnie w pozycję, w której uganianie się za Valerie stało się dla mnie praktycznie niewykonalne, a winnym tego był Paul.

Stanowczo nie powinienem nie doceniać umiejętności Ka-ledończyków w wielkiej grze *finamor*.

Gdy wróciłem do pokoju, Aimeric spał jak zabity, podobnie jak Margaret. Postanowiłem, że zwalę wszystko na totalne zmęczenie, po czym dotknąłem głową poduszki i natychmiast zapadłem w sen.

– Pora wstawać! Pora wstawać! – krzyknął mi do ucha sygnalizator. Mógłbym nacisnąć wyłącznik i spać dalej, ale Aimeric wygramolił się już z jękiem z łóżka i kręcił się po pokoju, a Margaret powtarzała raz za razem pięć tych samych, niezbyt wyszukanych przekleństw.

Kiedy wstałem, dotarło do mnie, że dobrałem sobie bardzo niewygodnych współlokatorów. Aimeric zdążył już dotrzeć do łazienki jako pierwszy, a Margaret zajęła bezpieczne, drugie miejsce w kolejce.

W piżamie nie prezentowała się lepiej.

Mufrid jeszcze nie wzeszedł, ale przez wąskie okna do pokoju wpadało światło księżycy, było więc dość jasno. Dowlokłem się do wyłącznika i zapaliłem światło. Margaret zamrugła oślepiona.

– O Boże – powiedziała. – Czeka nas cały dzień.

– Może uda się to nadrobić dłuższą pierwszomrokową drzemką – odparłem, nie robiąc sobie na to zbytnej nadziei. Z drugiej strony, chociaż urodzie Margaret nie pomagała ani piżama, ani wczesna godzina, w przeciwieństwie do Garsen-dy i całej mojej rodziny miała ona choć tyle przyzwoitości, by rano być zrzędliva i niezadowolona.

Aimeric wyszedł z łazienki, ustępując miejsca Margaret, po czym podjął próbę wbicia się w ubranie, nim dziewczyna skończy się myć. Gdybym był w odpowiednim nastroju, mógłbym to uznać za bardzo zabawne. W ostatecznym rozrachunku udało mu się ocalić skromność, godność jednak utracił nieodwołalnie, gdy bowiem Margaret wyszła, bluza łopotała szaleńczo wokół jego głowy, a ręce miotaly się w rękawach jak ślepe świnię w worku.

– Mogłam wyjść na korytarz – zauważyła Margaret, powstrzymując drżenie kącika ust.

– Ja nie – odparłem. – Za nic w świecie nie zrezygnowałbym z takiego widoku.

Aimeric uwolnił wreszcie głowę. Długie włosy opadły mu na twarz, tak że nie od razu stało się jasne, czy mamy przed sobą przód, czy też tył jego głowy.

– Nienawidzę ludzi, którzy są rano tacy weseli – oznajmił, odgarniając włosy.

Ze zgrozą zdałem sobie sprawę, że faktycznie staję się jednym z owych ludzi. Wpadłem do łazienki, by zrobić to co konieczne. Kiedy stamtąd wyszedłem, Aimeric był

zajęty czesaniem włosów, a Margaret prawie już skończyła się ubierać. Może nie wstydzili się tu nagości tak bardzo jak my? Będę musiał zapytać o to na osobności Aimerica. Na razie jednak...

– Chyba słyszałam na korytarzu jednorożca – oznajmiła Margaret. – Lepiej pójdę mu się przyjrzeć.

Wyszła, nie przerywając szczotkowania włosów. Nie miałem pojęcia, po co głaskać jedną szczecinę drugą.

Ubierając się, zapytałem szeptem Aimerica o kwestię nagości.

– Hmm... tak – wyjaśnił. – Faktycznie, Kaledończycy często rozbierają się przy członkach rodziny. Albo przy ludziach, którzy, hmm, są za starzy albo zbyt młodzi, by można ich było uważać za interesujących.

Wyglądało na to, że zawstydziło go coś zupełnie innego niż mnie. To pewnie było tak jak w Nou Occitan, gdy sprzedawca po raz pierwszy zwraca się do człowieka „*jenhor*”. Musiał się nagle poczuć beznadziejnie stary.

Po chwili skończyłem się ubierać i zeszliśmy na śniadanie, w nadal lekko zrędliwym, lecz ogólnie niezłym nastroju. Margaret podzieliła jedzących na zmiany i my należeliśmy do pierwszej. Oznaczało to, że musieliśmy wstać wcześniej, nie można było jednak zapominać o fakcie, że Okcytańczycy i kaledoński personel powinni być dziś od rana na nogach, gotowi na wszystko.

„Wszystko” nie kazało na siebie długo czekać. Gdy kończyliśmy śniadanie w mniejszej, prywatnej kuchni (z niesmakiem zauważyłem, że Bieris, tak jak niegdyś podczas wycieczek, była przytomna i wesolutka), zadzwieczał kom.

Był to Prescott, który poza pełnieniem nadzoru nad grupką kucharzy musiał również odbierać rozmowy z kuchennego telefonu.

– Przepraszam – powiedział. – Miałem nadzieję, że będziecie mogli zjeść w spokoju, ale chyba nic z tego. Myślę, że musimy się przygotować na złe wieści. Saltini chce za pięć minut pomówić z Girautem. Powiedział, że każdy, kto tego chce, może wysłuchać rozmowy.

Znaczyło to przynajmniej tyle, że nie liczy na żadne prywatne układy ze mną. Uznałem to za komplement, dopiłem kawę i nastawiłem kom w małym pomieszczeniu na szeroki kąt, żebyśmy wszyscy widzieli Saltiniego, a on z kolei widział nas.

– Mogłem się spodziewać, że zobaczę was wszystkich razem – oznajmił skwaszonym tonem. Po raz pierwszy ujrzałem go bez tego wrednego uśmiechu. – Dziwię się jednak trochę, że wstaliście tak wcześnie.

Purytanie wszystkich wieków zawsze chyba uważali ranne wstawanie za przejaw

cnoty. Stłumiłem chęć oznajmienia mu, że nie spaliśmy całą noc, oddając się zbiorowej sodomii.

– Czy ma pan jakąś pilną sprawę? – zapytałem.

– Chodzi tylko o drobną zmianę w obowiązującym prawie, którą wprowadzono przed sześcioma godzinami. Jesteśmy przekonani, że wiele osób, które zatrzymały się w ośrodku, zapewne wywiera negatywny, burzycielski, irracjonalny i antychrześcijański wpływ na swe rodziny. Jak z pewnością zdaje pan sobie sprawę, z uwagi na fakt, że wielu z nich nie udało się dostać na wyższą uczelnię, nieproporcjonalnie wielka liczba nadal mieszka z rodzicami, choć nie są już w odpowiednim do tego wieku. To zapewne typowe dla osób społecznie nieprzystosowanych. Tak czy inaczej, zważywszy, że swą szkodliwą obecnością osłabili wiele rodzin, a opatrność sprawiła, że je opuścili, chcemy zachować tę korzystną sytuację. Dlatego postanowiliśmy wystąpić o nakaz ogólny, zabraniający im kontaktu z rodzinami oraz powrotu do domów, a sędziowie byli na tyle dobrzy, że go wydali. Natychmiast prześlemy panu listę osób, których on dotyczy. Na początek muszę więc panu pogratulować, gdyż wielu pana gości okaże się stałymi lokatorami, a nie tylko krótkoterminowymi, jak pan oczekiwał.

– Jako biznesmen zawsze z zadowoleniem witam dodatkowe źródła dochodu – odparłem.

A jako człowiek miałbym ochotę znaleźć się z tobą na pięć minut w zamkniętym pokoju, żeby się przekonać, ile ciosów i kopów zdążę ci zadać, tak żeby zdążyć jeszcze w wyznaczonym czasie cię udusić.

Zafascynowało mnie spektakularne, małostkowe okrucieństwo jego postępuku. Był on swego rodzaju dziełem sztuki, tak samo jak tortury, którym Marcabru zwykł poddawać pokonanych przeciwników.

– Czy mógłbym pana o coś zapytać? – odezwał się Thorwald.

– Chwileczkę... pan Thorwald Spenders? Toczy się przeciwko panu sprawa o podżeganie do zamieszek podczas występów Okolicznościowego Wędrownego Kabaretu?

– Sprawa o nieuzasadnioną interwencję policji podczas legalnej publicznej imprezy. Tak, to ja. Chodzi też o mojego współnika – dodał, wskazując na Paula. – Ale pytanie nie ma bezpośredniego związku z procesem.

– W takim razie, ponieważ kwestia nie dotyczy będącej w toku sprawy sądowej, przewodniczący Rady Racjonalizatorów zapewne ma prawo udzielić panu porady w interesującej pana sprawie. Proszę jednak nie zapominać, że mam mnóstwo zajęć.

– Tak jest. Ja również mam liczne obowiązki, tutaj w ośrodku. – Thorwald mówił tak,

jakby toczył sympatyczną, choć trochę sztywną i oficjalną rozmowę z kimś z pokolenia swych rodziców. Unikałem spoglądania na ekran, w obawie, że mogę się zdradzić z podziwem dla jego opanowania. – Chodzi mi

o to, że nie zdołałem znaleźć żadnych zasad ani procedur dotyczących zgodnego z prawem rejestrowania nowego ruchu artystycznego. Czy moim następnym krokiem powinno być wysłanie petycji do Centrum Doradczego, czy też wystąpienie do Rady Racjonalizatorów z prywatnym projektem ustawy?

Dopiero później tego dnia Aimeric znalazł trochę czasu, by mi wytłumaczyć, dlaczego pytanie Thorwalda było tak bardzo inteligentne. Centrum Doradcze tworzył potężny zestaw syntelektów, tych samych, które często wydawały opinie odnoszące się do działalności ośrodka. Rozstrzygały one, które formy działalności są, a które nie są racjonalne. Stosowane przez nie zasady można było zmienić jedynie z czasem. Jeśli Saltini utrzyma się przy władzy wystarczająco długo, precedensy sądowe w końcu wypaczą decyzje Centrum Doradczego. Na razie jednak interpretowało ono kaledońskie prawo w bardzo tradycyjny sposób, co oznaczało, że stosunkowo łatwo będzie uzyskać decyzję niekorzystną dla Saltiniego, który będzie musiał ją honorować, jeśli nie chciał utracić resztki wątych pozorów prawomocności swej władzy.

Z drugiej strony, gdyby pozwolił na wysunięcie prywatnego projektu ustawy, stworzyłby precedens, mówiący, że ruchy artystyczne w zasadzie stanowią legalną formę działalności. Ponadto, odrzucając projekt, musiałby przytoczyć konkretne zarzuty i po wprowadzeniu odpowiednich zmian, drugie podejście do Centrum Doradczego zapewne zakończyłoby się sukcesem.

Saltini musiał więc zdać się na decyzję centrum, ryzykując, że utraci wszelkie możliwości ingerencji w całą sprawę, bądź też sformułować jakieś ogólne zasady i liczyć na to, że nie uda się nam obrócić ich przeciwko niemu.

Stary, chytry pastor nie osiągnął jednak swej obecnej pozycji dzięki wahaniom. Uśmiechnął się, choć wyglądało to raczej tak, jakby dokuczał mu ból zębów.

– Hmm – powiedział. – Rozumiem, o co panu chodzi. Nie ma precedensów. No cóż, zwróćmy się na razie do Centrum Doradczego. Jeśli będą jakieś problemy z jego decyzją, będziemy mogli pomyśleć o rozważeniu prywatnego projektu.

Aimeric wytłumaczył mi później, że Saltini zdecydował się podjąć ryzyko. Jeśli Centrum Doradcze zmiążdży propozycję, jego będzie na wierzchu, ale w przeciwnym razie Thor-wald będzie miał wolną rękę. Postanowił zagrać o najwyższą stawkę, rozstrzygnąć problem raz na zawsze.

– Dziękuję panu – odparł Thorwald z chłodnym, uprzejmym uśmiechem i skinieniem głowy. Miałem wrażenie, że dostrzegam w jego stylu dotknięcie *dojo*.

– Jeśli to już wszystko...

To było już wszystko. Saltini kiwnął do nas uprzejmie głową i zniknął z ekranu, zostawiając nas z problemem powiadomienia przeszło stu przerażonych, młodych ludzi, że prawnie zabroniono im kontaktowania się z rodzinami. Szczerze się cieszyłem, że Margaret zdążyła nocą powiadomić krewnych wszystkich obecnych w ośrodku. Dzięki temu rodzice przynajmniej wiedzieli, że ich dzieci przebywają we względnie bezpiecznym miejscu, nawet jeśli nie mogli się z nimi skontaktować.

Godzina inicjująca Pierwszą Jasność była bardzo wyczerpująca. Miałem wrażenie, że przydałoby mi się dziesięć dodatkowych uszu i cztery nadliczbowe mózgi. Gdyby nie pomoc Margaret, z pewnością wróciłbym do pokoju i ze skomleniem schował się pod kołdrę. Najpierw okazało się, że nikt poza ośrodkiem nie wie, że powiadomiliśmy rodziny wszystkich przebywających u nas ludzi. Dlatego jakieś sto osób, których krewni zniknęli, postanowiło sprawdzić, czy nie ma ich u nas, i otrzymało złą wiadomość, że my również nic o nich nie wiemy. W kilku przypadkach chodziło o słuchaczy ośrodka, którzy jeszcze do nas nie dotarli. Czworo z nich znaleziono późnym rankiem martwych. Ogłuszono ich gdzieś w ciemnej ulicy, a potem rozwalono im czaszki albo utopiono w kałużach. Rzecz jasna, oficjalnie podano, że cała czwórka padła ofiarą „nieznanych napastników, działających prawdopodobnie z motywów rabunkowych, podczas niedawnych krótkich zakłóceń spokoju publicznego”. Dla jednej z nich, młodej kobiety nazwiskiem Elizabeth Lovelock, musieliśmy załatwić pogrzeb w ośrodku, gdyż rodzina nie chciała o niej nawet słyszeć.

Jej przypadek był najgorszy. Ktoś, może kilka osób, zgwałcił ją i powybił zęby „tęym narzędziem” (to sprytne określenie pozwalało uniknąć wymienienia z nazwy pałki ogłuszającej), a następnie potraktowano ją potężnym impulsem z tej broni, wskutek czego zadławiła się własną krwią.

– Co im zrobiła, że dali jej maksymalną dawkę? Opierała się aresztowaniu, za głośno krzycząc? – wybuchnęła Margaret, gdy fakty stały się jasne. PPP oczywiście oznajmił, że stara się dociec, który z funkcjonariuszy miejskiej policji dopuścił się tej zbrodni; miejska policja zaś nie otrzymała na jej temat żadnych informacji.

Ciało miało być dostarczone przed wieczorem. Wysoce wielbny Peter Lovelock przysłał nam krótką notkę, mówiącą, że ponieważ skłoniliśmy jego córkę do „nierządu i nieposłuszeństwa”, możemy sami się zająć „ohydnyimi resztkami, które po niej zostały”. To było wszystko, co jej rodzina miała nam do powiedzenia. Wciągnąłem go na sporządzonej

w pamięci listę osób, na których zamierzałem wyrzucić kiedyś jakiegoś rodzaju zemstę, nigdy jednak go nie spotkałem. Wolałbym napisać, że spotkał go marny koniec, ale ponieważ był pastorem małej prowincjonalnej kongregacji, mieszkającym nad morzem, daleko na północy, podejrzewam, że przeszedł w stan spoczynku jako ceniony i szanowany członek społeczności. Sprawiedliwość rzadko zjawia się tam, gdzie chcielibyśmy ją zobaczyć.

Przekonaliśmy się też, że ponieważ jesteśmy obecnie również domem noclegowym, musimy uzyskać kredyt u hurtowników żywności. Szybko stało się jasne, że jest to czysto polityczna sprawa. Bruce, który znał chyba wszystkich, okazał się nieoceniony. Kierował nas do dostawców o liberalnych poglądach, u których mogliśmy liczyć na przychylniejsze traktowanie, i pozwalał unikać reakcjonistów, którzy mogliby próbować nas pogrążyć za pomocą biurokratycznych formalności, żądań natychmiastowej zapłaty i opóźniania dostaw.

Na krótko przed Pierwszym Południem udało mi się wbiec na chwilę na górę, żeby sprawdzić, co porabiają inni. Ostatnim, czego się spodziewałem, był widok Thorwalda i Paula pogrążonych w pisaniu projektu „Manifestu bagatelistyczne-go”. Stłumiłem irytację, choć przyszło mi to z trudem, gdy pomyślałem o tym, że Margaret na dole wykonuje pracę, *deu sait*, ilu ludzi. „Bagatelizm” wydawał mi się znakomitą nazwą dla tego dwuosobowego ruchu.

– *Companho* – zapytałem tak spokojnie, jak tylko zdołałem – czy jest jakiś powód, dla którego nie można z tym poczekać?

– No więc – zaczął Paul. – Chyba, hmm...

Thorwald potrząsnął głową.

– Paul, jeśli nie potrafisz cię o tym przekonać, to chyba powinienem dać sobie spokój. Giraut, jeżeli napiszemy to jak trzeba, uzyskamy prawną osłonę, za którą będzie się mógł skryć cały ruch dysydencki. Bez niej Saltini stłamsi nas stopniowo, za pomocą kolejnych aresztowań i zakazów wypowiedania się. Jeśli będziemy ją mieli, prędzej czy później go obalimy. Muszę tylko wszystko przygotować, nim wykombinuje jakiś sposób na to, by nam przeszkodzić. Wiem, że jesteś przepracowany i brak ci snu, *companhon*. Mnie i Paulowi też, a biedna Margaret na pewno pada z nóg. Jeśli jednak za parę godzin nie przekażę gotowego tekstu do Centrum Doradczego, Saltini mnie ubiegnie i na dobre odetnie nam możliwość komunikacji ze społeczeństwem.

Wybałuszyłem oczy ze zdumienia. Ostatecznie Thorwald był nastolatkiem. Nie dalej jak na początku tego tygodnia zachowywał się jeszcze jak całkiem świeży *jovent*, z typowymi wybuchami emocji i brakiem dyscypliny. Pod wpływem kryzysu stał się, no cóż, muszę to przyznać, bardziej dorosły, niż ja byłem zaledwie sto dni temu, i w

związku z tym zasługiwał na szacunek należny zaufanemu przyjacielowi.

– Jeśli uważasz, że to, co robicie, jest niezbędne, wierzę ci na słowo – powiedziałem.
– Powinieneś jednak dowiedzieć się paru rzeczy.

Opowiedziałem im krótko o sprawie Lovelock. Musiałem zaczynać po raz drugi, gdyż akurat przyszedł Aimeric, który o niczym jeszcze nie słyszał. (Zauważyłem, że z każdym powtórzeniem tej historii moja wściekłość narasta, zamiast słabnąć). Przypuszczam, że jako Okcytańczyk byłem częściowo znieczulony na przemoc, z którą bardzo często stykałem się w jej halucynacyjnej postaci, ale na myśl o tym, że *donzelhę* potraktowano z tak wielką, realną brutalnością, robiło mi się niedobrze. Zauważyłem, że Thorwald i Paul są wstrząśnięci ponad wszelką miarę. Zimny gniew, który rozbłysł w ich oczach, gdy skończyłem mówić – podobnie jak intensywne, pozbawione wyrazu spojrzenie Aimerica – nie pozwalał mi wątpić, że bez względu na to, czym Kaledonia była dotąd dla moich przyjaciół, owo wydarzenie zmieniło ją nieodwołalnie.

– Będę musiał powiadomić o tym tatę i Clarity – stwierdził wreszcie Aimeric. – Może to przywróci jej wolę walki. A tata może mieć jakieś pomysły. Przed chwilą komowałem do PPR Za parę godzin mają wypuścić wszystkich ważniejszych więźniów politycznych. Większość z nich zostanie umieszczona w areszcie domowym. To znaczy, że będę mógł ich odwiedzać, ale nie będzie im wolno wychodzić. Miałem też niedługo zakomować do ambasadora Shana. Chyba powinienem poinformować go o wszystkim, co się tu dzieje.

Skinęliśmy zgodnie głowami. Jak dotąd Rada Ludzkości udzielała nam wszelkiego poparcia, na jakie mogliśmy liczyć.

– No to lepiej wezmę się do roboty. – Aimeric wstał powoli i zwrócił się do Paula i Thorwalda: – Dopilnujcie, żeby w tym manifeście nie było się do czego przyczepić. Jeśli nie będę mógł zabrać głosu w sprawie tego, co się tu dzieje, grozi mi, że zrobię coś, co może mnie kosztować immunitet dyplomatyczny.

Obaj popatrzyli na leżącą przed nimi kartkę. Zszedłem na dół i dowiedziałem się, że nastąpiło pięć kolejnych kryzysów, ale Margaret uporała się ze wszystkimi. Poinformowała mnie o następnym.

– Trzeba sprawdzić, czy będziemy mogli wkrótce wznowić zajęcia. W przeciwnym razie PPP może zmusić ludzi do ubiegania się o zwrot kosztów. Czy znajdziesz czas, żeby wyliczyć, czego potrzebujemy, by ośrodek mógł znowu funkcjonować jako ośrodek, a nie tylko główny utilitopijski internat dla heretyków?

Może skłoniła mnie do tego wrodzona *merce*, a może po prostu nie chciałem wyjść

z wprawy w sztuce pochlebstwa, ale powiedziałem jej, że w żaden sposób nie mógłbym odmówić jej prośbie. Zaczerwieniła się po raz kolejny i nie chciała mi spojrzeć w oczy, była jednak wyraźnie zachwycona. Zdałem sobie sprawę, że jej zadowolenie uradowało mnie głęboko i że w takich chwilach, niemal mogła się podobać.

Niemal.

Wszedłem na górę i zasiadłem w gabinecie za terminalem, próbując wykombinować, gdzie moglibyśmy przenieść wszystkich tych ludzi, żeby lekcje odbywały się o wyznaczonych godzinach. Nagle ktoś zapukał cicho do drzwi.

– *Venez.*

Do środka, bardzo niepewnie, weszła Valerie. Sprawiała wrażenie gotowej w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Czy jesteś zajęty?

– Niewiarygodnie, *midons*, ale dla ciebie zawsze znajdę czas.

– Chciałam tylko... hmm, zobaczyć, jak ci leci, i może też, hmm, dowiedzieć się, no, jak wygląda sytuacja.

Przyszło mi do głowy, że różnica między Valerie a Margaret polega na tym, że choć ich umiejętności flirtowania były typowo kaledońskie (to znaczy równe zero), Margaret po prostu starała się nawiązać porozumienie najlepiej, jak potrafiła, Valerie zaś próbowała flirtować i rozpaczliwie jej to nie wychodziło. Gdy jednak popatrzyłem na gładką skórę, wielkie, lśniące oczy... i zaokrąglenia ciała... doszedłem do wniosku, że umiejętności i porozumienie to rzecz względna.

– Jestem zmęczony, bo spałem za krótko – odpowiedziałem – i czeka mnie tyle roboty, że nie przypuszczam, bym mógł sobie z nią poradzić. Jak dotąd PPP nie może mnie ruszyć, co znaczy, że jestem w lepszej sytuacji niż większość z was. Dlatego staram się wykonywać, co do mnie należy.

Wbrew mojej woli zabrzmiało to tak, jakbym był bardzo znużony i obowiązkowy. Można powiedzieć: bardzo kaledoński.

Jej uśmiech nadal był ciepły, a spuszczać nieco wzrok, zdołała nadać twarzy lekko tajemniczy wygląd. W wykonaniu dojrzewającej Okcytanki byłby to wyjątkowo nieudolny manewr, tutaj jednak godny uwagi był już sam fakt, że podjęła taką próbę.

– Wiem, jak dużo dla nas zrobiłeś. Czy... hmm, miałeś czas pomyśleć trochę o... naszym dzemie?

To ostatnie słowo wypowiedziała z lekką emfazą, bym nie zapomniał, co znaczy ono w miejscowym slangu. Z całą pewnością nie istniało takie niebezpieczeństwo.

– To było chyba ostatnie przyjemne wydarzenie, jakie mnie tu spotkało – odparłem. – Czy coś szczególnie utkwiło ci w pamięci?

– Bardzo bym chciała... jeszcze kiedyś z tobą wystąpić. A ponieważ Paul i Thorwald są wyraźnie zdecydowani zorganizować cały ten ruch bagatelistyczny, będzie więcej okazji do grania i... no, wiesz. Chciałam zapytać, czy czujesz to samo co ja.

– To prawdziwie nierozstrzygalna kwestia. Mam rację? – Nie wiedziałem, dlaczego się z nią drażnię i odpieram jej ataki. Być może bałem się, że zaraz wysunie bardziej niedwuznaczną sugestię. A może obawiałem się, że tego nie zrobi i będę musiał stawić czoło własnej arogancji. Z pewnością nie chciałem, by sobie poszła. Cieszył mnie też widok lekkiego rumieńca, który pojawił się na jej policzkach. Nie dbałem zbytnio o to, czy wyrażał on wstyd, czy ekscytację. – Zresztą, dopóki nie ukończą manifestu, skąd, jako prawdziwi artyści, mamy wiedzieć, czy jesteśmy bagatelistami?

Jeśli pipki mieli tu jeszcze jakieś pluskwy, pewnie zabolą ich od tego głowa.

– Och, ale... myślę, że są nimi wszyscy artyści. Paul mi to tłumaczył. Oczy miał pełne blasku i wystarczyło go posłuchać... Chodzi o to, że sztuka nie służy żadnemu celowi, ale sama jest celem. Tylko tyle zdołałam zapamiętać dokładnie.

Jej oczy również były „pełne blasku”, ale wzmianka o Pau-lu nasunęła mi parę refleksji. Po pierwsze, znajdowałem się w samym centrum naprawdę niebezpiecznego kryzysu politycznego, podczas którego Paul był dla mnie użyteczny, a Valerie nie. Ponadto, sądząc z tego, co mówiła mi Margaret, podejrzewałem, że Valerie wywołała już sporo zamieszania wśród ludzi, którzy chwilowo zamieszkali u nas, a do tego dała Paulowi jeszcze jeden powód do zmartwień.

Druga myśl, która omal mnie nie oślepiła, wyglądała tak, że choć z pewnością podniecała mnie jej twarz i ciało, a czysty głos i pasja, z jaką grała, były wspaniałe, nie znałem jej zbyt dobrze, a to, co poznałem, nie spodobało mi się szczególnie.

Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że mógłbym lubić albo nie lubić *donzelhy*. Być może Marcabru rzeczywiście dostawał listy od nieznanego imieniem Giraut.

Nie wiem, co właściwie zrobiłem podczas tej długiej chwili zastanowienia – chyba potrząsnąłem głową – coś w moim geście musiało ją jednak przekonać, że nie ma na co liczyć, gdyż po minucie czy dwóch niezobowiązującej rozmowy przeprosiła mnie i wyszła.

Natychmiast przeniósłem uwagę na piętrzący się przede mną stos problemów. Jeśli wszystkich śpiących w sali pojedynkowej przeniesiemy na drugą zmianę, utrudni to trochę pracę kuchni, ale za to...

Pojawiła się Margaret, która przyniosła dla nas coś do zjedzenia. Wpłaciliśmy już

kaucję za jakiś tuzin słuchaczy, którzy natychmiast się wprowadzili, wraz z jeszcze jedną osobą.

– Na szczęście, to tylko zaostrza problem, który mieliśmy już wcześniej – zauważyłem.

Przed udzieleniem odpowiedzi naląła kawy i wręczyła mi kanapkę.

– Trochę za wcześnie na posiłek, ale kiedy przywiozą zwłoki, możemy nie mieć na to czasu.

Prawie udało mi się o tym zapomnieć.

– Czy mamy do pochowania tylko Elizabeth Lovelock? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Rozwiązaliśmy już problem znalezienia pastora, żeby pogrzeb był legalny. Przewodniczący... to znaczy, ojciec Aimerica, nie jest już przewodniczącym, ale...

– Dla mnie również zawsze nim pozostanie. Nie ma żadnego porównania z tym, kto teraz zajął jego miejsce. Zgodził się odprawić ceremonię? To bardzo korzystne politycznie, pod warunkiem, że nie trafi do więzienia.

– Nawet jeśli trafi – odparła, przeżuając szybko – i tak się nam to opłaci. Chodzi jednak o coś więcej niż sam pogrzeb.

Chciałam cię zapytać, czy damy radę przerobić jeszcze jedno pomieszczenie na mieszkalne i czy znajdziemy fundusze, żeby wyhodować w nim zlew i toaletę. Wolałabym przydzielić przewodniczącemu Carruthersowi prywatny pokój.

– Jest tutaj?

– Ta. Zapisał się na kurs okcytańskiej kuchni, okcytańskiej poezji i podstaw okcytańskiego. Twierdzi, że zbyt dobrze wie, co przeznaczył dla niego Bóg, by próbować sił w malarstwie czy muzyce, a taniec i sztuka pojedynku nie są zajęciami odpowiednimi dla człowieka w jego wieku.

– Hmmmm. Nie byłbym taki pewien, jeśli chodzi o sztukę pojedynku. Musiał podać numer ośrodka jako swój adres, jeśli to tu urządzono mu areszt domowy. Jak załatwimy mu pozwolenie na udanie się na cmentarz? A może wystarczy, jeśli odprawi ceremonię tutaj?

– Co to jest cmentarz?

Poczułem się zaskoczony, gdyż jest to terstadzkie słowo.

– No, miejsce, gdzie się chowa zmarłych.

– Jak to, dosłownie?

Wydawała się szczerze wstrząśnięta. Podejrzywałem, że za chwilę czeka mnie to samo.

– Tak, w Occitan grzebiemy ich ciała w ziemi – wyjąkałem. – A co robicie tutaj... kremujecie je, czy...

– No więc...

Jej głos ucichł nagle. Wbiła wzrok w podłogę.

– Nie bój się. Jestem już prawie dorosły. Możesz mi powiedzieć.

– Dopiero teraz sobie przypomniałam, że oglądaliśmy to przedłużone *vu*, przedstawiające twojego przyjaciela... Raimbauta?

– Raimbauta – zgodziłem się. – Pogrzeb na Serra Valor. Rozumiem, że wasze zwyczaje są inne...

– Tak, ale kiedy się dowiesz, jak bardzo inne, chyba będziesz przerażony, a chociaż strasznie cię lubię, Giraut, czasami zachowujesz się jak prawdziwy kołtun i strasznie wszystko komplikujesz...

– Chwileczkę, *companhona*, przyznaję, że często trudno mi zaakceptować wasze zwyczaje, ale daj mi szansę, bym mógł sam wyrobić sobie opinię.

Wyglądała tak, jakby miała ochotę na mnie nakrzyczeć, stłumiła jednak złość i skinęła głową, najwyraźniej uznając, że mam prawo się tego domagać.

– Zgoda. Nie mamy tutaj cmentarzy, ponieważ nie zachowujemy zwłok po pogrzebie. Po ceremonii, kilku bliskich przyjaciół Elizabeth, jeśli tacy tu są, bo dotąd nie udało mi się znaleźć nikogo, znieś jej ciało na dół, do głównych drzwi odzyskiwacza i wrzuci je tam razem ze wszystkimi osobistymi rzeczami.

– To obrzydliwe.

– Wiedziałam, że tak zareagujesz.

Wstałem z krzesła, ale do pokoju wstawiono trzy łóżka i nie było gdzie spacerować, wylądowałem więc tyłkiem na biurku, a stopami na krześle, nie przerywając jedzenia.

– Przykro mi, ale prędzej czy później musiałeś się dowiedzieć – odezwała się po chwili. – Takie są nasze zwyczaje.

Cały mój mózg wypełniła zatrważająca wizja. Wszystko – resztki z kuchni, śmieci z podłogi, brudne naczynia, ścieki z toalety! – wędrowało do systemu odzyskującego. Następnie ultradźwiękowe urządzenie przerabiało to na coś, co można było mieszać z wodą, a powstała w ten sposób papka odpływała rurami do miejskiego reaktora termojądrowego. Wykorzystywano tu dosłownie każdy atom odpadków. Nagle zrozumiałem, o czym naprawdę mówił poemat Anny. Byłem zadowolony, że nie wiedziałem tego, gdy go słuchałem. Biedne, zmaltretowane ciało Elizabeth zostanie rozbite na jony i poddane spektrografii masowej. Większa część skończy jako nawóz albo zwykła świeża woda, niektóre kawałki jako

wartościowe lekkie metale... a po drodze wszystko wymiesza się z miejskimi ściekami.

Po chwili westchnąłem. Raimbaut leżał zmumifikowany w kamiennej komorze, która była wodoszczelna, a do tego znajdowała się po pustynnej stronie Serra Valor. Zostawiliśmy tam urządzenie, które godzinę czy dwie po pogrzebaniu zwłok wyemitowało gwałtowny, krótki impuls promieniowania, w dole nie zostało więc dosłownie nic, co mogłoby go zjeść. Gdy Wielka Akademia uznawała zmarłego artystę za świętego i wydobywano jego zwłoki, by sporządzić relikwie, ciała zawsze były znakomicie zachowane. Za swoją lutnię zapłaciłem równowartość rocznych apanaży, ponieważ zawierała trzy kości śródrezcza świętej Agnieszki, przerobione na stroiki. (Świętej Agnieszki malarki, oczywiście. Relikwie muzyków wmontowane w instrumenty zawsze miały przekraczać moje możliwości finansowe, chyba żebym w jakiś sposób zdobył rangę stałego para).

Zastanawiałem się, jak zareagowaliby Kaledończycy, gdyby o tym usłyszeli. Czy uznaliby to za rozsądny recykling, za wyraz hołdu, tak jak ja, czy też myśl o noszeniu ze sobą kawałków trupa wydałaby się im odrażająca?

– Jakoś się z tym pogodzę – zapewniłem ją.– Potrzebuję trochę czasu, żeby się przystosować do waszych zwyczajów i musisz czasem brać poprawkę na moje odruchy, ale jakoś się z tym pogodzę.

Nie sądzę, by spodziewała się takiej reakcji.

– To dobrze, bo może się okazać, że to właśnie nam przypadnie rola przyjaciół Elizabeth – stwierdziła z niepewnym uśmiechem. – W tej chwili wygląda na to, że nawet będziemy musieli wygłosić mowy.

– Ile ich będzie potrzeba?

– Zwyczajowo trzech, ale z reguły jedną wygłasza pastor, a drugą ktoś z rodziny. Musimy się czegoś o niej dowiedzieć, żeby przekazać to pastorowi Carruthersowi... a jedynym jej krewnym, jakiego tu mamy, jest daleki kuzyn, który nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek z nią rozmawiał. Na szczęście to Thorwald. Obawiam się, że rolę przyjaciela będziesz musiał odegrać ty, ja albo ktoś z pozostałych. Wygląda na to, że nie miała przyjaciół.

– Biedactwo. – Zadrzałem. – I była tu, w ośrodku.

– Zapisała się natychmiast. O ile mi wiadomo, był to z jej strony jedyny przejaw buntu, chyba żeby liczyć obecność w OWK, a jakieś dziewięćdziesiąt procent widzów stanowili słuchacze ośrodka. Miała regularną pracę, a ponieważ nie wykazywała żadnych dewiacji, dostała się na wszystkie zajęcia, które wybrała. Kurs poezji Aimerica, ten, na którym uczy czytania, podstawy okcytańskiego z Bieris, która nawet pamięta jej twarz, ale

nie sądzi, by dziewczyna zbyt często rozmawiała z innymi, oraz twój kurs rozumienia muzyki.

Przypomniałem sobie ponad trzydzieści osób, które uczęszczały na moje zajęcia i uznałem, że była jedną z trojga osób, które siedziały z tyłu, słuchały uważnie i nigdy się nie odzywały.

– Czy wiemy o niej coś jeszcze?

– Była jedynaczką, chyba bardzo nieśmiałą. Uczęszczała na te same zajęcia co jej młody kolega z pracy, w którym najwyraźniej się podkochiwała, ale on nie był w OWK i jest jednym z nielicznych, którzy poprosili o pełen zwrot wpłaconych pieniędzy. Po osiemnastym roku życia, kiedy już nie jest to obowiązkowe, nigdy nie robiła sobie kopii psypyksowej, jest więc trzy stanlata do tyłu, a do tego nie możemy znaleźć nikogo bliskiego, kto zechciałby ją nosić. Chyba będę musiała się zgłosić na ochotniczkę, ale może uda mi się namówić Val, kiedy już przejdzie jej atak histerii i poczuje ochotę, by zrobić coś pożytecznego.

– Była u mnie przed chwilą i zachowywała się zupełnie normalnie. Typowo dla siebie, ale normalnie.

Margaret z westchnieniem podrapała się w głowę, w sposób zdecydowanie przywodzący mi na myśl małpę.

– To już chyba jakiś postęp.

– Nic nie osiągnęła – dodałem cicho, być może chcąc się tylko przekonać, jak Margaret zareaguje na tę informację.

Uśmiechnęła się, co mi się spodobało.

– A więc ty też zauważyłeś, że fascynuje ją wszystko co okcytańskie.

– Przyznaję, że mógłbym odwzajemnić tę fascynację, ale Paul jest znacznie bardziej...
hmm...

– Znacznie bardziej użyteczny? To nie ulega wątpliwości. A ona przez te wszystkie lata z pewnością przysporzyła mu wiele bólu i kłopotów.

– Sam jej w tym pomaga – stwierdziłem. – Właściwie to szkoda, że nie mogę udzielić mu błyskawicznego kursu okcy-tańskiego podejścia do takich spraw. Powinien już dawno ją rzucić w imię *enseingnamen*. Ponieważ *finamor* zmusza nas do odslaniania swych słabych stron, opanowaliśmy do perfekcji sztukę gwałtownego zrywania ze sobą.

– To by mu się z pewnością przydało – zgodziła się Margaret. Nagle najwyraźniej przyszła jej do głowy jakaś myśl.

– A więc biedna Elizabeth Lovelock przybyła znikąd – odezwałem się, nim nieśmiały

uśmiezek na jej ustach zdążył się przerodzić w krępujące pytanie. – Jak to się stało, że spotkał ją taki koniec?

Mina Margaret zmieniała się tak szybko, jak na to liczyłem.

– Wygląda na to, że po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Na ulicy pod jej domem odbyła się mała antysaltinistyczna demonstracja ultraortodoksów. Było ich najwyżej dwudziestu i miejska policja próbowała osłonić ich przed pipkami. Podczas ataku tych ostatnich zginęło przynajmniej czterech policjantów. Niektórzy z demonstrantów nadal przebywają w szpitalu. Elizabeth Lovelock wracała właśnie z OWK, czas sugeruje, że była jedną z osób, które zostały nam pomóc w sprzątaniu, a mimo to nikt z nas nawet biedaczki nie zauważył, i w drodze z torowca do domu... no, złapali ją i wydarzyła się cała reszta. Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mieli dowiedzieć się więcej. Niektóre ze szczegółów ujawnionych podczas sekcji są naprawdę przerażające, Giraut, koroner powiedział, że wskazują one na „systematyczne tortury mające na celu seksualne upokorzenie”. Przypuszczam, że jest liberałem i chciał się upewnić, że zostanie przeprowadzone dochodzenie. Biedna dziewczyna. Nim wreszcie ją zabili, musiała być przekonana, że jej męczarnie nigdy się nie skończą.

W oczach Margaret pojawiły się łzy. Bez chwili zastanowienia przesiadłem się na drugie łóżko, przysunąłem się i objąłem ją ramieniem. Omal się na mnie nie osunęła, nie był to jednak wyraz pożądania. Była po prostu wyczerpana i stanowczo za długo zajmowała się zdecydowanie zbyt wieloma ludźmi, nie mając czasu na własne uczucia.

– To głupie – zauważyła, nadal pochlipując mi na ramieniu.

– Nie, to naturalne. Przez długi czas dźwigałaś nadmierny ciężar i nie możemy w żaden sposób zdjąć ci go z barków. Zresztą to, co spotkało Elizabeth, wycisnęłoby łzy nawet z kamienia.

– Ciągle myślę, że... gdyby miała chociaż jednego przyjaciela, kogoś, kto by jej towarzyszył albo dla kogo zostałyby kilka minut dłużej... albo gdyby przynajmniej był ktoś, kto by dziś wygłosił mowę...

Przytuliłem Margaret, głaszcząc delikatnie jej kark. Zadawałem sobie pytanie, w jaki sposób znalazłem się w świecie, na którym mogły się dziać podobne rzeczy. Jej uścisk trwał długo, a gdy wreszcie mnie puściła, zrobiła to, by wytrzeć sobie twarz.

– To dopiero była całkowita utrata godności – stwierdziła.

– Nikomu nie powiem – obiecałem, wręczając jej chusteczkę. – Nie rezygnuj jeszcze. Szukaj. Mogła mieć jakiegoś przyjaciela tak samo spokojnego jak ona. I na pewno znajdzie się ktoś, kogo uda ci się zmusić do noszenia jej psypyksu. Zresztą nazbyt emocjonalnym

podejściem do sprawy na pewno byś jej zaszkodziła. Zaczęłyby się litować nad sobą. Chociaż, *deu sait*, czy ktokolwiek mógłby mieć do tego większe prawo... nie zaczynaj od nowa, bo ja też się rozplączę.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem, za co byłem jej wdzięczny, i wyszła. Pomyślałem, że w swoim czasie widziałem niejedną zapłakaną *donzelhę*, ale ta była pierwszą, która miała rzeczywisty powód do zmartwień, nie wspominając już o fakcie, że gdy skończyła płakać, sam zacząłem się o nią niepokoić.

No cóż, wybrałem się do Kaledonii między innymi po to, by zaznać nowych wrażeń.

Po jakiejś godzinie uporałem się z przygotowaniem planu zajęć i spojrzawszy na zegar, przekonałem się, że właśnie upłynął czas, który miałem zamiar przeznaczyć na pierwszomrokową drzemkę, a poza tym już od dawna nie byłem na dole. Gdyby doszło do poważnego kryzysu, ktoś by mnie rzecz jasna zawołał, lecz jako osoba odpowiedzialna za całość nie chciałem dowiadywać się o sprawach dopiero wtedy, gdy staną się poważnymi kryzysami. Obrzuciłem łóżko pełnym żalu spojrzeniem, opłukałem twarz wodą, przyczesalem włosy i ruszyłem na dół.

Już na schodach dowiedziałem się, że muszę jakoś wpasować do planu nowy element. Ojciec Aimerica zatrzymał mnie i przepraszającym tonem zapytał, czy znalazłby się czas, w którym mógłby wykorzystać jedno z większych pomieszczeń jako kaplicę. Przynajmniej to można było załatwić bez problemu, zanotowałem więc sobie pośpiesznie jego prośbę w kieszonkowym aparacie i obiecałem, że wkrótce wyznaczę mu oficjalne godziny.

– Dziękuję panu. Hmm... przepraszam, że najpierw poruszyłem tak mało istotną sprawę, ale obawiam się, że tego mnie nauczyło całe życie spędzone na pracy w rządzie i administracji. Jest jeszcze drugi powód, dla którego wysłali mnie na górę, zamiast skorzystać z regularnych środków łączności. Chcieli, żebym pana powiadomił, iż dostarczono już ciało młodej Lovelock. Thorwald i Margaret znoszą je na dół, do chłodni pod kuchnią.

– Widział pan... ją?

Carruthers skinął głową. Jego twarz stężała.

– Widziałem. Zaproponowałem, żeby jej nie balsamować ani nie rekonstruować, a pozostali się na to zgodzili. Zostawiliśmy trumnę otwartą. Sądzę, iż była to poprawna decyzja, co potwierdza fakt, że w ciągu ostatniej godziny wielebny Saltini komował do mnie czterokrotnie, oskarżając mnie o „upolitycznianie” jej śmierci i o „tworzenie męczenników tam, gdzie w grę wchodzi jedynie zły los i nieodpowiedzialność”.

– Nieodpowiedzialność! – wybuchnąłem. – Po tym, co jej zrobiły jego zbiry...

Byłem zbyt wściekły, żeby mówić dalej. Wargi Carruthersa zadrżały lekko, jakby dostrzegł w tej sytuacji coś śmiesznego, ale nie chciał tego przyznać.

– Muszę wyznać, że zareagowałem tak samo. Ponadto, co ważniejsze, Centrum Doradcze zgodziło się, że było to z mojej strony racjonalne, a to uniemożliwiło Saltiniemu uznanie mnie za niepoczytalnego albo dotkniętego starym otępieniem. Pozwolę sobie zacytować polityka, którego styl zawsze mi odpowiadał, i powiedzieć, że skoro Saltini wsiadł już na tygrysa, przekonajmy się, czy potrafi się na nim utrzymać.

Gdy zszedłem na rampę załadowniczą, robota była już na szczęście ukończona i zwłoki Elizabeth Lovelock zakryto jak należy. Stali tam Thorwald, Paul, Aimeric i Margaret, wszyscy bardzo podenerwowani. Niełatwo przyszło mi namówić ich do wejścia na górę i zostawienia ciała.

– Pogrzeb odbędzie się jutro rano – powiedziałem. – A potem zapewne będziemy mogli wznowić zajęcia. Wszystkim tu przyda się odrobina normalności.

Aimeric skinął głową, popijając kawę.

– Jeśli nikt mnie na razie nie potrzebuje, pójdę odwiedzić Clarity. Komowałem do niej i odniosłem wrażenie, że czuje się trochę lepiej, ale chciałbym sprawdzić to osobiście.

Wyszedł bardzo cicho. Wydawało się, że na jego barkach spoczął wielki ciężar. Potrafił go udźwignąć, nie ulegało jednak wątpliwości, że nie przychodzi mu to łatwo.

Mimo naszych najlepszych intencji, następnego dnia nie udało się wznowić zajęć. Przede wszystkim pogrzeb okazał się znacznie bardziej wstrząsający, niż chcieliśmy tego wszyscy – chyba nawet Carruthers, który świadomie dążył do wywołania oburzenia. Nie oczyściliśmy ani nie zabalsamowaliśmy ciała ofiary i „pochowaliśmy” Elizabeth w ubraniu, w którym przywieziono ją do kostnicy. Wszystko to kierowało uwagę na trzy budzące gniew szczegóły: brutalnie zmasakrowane usta i złamaną szczękę, krew, która zalała rozdarte ubranie od kolan aż po talie, oraz wyraz straszliwego cierpienia na resztkach twarzy. Każdy, kto to zobaczył, miał ochotę krzyczeć albo wymiotować.

Carruthers w pełni wykorzystał ten fakt. Potępiając pucz, nawet po terstadzku jednoznacznie powiązał go ze zbrodnią, a wiele osób uznało, że we fragmencie mowy, który wygłosił po rozumieniu, niezbitcie dowiódł, iż Saltini jest osobiście odpowiedzialny za to, co spotkało tę młodą kobietę.

Potem nieoczekiwanie wstała Valerie. Zadałem sobie pytanie, jak to możliwe, by była przyjaciółką Elizabeth Lovelock, nagle jednak zobaczyłem na jej karku świeżą bliznę. Przynajmniej Valerie wreszcie robi coś użytecznego, pomyślałem skwaszony.

Wbiła wzrok w podłogę, bardziej nieśmiała i cicha niż podczas swego występu.

– Myślę... że ten pogrzeb jest bardzo... bardzo niezwykły. Znam Elizabeth dopiero od kilku godzin. Hmm, właściwie to chce, bym wam powiedziała, że bliscy zawsze mówili na nią Betsy i wolałyby, żebyście zapamiętali ją pod tym imieniem. Musi nadrobić mnóstwo zaległości. Nie zapominajcie, że ostatnią kopię osobowości zrobiła sobie jeszcze przed otwarciem skoczka. Ale... hmm, wszystko, no, idzie dobrze. Lekarze mówią, że najlepiej jak tylko można. Zrobiliśmy taki eksperyment i jeśli będziecie bardzo cicho i postaracie się mnie nie przestraszyć, mogę, hmm... użyczyć Betsy swojego głosu, żeby mogła przemówić do was osobiście.

W pomieszczeniu panowała taka cisza, że nagle zadałem sobie pytanie, czy wszyscy wstrzymują oddech, czy też skupiają się na tym, żeby oddychać bezgłośnie. Wtem głos

Valerie nabrał trochę innego akcentu. Nie zawsze w pełni nad nim panowała, można ją jednak było zrozumieć.

– Chcia... łam tylko p... powiedzieć, że c... całe życie byłam bardzo samotna. Chyba dlatego, że tak właśnie żyją Kaledończycy. Nasza kultura jest bardzo zi... zimna i nie jesteśmy sz... szczęśliwi. Kiedy przeglądam wspomnienia, które Valerie zachowała z ośrodka i k... kabaretu, to, chociaż sama tego nie pamiętam, czuję się bardzo sz... szczęśliwa, że przeżyłam przed śmiercią coś takiego. Będą wam ch... chcieli wmówić, że Saltini, pipki i ludzie, którzy zro... zro... zrobili to z moim ci... ciałem, są wyjątkami, ale to nieprawda. To wielebny Car-ruthers i wielebna Peterborough są wyjątkami. Ludzie, którzy t... traktują innych przyzwoicie. To, co leży w trumnie, co z... zostało ze mnie, to skutek p... prób dopasowania ludzi do idei. Byłam bardzo nieśmiała, ale mam zamiar z wami rozmawiać, zwłaszcza że jest ze mną Valerie i nie boję się już tak strasznie. Dołożę też wielu starań, by s... stać się kimś, dla kogo będą mogli w... wyhodować ciało, bo i... lekarze mówią, że radzę sobie dobrze. Dlatego li... li... liczę na to, że wrócę do was w ciele, a tymczasem proszę w... wygrajcie, żeby nasz świat n... nadawał się do życia. To wszy... wszystko, co chciałam wam powiedzieć.

Głos był trochę płaczliwy i zawstydzony, zupełnie jakby Betsy była jedną z tych osób, które niemal od urodzenia tłam-si zewnętrzna siła lub wewnętrzna słabość. Mimo to obroniła swą godność, zdobyła miejsce pośród nas. Wydarzyło się coś kompletnie absurdalnego – zapłakani żałobnicy zaczęli bić głośnie brawo.

Być może była to czysto polityczna reakcja. Wszystko, co powiedziała Betsy, miało się znaleźć w kanałach informacyjnych, a to musiało poważnie zaszkodzić Saltiniemu. Natychmiast to zrozumieliśmy. Niewykluczone też, że po prostu podziwialiśmy jej odwagę, fakt, że osobowość, która miała tak wielkie zaległości, natychmiast wróciła do siebie i zdecydowała, po której stronie się opowiedzieć.

Niemniej jednak, temu, kto zasugeruje przy mnie, że uczyniliśmy to z jednego z owych powodów, rzucę wyzwanie *atz sang*, nawet dzisiaj. Sądzę, że biliśmy brawo dlatego, że gdy ludzie muszą wysłuchać, naprawdę wysłuchać, krzyku kogoś spragnionego miłości, nie mają innego wyboru, jak go nią obdarzyć. Taką opinię o moim gatunku chciałbym zachować.

Choć nic nie mogło się równać z wystąpieniem Betsy, gdy Thorwald wysunął się z tłumu jako krewny, spotkała nas kolejna niespodzianka. Trzymał w rękach lutnię.

Nie był zbyt biegłym muzykiem, ale wystarczająco wprawnym i wyćwiczonym, żeby jakoś sobie poradzić. Zaśpiewał wolne tłumaczenie *Canso de Fis de Jovent*. Na ogół nie

znoszę parafrazowania czy zmieniania standardów dla jakiejś ulotnej sprawy albo okazji, aczkolwiek w Nou Occitan jest to częstą praktyką. Tym razem jednak Thorwald zaczął od tłumaczenia, i to, co zrobił, wydawało się mądre i odpowiednie. Usunął wszystkie okcytańskie nazwy, zmienił rodzaj na nijaki i podkreślił znaczenie odwagi w obliczu utraty i zguby. Jego występ był pełen mocy i nikt z nas nie wstydził się łez.

Kiedy wychodziliśmy z sali, wszyscy zatrzymywali się, żeby spojrzeć w oczy Valerie i pozdrowić Betsy. Na koniec zanieśliśmy nieszczęsne, zmaltretowane zwłoki do odzyskiwacza.

Zdecydowałem już, że odwołam zajęcia, ponieważ nie wyobrażałem sobie, by ktokolwiek zdołał się dziś wiele nauczyć, gdy nagle usłyszałem *ping* komu. Wyciągnąłem aparat z kieszeni i ujrzałem twarz ambasadora Shana.

– Uważam, że jest pan logicznym kandydatem do otrzymania tej wiadomości. Proszę, by ogłosił ją pan w ośrodku. Za sześć godzin, pod koniec Pierwszego Mroku, na terenie ambasady zostanie otwarty Bazar.

– Czy to nie wczesny termin?

– Bardzo wczesny.

– Sądziłem, że mieliście to ogłosić z większym wyprzedzeniem...

– Mieliśmy. Ale już nie mamy. Saltini jeszcze o tym nie wie, chyba że założył na tej linii podsłuch. Jest ostami na mojej liście. Dopilnuje pan, żeby wiadomość się rozeszła, prawda?

– Ta – odpowiedziałem jak prawdziwy Kaledończyk, to znaczy, że wszystkich sił starając się nie okazać odczuwanej przyjemności.

– I... hmm, jeśli mogę o tym wspomnieć, Giraut, pogrzeb był wspaniały. Naprawdę wspaniały.

– Ja tylko udostępniłem budynek. Robotę wykonali inni.

– W takim razie niech im pan przekazuje wyrazy mego uznania. Muszę jeszcze zakomować do wielu osób. Wkrótce odbędę z panem dłuższą rozmowę.

Przerwał połączenie.

Udałem się do urządzenia głośnikowego i przekazałem oświadczenie. Za sześć godzin w ambasadzie miano wystawić na sprzedaż wszystkie cuda Tysiąca Kultur. Saltini wyraźnie bał się Rady Ludzkości, co znaczyło, że dopóki wszyscy będą chodzili grupami do Bazaru i z powrotem, jest mało prawdopodobne, by komuś groziły poważne kłopoty.

Choć przypuszczałem, że z powodu otwarcia Bazaru będę musiał ogłosić dzień

wolny, nie przewidziałem wszystkiego. Na godzinę przed terminem moi słuchacze stali już w kolejce pod ambasadą. Po dwudziestu minutach stanowili co najwyżej pięć procent tej kolejki. Widziałem już jeden Bazar, jako nastolatek, i byłem wówczas olśniony i oszołomiony, rzecz jasna jednak każdy następny jest wspanialszy, gdyż uczestniczy w nim więcej kultur. Ten był przynajmniej o jedną trzecią większy od okcytańskiego, gdyż w Nou Occitan zrealizowano przyspieszony program budowy skoczka i mimo naszego odległego położenia zdołaliśmy połączyć się wcześniej niż wiele innych kultur. Wiele daleko położonych kolonii, jak Kaledonia, łączyło się dopiero teraz, a kilka, jak Święty Michał, nie zdążyło jeszcze tego zrobić.

W rzeczywistości istniało tysiąc dwieście trzydzieści osiem kultur, a ponad tysiąc sto z nich miało tu swą reprezentację. Wiele zadowolilo się zwykłymi budkami, w których siedział jeden czy dwaj znudzeni pracownicy. (THORBURG. ZACHOWUJEMY TRADYCJĘ WOJSKOWĄ... BO JESZCZE KIEDYŚ MOŻE NAM SIĘ PRZYDAĆ. ZAPYTAJ O NASZE CUDZOZIEMSKIE LEGIONY. Tu ruch był niewielki. Przy stoisku z napisem PRACA W HEDONII kręciło się mnóstwo ludzi, którzy jednak wkrótce się przekonali, że He-doni są zainteresowani wychowanymi w tradycjonalistycz-nych kulturach osobami, w których brutalne traktowanie podczas orgii wzbudziłoby niechęć, a nawet przyprawiło o szok). Inne – zwłaszcza Zjednoczone Kulture Dunanta, amalgamat doszczętnie pomieszanych kultur najstarszej z kolonialnych planet – miały wielkie pawilony i oferowały niewiarygodnie bogaty wybór towarów.

Wdałem się w pogawędkę z Majorem Ironhandem ze stoiska thorburskiego, głównie dlatego, że było mi go trochę żal. Ludzie omijali jego kram szerokim łukiem, jakby się bali, że pod stołem ukrył bandę zbirów, gotowych ich porwać i wcielić przemocą do armii.

– Nou Occitan – powiedział. – Ehe. Stacjonowałem kilka miesięcy na tamtejszym Bazarze. Udało się nam nawet zdobyć rekrutów i muszę przyznać, że to naprawdę fajne miejsce. Bardzo mi się podobały symulowane walki i było tam wyjątkowo ładnie.

Po chwili rozmowy okazało się, że odwiedzał niektóre ze znanych mi lokali. Thorburczycy noszą włosy splecione w opadający na plecy warkocz – „w okresie pokoju”, który rzecz jasna trwa od sześciuset lat, nikt więc nie ma pojęcia, co będą nosili, jeśli wybuchnie wojna – a on wpychał je sobie za kołnierz i przebierał się za *joventa*. Wydawało się, że nieźle rozumie muzykę i poezję, nie chodziło mu więc – jak się z początku obawiałem – tylko o bójki. Z drugiej strony, nie mogłem nie zauważyć, że z wielką łatwością przystosował się do okcytańskiego społeczeństwa (większość pozaświatowców nie opuszczała u nas terenu ambasady) i że udało mu się zaciągnąć kilka kompanii

Okcytańczyków, co wystarczyło do sformowania pełnego legionu.

– Najładniejsze mundury w armii – oznajmił z uśmiechem. – Jeden Bóg wie, w jakiej książce historycznej je wykopali. Bombowi kumple do picia i wygłupów. Są też inteligentni i zdyscyplinowani na służbie.

Thorburg jest praktycznie pariasem wśród Tysiąca Kultur-nawet w licznych kulturach dzielących z Thorburczykami planetę nie lubią ich zanadto – poczułem się więc zakłopotany myślą, że my, Okcytańczycy, dogadujemy się z nimi tak dobrze. Rozmawiałem o tym później z Aimerikiem, który twierdził, że to dlatego, iż tylko nasze dwie kultury można uznać za naprawdę romantyczne.

Upewniwszy się, że Major (to imię wydawało mi się dziwne, widziałem jednak, że lubi, gdy tak się do niego zwracać) zostanie tu na jakiś rok, z pewnością więc nieraz jeszcze będę miał okazję z nim pogawędzić, ruszyłem na przechadzkę głównym pasażem.

– Giraut! Giraut Leones!

Obejrzałem się i zobaczyłem przed sobą Garsendę. Sądząc po jej chichocie, szczęka musiała mi opaść jak cegła.

– Cześć – przywitała się. – Musimy pogadać. Ale chodź ze mną na okcytańskie stoisko. Jestem tam sama i nie mogę go zostawić.

Podążyłem za nią, lekko oszołomiony. Miała na sobie tradycyjny okcytański strój, ale jej biżuteria wyglądała na mię-dzygwiezdniczą.

– Co u ciebie? – zapytała, wręczając mi kubek mocnej kawy, której smak zdumiewająco kojarzył mi się z domem. – To znaczy, wszyscy wiemy, czym się tu zajmujesz, ale jak się czujesz? Czy masz czasem okazję występować?

– Wicie czym się zajmuję?

Garsenda uśmiechnęła się i mrugnęła do mnie znacząco.

– Poczekaj, przede wszystkim... kiedy wdaliśmy się w *finamor*, wiedziałeś, że kieruje mną ambicja, prawda?

Skinąłem głową. Chyba wiedziałem. Niewiele rzeczy pochlebia człowiekowi bardziej niż świadomość, że ktoś, kto próbuje się wepchnąć do dobrego towarzystwa, uznaje związek z nim za logiczny środek wiodący do tego celu.

– Muszę przyznać, że nie wykazałam się zbyt dużą kompetencją. Straciłam cię, nim tu przybyłeś, a biorąc pod uwagę, jak wysoki status osiągnęłaś w domu... zwłaszcza, odkąd Marcabru zrobił z siebie takiego durnia jako księżę małżonek...

– Hmm, dostawałem listy tylko od ojca, który pisze o pogodzie i swoich pomidorach, oraz od Marcabru.

Garsenda prychnęła pogardliwie.

– Wyobrażam sobie. Siedź, siedź, dzięki twojemu ośrodkowi wszyscy tu już widzieli okcytańskie rzeczy i nikomu nie chce się do nas zaglądać, chociaż syntelett mówi mi, że zamówiono całe tony nagrań i reprodukcji, a także projektów ubrań. Wypadnę znakomicie, zbytnio się nie przemęczając.

– Jak udało ci się dostać tę robotę?

– Potrzebowali kogoś, kto kiedyś żył w starym stylu i był gotowy wrócić do niego, choćby na niewielką skalę. Zdumiałbyś się, jak niewielu chce się jeszcze do tego przyznać. Marcabru i idiotka, chcąc zmiażdżyć międzygwiazdników, próbowali narzucić zerwanie z Radą Ludzkości albo przynajmniej poważnie ograniczyć kontakt. Nie było na to szans. Zbyt wielu ludzi lubi kawę z Fort Liberty, sprzęt sportowy ze Sparty... no wiesz, takie tam rzeczy. Niemniej nasi monarchowie wrednie dokuczyli wielu ludziom i praktycznie wykończyli staro-stylowców, ponieważ większość z nich też nie może znieść Marcabru. Nawet Pertz całkowicie przestawił się na styl międzygwiazdny, tylko dlatego, że tej parze udało się ze starego stylu zrobić symbol hiperkonserwatyzmu i powód do wstydu. Byłam jedną z kilku kandydatek, może po części dlatego, że, hmm, zdobyłam spore uznanie wśród międzygwiazdników. Jeśli chodzi o to, skąd wiemy, co tu porabiasz, to oczywiście Marcabru zawsze czytał twoje listy na głos na dworze... och, nie wspominałam ci o tym, ale w końcu udało nam się zrobić kilku międzygwiazdników dworzanami, chociaż idiotka omal nie zemdląła...

– Ona jest królową – skarciłem ją łagodnie.

– Nie, to on nią jest. Yseut tylko siedzi w komnacie i pisze wiersze, których nikt nie rozumie, a on waleśa się po Pałacu w dziwnym starostylowym stroju, znacznie bardziej ekstremalnym niż wszystko, co ktokolwiek nosił przed nim, i rzuca wyzwanie każdemu, kto mu się nawinie. Jak już zresztą wspomniałam, gdy międzygwiazdnicy zdobyli dominującą pozycję, Wilson wcale nie wypadł z orbity.

Pokręciłem powoli głową.

– Wiesz co, mam wrażenie, że przez pięć minut powiedziałaś mi więcej niż przez cały czas, kiedy łączyła nas *finamor*.

– No, ale teraz mam więcej do opowiadania.

Odgarnęła włosy i zauważyłem, że zagoiły jej się blizny na uszach.

– Wróciłaś do starego stylu na dobre czy...

– Nie, to właściwie kostium – wyjaśniła. – Daj mi dokończyć opowieść, bo jest coś, czego musisz się dowiedzieć, a obawiam się, że potem możemy nie mieć zbyt wiele czasu na

rozmowy. Z początku Marcabru zbijał wielki kapitał na przekonaniu, że odkryłeś, jak wygląda reszta Tysiąca Kultur i że wszystkie są szare, brzydkie i nie wiedzą, co to sztuka, a my stanowimy ostatnią placówkę cywilizacji... ale po pewnym czasie... to, co pisałeś o tych ludziach... Giraut, nie denerwuj się, proszę, ale dla międzygwiazdników jesteś bohaterem. Bieris też – próbuje ją naśladować chyba z pięciuset malarzy – ale przede wszystkim ty.

Nie byłem pewien, czy jeszcze oddycham.

– Ja? A cóż ja takiego zrobiłem?

– Chodzi o twoje listy. Dzięki nim ożyła dla nas kaledońska kultura, chociaż Marcabru czytał je z wyraźnym sarkazmem. Chciałabym tu poznać przynajmniej dwudziestu ludzi... Thorwalda, Paula, i tę cudowną Valerie, o której wspominałeś... przed chwilą spotkaliśmy ambasadora Shana i jest dokładnie taki, jak go opisałeś!

Oczy jej lśniły z ekscytacji.

– Ale... z pewnością widziałaś już, jak wygląda Utilopia albo Poranna Nawałnica, albo...

– Nie mam co liczyć na to, że wiele zobaczę. Czuję się strasznie zawiedziona na myśl, że znajdę się w tak niewielkiej odległości od Bramowej Tęczy i zapewne nie uda mi się jej ujrzeć, ani nawet Sodomskiej Bramy...

Roześmiałem się cicho, ponieważ wszystko to wydawało mi się zupełnie absurdalne. Musiałem jednak przyznać, że chociaż wymieniłem najpierw dwie najbrzydsze rzeczy, które nasunęły mi się na myśl, jakąś częścią jaźni żałowałem, że nie mam choć tygodnia wolnego, żeby wybrać się na wycieczkę i nacieszyć widokami. Można to nazwać lojalnością wobec kaledońskich przyjaciół albo tylko wobec własnego doświadczenia.

– No dobra – odpowiedziałem. – Czy jak wrócisz, mam do ciebie napisać? Wczoraj w liście rzuciłem Marcabru wyzwanie bez ograniczeń, chyba więc nie będę już z nim korespondował.

Wzruszyła ramionami. Piękne, ciemne włosy zawirowały wokół jej twarzy.

– Naprawdę kiepsko mi idzie pisanie listów, Giraut, ale dla ciebie postaram się zrobić wyjątek. Zwłaszcza że... – Uśmiechnęła się do mnie i dostrzegłem w niej agresywność, której nigdy nie potrafiłbym zauważyć w dawnych czasach. – Jestem pewna, że będę mogła to wykorzystać towarzysko.

– Przynajmniej jedno z nas naprawdę się zmieniło – zauważyłem.

Uśmiechnęła się.

– Oboje się zmieniliśmy, ale cieszę się z tego. Chyba moglibyśmy teraz zostać

przyjaciółmi.

Była to prawda.

– A co się działo z tobą? – zapytałem.

W jej niebieskich oczach błąkał się uśmiech, który można by uznać za odrobinę dekadentki. Ale i tak mi się podobał.

– Jejku, kiedy ostatni raz mnie widziałeś... no, zobaczyłam to na playbacku. Byłeś nieźle zdenerwowany i pewnie miałeś do tego prawo. Dla mnie też był to dziwny okres. Ale pewnie nic nie wiesz o sporze, który toczy się obecnie wśród międzygwiazdników. Idę o zakład, że Marcabru nic ci na ten temat nie napisał.

Opowiedziała mi o tym. Nou Occitan pośród całego Tysiąca Kultur była jedną z tych, w której najsilniej wymuszano przestrzeganie odrębnych ról dla obojga płci. Obowiązywały też u nas niesłychanie sztywne i skomplikowane zasady kurtuazji. Gdy połączenie doprowadziło do wstrząsów społecznych i zmian, nasza kultura, podobnie jak większość, najpierw przesunęła się nie w stronę średniej dla Tysiąca Kultur, lecz ku swym skrajnym, zawsze dotąd tłumionym aspektom.

– Można powiedzieć, że większość z nas, *donzellh*, udawała tylko to, czego wszystkie bałyśmy się w naszej kulturze. Na Ziemi, tak jak prawie wszędzie, sadopomo interesuje się tylko mniejszość. Ludzie z hedońskiego stoiska mówili mi, że dostali dotąd chyba tylko trzy zamówienia z całej Kaledonii, i to na stosunkowo niewinne materiały. Ale w takiej kulturze jak Nou Occitan, która kładzie duży nacisk na przemoc i różnice między płciami... czy wiesz, że tuż po połączeniu ze wszystkich importowanych materiałów kulturalnych jednym z najpopularniejszych było właśnie sadopomo? To podskórny nurt w naszej kulturze. Dla większości z nas była to gra, tak samo jak dojrzewające dziecko przechodzi przez fazę hiperkon-formizmu, nim zacznie doprowadzać rodziców do obłędu. Niemniej jednak do Nou Occitan napłynęło też mnóstwo innych pomysłów i wkrótce wielu dziewczynom zaczęło przychodzić do głowy, że może rola obiektów gwałtu, które naprawdę są gwałcone, nie jest zbyt wielką poprawą w porównaniu z rolą tradycyjnych obiektów gwałtu.

Byłem przekonany, że nie wymyśliła tego wszystkiego sama, nie ulegało jednak wątpliwości, iż rozumie, co mówi, i wierzy w to... a co gorsza, osiągnąłem już punkt, w którym również to rozumiałem, nawet jeśli sposób, w jaki to sformułowała, wydał mi się trochę nieprzyjemny.

– Hmm... – zacząłem. – Czy słyszałaś... no, uważałbym tu teraz z symbolicznym językiem. Czy wiesz, że przeżywamy polityczny kryzys i że doszło do puczu?

Uśmiechnęła się do mnie promiennie, jakbym był czołowym studentem.

– Oczywiście, że wiem. Tuż przed przybyciem tutaj uczestniczyłam w demonstracji mającej skłonić Radę Ludzkości do interwencji przeciwko reżimowi Saltiniego.

– No więc... – opowiedziałem jej o Betsy Lovelock. – Rozumiesz, że słowo „gwałt” wywiera tu teraz szczególne wrażenie.

Ze zrozumieniem skinęła głową.

– Giraut, czy zdajesz sobie sprawę, że prawdziwy gwałt z użyciem przemocy jest w Nou Occitan czymś bardzo pospolitym? – zapytała.

Zacząłem już otwierać usta, by zaprotestować, ale zmusiłem się do zastanowienia. *Deu sait*, że nigdy nie groziłem kobiecie... no, może raz szarpałem się z oporną dziewczyną, ale nabrała chęci, kiedy... skąd jednak miałem wiedzieć, co się działo w jej głowie? Być może tylko strach zmusił ją do uległości.

Z pewnością też znałem wielu *joventów*, którzy uzbrojeni w neuroinduktor zabierali się do *donzelh*, które nie posiadały tego typu broni... sam Marcabru chwalił mi się kiedyś, że zmusił „małą, zimną księżniczkę”, żeby „otworzyła usteczka i zadowolila go jak kurwa, którą w rzeczywistości była”, grożąc jej szpadą i zapowiadając, że użyje neuroinduktora, by wywołać u niej wrażenie, iż obcina jej piersi, a potem rozcina ją od odbytnicy do pochwy. Zrobił to dlatego, że miał ochotę walczyć z jej *entendedorem*, doskonale przy tym wiedząc, że jeśli zrealizuje swą groźbę, dziewczyna odczuje wszystko tak, jakby działo się to w rzeczywistości. Pomyślałem wówczas, że jest szalony i że ja nigdy nie dopuściłbym się podobnego okrucieństwa, potrząsnąłem jednak równocześnie głową z niejakim podziwem. Ostatecznie żądza krwi stanowi jeden z elementów *enseingnamen*.

Garsenda wpatrywała się we mnie bez słowa

– Widzę, że to dla ciebie nowość? – odezwała się wreszcie.

– Nie, jeśli się nad tym głębiej zastanowię.

– Wiesz, Giraut, byłeś moim czwartym *entendedorem* i pierwszym, który nigdy mnie nie zmuszał. – Westchnęła. – Chciałam ci tylko... no, może niezupełnie podziękować. Nie byłeś dla mnie bardzo sympatyczny, ale pozwalałeś mi zachować, och, odrobinę godności. Dzięki tobie przyszło mi do głowy, że mogę się nadawać do czegoś więcej niż do wzdychania nade mną w przerwach między atakami maltretowania. Dlatego, gdy przystałam do międzygwiazdników, nie potrzebowałam wiele czasu, żeby... no wiesz. Poznać naprawdę nowe idee. Byłeś dla mnie etapem na drodze do miejsca, w którym jestem dzisiaj. Zdaje się, że bardzo mi pomogłeś, i chciałam ci powiedzieć, że kiedy zobaczyłam cię na tym filmie z autokamery, wydawałeś się taki nieszczęśliwy...

– Chyba rzeczywiście byłem nieszczęśliwy. Ale dla mnie też był to element edukacji.

– Wstałem z krzesła. Dziwnie kręciło mi się w głowie. – Postaram się zajrzeć do ciebie jeszcze parę razy, nim opuścisz Kaledonię. A jeśli znajdziesz trochę czasu, wpadnij proszę do ośrodka poznać wszystkich. Hmm... a kiedy i ja wrócę, spotkajmy się jakoś. Sprawdźmy, czy będziemy mogli zostać przyjaciółmi.

Wstała i uściśkała mnie. Gdy przytuliłem jej cudowne ciało, obudziło się wiele bardzo krępujących wspomnień. Niektóre z nich zyskały fizjologiczny wyraz, ale chyba udało mi się ukryć przed nią ten problem.

Kiedy wpadłem na Bruce'a i Bieris, spacerowali, otwarcie trzymając się za ręce. Ucieszyłem się, że nie mają nic przeciwko temu, by wszyscy to wreszcie zobaczyli. Skierowałem ich do Garsendy, gdyż wiedziałem, że chciała poznać Bruce'a. Poza tym przyszło mi do głowy, że zawsze jest możliwe, iż zostaną z Bieris przyjaciółkami, o ile ta druga potrafi się uwolnić od wspólnej dla nas wszystkich opinii, że Garsenda jest głupia.

Na otwarciu Bazaru zjawilo się chyba z dziesięć tysięcy ludzi i nie miałem najbledszego pojęcia, o czym wszyscy myślą, gdy się jednak nad tym zastanowiłem, musiałem przyznać, że nigdy nie wiedziałem tak dużo, jak mi się zdawało.

W jasnym, bursztynowym świetle załała mnie nagle potężna fala zmęczenia, które wydawało się promieniować z kości i dodawać ciężaru mięśniom. Przez chwilę myślałem, że to z pewnością świadomość czegoś nowego, co będę mógł wykorzystać jako materiał do pieśni, potem jednak zrozumiałem, że jestem po prostu niewyspany. Ponadto w ośrodku zapewne panował teraz spokój, a kryzysów nie było wiele. Zobaczyłem przechodzącego Thorwalda i rzuciłem mu kartę startową, żeby mógł zawieźć ludzi do ośrodka naszym kotem, po czym wsiadłem do torowca i pojechałem do domu. Wziąłem gorący prysznic, mając kabinę tylko dla siebie, co było niewyobrażalnym luksusem, a następnie wśliznąłem się w pościel, nastawiając budzik na chwilę odległą o dziesięć godzin. Czuję się jak w raju.

Obudziło mnie nagle w ciemności naprawdę cudowne wrażenie. Poczuję się lekko zdezorientowany, sięgnąłem jednak rękami w dół ciała, wymacałem krótko ostrzyżoną głowę Margaret i ująłem jej dłonie. Uniosła się, by zaczerpnąć tchu.

– Wszystko w porządku – wyszeptała. – Aimeric został na noc u wielbnej Peterborough.

Pochyliłem się, by ją pocałować.

– Margaret, to jest piękne, ale co, u licha...

– Garsenda powiedziała mi, że lubisz, żeby cię budzić w ten sposób i, hmm, co właściwie mam robić...

Chyba powinienem był się tego domyślić.

– Jestem zachwycony. Zaskoczyłaś mnie tylko trochę. Nie... no, nie tak sobie ciebie wyobrażałem. Ale jestem naprawdę szczęśliwy – dodałem pośpiesznie. *Deu*, co jeszcze Garsenda jej nagadała? Jest takie okcytańskie powiedzenie: „nigdy nie przedstawiaj sobie swej obecnej i byłej *entendedory*, jeśli nie jesteś pewien, że jedno z was trojga natychmiast zginie”.

– Bałam się, że inaczej nic nigdy nie zauważysz. Nie mam pojęcia o całym tym flirtowaniu. Nie można też powiedzieć, żebym nigdy o czymś takim nie myślała, nawet przed spotkaniem z Garsenda. – Zawahała się. – Czy dobrze to robię?

– Znakomicie. – Garsenda niewątpliwie udzieliła jej szczegółowych wskazówek. Nadal nie mogłem zdecydować, czy powinienem jej za to podziękować, czy też ją zabić. Zapewne i jedno, i drugie. – Ale jak to odbierasz?

Nie odpowiedziała, a nawet wycofała się lekko w siebie. To moja wina. Miłości nie powinno się przerywać. Przyciągnąłem ją do siebie i zacząłem pieścić, szepcząc delikatnie, prawie jak do dziecka. Margaret była dorosła i nie bała się szczególnie, ale to był jej pierwszy raz, przynajmniej ze mną, i widziałem, że jest bardziej podekscytowana i niespokojna ode mnie. Dlatego wskazana była czułość i łagodność.

Okazało się, że sprawiło mi to wielką przyjemność. Piersi miała niewielkie i zwiotczałe, uda grube, biodra szerokie, a pośladki płaskie. Wyczuwałem to nawet po ciemku. Ale to jednak jej ciało, co znaczyło dla mnie więcej, niż mógłbym przypuszczać. Gdy znalazłem się na niej, byłem już chyba tak samo podniecony jak ona.

Dobrze chociaż, że Garsenda nie nauczyła jej zachowywać się jak Okcytanką pod każdym względem. Margaret nie miotała się, nie krzyczała, nie demonstrowała, że zawładnęło ją pożądanie, ani nie wykrzykiwała poetyckich fraz (to ostatnie zawsze mnie rozpraszało). Namiętna szczerłość jej reakcji nie mogła być udawana i okazała się znacznie bardziej podniecająca niż artystyczne wyczyny, które mogłaby zaprezentować przeciętna *donzelha*.

Spałem więc zapewne tylko dziewięć godzin, było to jednak cudowne, a gdy obudziliśmy się rano, poczułem się dogłębnie, irracjonalnie szczęśliwy. A uśmiechu Margaret nie oddałbym za nic w świecie.

Najlepsze, co wydarzyło się później, to fakt, że przez kilkadziesiąt następnych dni nie działo się nic szczególnego. Bruce i Bieris wrócili do Sodomskiej Niecki, gdyż wyglądało na to, że nic już im nie grozi. Aimeric dowiedział się od Sha-na, że prawie pół procenta globalnej sumy będących w obiegu w Kaledonii pieniędzy wyciekło przez Bazar w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, a pod koniec trzeciego dnia oficjalnie pojawili się pierwsi bezrobotni, choć jak dotąd ich potrzeby pokrywało ubezpieczenie. Mniej więcej połowa ludzi z ośrodka – ci, którzy mieli własne domy albo nie zabroniono im kontaktu z rodzinami – wróciła do siebie, lecz większość podstawowej grupy została z nami. Przy odrobinie wysiłku udało się nam rozmieścić ich tak, by Margaret i Paul dostali własne pokoje, a Thorwald odzyskał swój apartament.

Margaret większość nocy spędzała u mnie. Przyzwyczała się też, gdy tylko byliśmy razem, przytulać się do mnie albo dotykać jakiejś części mojego ciała dłonią lub ramieniem. Dziwiło mnie, jak bardzo to lubię.

Betsy i Valerie nauczyły się tak biegle dzielić jednym ciałem, że ludzie zwracali się do nich jak do dwóch osób. Rzecz jasna, Betsy nigdy dotąd nie przyciągała uwagi mężczyzn, a Valerie zawsze było jej za mało, na spółkę więc doprowadzały męską populację ośrodka do szaleństwa. Raz, gdy Margaret poszła coś załatwić, doszło do szybkiej, ale niedwuznacznej próby uwiedzenia mnie. Z wielkim zdumieniem przekonałem się, że nie tylko oparłem się jej bez trudu, lecz również poczułem się lekko poirytowany całą tą sprawą.

Zauważyłem też jeszcze jedną wspólną cechę Valerie i Betsy. Gdy były rozczarowane, lubiły się dąsać. Kolejny powód, by w nic się z nimi nie wdawać.

Jedna z dziewczyn, które dzieliły z Valerie pokój, opowiedziała mi później, że najdziwniejsze było to, iż czasem słyszało się głos mówiącej przez sen Valerie, prowadzącej sprzeczkę między nimi dwiema. Bez względu jednak na dzielące je różnice, obie na zewnątrz prezentowały jednolity front.

Gdy wznowiliśmy kursy, przekonałem się, że za brak wrażliwości słuchaczy w znacznej mierze odpowiedzialne były czujne oczy pipków, gdyż – choć PPP miał teraz pełnię władzy – każdy wiedział, że większość pluskiew usunięto (Margaret i Paul wciąż likwidowali następne), a do tego wszystkim słuchaczom i tak już groziły więzienie i reedukacja, nie mieli więc powodu nadal demonstrować, że są normalni. Trudno było to

nazwać eksplozją kreatywności – nabierali dopiero doświadczenia – okazywali jednak żywe zainteresowanie wszystkim oraz chęć argumentowania i podejmowania prób, której przedtem się nie zauważało.

Rzecz jasna był to tylko krótki okres ciszy przed kolejną burzą, czułem się jednak zadowolony. Pomijając fakt, że miałem szansę odzyskać energię i wciągnąć się w nowy porządek życia, był to również czas zbierania

sił.

Bagatelizm, zdefiniowany przez Thorwalda i Paula w ich manifestach, Kaledończykom wydawał się naprawdę cudowną ideą, choć dla Okcytańczyków był czymś boleśnie oczywistym. Jego podstawowe założenie stanowiła teza, że sztuka powinna być bagatelna i że składają się na nią wszystkie mogące sprawiać przyjemność czynności poza funkcjami fizjologicznymi i pracą. Dlatego sztuka stanowiła z założenia atak na czysty funkcjonalizm... ale w imię zwiększonej przyjemności i wyższej racjonalności. Syntelety z Centrum Doradczego poświęciły temu problemowi zdumiewająco wiele czasu obliczeniowego, lecz przy pomocy ojca Aimerica (który sprawiał wrażenie lekko rozbawionego całą tą kwestią) Thorwaldowi i Paulowi udało się sformułować propozycję tak, że nie sposób było jej podważyć, i Ruch Bagatelistyczny został zarejestrowany jako legalna, racjonalna tendencja w obrębie myśli kaledońskiej.

Nie sądzę, by ktokolwiek się wówczas spodziewał, że jeden z głównych skutków tego faktu będzie miał w przyszłości tak wielkie znaczenie. Z bagatelizmu wynikała teza, że człowiek powinien niekiedy kierować się kaprysem, robić coś po to tylko, by tego doświadczyć, zwłaszcza jeśli nie doświadczył tego przed nim nikt inny. Jak podkreślał Aimeric, gdyby ruch ten istniał w czasach jego młodości, nie mieliby z Bruce i Charliem trudności z uzyskaniem pozwolenia odbycia wycieczki na Sodomską Bramę.

– To fakt. A z tego mogłoby wynikać wiele innych korzyści – przyznał stary Carruthers. Wszyscy zgromadziliśmy się w głównym holu, jak zawsze ostatnio robiliśmy na godzinę przed położeniem się spać. Była to okazja do wspólnych śpiewów, jak przy ognisku, opowiadania kawałów i historii, a czasem także politycznych i religijnych sporów, które trudno mi było zrozumieć, mimo że Margaret ze wszystkich sił starała się mi je wytłumaczyć. Tym razem jednak nikt nie wyjął instrumentów. Większość obecnych skupiła się w małych grupkach, rozmawiając. Zająłem miejsce w swym ulubionym kącie. Margaret wśliznęła się na ławę obok mnie, dzięki czemu mogłem podczas dyskusji położyć rękę na jej ramionach.

Aimeric wyglądał na zdumionego.

– Myślałem, że byłeś przeciwny tej wycieczce i w ogóle nie podobało ci się nic z tego, co robiliśmy...

Stary wielebny uśmiechnął się, pociągając łyk piwa.

– Oczywiście. Byłem wówczas starą, twardogłową świnią. Niektórzy potrzebują wielu dziesięcioleci, żeby osiągnąć młodość. Innym niezbędny jest straszliwy szok.

Clarity Peterborough otrzymała niedawno pozwolenie na odwiedzanie ośrodka, siedziała więc z nami, obok Aimerica, na którego co chwila spoglądała, jakby był jej ochroniarzem.

– Ty również przesadnie podkreślasz różnicę między tym, co było wtedy, a tym, co jest teraz – sprzeciwiła się. – Bądź szczery, Luther. Znaczna część napięcia między tobą a Aimerikiem wyływała z faktu, że dwóch mężczyzn dzieliło jeden dom... – I nie było w nim kobiety, która łagodziłaby spory. Tak, wiem, że sam często tak to przedstawiałem – przyznał Carruthers. – I w dodatku była to prawda. Wiesz co, nigdy ci nie podziękowałem za to, że odwiedzałaś mnie tak często w pierwszych latach po odlocie Ambrose'a. Przepraszam Aimericu, ale wtedy byłeś jeszcze Ambrosem. Czułem się strasznie samotny i twoje wizyty bardzo mi pomagały.

Peterborough uśmiechnęła się i dwadzieścia czy trzydzieści stanlat nagle zniknęło.

– Właściwie to cała przyjemność była po mojej stronie. Och, wiem, że młody, początkujący duszpasterz powinien spędzać mnóstwo czasu w towarzystwie swego mistrza, ale wiesz, że w rzeczywistości zdarza się to bardzo rzadko. Większość z nich pełni tylko funkcję darmowych służących. Po pierwsze, naprawdę pomogłeś mi stworzyć własną wizję tego, jak powinna wyglądać moja praca, a ponieważ rzeczywiście czegoś się od ciebie uczyłam, było naturalne, że chciałam przebywać w twoim towarzystwie. Po drugie, byłeś dla mnie głównym źródłem informacji o Ambrosie.

Aimeric wyprostował się nagle, jakby nieoczekiwanie wbiła mu się w ciało drzazga.

Stary Carruthers uśmiechnął się jeszcze szerzej i pociągnął wyjątkowo długi łyk piwa.

– Zawsze podejrzewałem, że chodziło ci właśnie o to.

Po raz kolejny oszukał mnie stosunkowo młody wygląd Aimerica, który spędził kilka lat w hibernacji, przez ćwierć stulecia był mniej narażony na promieniowanie ultrafioletowe i – być może właśnie to było najważniejsze – wiodł życie mniej pełne goryczy, przez co byłem skłonny uważać go za młodszego, niż był w rzeczywistości. Musiał być prawie w tym samym wieku co walebnia Peterborough.

– Tak, tak – przyznała, gdy tylko zdażyłem zdać sobie z tego sprawę. – Od dwunastego roku życia okropnie się kochałam w miejscowym zbuntowanym heretyku. Grzeczne dziewczynki, które dostają stypendia, zawsze odrabiają lekcje i robią wszystko jak trzeba, z reguły czują fatalną skłonność do niegrzecznych, inteligentnych chłopców.

– Nie sądzę, bym kiedyś widział na twarzy Aimerica ten kolor – rzuciłem od niechcenia. Margaret walnęła mnie łokciem w zębra.

Thorwald i Valerie dostroili instrumenty i – co mnie mile zaskoczyło – zaczęli grać

moje ballady opiewające Serras Verz. Brzymieli w duecie bardzo dobrze i wszyscy słuchaliśmy ich z uznaniem.

Kiedy skończyli, Thorwald skinął na mnie, chcąc, bym się do nich przyłączył. Chciałem już uprzejmie odmówić, ponieważ bardzo podobała mi się ich gra, a do tego prowadziłem już dziś dwie lekcje muzyki i grałem też na zajęciach z jej rozumienia, palce miałem więc obolałe i zmęczone, gdy twarz Valerie oklapła nagle, po czym przybrała nieco inny wyraz.

– Cz... czy Ok... Okcytańczycy naprawdę to robią? Wybierają się na długie wycieczki do lasu tylko dlatego, że tam jest ładnie i miło?

– Tak, Betsy – zapewniłem ją. – To jedna z tych rzeczy, których atrakcyjność trudno jest wyjaśnić komuś, kto nigdy tego nie próbował, a gdy się już to zrobi i zrozumie, nie można tego wytłumaczyć nikomu innemu.

Nie wiem, czy moje piosenki wzbudziły we mnie lekką nostalgię, czy była to świadomość, że gdybym został w domu, zapewne przebywałbym teraz w Terrbori, oglądając pierwsze kwiaty rozkwitające na południowym wybrzeżu i łowiąc zimopstragi w wartkich rzekach, czy też po prostu chciałem usłyszeć własny głos, zacząłem jednak opisywać niektóre z przygód, jakie przeżyłem na łonie natury. Kilka z nich wydarzyło się całe dwanaście stanlat temu podczas wycieczek z ojcem. Miałem wrażenie, że spodobały im się moje opowieści, mówiłem więc dalej. Potem włączył się Aimeric, który zdał relację ze swych wypraw z Bru-cem i Charliem, a także z kilku wycieczek na Wilsonie. Zajęło nam to prawie godzinę. Pod koniec naprawdę żałowałem, że nie pozwoliłem Valerie i Thorwaldowi śpiewać dłużej.

Wielkie sprawy bardzo często wynikają z małych początków. Następnego wieczoru wszyscy chcieli rozmawiać tylko o „artystycznym doświadczeniu”, które zaproponował Paul. Jego pomysł polegał na tym, że ponieważ wielkie pasażerskie koty zawsze są wyposażone w kilka łóżek, na wypadek gdyby ugrzęzły gdzieś na noc, nie byłoby zbyt trudno przerobić kilka z nich na sypialnie na kołach. Moglibyśmy następnie odbyć w nich lądową wyprawę w „Góry Pesymalne”, przez jedną z kilku przełęczy, które można było zidentyfikować na podstawie map satelitarnych. Później mieliśmy zjechać do morza. Na zachodnim wybrzeżu było na ogół słonecznie i ciepło, przynajmniej według miejscowych standardów, co znaczy, że pogoda przypominała zimną jesień na jednej z wysp położonych przy brzegach któregoś z polarnych kontynentów Wilsona. Następnie planowaliśmy zabawić dzień albo dwa na plaży, być może polując na kury albo zbierając zdziczałe rośliny uprawne, a na koniec wrócić przez inną przełęcz. Cała wyprawa trwałaby około dwudziestu miejscowych, dwudzie-

stoosmiogodzinnych dób, o ile jechalibyśmy tylko za dnia.

Osobiście byłem zdania, że, biorąc pod uwagę napiętą sytuację, pomysł krajoznawczej wycieczki nie powinien wzbudzić większego zainteresowania; Aimeric wskazał jednak, że wiele rewolucji wybuchło z absurdalnie błahych powodów. Już następnego dnia przygotowali plan, wysłali go do biur projektowych i otrzymali w odpowiedzi listę ponad czterystu sprzeciwów zgłoszonych przez syntelekty. Załatwili to w ciągu dwóch miejscowych dni, w ten sposób, że podzielili się na grupy robocze, a potem wysłali syntelektom kompletną odpowiedź. Rozpowszechnili też ulotki na terenie Bazaru – Shan im na to pozwolił – i w ten sposób próbę uzyskania pozwolenia na wyprawę obrócili w spór publiczny.

Pewien właściciel korporacji medialnej, który był jednym ze starszych kongregacji Peterborough, zaproponował, że sfinansuje całą imprezę, zlecając jej uczestnikom wykonanie audiowizualnych nagrań, które po opracowaniu oferowałby na sprzedaż jako zwykły program rozrywkowy. Syntelekty dostały od tego paroksyzmów. Nie widziały racjonalnych powodów, by pozwolić ludziom kupować irracjonalne programy, i gdy prawie milion medialnych abonentów z Utilitopii załało system zamówieniami na serię podobnych nagrań, zbliżyły się do przerażenia tak bardzo, jak tylko jest to możliwe dla maszyny.

Ów milion zamówień nie był naszą zasługą. Przynajmniej nie bezpośrednio. Zasadniczą przyczyną był fakt, że prośba o pozwolenie na wyprawę stała się jednym z głównych tematów poruszanych w naszej codziennej gazecie, która nieoczekiwanie zyskała wielką popularność. Codziennie tysiące ludzi odwiedzały Bazar, gdzie mogli swobodnie dawać wyraz swej wściekłości na nowy reżim, po czym wracali do domu, szepcząc o zatuszowanych przez cenzurę ekscesach pipków, a także naszych gazetkach, które często kopiowano i skanowano celem dalszego przekazania. Drukowane środki przekazu uważano za nieistotne. Władze miejskie Utilitopii już przed kilkoma stuleciami przestały je rejestrować, gdyż ich nakład był bardzo niewielki. Mimo to podczas jednej z prób włamania do baz danych Paulowi i Aimericowi udało się uzyskać wiadomość, że trzecim pod względem liczby odbiorców źródłem wiadomości w Utilitopii są gazetki powstające w naszej drukarce. Najwyraźniej wszyscy rozgniewani ludzie chcieli się dowiedzieć, co mamy do powiedzenia.

A ich liczba rosła z dnia na dzień, jako że w Kaledonii nastąpił klasyczny kryzys. Przez mniej niż dziesięć dni średnie ceny spadły o trzydzieści procent. Jedna ósma firm zbankrutowała, a zatrudnienie malało tak szybko, że fundusze ubezpieczeń od bezrobocia, które gromadzono przez pokolenia, miały podobno wyczerpać się w ciągu niespełna

stanroku. Wszyscy ci zszokowani i gniewni ludzie, którzy z tradycyjnym kaledońskim uporem sprzeciwiali się puczowi Saltiniego nie dlatego, że nie zgadzali się z jego koncepcjami teologicznymi, lecz z uwagi na fakt, iż nie rozumieli, dlaczego racjonalna perswazja nie miałaby być wystarczającym argumentem – i którzy zobaczyli, że nadejściu nowego porządku towarzyszy bezprecedensowa katastrofa ekonomiczna – szybko odkrywali, że w głębi ducha zawsze byli liberałami. Thorwald otrzymał nawet miły list od rodziców, a Margaret odbyła długą i ciepłą rozmowę z matką, która złamała zakaz i zakomowała do niej.

Z tego powodu, choć w normalnej sytuacji większość Kale-dończyków uznałaby petycję o zezwolenie na wypożyczenie sprzętu na wycieczkę krajoznawczą – albo na zrealizowanie medialnego programu o niej – za absolutnie irracjonalną i nie wykazałaby tą sprawą żadnego zainteresowania, fakt, że Salti-ni sprzeciwiał się potencjalnie zyskownemu przedsięwzięciu, które nikomu chyba nie mogło zaszkodzić, nadał całej sprawie charakter polityczny. Nie było bezpiecznie podważać doktrynę, mówiąc, że niezbędne dla życia towary można produkować tak tanio, iż podczas kryzysu połączeniowego ludzie powinni po prostu otrzymywać je za darmo, albo atakować politykę Salti-niego, twierdząc, że jeśli brakuje pracy dla ludzi, należy przesunąć bezrobocie na maszyny, nawet jeśli będzie to oznaczało dalszy spadek wydajności pracy, nie wspominając już o wysuwaniu tezy, że zmuszanie ludzi do wykonywania pracy robotów jest głupotą. Wyrażanie podobnych poglądów, zwłaszcza publiczne, oznaczało wycieczkę do więzienia. Chociaż PPP musiał stosunkowo szybko zwolnić pierwszą falę więźniów politycznych, ponieważ zabrakło dla nich miejsca, na wyhodowanie nowych więzień potrzeba było tylko kilku standni i pipki mogli obecnie zamknąć tylu ludzi, ilu tylko zechcieli.

Jeśli jednak ktoś twierdził, że bagatelizm jest uznaną szkołą myślenia, a wzmiankowana forma bagatelistycznej działalności nie przyniesie nikomu szkody i zapewne zarobi na sobie – a w związku z tym, sprzeciwiając się jej, reżim dowodzi, że jest szalony – wyrażał sprzeciw na całkowicie legalnej podstawie, której można było bronić jako w pełni racjonalnej.

Saltini i PPP wysuwali coraz to nowe obiekcje, a ludzie coraz liczniej udzielali nam swego poparcia, głównie z uwagi na postawę reżimu. Fakt, że milion rodzin dało się przekonać, iż pragnie obejrzeć nasz program, stanowił łatwą do przewidzenia konsekwencję takiego stanu rzeczy. W tym punkcie synte-lekty uznały, że widać jest to jedna z niewytłumaczalnych przyjemności, którym ludzie uparcie się oddają, i zmieniły zdanie, wskutek czego Saltini musiał dać za wygraną.

Thorwald wyliczył owego wieczoru nasze sukcesy na przyjęciu z okazji zwycięstwa. Wszyscy zrobiliśmy sobie przerwę w śpiewaniu, żeby móc się więcej napić.

– Po pierwsze, przetestowaliśmy procedurę, która może zmusić reżim Saltiniego do działań niezgodnych z jego pragnieniami, a w tej chwili wszystko, co wymknie się spod całkowitej kontroli rządu, oznacza dla nas znaczący krok naprzód. Po drugie, stworzyliśmy ważny precedens, który wpłynie na przyszłe decyzje Centrum Doradczego, co znaczy, że prawo i tradycja zmieniły się nieco w korzystnym dla nas kierunku. Na koniec dowiedliśmy, że można publicznie sprzeciwiać się reżimowi i nie wylądować w więzieniu. W tej chwili chyba nie zależy mi już zbyt wiele na samej wycieczce. Cieszę się tylko, że tak wiele osiągnęliśmy...

– Z początku pomysł wyprawy nie obchodził mnie zbyt wiele – wtrącił ku mojemu zaskoczeniu Paul. – Chodziło mi tylko o dokuczenie rządowi. Teraz jednak zmieniłem zdanie i sądzę, że nawet ludzie, którzy chcieli tylko obejrzeć to, co będziemy robić, woleliby, żebyśmy pojechali. Myślę, że przypadkowo wpadliśmy na coś, na co zawsze mieli ochotę, nawet jeśli o tym nie wiedzieli.

– Na co właściwie mieli ochotę?

– Na przykład, czy zdajesz sobie sprawę, że większość Utilitopian nigdy w życiu nie opuściła miasta? – Paul oparł się o bar. – A Utilitopia nie jest szczególnie zróżnicowana. Są w niej wzgórza i doliny, część bliska morzu i bliższa gór. To właściwie wszystko. Nie ma w niej „obwodów” czy „dzielnic” jako takich, tak jak w miastach w Nou Occitan czy w Świętym Michale. Dlatego albo całe życie spędzili w jednym miejscu, albo byli w małych miasteczkach położonych wzdłuż wybrzeża, które przypominają odpryski Utilitopii, albo co najwyżej odwiedzili Sodomę, Gomorę, Babilon lub Niniwę. I to wszystko. Poza tym nigdy nie zaznali żadnego urozmaicenia. Jeśli już o tym mowa, kiedy kilka dni temu pojechaliśmy do Bruce’a, po raz pierwszy od wielu lat wyjechałem poza granice miasta i po raz pierwszy w życiu pokonałem Sodomską Bramę. Trudno mi było uwierzyć, że to, co widzę, istnieje naprawdę! – Zaczął gestykulować z podniecenia. – No dobra, wiem, że ludzie powtarzają, iż zawsze mówię jak wyrachowany biznesmen, ale czy wiecie, co to oznacza? Ludzie odczuwają zakorzenioną potrzebę wizualnej czy środowiskowej różnorodności, a jeśli znajdziemy sposób na zaspokojenie tej potrzeby...

– Możemy stać się bogatsi od samego Boga – rzucił Thorwald, starając się usilnie, by jego bluźnierstwo zabrzmiało niedbale. Nie był w tym jeszcze zbyt biegły.

Paul skrzywił się, zareagował jednak uśmiechem.

– Aha. Oczywiście, problem w tym, że bardzo wiele syntelektów uważa każdą

przyjemność, której nie mogą powiązać z pełnym żołądkiem, dobrym orgazmem albo regularnym uczęszczaniem do kościoła, za bardzo podejrzaną. Niemniej udało się nam je przekonać, że istnieją pewne formy ludzkiej przyjemności, których dotąd nie brały pod uwagę, możliwe więc, że zaakceptują i to.

Margaret podrapała się w głowę.

– Paul, chyba jesteś największym rewolucjonistą z nas wszystkich. Czy to nie zbliża się do rezygnacji z opiniowania, które przyjemności są racjonalne, a które nie?

– Zbliża się – potwierdził Carruthers, który podszedł do nas od tyłu. Thorwald poderwał się nagle. Doszedłem do wniosku, że jego kariera bluźniercy będzie się rozwijała powoli, gdyż zachowywał się tak, jakby to, co przed chwilą powiedział, unosiło się w powietrzu niczym odór puszczonego wiatru.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia przerwa.

– Myślę, że to nie takie złe – dodał po chwili ojciec Aimerica. – Giraut, pewnie nic na ten temat nie wiesz, bo dopiero zaczynasz naukę rozumnego, ale nasza matematyczna teologia zna prawie sto zakazanych twierdzeń. Wszystkie one dowodzą, że jeden aksjomat może się okazać sprzeczny z drugim. W skład naszego podstawowego wyznania wiary wchodzi przekonanie, że w Bożym Umyśle wszystkie te sprzeczności są w jakiś sposób rozstrzygnięte. W gruncie rzeczy, do niedawna zakazane twierdzenia były jednym z głównych powodów, dla których duszpasterze odchodzili z urzędu.

No więc prawie wszystkie z tych ważnych, jeśli mnie pamięć nie myli, ósme, dwunaste, trzynaste, trzydzieste i czterdzieste drugie, dotyczą właśnie problemu racjonalnego zmierzania do irracjonalnej przyjemności.

– W jakim sensie są one „ważne”?

– Jako źródło rozłamów i herezji. Pytania, na które Kościół w ciągu swej historii nie potrafił znaleźć zadowalającej odpowiedzi. – Uśmiechnął się do nas wszystkich. – Ojej, co też człowiek nie wygaduje, kiedy już wkroczy na ścieżkę błędu, nawet mimo woli.

Thorwald zaczerwienił się, nie sądząc jednak, by Carruthers to zauważył.

– Byłbym więc skłonny postawić pieniądze na to, że jeśli Centrum Doradcze złagodzi kurs w sprawie irracjonalnych przyjemności, kontrowersja przeniesie się tylko na inne pole, ale nie dojdzie do obalenia doktryny – ciągnął stary duszpasterz z błyskiem w oku. – I całe szczęście, bo w moim wieku na pewno bym nie chciał uczyć się od początku zupełnie nowej teologii – zakończył z ciepłym uśmiechem i poszedł porozmawiać z Shanem, któremu wyraźnie podobała się jakaś skomplikowana opowieść, jaką powtarzał mu Prescott Diligence. Coraz trudniej przychodziło mi pogodzić obecne zachowanie Carruthersa nie tylko

z relacjami Aimerica o tym, jaki był przed laty, ale również z tym, jaki wydał mi się po przybyciu tutaj.

– Świat staje się niewytłumaczalny – stwierdził Aimeric z westchnieniem. – A więc chcesz jechać, Paul?

– Ta. Po pierwsze, jestem założycielem firmy i wszystkie te wyspecjalizowane koty są wynajęte na moje nazwisko. Muszę dopilnować, by mienie, za które jestem odpowiedzialny, nie uległo uszkodzeniu. Po drugie, no cóż, wspominałem już, że chciałbym zobaczyć, jak wygląda świat po drugiej stronie wzgórza. Nie sądzę, żeby tobie albo Girautowi trudno to było zrozumieć.

Aimeric zignorował ten docinek.

– Nie martwisz się tym, co może się zdarzyć pod twoją nieobecność? – zapytał z wielką powagą i naciskiem.

Paul wzruszył ramionami.

– Jestem człowiekiem interesu. Wolność jest mi potrzebna po to, żeby na niej zarabiać albo cieszyć się nią samemu. Do polityki mieszam się wyłącznie wtedy, gdy mnie do tego zmuszają.

Było to prawie zabawne. Przypominało parodię kilku bezwzględnych kaledońskich kapitalistów, których poznałem na przyjęciach czy podczas zbierania danych dla Aimerica. Nie była to jednak parodia, gdyż wiedziałem, że Paul nie tylko wierzy w to, co mówi, lecz wręcz traktuje to jako część samego siebie, zupełnie jak wzrost czy kolor oczu. Miałem przed sobą niespełna dwudziestoletniego mężczyznę, który wiedział dokładnie, kim jest i jak w związku z tym powinien zaplanować swe życie. Przemknęło mi przez głowę, że rzadko zdarzało mi się spotkać kogoś, kto w tym wieku był już mężczyzną czy dorosłą osobą. Sam z pewnością taki nie byłem. Podczas gdy my zastanawialiśmy się jeszcze, kim jesteśmy, Paul już to wiedział i ruszył w drogę.

Ukłucie zazdrości, które poczułem, było niewybaczalne, dlatego przeniosłem uwagę z powrotem na rozmowę. Sądziłem, że Paul niepotrzebnie przeprosza wszystkich za wąski zakres swych zainteresowań, wydawało się jednak, że jest mu to potrzebne, więc go wysłuchaliśmy. Kiedy skończył, Aimeric zwrócił się do Thorwalda:

– A ty pojedziesz? – zapytał.

– Muszę zostać – odparł ten bez wahania.

Nie byłem pewien, o co chodzi Aimericowi, wydawało się jednak, że coś przyciągnęło jego uwagę. Popatrzył na Margaret.

– Chcę jechać – oznajmiła. – Będę się jednak musiała zastanowić, czy mogę sobie na

to pozwolić.

Nastąpiła długa cisza.

– Giraut? – zapytał wreszcie Aimeric.

– *Companhon*, nie jestem pewien, po co przeprowadzasz tę małą ankietę, ale znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że jeśli tylko czas i obowiązki pozwolą, z radością skorzystam z tej okazji. Myśl o wielokilometrowej podróży po dziewiczym terytorium, zwłaszcza po prawdziwej dzicy, dla której nikt nie projektował fauny i flory... bardzo bym żałował, gdyby mnie to ominęło. Nie zapominam też jednak o fakcie, że nie przybyłem tu jako turysta, i muszę pamiętać o obowiązkach zarówno wobec was wszystkich, jak i Rady Ludzkości. Od tego zależy moja decyzja. Aimericu, czy zechciałbyś powiedzieć nam, dlaczego uważasz tę kwestię za aż tak pilną? Czyżbyś miał nadzieję zdobyć w ostatniej chwili tanie miejsce?

Uśmiechnął się lekko na ten żart, gdy jednak zaczął mówić, twarz miał znowu poważną.

– *Companho, mes vis*, że wpuszczono nas w kanał. Nic nie stoi na przeszkodzie, by Saltini ogłosił, że wszystkie te petycje pozwalają na wytyczenie sprawy opartej na domniemaniu faktycznym, iż mamy do czynienia z masową epidemią irracjonalności. Wtedy mógłby po prostu ogłosić stan wojenny i wsadzić do więzienia wszystkich oprócz Girauta, mnie i Bieris. Dlatego zacząłem się zastanawiać, co Saltini i jego wesoła kompania mają nadzieję osiągnąć, wyrażając zgodę na naszą prośbę.

– Czy coś takiego mogłoby nam zaszkodzić? – zapytał Thorwald. Wydawało się, że trudno mu w to uwierzyć.

– Niewykluczone. Wszystko zależy od ich inteligencji i szczęścia. Nie wolno nam jednak zapominać, że w obecnej chwili nad swym szczęściem sprawują ścisłą kontrolę, gdyż to oni określają rozkład zajęć. Do tej pory właściwie reagowaliśmy tylko na ich posunięcia. Jeśli więc okażą się wystarczająco sprytni, mogą sami wykuć własne szczęście.

Wciąż otaczał nas wir radosnych, chaotycznych rozmów, brzęk szklanek oraz rozbrzmiewająca od czasu do czasu muzyka, lecz pomieszczenie wydało się nagle mniejsze i zimniej-sze, a rozradowany tłum bardziej odległy, jakby pokój wypełniła zimna jak lód mgła, która wysączyła się z kamieni, tłumiąc dźwięki, zabijając woń jedzenia i wina oraz odbierając jaskrawość kolorom.

Cała nasza grupka umilkła.

– Wygląda na to, że zepsułem wam zabawę – stwierdził Aimeric po dłuższej przerwie na zaczerpnięcie tchu. – Możliwe też, że nie mam racji. Czy moglibyśmy wymknąć się gdzieś

ukradkiem, na przykład do prywatnej kuchni, na krótką naradę? Jeśli się mylę i przekonacie mnie, że tak jest, będziemy mieli więcej powodów do radości; jeśli zaś mam rację, powinniśmy się chyba zastanowić, co w tej sprawie zrobić.

Wymknięcie się ukradkiem do prywatnej kuchni nie wchodziło w grę, jako że nasza piątka z jakiegoś powodu była teraz znana jako „komitet” – właściwie to nie miałem pojęcia jaki – i cała reszta żywiła przekonanie, że wszystko, co robimy, ma kluczowe znaczenie. Dlatego nasze nagłe wyjście przekonało jedną trzecią obecnych, że szykuje się nowy kryzys, drugą zaś zbliżoną rozmiarami część, że przygotowujemy plany rewolucji. Skąd wziął się pogląd, że nadciąga rewolucja i że to nasza mała grupka ją planuje? Miałem tylko nadzieję, że przez te pogłoski nie wylądujemy wszyscy w pudle. Trzecia część doszła do wniosku, że udajemy się na ciekawsze, prywatne przyjęcie (zupełnie jakbyśmy gdzieś w ośrodku ukrywali zupełnie inną grupę przyjaciół, którzy z jakiegoś powodu byli lepsi i których nikt nigdy nie widział). Dlatego, gdy wyszliśmy, klaniając się wszystkim uprzejmie, rozległ się szmer głosów, który – kiedy zamknąłem za sobą drzwi – przerodził się w ryk. Margaret wywróciła oczami, ja zaś przytuliłem ją szybko jedną ręką. Oboje mieliśmy już dość plotek, które zaczynały krążyć, gdy tylko spotykałem się z trójgiem swych kaledońskich pracowników, by omówić problem sprzątnięcia którejś z wielkich sal sypialnych, zdecydować, co podać na przyjęciu, albo rozstrzygnąć, czy kursy okcytańskie-go tańca towarzyskiego wzbudzają entuzjazm na tyle poważny, by warto było zorganizować jeszcze jedną klasę.

Podążyliśmy za pozostałymi, trzymając się za ręce. Wydawało mi się dziwne, że przed zaledwie kilkoma tygodniami uważałem, iż ośrodek – albo ja sam – mógłby funkcjonować bez kogoś takiego jak ona.

Absurdalna uwaga, którą przyciągał „komitet”, miała też pewne zalety. Gdy udawaliśmy się do prywatnej kuchni, ludzie bali się nam przeszkadzać. Wydawało się, że ją uważają za Salę Tajnych Konferencji, podczas gdy w rzeczywistości przyciągała nas tam wystarczająca liczba krzeseł, wpadające rano przez okno światło słońca, oraz kakao i kawa, które były pod ręką.

Zamknęliśmy drzwi, usiedliśmy wygodnie i skierowaliśmy spojrzenia na Aimerica, który bez żadnych wstępów przeszedł do rzeczy.

– Jeśli się nie mylę, to, chcąc *znaleźć* klucz do całej sprawy, musimy na to spojrzeć oczami pipków. Przypuśćmy, że nie pozwolą na zorganizowanie ekspedycji na zachodnie wybrzeże. Wtedy, po pierwsze, ułatwią zadanie opozycji, pozwalając jej zorganizować się wokół żądania, które Centrum Doradcze uznało już za racjonalne, a po drugie, umożliwią nam uzyskiwanie kolejnych korzystnych dla nas orzeczeń, które będziemy mogli wykorzystać

w przyszłości. Ich stanowisko będzie się wydawało coraz bardziej nierozsądne, ponieważ to rzeczywiście jest drobna sprawa. Na koniec zaś, wszystko rozgrywa się tutaj, w Utilitopii, a ośrodek jest najbardziej rzucającym się w oczy budynkiem w nadmorskiej części miasta i każdy mieszkaniec, który ją odwiedza, przypomina sobie o tej kwestii. Im dłużej pozostaje ona aktualna, tym gorzej dla nich. A teraz przypuśćmy, że pozwolą nam na tę wycieczkę. Po pierwsze, pozbawi to aktualności najatrakcyjniejszy punkt naszego programu, i, *companho*, z pewnością zdajecie sobie sprawę, że minie sporo czasu, nim znajdziemy coś nowego i przekonamy do tego ludzi. Ponadto, w czasie gdy powinniśmy planować kolejne kampanie, niektóre z najważniejszych osób w naszej grupie znajdują się na drugim końcu kontynentu. To wiąże się z kolejnym punktem, który jest bardziej istotny. Zyskają w ten sposób dwudziestodniowy okres, ponad dwadzieścia trzy standni, podczas którego mogą zrobić coś, na co nie zdołamy skutecznie zareagować. Zwłaszcza z uwagi na fakt, że to właśnie nasi najważniejsi członkowie, to znaczy najważniejsi dla mediów, wezmą udział w wyprawie. Sądzę, że wyrazili zgodę dlatego, iż stwarza im to szansę zasiania zamętu w naszych szeregach. W gruncie rzeczy idę o zakład, że opierali się tak mocno tylko po to, by założyć przynętę na haczyk. Walczyliśmy o tę uboczną kwestię tak długo i zawzięcie, że po prostu nie możemy odwołać ekspedycji. Jesteśmy ugotowani. Wiedzą, kiedy dokładnie będą mogli przedsięwziąć coś dużego, nie narażając się na efektywny opór z naszej strony. Powtarzam, *companho, m'es vis*, że wpuścili nas w kanał. – Odchylił się na krzesło i omiółł kuchnię spojrzeniem, spoglądając kolejno w oczy każdemu z nas. – Czy ktoś może mnie przekonać, że moje podejrzenia są bezpodstawne?

Thorwald odchrząknął. Rysował palcem na stole jakiś niewidzialny obraz i nie podnosił wzroku. Jak to możliwe, by równie młody człowiek tak szybko osiągnął podobnie dojrzały wygląd? W domu wydawałby się za stary, żeby być *jo-ventem*... Właściwie, patrząc na siebie w lustrze, zauważyłem, że to samo można powiedzieć i o mnie. Thorwald odchrząknął raz jeszcze, jakby chciał zabrać głos, po czym westchnął.

– Masz oczywiście rację, ale sądzę, że potrafię z łatwością odpowiedzieć na większość twoich wątpliwości. Ostatecznie wyprawa zabierze ze sobą pełne wyposażenie medialne. Mamy nawet dwa płatne miejsca dla specjalistów, którzy będą obsługiwali kamery, sprzęt rejestrujący oraz łącze satelitarne. Żaden z uczestników ekspedycji nie powinien mieć trudności z natychmiastowym wygłoszeniem oświadczenia. Problem rzecz jasna polega na tym, że Saltini jest w stanie przejąć fizyczną kontrolę nad mediami oraz łączami komowymi wyprawy. W ten sposób mógłby uniemożliwić powiadomienie uczestników ekspedycji o rozgrywających się wydarzeniach oraz zapobiec temu, by środki przekazu publikowały ich

oświadczenia. Ktoś, kto przebywa w Utilitopii, zawsze może wybrać się na Bazar i zacząć rozdawać ulotki albo wznieść trybunę i wygłosić mowę, ale dla tych, którzy wyruszą na wyprawę, możliwość komunikacji będzie zależała wyłącznie od tolerancji Saltiniego.

Aimeric skrzywił się.

– A jeśli już o tym mowa, mogliby odwrócić powszechną uwagę od wydarzeń rozgrywających się w Utilitopii między innymi w ten sposób, że nie dopuściliby, żeby uczestnicy ekspedycji o czymkolwiek się dowiedzieli, a jednocześnie poświęcili mnóstwo czasu na „szczęśliwe wiadomości” o ekspedycji, dając wielkie czołówki na kanałach ogólnych i długie programy na kanałach szczegółowych. W ten sposób, nawet gdyby wsadzili wszystkich członków ruchu w Utilitopii i zamknęli ich w izolacji bez prawa do zwolnienia za kaucją, przeciętnemu widzowi wydawałoby się, że prawa obywatelskie nadal obowiązują.

– W takim razie – odezwała się spokojnie Margaret – musimy tylko rozwiązać dwa małe problemy. Wygląda na to, że kwestia nie jest taka groźna, Aimericu, choć z pewnością ważna.

Uniósł brew, skinął jednak głową, dając znak, by kontynuowała.

– Posłuchaj, potrzebujemy dwóch rzeczy. Prywatnego łącza komowego z ekspedycją, które pozostanie poza kontrolą Saltiniego, z czymś w rodzaju „przełącznika nieboszczyka” po naszej stronie, tak że jeśli wszyscy tutaj trafią do pudła, uczestnicy wyprawy zorientują się, że coś się dzieje. Po drugie, musimy wykombinować jakiś sposób, który pozwoli im przekazać do Utilitopii publiczne oświadczenie, żeby to wszystko, o czym mówi Aimeric, nie uszło pipkom na sucho. Jeśli rozwiążemy te dwa problemy, nie tylko nie będziemy musieli się martwić o PPP, lecz nawet będziemy mieli po swej stronie czynnik zaskoczenia i może uda nam się sprawić przeciwnikowi niespodziankę.

Na twarzy Aimerica pojawiła się odrobina nadziei, uniósł jednak dłonie, ustawiając je jak szalki wagi.

– Masz rację, to może być znakomita sposobność... pod warunkiem, że nam się uda.

– To samo dotyczy wszystkiego – wskazał Paul. – Sam zresztą mówiłeś, że tak czy inaczej nie unikniemy zorganizowania tej ekspedycji. Będę się czuł lepiej, wiedząc, że nie tylko Saltini, ale i my mamy w rękawie kilka atutów.

Ktoś zapukał do drzwi. Wstałem, by je otworzyć. Do środka weszli ambasador Shan i wilebny Carruthers. Teraz dopiero zaczną się plotki, przemknęło mi przez głowę. Przynajmniej jednak będzie w nich gram albo nawet dwa prawdy.

– Chyba musimy omówić pewną ważną kwestię, przyjaciele – oznajmił Carruthers,

gdy zamknąłem drzwi.

– To już taka noc – stwierdził z westchnieniem Aimeric. – Przekażecie nam swoje myśli, a my wam swoje, a potem będziemy mogli wspólnie się posmucić. Shan pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– Och, nie sądzę, żeby ta wiadomość miała was zmartwić. Raczej wprost przeciwnie. Czy mogę usiąść?

Wszyscy odparliśmy zawstydzeni, że tak. Kaledończycy nigdy o to nie pytają, podobnie jak Okcytańczycy. Ci pierwsi dlatego, że byłoby irracjonalne, gdyby ludzie mieli jakieś preferencje w tej sprawie, ci drudzy zaś ze względu na fakt, iż podobna drobiazgowa dbałość o uczucia innych mogłaby uchodzić za oznakę zniewieściałości, a z całą pewnością była *ne gens*. Od tego czasu zdążyłem się zorientować, że biorąc pod uwagę standardy większości innych kultur, obie nasze nie przestrzegają wymogów uprzejmości.

– Żeby wyjaśnić wam pokrótce, dlaczego nie mogłem wcześniej o niczym wspomnieć ani nic w tej sprawie uczynić – zaczął Shan, przyjąwszy od Thorwalda filiżankę kakao – powinienem zapewne opowiedzieć wam co nieco o relacjach między Radą Ludzkości, jej ambasadorami i Tysiącem Kultur jako całością. Przede wszystkim musicie zrozumieć, że Sfera Wewnętrzna, sama Ziemia, Dunant i Passy w układzie Alfa Centauri oraz Cremer, Ducommun i Gobat, gromadzi prawie dziewięćdziesiąt procent ogólnej liczby ludzi i około czterystu kultur. To tylko sześć z trzydziestu jeden planet i gdyby któraś z nich postanowiła zerwać z Radą, mielibyśmy bardzo poważne kłopoty. Niestety tak się składa, że zamieszkuje je szczególnie dużo ekscentrycznych kultur założycielskich i choć są ze sobą znacznie bardziej pomieszane od reszty Tysiąca Kultur, utrzymują też nieporównanie częstsze kontakty, niż dzieje się to na pograniczu. Wiem, że życie tu w pokoju niemal równie długo jak mieszkańcy światów wewnętrznych i jesteście prawie tak samo zaawansowani i zurbanizowani, ale z punktu widzenia Rady jesteście światem peryferyjnym, ponieważ znajdujecie się daleko i liczba waszej ludności jest niewielka. No cóż, zwlekałem z powiedzeniem tego tak długo, jak tylko mogłem. W Sferze Wewnętrznej bardzo wiele kultur dzieli tradycyjna nienawiść, która może się stać przyczyną wybuchu walk. To jeden z powodów, dla których za priorytet uznano nawiązanie kontaktu z pogranicznymi światami w regionie Woźnicy, łańcuchem izolowanych układów planetarnych prowadzącym aż do Tety Wielkiej Niedźwiedzicy, a dopiero potem zajęto się połączeniem skoczkowym z waszymi światami, leżącymi na pograniczu w regionie Wolarza i Herkulesa. Tak się składa, że Thorburg leży w układzie Polluksa, Chaka Home samej Tety Wielkiej Niedźwiedzicy, a New Parris Island w układzie Ca-pelli. Musieliśmy dopilnować, by Rada miała kontakt

z militarnymi kulturami, żeby móc w razie potrzeby przywrócić porządek. Zwłaszcza że, szczerze mówiąc, macie tu wiele wyjątkowo odpychających grup religijnych i kulturowych. Udało się nam wyposażyć Radę w broń mogącą zapobiec bratobójczym wojnom w obrębie Tysiąca Kultur, musieliśmy jednak zawrzeć wiele klasycznych kompromisów, w niektórych przypadkach wiedząc, że będziemy potem tego żałować. Dlatego w ławach rządowych Rady stałe miejsca mają przedstawiciele nie tylko samych kultur, ale również światów o największej liczbie ludności, i ci ostatni, obawiam się, że przypomina to dawny system oenzetowski, mają prawo weta. A im chodzi przede wszystkim o to, by bez względu na to, do jak wielkich zaburzeń dochodzi na pograniczu, nie gwałcono praw miejscowych kultur, ponieważ mogłoby to stworzyć precedens, który inne kultury wykorzystywałyby celem skłonienia Rady do poparcia ich tradycyjnych stanowisk, a może nawet przymuszenia sąsiadów do czegoś, na co nie mieliby oni ochoty. Dlatego obowiązują mnie bardzo ściśle przepisy, mówiące, co mogę, a czego nie mogę tu zrobić. Z drugiej strony, należy brać pod uwagę fakt, że nie możemy pozwolić, by kultura, która nawiązała już kontakt, znalazła się poza sferą naszych wpływów, i to dokładnie z tego samego powodu, dla którego nie wolno nam deptać jej praw. Dlatego, kiedy tylko było to możliwe, byliśmy gotowi traktować oryginalne karty kultur jako wiążące kontrakty i w ten sposób zmuszać je do różnych posunięć, których wolałyby uniknąć, by nie dopuścić do tego, żeby któraś z nich stała się izolowanym pariasem. Tak się składa, że odkąd zorientowałem się w istniejącej tu sytuacji, nieustannie słałem do Rady Ludzkości petycje o przyznanie mi większego marginesu swobody w interpretacji miejscowej karty kulturowej i wymuszaniu jej przestrzegania. Powodem tego był fakt, że, mówiąc szczerze, tradycyjna kaledońska kultura zapewne wyda się przedstawicielom większości Tysiąca Kultur bardzo irytująca, a biorąc pod uwagę jej odpychający charakter, wydawało się, że najkorzystniej będzie ją maksymalnie osłabić. Gdybyśmy poparli występujące w niej liberalne tendencje, kontakt z nią mógłby się okazać znacznie mniej przykry dla pozostałych kultur. Uważam, że szczerłość to najlepszy sposób na skłonienie was do pożądanej reakcji, podkreślam więc fakt, że Rady właściwie nie obchodzi, czy przestrzega się tu praw obywatelskich. Istnieje mnóstwo kultur, które są znacznie bardziej represyjne, a mimo to zostawiamy je w spokoju. Interesuje nas tylko to, by każda z nich wykazywała minimum tolerancji dla innych i żadna nie popadła w mesjanizm albo milenaryzm. Krótko mówiąc, nie *zależy* nam na upadku reżimu Saltiniego dlatego, że jest on represyjną dyktaturą, lecz z uwagi na fakt, że składa się z upartych fanatyków, dokładnie takich, jacy mogą wywołać konflikt gdzie indziej.

Rozejrzał się po kuchni i zobaczył, że wszyscy kiwiają głowami i nikt nie wydaje się

szczególnie oburzony.

– Co dziwne, szczerze mówię wam tę przykrą prawdę dlatego, że lubię was wszystkich. Nie chcę, żebyście sądzili, że Rada Ludzkości rozwiąże za was wasze problemy. W najbliższych dniach dokonamy interwencji, która będzie dla was korzystna, nie znaczy to jednak, że będziemy tak robić zawsze, choć w przyszłości może dojść do sytuacji, w których powody moralne mogłyby być znacznie poważniejsze. Nie oczekujcie, że coś takiego będzie zdarzało się częściej, i nie liczcie na żadne poparcie poza tym, o czym za chwilę wam powiem. Tak się składa, że w oryginalnej karcie, opracowanej przez Querozc, znajduje się zapis o „zapewnieniu obywatelom środków utrzymania”. Być może któryś z tutejszych teologów potrafiłby wam powiedzieć, co Queroza chciał przez to wyrazić, dla Rady jednak nie ma to znaczenia. Liczy się fakt, że możemy zinterpretować jego słowa w ten sposób, iż Salti-ni nie będzie mógł rozwiązać ekonomicznych problemów, pozbawiając znaczną część ludzi pracy i wynagrodzenia, celem obniżenia spożycia oraz popytu na importowane towary. Postawimy go przed wyborem: albo stworzenie masowego systemu zasiłków, albo utrata karty.

Zapadła martwa cisza. Po chwili Paul zagwizdał, cicho i przeciągle.

– A więc albo przeskoczy przez obręcz, które mu wskażecie, i to publicznie, albo przejmiecie tu bezpośrednią władzę?

– Jedno bądź drugie – przyznał Shan. Uśmiech ani na moment nie zniknął z jego ust, nie wpływał jednak na wyraz oczu. – Przy odrobinie szczęścia uda się nam przekonać wszystkich, poza najbardziej nieprzejednanymi twardogłowymi, że nieustępliwość na nic się nie zda. Oczywiście, reżim Saltiniego straci w ten sposób rację bytu i najprawdopodobniej upadnie, ponieważ utrzymuje się przy władzy tylko siłą. A każdy nowy rząd będzie zapewne musiał zawrzeć jakąś ugodę z opozycją... zamierzamy wysunąć kilka sugestii. Na przykład, liczba przedstawicieli kongregacji powinna być proporcjonalna do liczebności jej członków...

– Co oznacza, że kongregacja Clarity zdominuje Radę Racjonalizatorów – wskazał Carruthers.

Aimeric skinął głową.

– Pytam tylko z ciekawości, ale czy Saltini wie, że decyzja jest korzystna dla pana?

– Z pewnością dowiedział się w tej samej chwili, co my w ambasadzie. Proces toczył się w sądzie Rady Ludzkości, a jego werdykt przesyła się jednocześnie do wszystkich zainteresowanych stron.

– A która była wtedy godzina?

Aimeric był wyraźnie gotowy zerwać się z fotela.

– Chwileczkę... dostaliśmy wiadomość o czternastej...

Aimeric strzelił palcami.

– A więc wszystko jasne. Pozwolenie na wyprawę wystawili o piętnastej trzydzieści. Nie rozumiecie? – dodał, widząc nasze zdziwione miny. – To brakujący fragment łamigłówki. Wiemy, dlaczego chce, by nasze przywództwo rozproszyło się i znalazło poza miastem. Kiedy będzie musiał podporządkować się temu rozkazowi, podniesie się straszliwy wrzask, a ponieważ będziemy nieobecni, słyhać będzie tylko jego nieprzejednanych zwolenników. O ile rozegra to prawidłowo, będzie mógł twierdzić, że popierają go prawie wszyscy, a o ile dobrze pamiętam zasady, które zastosowano w sporze o szlachtę w Nou Occitan, jeśli poparcie dla jego stanowiska będzie bliskie jednomyślnemu...

Shan wytrzeszczył oczy z zaskoczenia.

– Tak jest, będzie mógł wtedy uzyskać unieważnienie werdyktu. Ale chcieliśmy, by sprawę rozstrzygnął sąd, między innymi dlatego, żeby się upewnić, iż za kulisami będzie czekała liczna i wpływowa opozycja...

Aimeric potrząsnął głową.

– Jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z planami Saltiniego, opozycja zostanie zamknięta w garderobie. Margaret, miałaś absolutną rację. Musimy wykombinować jakiś sposób na utrzymanie łączności między ekspedycją a naszymi zwolennikami w Utilitopii. W przeciwnym razie Saltini zostanie bohaterem obrońcą niezależności Kaledonii i nigdy już nie odda władzy.

Gdy ruszaliśmy w drogę, istniały trzy odrębne sposoby, pozwalające nawiązać im kontakt z nami, oraz dwa, dzięki którym mogliśmy się połączyć z nimi. Mieliśmy nadzieję, że to wystarczy. Skorzystaliśmy z usług świętomichalskiej akustycznej linii abonenckiej, teoretycznie mogliśmy więc do siebie komować, bez obrazu, przez Nowy Archangielsk. Ponieważ byłem pracownikiem Rady Ludzkości, Shan miał pretekst do zainstalowania bezpośredniego połączenia akustycznego między ambasadą a kotem, który miałem prowadzić. Na koniec, dysponowaliśmy tajnym kontem w szeroko-zakresowym wizyjnym nadajniku, zamontowanym w satelicie krążącym po stacjonarnej orbicie nad obszarem, przez który mieliśmy wędrować. Z jego usług korzystały z reguły odległe farmy w Niniwie i Gomorze, udało nam się jednak wynająć nie używany kanał i zdobyć pozwolenie na szyfrowanie, a ślad wiązki anteny satelity był wystarczająco szeroki, by mogła sięgnąć prawie do Gór Pesymalnych.

Nie udało nam się znaleźć żadnego zadowalającego, potajemnego sposobu, by załatwić jakiś kanał wizualny, stereowizualny lub holowideo, czy to dla nadawania, czy odbioru, przynajmniej jednak, jeśli Saltini zamknie oficjalne kanały, uda nam się wygłosić publiczne oświadczenia, choćby nawet bez obrazu. Musieliśmy mieć nadzieję, że to wystarczy.

Choć poprzedniej nocy załadowaliśmy wszystkie cztery koty, postanowiliśmy, że zaczekamy na koniec Porannej Nawałnicy, by wszyscy w ośrodku mieli czas zjeść wspólnie śniadanie. Chcieliśmy też przeczekać z tuzin nieuniknionych ataków „prawie bym zapomniał”. W wyprawie brało udział dwadzieścia siedem albo dwadzieścia osiem osób, zależnie od tego jak liczyć Valerie-Betsy. Margaret wahała się przez wiele dni, wreszcie jednak uznała, że woli pojechać.

Paul był nam autentycznie niezbędny, a zresztą zapewne i tak nie chciałby zrezygnować z wyprawy, Thorwald zaś w żadnej sytuacji nie wzięłby w niej udziału. Cały ten pomysł interesował go wyłącznie jako dogodna broń przeciwko pipkom. Aimeric, wzruszając ramionami, oznajmił, że tym razem ekspedycja go ominie, ale przecież spodziewa się spędzić w Kaledonii jeszcze trochę czasu. Plotki mówiły, że nie chciał jechać bez Clarity Peterborough, a ona nadal przebywała w areszcie domowym.

Pod wieloma względami największą niespodzianką była nieobecność Bieris,

najwyraźniej jednak najpierw chciała ukończyć nową serię obrazów i dlatego wolała zostać w So-domskiej Niece.

Wszyscy wyszli w końcu na ulicę. Słońce wynurzyło się zza chmur, a z murów ośrodka ściekały resztki lodowatej wody. Przez cały okres pobytu tutaj nie znudziłem się widokiem pięknej mozaiki, jaką stawały się ściany budynku, gdy pokryła je czysta woda, która lśniła we wszystkich załomach, rzucając wszędzie małe tęcze, na tle nagłej erupcji zdumiewająco intensywnego błękitu, jaka towarzyszyła końcowi Porannej Nawałnicy, gdy tylko wiatr był wystarczająco silny. Zaczerpnałem w płuca głęboki haust ostrego, mroźnego powietrza. Przemknęło mi przez głowę, że wyruszam na wycieczkę, nie mając kaca, po raz pierwszy od... hmm, od czasów, gdy mieszkałem z rodzicami. A szczerze mówiąc, odkąd przeniosłem się do *Quartier*, tych wycieczek nie było tyle, ile bym chciał.

– Przywieź ich z powrotem żywych, Leśny Przewodniku – rzucił Aimeric, obejmując mnie ramieniem w zaskakująco silnym uścisku.

– Ta, postaram się – zapewniłem.

– Ale wielki tłum – zauważył Thorwald. – Można by pomyśleć, że wybieracie się na niezbadaną planetę.

Miał rację. Przyjaciele i krewni przyprowadzili ze sobą mnóstwo ludzi, którzy otaczali koty. Wszystkie pojazdy były ozdobione napisami „PAUL PARTON. WYPOSAŻENIE I ORGANIZACJA WYCIECZEK”, wypisanymi jaskrawo-niebieskimi literami na tle o barwie odblaskowego oranżu. (Wytłumaczyć Kaledończykom zasady kolorystyki było równie trudno, jak uczynić znawcę win z abstynenta, który niedawno przerodził się w alkoholika). Ludzie ściskali się i wymieniali dobroduszne żarty. Niekiedy śmiali się trochę za głośno, jakby byli lekko zaniepokojeni albo zazdrośni.

– To znaczy dla Kaledończyków więcej, niż są skłonni przyznać – zauważyłem nagle, nie zdążywszy się zastanowić, czy kogoś tymi słowami nie urażę.

Najwyraźniej tak się nie stało.

– Robimy to tylko dla zabawy i rozrywki – przyznał Thorwald. – To bagatelizm. Bez względu na to, co się zdarzy, teraz, gdy jest on zalegalizowaną tendencją, istnieje nadzieja, że znajdziemy w życiu coś więcej niż praca, modlitwa i rozum. Kiedy na to patrzę, myślę, że już wygraliśmy. Spójrz na te rozbiegane, bawiące się wokół kotów dzieciaki, na sztandary i flagi, które zdobią pojazdy. Te dzieci nie zapomną o tym przez całe życie i nikt ich nie przekona, że przywiązały się do niewłaściwych wartości albo że wygląd zewnętrzny jest pozbawiony znaczenia. Zastanawiam się, czy Saltini wie już, że przegrał? Zostało nam tylko to, co Major Ironhand nazywa „oczyszczaniem terenu”.

Nie byłem pewien, czy ma rację, lecz w żadnym wypadku nie zamierzałem się z nim spierać. Czuję się tak, jakbym widział podwójnie. Jedną częścią jaźni dostrzegałem, że ta improwizowana parada – cztery pojazdy, które w normalnych warunkach przewoziłyby albo pasażerów między miastami, albo meble czy chleb, pomalowane na jaskrawe kolory i przyozdobione prymitywnymi proporcami o kłócących się ze sobą barwach, oraz grupa otaczających je ludzi odzianych w ubiory robocze na zimną pogodę – jest w porównaniu z brzydkimi, szarymi ulicami Utilitopii nieliczna i bez mała nędzna. Choć jednak mój okcytański wzrok nie stracił ostrości, dla drugiego, kaledońskiego spojrzenia ta sama ulica lśniła od pochodzącej ze świeżo stopniałego śniegu wody, jaskrawe kolory stanowiły śmiałe wyzwanie rzucone pod adresem szarości i pasteli, a odważny śmiech młodych ludzi świadczył o tym, że nie pozwolą już, by im mówiono, czym, z jakiego powodu i do jakiego stopnia wolno im się cieszyć. Postanowiłem patrzeć na to jak Kaledończyk.

– Garsenda! – wrzasnęła nagle stojąca obok Margaret, machając ręką.

Zbliżała się do nas odziana w długą, obszytą futrem pelerynę, która rozchyłała się, odsłaniając harmonizujący z nią fioletowy kostium, miękki, luźny strój z ciemniejszą kamizelką i workowatymi spodniami o nogawkach wydymających się nad czarnymi, sięgającymi kolan butami, w które je wciśnięto. Zauważyłem wokół nagle poruszenie. Bez wątplenia była to okcytańska stylizacja kaledońskiego stroju, lecz czarne włosy Garsendy powiewały na wietrze, a cały miękki ubiór marszczył się i szeleścił, musiałem więc przyznać, że wygląda wspaniale.

Wokół mnie wybuchły spontaniczne brawa.

– *Bella, donzelha, trop bella!* – krzyknął Aimeric.

Garsenda uśmiechnęła się w sposób, który kiedyś uznałbym za dziwnie męski, po czym dygnęła lekko, uważając, by nie dotknąć peleryną mokrej nawierzchni. Ludzie ponownie zajęli się rozmowami, zauważyłem jednak, że od czasu do czasu rzucają na nią ukradkowe spojrzenia.

– *Companhona* – powiedziała Margaret. – Tak się cieszę, że miałaś czas przyjść. Chciałabym ci zadać dwa pytania. Gdzie, na Boga, znalazłaś takie piękne ubranie i czy mogłabym też takie dostać?

Garsenda z uśmiechem odrzuciła włosy. Przed kilkoma miesiącami poczułbym się urzeczony, bardzo jednak wątpię, by zdobyła się wówczas przy mnie na tak bezceremonialny, chłopięcy gest.

– Maggie, w okcytańskim stoisku na Bazarze jest wystawiona na sprzedaż cała kolekcja. Okazuje się, że niektórzy z najpopularniejszych młodych międzygwiazdniczych

projektantów postanowili zaprojektować stroje, kierując się opisami Girauta. Możesz w to wierzyć lub nie, ale to, co mam w tej chwili na sobie, jest według okcytańskich standardów wyjątkowo proste i niewyszukane. Nie sędzę, żeby do końca uwierzyli Girautowi. Mam twoje wymiary, jeśli więc pozwolisz, zamówię odpowiedni wzór. Strój będzie na ciebie czekał po powrocie. To będzie prezent ode mnie.

– Oj, ni, ni, to zbyt drogi...

– Ojej, chyba jeszcze nie rozumiem po rozumnemu – odparła Garsenda, mrugając do mnie nad ramieniem Margaret. – Zwłaszcza takich brzydkich słów jak „ni”. A już szczególnie w ustach kogoś, kto tak miło mnie tu przywitał.

– Masz zamiar wrócić? – zapytała Margaret. Wyglądało na to, że Garsendzie udało się przynajmniej odwrócić jej uwagę.

– Na parę tuzinów standni. Mamy tak wielkie obroty, że pewnie będę przeskakiwała to tu, to tam, przez całe wieki. Handel z Kaledonią okazał się królewską drogą do bogactwa. Zaczynam dochodzić do wniosku, że lubię mieć pełną kabzę, zwłaszcza jeśli porównać to, czym muszę się zajmować, by zdobyć majątek, z tym, co musiałabym robić, gdybym bogato wyszła za mąż. – Uśmiechnęła się. – Nie przejmuj się, Mag, zobaczymy się jeszcze wiele razy. A teraz przyjmij ten prezent jak *companhona*, nie jak uparciuch.

Zadałem sobie pytanie, jak to się stało, że dorosłe kobiety tak szybko zaczęły na co dzień używać słowa *companhona*. Garsenda i Margaret uściskały się.

– Poza tym, gdy tylko wyjdę ze skoczka w Noupeitau, mam zamiar wygłosić parę mów – wyjaśniła Garsenda. – Ma się tam odbyć kilka wielkich demonstracji poparcia dla waszego ruchu i chcę, żebym na nich przemawiała. Okcytańczycy nie zmienili się znowu tak bardzo. Jeśli kobieta nie wygląda absolutnie olśniewająco, *tropa zenzata*, nie zechcą jej wysłuchać. A mam im tak wiele do powiedzenia... no, ale wszyscy musimy już ruszać. Za trzy godziny będę w Noupeitau, czy to nie dziwne? – Zwróciła się w moją stronę. – Mam coś komuś przekazać?

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Wyrazy miłości dla Pertza i innych starych przyjaciół, których spotkasz. Marcabru powiedz, że wyzwanie, które mu przesłałem, było niedopowiedzeniem i że pragnę zemsty za to, że jego matka zaraziła mendami mojego najlepszego psa myśliwskiego. I... hmm... tym biednym *joventom*, których pociachałem w „Entrepot”...

– Nie waż się ich przeproszać! Zawdzięczają ci karierę towarzyską! – Jej ciemnoniebieskie oczy zalśniły. Jak mogłem spędzić z nią tak wiele czasu i w ogóle jej nie poznać? – Po powrocie mają mnie przedstawić na dworze. Twoje posłanie przekażę Marcabru

publicznie. Czy masz coś do powiedzenia królowej-idiotce?

Potrząsnąłem głową.

– Nie sądzę, by było winą Yseut, że jej *entendedor* jest chamskim, zapijaczonym durniem. Zapewne zresztą pragnął jej tylko dlatego, że jak każdy maminsynek ma obsesję na punkcie cycków. Nie mam nic przeciwko niej.

– Powtórzę to wszystko dosłownie – zapewniła Garsenda. – Nie chcemy, by sądziła, iż czujesz do niej *malvolensa*. Jestem pewna, że oboje z zainteresowaniem wysłuchają twoich wyjaśnień.

Margaret i Thorwald gapili się na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Chyba przyprawiłeś naszych kaledońskich przyjaciół o szok – wtrącił Aimeric.

Miałem zamiar wygłosić jakieś pogmatwane wyjaśnienie, ale Garsenda była szybsza.

– W takim razie równie dobrze mogę was przerazić jeszcze, bardziej. Tu chodzi wyłącznie o karierę. Giraut nie może sobie pozwolić na to, by nie mieć jakiejś reputacji, a krwawa wendeta przeciw księciu małżonkowi z pewnością mu ją zapewni. Może się to wam wydawać głupie, ale takie są zasady kierujące naszym życiem. Jest z tego przynajmniej taka korzyść, że selekcja odrzuca ludzi wybuchowych i tych, których łatwo wyprowadzić z równowagi, a to nie są dobre cechy dla przywódców. – Ujęła moją twarz w dłonie i nim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, ucałowała mnie szybko i mocno. W jej pocałunku nie było śladu erotyzmu, a tylko gwałtowna fizyczność. – Lubię cię – powiedziała. – Uważaj na siebie i wróć w jednym kawalku. A kiedy już zostaniesz premierem, chcę, żebyś mnie zrobił *Manjadora d'Oecon*. Maggie, nie pozwól, żeby ten maniak pozabijał was wszystkich. Zobaczymy się kilka standni po waszym powrocie.

Ponownie uściskawszy wszystkich, Garsenda odeszła. Peleryna i włosy powiewały za nią na wietrze.

Po kilku minutach udało się nam wepchnąć do kotów wszystkich, którzy powinni tam się znaleźć, po czym wolno ruszyliśmy, otoczeni przez spontaniczną paradę sympatyków. Bałem się oderwać spojrzenie od ulicy przede mną, gdyż część tłumu stanowiły małe dzieci i obawiałem się, że któreś z nich może wybiec prosto pod kota. Poruszające się na poduszkach magnetycznych gaśienice umożliwiły natychmiastowe zatrzymanie pojazdu, nawet jeśli było to nieprzyjemne, trzeba jednak było bez zwłoki nacisnąć z całej siły hamulec.

Drzwi mijanych budynków otwierały się nieustannie. Wypadali z nich ludzie, machając do nas rękami. Siedząca obok mnie na rozkładanym fotelu Margaret z entuzjazmem odwzajemniała te gesty.

– Nie wiedziałem, że tak często widzisz się z Garsenda – zauważyłem. – Ale w końcu chodziłaś na Bazar codziennie...

– Spędziłyśmy razem mnóstwo czasu – odparła, ścisząc głos, tak żebym tylko ja ją słyszał. Paul siedział niedaleko. – Jest trochę podobna do Val, ale bez jej nerwicy i paskudnej agresywności. Naprawdę ją uwielbiam.

– Gdzie jest Valerie? – zapytałem, włączając zewnętrzne mikrofony, żeby wszyscy lepiej słyszeli tłum, a także po to, by zagłuszyć naszą rozmowę.

– W ostatnim kocie. Na pewno macha ręką jak królowa. Z jakimś bombowym chłopakiem, któremu parę dni temu udało się załapać z kolejki. Kolejki do ekspedycji, nie kolejki do Val. Ta druga jest dłuższa, ale posuwa się szybciej.

W jej głosie pobrzmiwała lekka, sympatyczna złośliwość.

Zachichotałem, nie odrywając jednak spojrzenia od drogi. Margaret z pewnością nie przypominała wyglądem ideału okcytańskiej *donzelhy*, ale umiała plotkować równie dobrze jak one. Gdybym był wychowany w kulturze bardziej tolerancyjnej albo bardziej skłonnej do hipokryzji, jak na przykład kaledońska, mógłbym się poczuć zgorzszony, dla mnie jednak był to tylko jeszcze jeden powód, by kochać Margaret.

– Nie wiedziałem, że mówią na ciebie „Maggie”.

– Tylko rodzina. Matka wpadła kiedyś na Bazar i Garsenda nauczyła się tego od niej. Przedtem tego nie lubiłam, bo tak mówili na mnie rodzice, a poza tym zauważyłam, że z reguły zwracasz się do nas pełnymi imionami.

– Margaret brzmi nie tylko ładnie, ale również bardzo podobnie do okcytańskiego „Magritza” – zauważyłem.

Przytuliła się do mnie. Zapewne narażała w ten sposób życie dzieci na drodze, nie zamierzałem jednak oponować.

– Chyba spodoba mi się każde imię, jakim zechcesz się do mnie zwracać.

– Z drugiej strony, jeśli kiedyś powiesz na mnie „Gary”, nie wspominając już o „Raut” – ostrzegłem, cytując dwa przydomki, którymi zwykli mnie obdarzać lubujący się w skracaniu imion osobnicy, udający, że mnie znają – będę chyba...

– Krzyczał – przerwała mi. – Przynajmniej ja zawsze to robię, kiedy słyszę, jak tak na ciebie mówią. Obawiam się, że Okcytańczycy uwielbiają przydomki i skracanie imion. Najbardziej mnie wkurza, jak zwracają się do Thorwalda: „Thorry”.

Nie mogłem się nie roześmiać.

Gdy wyjeżdżaliśmy z miasta, doszło do przykrego incydentu. Prowadziłem drugiego kota. W pierwszym za sterem siedziała Anna Terwilliger, która z reguły spędzała swoje

cztery godziny pracy jako kierowca ciężarówki. (Miałem nadzieję, że jest lepszym kierowcą niż poetką). Nie widziałem, dlaczego nagle zwolniła, refleks mnie jednak nie zawiódł i zdołałem utrzymać przyzwoitą odległość między pojazdami. Jadący przede mną kot zakołysał się dwukrotnie, nim zdałem sobie sprawę, że Anna próbuje „tańczyć”, gwałtownie skręcając ustawione równolegle gąsienice, co po kilku ostrych szarpnięciach sprawiło, że wehikuł zmienił kurs o prawie dziewięćdziesiąt stopni, zmierzając na drugi pas drogi. Nie wiedziałem, dlaczego to zrobiła, podążyłem jednak za jej przykładem. Spojrzawszy we wsteczne lustro, zobaczyłem, że pozostałe koty uczyniły to samo.

Wreszcie udało się jej skręcić na drugi pas. Kiedy podążyłem za nią, zobaczyłem, o co chodzi.

Było ich prawie pięćdziesięciu. Przykuli się do latarni, kładąc łańcuchy na jezdni. Pilnowali ich gliniarze z PPP. Mieli hasła albo transparenty i krzyczeli coś do nas i podążających za nami ludzi, lecz wszystkie napisy i większość okrzyków była po rozumieniu, jako że ekstremiści używali teraz wyłącznie tego języka, nic więc nie rozumiałem. Gdy ich mijaliśmy, niemal wjeżdżając na chodnik, udało mi się obrzucić Margaret pytającym spojrzeniem.

– Twierdzą, że to strajk głodowy – przetłumaczyła. – Są bezrobotni i wolą umrzeć niż przyjąć „jałmużnę”, kiedy wyczerpią się pieniądze z funduszy ubezpieczeniowych. Niektórzy żądają, żeby znieść ubezpieczenia i pozwolić „nieprzystosowanym” umrzeć szybciej.

– Mówią poważnie?

Minęliśmy ostatnich demonstrantów i wróciliśmy na właściwy pas ruchu.

– Niektórzy z nich z pewnością tak – odparła z westchnieniem. – Inni nie, ale po takim publicznym wystąpieniu nie będą już mogli się wycofać.

– Ale jak mogą twierdzić, że są „nieprzystosowani”, jeśli byliby gotowi umrzeć za swoją wiarę?

Westchnęła, potrząsając głową.

– Mój kuzyn Calvin... daleki kuzyn, spotkałam go tylko kilka razy, a jego rodzice nie byli w dobrych stosunkach z moimi, stracił pracę przed dziesięcioma dniami i zastrzelił się z myśliwskiej strzelby. No wiesz, to nie jest grzech, jeśli ktoś zrozumie, że nie jest częścią bożego planu ewolucji wszechświata. Jeśli ktoś taki usunie się, nim zdoła rozszerzyć swe nieprzystosowanie, to jest to w pełni racjonalny uczynek.

Jestem pewna, że naciskając spust, Calvin był przekonany, iż otworzy oczy w niebie. Niektórzy z protestujących przed ambasadą już następnego dnia mieli jego ostatnie wu. Przyciskali je do szyb naszego torowca. Zapewne kazał je zrobić na dzień przed popełnieniem

samobójstwa.

– Ale jak mogą... to znaczy...

– Uważają, że to ich obowiązek, Giraut. To wszystko. Uczą nas, że obowiązek wobec Boga usprawiedliwia właściwie każdy uczynek.

Skinąłem głową. Ta idea była dla mnie równie obca jak *en-seingnamen* dla niej. Klóciliśmy się czasem o obie, a nie chciałem zepsuć dzisiejszego dnia.

– Przykro mi, że to zobaczyliśmy.

– A mnie nie – oznajmił Paul, który podszedł do nas. – Ten widok przypomina mi o marnotrawstwie ludzkiego życia, jakiego dopuszczaliśmy się w Kaledonii od wieków. Wiem, że często udaję apolitycznego biznesmena, ale rzeczywistość wygląda tak, że jak każdy, kto jest zainteresowany zaopatrywaniem ludzi w rzeczy, których chcą i potrzebują, siłą rzeczy angażuję się w politykę. Chcę, żeby ludzie mogli dostać to, czego pragną. Najlepiej by było, gdyby dostawali to ode mnie, przede wszystkim jednak zależy mi na tym, by mieli wolność, która pozwoli im pożądać różnych dóbr i otrzymywać oferty. Tym biednym, głupim fanatykom wmówiono, że chcą tylko gratulować sobie słusznego postępowania jak mali kołtuni. Wolą postępować słusznie niż być szczęśliwi. Co ważniejsze, wolą, żebym i ja postępował słusznie niż był szczęśliwy, i nie mają zamiaru pozwolić mi decydować za siebie. Jak dla mnie, mogą sobie umrzeć, i mam nadzieję, że ich śmierć będzie długa i bolesna.

Margaret napięła mięśnie. Wyczułem, że może wdać się z Paulem w kłótnię, której mnie udało się uniknąć. Musiałem też przyznać, że nie podzielam jego radykalnych przekonań w tej sprawie. Demonstranci wydali mi się głupi, ale nie sądziłem, by zasługiwali na wzgardę.

Margaret nie odzywała się i Paul wyczuł, że ją uraził. Chyba nie chciał jej denerwować, gdyż stał bez ruchu przez krępująco długą chwilę, po czym przeszedł na tył pojazdu, gdzie ktoś zaczął śpiewać utwór, który uważałem za starą okcytańską piosenkę turystyczną, chociaż od tego czasu słyszałem go w wielu innych miejscach. *Valde retz, Valde ratz* znaczy, że najprawdziwsze jest to, co najszczerzej wyobrażone, jeśli wyrazić to w bezbarwnym terstadzkiem tłumaczeniu. To jedno z pierwszych przysłów, jakich uczy się większość okcytańskich dzieci, uważałem więc za naturalne, że śpiewaliśmy te słowa, gdy wędrując wśród sięgających pasa karłowatych sosen, wyobrażaliśmy sobie wysokie, omszałe dęby, które miano zasadzić sto lat po naszej śmierci.

– Przepraszam. To skutki wychowania – odezwała się po długim milczeniu Margaret.

– Nikt z nas nie może przed nimi umknąć – odparłem. Zamiast czekać na to, co

ujrzymy w rozległej krainie leżącej między Niniwą a Górami Pesymalnymi, wyobrażałem już to sobie i układałem o tym pieśń.

Co może wydawać się dziwne, po dniu, który poświęciliśmy na pokonanie Niniwskiej Niecki, cztery następne były tak ubogie w wydarzenia, że nie stało się podczas nich zupełnie nic godnego zapamiętania. Wpadliśmy w rytm jazdy podczas Drugiej Jasności i badania okolicy na piechotę podczas Pierwszej. Najważniejszym z naszych odkryć był fakt, który można było zauważyć z orbity. Zapewne zresztą tak się stało, tyle że nikomu nie chciało się tego zarejestrować. Wielkie kury o odblaskowej pomarańczowej barwie mogły jeść porosty, wolały jednak ziarno, a pola na wschód od Niniwy porastała teraz zdziczała pszenica i kukurydza. Wszędzie widziało się ogromne stada kur i gdy spłoszyliśmy któreś z nich, ptaki przesłaniały niebo swymi skrzydłami.

Brzegi strumieni wydawały się idealnym miejscem dla grusz, które rodziły wielkie, soczyste i ziarniste owoce, najśłodsze, jakie jadłem w życiu. Być może wśród dzikich drzew dobór silnie faworyzował odporność na mróz. Po paru dniach wszyscy nabawiliśmy się biegunki, co zmuszało nas do urządzania postojów, gdy tylko dwie toalety któregoś z kotów nie wystarczały dla sześciu bądź ośmiu pasażerów. Jakoś to jednak przeżyliśmy, choć sądzę, że przynajmniej Paul, gdyby dano mu szansę wyboru podczas jednego z najgorszych ataków, wolałby umrzeć.

Dwaj reporterzy, którzy trzymali się od nas na dystans, radośnie rejestrowali wszystko, aczkolwiek Margaret udało się nie dopuścić, by sfilmowali rządę mężczyzn po jednej stronie kota i rządę kobiet po drugiej podczas jednego z gruszkowych kryzysów.

Potoki wyrzucały na brzeg tak wiele drewna, że wieczorami łatwo było urządzać ogniska, więc robiliśmy to z okazji każdego Mroku, dwa razy dziennie. Anna Terwilliger recytowała swe nowe poematy. Pisała je teraz po rozumnemu i reporterzy z jakiegoś dziwnego powodu zawsze fotografowali ją, gdy deklamowała przy ognisku albo stała pośród drzew bądź też spacerowała brzegiem strumienia.

Widziałem niektóre z robionych przez nich zdjęć i z reguły były one ładne, choć o samej Annie nie można było tego powiedzieć. Odnosiłem wrażenie, że jej wierszom wyraźnie pomógł fakt, iż pisała je w języku, którego nie rozumiałem zbyt dobrze; Margaret była jednak ich wielką entuzjastką, nie powiedziałem więc tego głośno.

Prosiłem ją, żeby mi wyjaśniła, na czym polega ich atrakcyjność, okazało się jednak, że chodzi o to, iż Anna używa rozumnego w niespotykany dotąd sposób, nie tylko więc nie doceniałem tej innowacji, ale nawet nie potrafiłem pojąć, co w niej jest nowego.

Z drugiej strony, doskonale rozumiałem, dlaczego chcieli, by Valerie grała i śpiewała na tym samym tle. Dowiedziałem się od Paula, że od początku wyprawy zarobiła tak dużo na sprzedaży nagrań, że już teraz jej się to opłacało. Zawsze odstępowała kilka minut Betsy, by mogła porozmawiać z reporterami o polityce. Rzadko jednak to nadawano.

Co do reszty, więcej spałem, włączyłem się trochę po okolicy i na każdym postoju urządzałem bardzo lekkie sparingi w *hara do* z paroma uczniami, którzy zaczęli wykazywać pewne zdolności w tym kierunku. Przy każdej też okazji kochałem się z Margaret, cicho, lecz namiętnie. W ogóle nie piłem, jadłem do syta, wysypiałem się najlepiej od czasów dzieciństwa i ogólnie czułem się tak dobrze, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, bym jeszcze kiedyś miał się czymś przejmować.

Thorwald i Aimeric jak dotąd nie mieli żadnych trudności z połączeniem się z nami, gdy tylko tego zechcieli. Zwolennicy Saltiniego organizowali coraz liczniejsze protesty przeciw Radzie Ludzkości i strajk głodowy przed ambasadą prowadziło już prawie sto osób. Niektórzy z naszych ludzi przestali jeździć na Bazar z gazetkami, nie mogąc patrzeć, jak jakiś przyjaciel albo krewny, wychudły z głodu, czeka na śmierć.

Jak dotąd zmarły cztery osoby, choć przyczyną ich zgonu było raczej zimno niż głód. Niemal się nie zdarzało, by podczas pogodnych, słonecznych godzin każdej utilitopijskiej Jasności, nie urządzano parad ludzi niosących na transparentach zdjęcia męczenników. Betsy dogryzła im celnie, wskazując, że ona nie wybrała śmierci. Jej słowa upubliczniono i kiedy następnego dnia odbierała e-mail, znalazła ponad tysiąc listów. Większość adresowano następująco: „Kurwa Betsy, Irracjonalna Wyprawa Turystyczna” albo coś w tym rodzaju. Valerie mówiła, że Betsy jest oczywiście wściekła, lecz również zachwyca się faktem, iż udało się jej sprowokować podobną reakcję.

– Nie jestem tego taki pewien – powiedziałem później Margaret na osobności, gdy opalaliśmy się na wyniosłym głazie. – Martwię się, co będzie, gdy Betsy znajdzie się w ciele dziecka i nie będzie miała szansy obrony. Była naprawdę bohaterską męczennicą. *Que enseingnamen!* Nie moglibyśmy prosić o kogoś lepszego. Nie chcę jednak, żeby coś takiego spotkało ją po raz drugi.

– Nie sądzisz chyba, że pipki...

– Nie tyle oni, co ludzie, którzy wysłali te listy. Idę o zakład, że Saltini poczuł niesmak, kiedy jego gliniarze dopuścili się morderstwa i gwałtu, ale jeśli ktoś ogłosi się wszystkowiedzącym dyktatorem, musi potem osłaniać własnych ludzi. Jednak ci, którzy nazywali ją w listach... no, wiemy, co pisali...

Margaret skinęła głową i przeciągnęła się. Jej małe, miękkie, zwiotczałe piersi

zakołysały się, przyciągając moją uwagę.

Mogły nie odpowiadać okcytańskim, a nawet kaledońskim standardom estetycznym – tak okropnie wstydziła się delikatnych włosków okalających jej sutki, że kochaliśmy się ze sobą kilka razy, nim je zobaczyłem – bardzo jednak je polubiłem.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Czy będziemy dalej prowadzić przygnębiające rozmowy o polityce, czy też przestaniesz się na mnie gapić i zabierzesz wreszcie do rzeczy?

Odrzucenie uprzejmego zaproszenia jakiegokolwiek rodzaju zawsze świadczy o pewnym braku *merce*, a często bywa wręcz *ne gens*. Bez względu na to, jak wiele innych okcy-tańskich zwyczajów mogłem pogwałcić, nigdy nie byłbym w stanie znieść myśli, że mógłbym się zachować nieuprzejmie. Kiedy skończyliśmy i poświęciłem wymagany czas na szepty oraz przytulanie, ubraliśmy się i zsunęliśmy na dół, żeby przygotować ognisko przed nadciągającym Mrokiem.

Z każdym zmierzchem wyniosłe, ostre szczyty Gór Pesy-malnych były coraz bliżej. Piętrzyły się wysoko – Nansen dopiero niedawno (według kryteriów geologii) uformował się ze stałego jądra gazowego olbrzyma i jego tektoniczne płyty były jeszcze nowe. Kolizja – właściwie całkowite zmiżdżenie małej płyty – która dała początek tym górcom, była niesłychanie gwałtowna w porównaniu z rykoszetowym uderzeniem, które stworzyło wznoszące się po drugiej stronie Góry Optymalne. Niektóre z najwyższych szczytów sięgały praktycznie w kosmos, a na czas planowanych przez Paula wypraw przez kilka położonych szczególnie wysoko przełęczy koty trzeba będzie wyposażyć w zapas powietrza zamiast polegać na sprężarkach. Ponadto chmury napływające od wilgotnej strony Gór Optymalnych, woda parująca ze śródlądowych mórz oraz sztormy szalejące nad oceanem po drugiej stronie gór sprawiały, że opady były tam wyjątkowo obfite, co w połączeniu z lodowcami przyczyniło się do powstania głębokich żlebów i wąwozów, wskutek czego teren był z pewnością bardziej zdradliwy niż wszystko, z czym dotąd spotkali się ludzie.

Podczas następnej Jasności mieliśmy opuścić ciepłe wnętrza kontynentu, co na jakiś czas położy kres opalaniu się i uprawianiu miłości pod gołym niebem. Cieszyłem się, że dobrze wykorzystaliśmy czas.

Zbieranie drewna na opał polegało raczej na piłowaniu, gdyż w pobliżu obozu znajdował się szeroki zakręt rzeki i na brzegu zebrało się mnóstwo fragmentów porastających górskie wąwozy pnączy. Nacięliśmy pod dostatkiem niedużych kawałków monomolekularną piłą wibracyjną, po czym kazaliśmy oczekującym robotom zabrać to wszystko do obozu. Jedyna moda, której za nic w świecie nie chciałbym tu wprowadzić, to prymitywne

obozowanie. Sam używałem kilkakrotnie prawdziwej siekiery i myśl o tym, żeby poświęcić całe godziny i wytoczyć z siebie galony potu, by zrobić coś, z czym można się było załatwić w dwie minuty, była absurdalna.

Tego Mroku, tuż po kolacji, gdy rozpaliliśmy już z Margaret ognisko, ale ludzie jeszcze się nie zebrali, a nad błękitnymi szczytami Gór Pesymalnych wciąż unosiła się słaba, czerwona poświata, otrzymaliśmy wiadomość, że Saltini obwieścił, iż brak zatrudnienia jest dowodem nieprzystosowania i w związku z tym każdy, kto nie znajdzie pracy, pójdzie do więzienia.

– Sprytne – zauważyła Margaret. – W ten sposób głodujący będą mogli jeść, gdyż więźniowie zawsze otrzymują posiłki. A jednocześnie Saltini wymusi przestrzeganie zasad racjonalnego chrześcijaństwa, zamykając wszystkich, którzy je łamią.

– W ośrodku jest dwoje albo troje ludzi, których czeka więzienie – zauważyłem, gdy usiedliśmy, by obserwować rozpalające się ognisko. – Chociaż chyba żadne z nich nie ma kluczowego znaczenia dla naszej działalności.

– Ciekawe, co zrobią z Valerie? – powiedziała Margaret.

– Nie wiedziałem, że jest bezrobotna. Czy...

– Dzwonili już do mnie – oznajmiła Valerie, siadając na kłodzie obok nas. – Natychmiast po naszym powrocie umieszczą mnie w areszcie domowym. Po jakichś czterech miesiącach przetransferują Betsy do nowego ciała i będą mogli mnie zamknąć. – Jej twarz znieruchomiała na chwilę. – Przeniosą mnie do nowego ciała w fizycznym wieku dwóch zamiast sześciu lat, żeby zaoszczędzić sześć miesięcy i wcześniej wsadzić Valerie – oznajmiła z niesmakiem Betsy. – Przez lata będę musiała żyć z parszywą koordynacją ruchów. Nie potrafię uwierzyć, ile czasu minie, nim będę mogła znowu uprawiać seks... Mogłabym chyba spróbować poszukać zбочeńców... – Jej twarz znowu oklapła na mgnienie oka. – Podobno przed wiekiem dojrzewania nie powinno się czuć popędu. – I znowu. – Czy wspominałam, że wiek dojrzewania też każą mi przeżyć po raz drugi?

Oboje roześmialiśmy się na te słowa. Trudno było określić, czy uśmiecha się do nas Valerie, czy też Betsy.

– Będzie wam siebie brak – stwierdziła Margaret.

– To prawda – odpowiedziała któraś z nich, nie jestem pewien która.

Przez przełęcz nie prowadziła żadna droga, a ze zdjęć satelitarnych dowiedzieliśmy się tylko tyle, że teren jest płaski i nie porastają go pnącza. Nie było dotąd powodu przeprowadzać teledetekcji, która pozwoliłaby określić rodzaj powierzchni. Parę stuleci działania pnączy – niektóre z nich były grubsze niż mężczyzna w pasie i splatały się w zdumiewające węzły, dwukrotnie wyższe od kotów – spowodowało, że na mniej stromych zboczach nagromadziło się mnóstwo żwiru i luźnych kamieni, które tryskały spod gaśienic, osypywały się, ślizgały i ogólnie rzecz biorąc utrudniały jazdę. Często zmienialiśmy jadący na przód kolumny wehikuł, zatrzymując się w każdym wystarczająco szerokim, stabilnym miejscu. Wyprawa nie przypominała już wypoczynkowej wycieczki, lecz raczej prawdziwą ekspedycję. Przez dwa dni pokonaliśmy tylko połowę dystansu, który zamierzaliśmy przebyć w ciągu pierwszego. Postanowiliśmy, że w drodze powrotnej okrążymy kontynent od południa, posuwając się wzdłuż brzegu, aż dotrzemy do płytkiej, łatwej do przebycia doliny rzeki, która zaprowadzi nas z powrotem w głąb lądu.

Ta Jasność zaczęła się tak samo jak wszystkie przed nią. Otaczające nas szczyty rozbłysły nagle w blasku słońca, lodowce spłynęły złocistym ogniem, a bryły lodu i spływające z gór potoki zalśniły promiennie. W kocie trochę zbyt mocno pachniało gotowaniem i ludzkimi ciałami, gdyż w skrytych w cieniu dolinach panował przenikliwy ziąb i nikt nie chciał wychodzić na zewnątrz, nie wspominając już o otwieraniu drzwi, żeby przewietrzyć pojazd. Zjedliśmy szybko śniadanie złożone z owsianki i jaj – miejscowy kleik wciąż wydawał mi się lekko odrażający, głód jednak faktycznie był najlepszą przyprawą – po czym ruszyliśmy w drogę. Na przód jechał kot Anny.

Próbowaliśmy zakomować do ośrodka, lecz nie mogliśmy połączyć się z Utilitopią. Informowano nas, że kanał jest niedostępny, co mogło oznaczać wszystko: od zamknięcia całego ośrodka przez pipków aż po znacznie bardziej prawdopodobny problem, polegający na tym, że znajdowaliśmy się w punkcie, w którym satelita stacjonarny nie mógł skierować na nas dodatkowej anteny, a ponieważ przekazów od nas nie uważano za pilne, kompania komowa nie zamierzała zmieniać ustawienia anteny i dlatego na wszelkie hałasy dobiegające z części świata, w której się znajdowaliśmy, na zwykle przez nas używanej częstotliwości odpowiadała szerokozakresowa wiązka, niosąca oświadczenie, że nie będą z nami rozmawiać.

Wąwóz zrobił się tak wąski, że choć niektóre ze szczytów przed nami nadal lśniły

w słońcu, to spojrzawszy pionowo w górę, można było dostrzec trochę najjaśniejszych gwiazd, w tym również potężne, gorejące oko Arktura, odległego zaledwie o sześć i pół roku świetlnego – mgnienie oka dla skoczka, lecz wielka dal na drodze życia. Miałem w głowie parę rymów oraz obraz i potrzebowałem tylko motywu, który by do niego pasował, żeby zabrać się do układania piosenki o ujrzeniu Arktura ze stoków Gór Pesymalnych. Po raz pierwszy mieliśmy przed sobą drogę, która nie była usiana żwirem i luźnymi kamieniami, gdyż półka skalna, po której jechaliśmy, była osłonięta przed spadającymi z góry luźnymi okruchami skalnymi. Dlatego musieliśmy uważać tylko na lód i śnieg.

Mój kot zajął właśnie drugie miejsce w kolumnie. Jechaliśmy nie szybciej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę, odkąd jednak zostawiliśmy za sobą płaski teren, praktycznie nigdy nie przekraczaliśmy tej prędkości. Jazda była łatwa. Zauważyłem, że Anna zwolniła, by się upewnić, czy gąsienice zachowują przyczepność na śniegu.

Wtem jej kot zniknął. Na jego miejscu pojawiła się wielka, ziejąca dziura, wyrwa w półce, której nie osłaniała już cienka warstewka lodu i śniegu.

Musiałem wrzasnąć do mikrofonu, nim się rozbili. Mikrofon Anny był włączony, wszyscy więc słyszeli krzyki, przyprawiającą o mdłości serię trzasków i łoskotów, długi zgrzyt, z którym kot zsuwał się na dachu po ścianie rozpadliny, wrzaski wszystkich pasażerów, a na koniec histeryczne łkanie. Ustawiłem gąsienice w pług i zatrzymałem gwałtownie kota pięćdziesiąt metrów przed przepaścią, chwyciłem ręczny kom z tablicy rozdzielczej i wypadłem przez służbę ciepłą, w pośpiechu zostawiając oboje drzwi otwartych.

Jadący dotąd na czele kolumny pojazd zaczął odbijać się od skalnej ściany niecałe dziesięć metrów poniżej półki i zatrzymał się na dachu jakieś sześćdziesiąt metrów w dole. Jedna z gąsienic urwała się i leżała na skale, druga obracała się jeszcze leniwie, unosząc się nad magnetycznymi podnośnikami, co wskazywało, że przynajmniej główny system zasilający jest nietknięty, a lampy Seneschala nadal produkują anty-protony, dostarczające energii prądnicy.

– Czy ktoś może mi odpowiedzieć? Pierwszy kot. Kurwa, niech ktoś weźmie kom! Słyszę niektórych z was...

Odpowiedziała mi Valerie. Przypomniałem sobie, że oboje z Paulem jechali pierwszym kotem, razem z reporterami.

– Boję się.

– To zrozumiałe – odparłem tonem, którego nauczyłem się wieki temu w Klubie

Ratownictwa Turystycznego na Wilsonie, jeszcze przed nastaniem skoczków. – Co tam się dzieje? Pomożemy wam tak szybko, jak tylko się da.

Rozpląkała się. Gdy tylko spróbowała coś powiedzieć, uniemożliwiało jej to długie, przenikliwe łkanie. Dopiero wówczas zacząłem się naprawdę bać, być może dlatego, że dopóki mi nie opisze sytuacji, nic właściwie nie mogłem przedsięwziąć.

– Valerie? – mówiłem, zachowując spokój; *deu sait*, jakim cudem? – Valerie, powiedz coś. No jazda, Valerie, musimy się dowiedzieć, co się u was dzieje.

Margaret stała już obok mnie. Z przerażenia szeroko rozdziawiła usta, wbijając wzrok w leżący poniżej rozbity wehikuł.

– Nie puszczaj tu pozostałych – poleciłem. – Nie chcę, żeby ktoś wpadł w panikę albo zrobił bez zastanowienia coś głupiego.

Jeśli tylko dało się Margaret jakieś zajęcie, natychmiast odzyskiwała zdolność funkcjonowania. Odwróciła się i poszła zrobić to, o co prosiłem.

– No, Valerie. Odpowiedz mi, proszę.

Słyszałem również inne, łkające i jęczące głosy. Dlaczego nie włączył się transponder... gdzie są latający ratownicy i dlaczego jeszcze nie przybyli...?

Dlatego że byliśmy na Nansenie, gdzie nie mieli służb ratowniczych ani skoczkowych karetek, i nie tylko byliśmy zdani na własne siły, lecz również rano nie można było znaleźć kanału, a sprzęt potrzebny do skorzystania z naszych dwóch tajnych kanałów był na dole, w tym rozbitym kocie.

Świadomość tego faktu wstrząsnęła mną jak kopniak w nie osłonięty brzuch. Zaczerpnąłem głęboko tchu. Sytuacja była naprawdę poważna. „Spokojny głos, nie przestawaj mówić, nawiąż z kimś kontakt” – tak mnie uczyli w Klubie Ratownictwa Turystycznego milion lat temu.

– Valerie... Ktokolwiek? – powtarzałem w kółko.

– Giraut, to B... Betsy. P... przepraszam, ale n... nie mogę mówić z... za dobrze, k... kiedy walczę z Valerie o panowanie nad jej głosem. – Ostatnie słowa wypowiedziała jednym tchem. – Spróbuję ją uspokoić. Hmm, Anna chyba nie żyje. W... wygląda n... na złamany kark. Nie zapięła pasów i rz... rzuciło ją o dach. Tylko mnie... nam nie stało się nic p... poważnego r... reporterzy byli w t... tylnym przedziale słyszałam jak coś się tam przesunęło nie mogę otworzyć drzwi bo opiera się o nie za duży ciężar drugi głos który słyszysz należy do P... Paula wydaje mi się, że ma z... z... z... z... – Rozległ się długi, chrapliwy oddech, jakby nagle dopadł ją atak astmy. Gdy Betsy odezwała się znowu, panowała już w pełni nad głosem Valerie. – Giraut, Paul ma złamany kręgosłup, może też pękniętą nerkę. Na pewno odniósł

jakieś obrażenia wewnętrzne. Cierpi straszliwy ból. Valerie chyba zemdląca. Wygląda na to, że zostałam w ciele sama. Znalazłam apteczkę i założyłam Paulowi neurostat. Właśnie tworzy się wokół niego pianka, która go unieruchomi. Mamy moc i w kabinie jest ciepło.

– Nie przestawaj mówić, Betsy – poprosiłem. – Nie oddaj też Valerie kontroli nad ciałem. Będzie mi potrzebna twoja pomoc.

Margaret wróciła i słuchała, co mówię.

– Przynies z ostatniego kota sprzęt alpinistyczny – poleciłem. – Będę musiał zejść na dół. Przeprowadź maszynę gdzieś do tego miejsca. Wygląda na to, że grunt prawie do samej krawędzi jest pewny. Muszę mieć do czego przywiązać linę asekuracyjną.

Ponownie zabrzmiał głos Betsy.

– Giraut, przykro mi. Sprawdziłam neuroczytnik i Anna rzeczywiście nie żyje. Chyba uderzenie nie tylko skręciło jej kark, lecz również rozwalilo czaszkę. A w tylnym przedziale nadal nie słycać żadnych ruchów.

– Co z Paulem? – zapytałem. *Deu, deu*, wystarczyłoby, żebyśmy przetransportowali go do nowoczesnego szpitala, a za tydzień postawiliby go na nogi. Jeśli jednak zostawimy go w tych warunkach, równie dobrze może umrzeć...

– Ciśnienie się ustaliło, ale jest niskie. Może to tylko wstrząs. Instrumenty nie wykazują krwotoku. Cz... czuję, że Valerie się budzi. S... spróbuję ją uspokoić. P... przykro mi, ale gdybym teraz użyła neurouspokajaczy, mogłabym...

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegłem ją. – Mogłabyś przypadkowo wymazać swój psypyks. Jesteś tak samo ważna jak każdy inny, Betsy. Valerie będzie musiała jakoś sobie poradzić z tą sytuacją.

W domu nie zawracałbym sobie głowy zjazdem po linie. Równie dobrze mógłbym zejść na dół, pomagając sobie czekaniem. Tak właśnie pokonałem większość drogi, lecz jako jedyny doświadczony alpinista w grupie nie zamierzałem podejmować żadnego ryzyka, nim więc dotarłem do kota, minęło dobre dziesięć minut i Valerie zdążyła już odzyskać panowanie nad ciałem. Łkając, siedziała na suficie leżącego na dachu kota i nie było z niej żadnego pożytku. Widziałem ją z zewnątrz, ale nawet się nie poruszyła, by mi pomóc, gdy spróbowałem otworzyć zewnętrzne drzwi śluzy ciepłej i okazało się, że nie mogę tego zrobić.

Słońce zapewne nigdy tu nie docierało i teraz, gdy nie wykonywałem już ciężkiej pracy fizycznej, było mi niewiarygodnie zimno. Obiecałem sobie, że po powrocie do domu przez pierwszy tydzień za dnia będę spał na piasku na plaży, potem brał najgorętszy prysznic, jaki tylko wytrzymam, i zasypiał pod puchową kołdrą...

Nim wreszcie opuścili linę w miejsce, w którym mogłem ją złapać, zdążyłem już sobie wyobrazić kolację, jaką zamówimy z Margaret u Pertza, oraz kilka szczegółów masażu pleców, jaki sobie zrobimy przed kominkiem w gościnnym domu moich rodziców. Żałowałem, że nie ma ze mną Johana, Rufeu i tuzina innych chłopaków ze starego klubu.

Gdy już miałem linę, zadanie okazało się proste. Podali mi na dół sprzęt wiertniczy i wkrótce już łączyła nas mocna, bezpieczna lina wyciągowa. Margaret zeszła na dół z dwojgiem innych ludzi. Mieli narzędzia z napędem elektrycznym. Po chwili wydobyliśmy Valerie z pojazdu i przewieźliśmy ją na górę. Sądząc z tego, jak zaciskała powieki i wbijała się w prowizoryczne krzeselko, zaraz miał ją dopaść kapitalny atak lęku wysokości, myślałem jednak, że miała do tego prawo.

Wyglądało na to, że stan Paula się ustabilizował, i przypuszczam, że w naprawę krytycznej sytuacji moglibyśmy go przetransportować na górę. Pianka stwardniała i potrzeba by teraz piły maszynowej, żeby choć o milimetr przesunąć jego złamany kręgosłup. Dopóki jednak sytuacja na górze nie była lepsza niż na dole, nie było sensu ryzykować, gdyż niewykluczone, że z uwagi na braki w wyposażeniu przegapiliśmy jakieś obrażenia.

Zdecydowanie najgorszym koszmarem byli dwaj reporterzy.

Gdy wreszcie do nich dotarliśmy, okazało się, że nie żyją. Wszyscy ostatnio lekceważyliśmy konieczność zabezpieczania sprzętu i parę ton ich własnej maszynerii spadło na nich, straszliwie miażdżąc im ciała.

Z nadejściem Mroku zostawiliśmy przy Paulu paru ludzi, na wypadek gdyby się ocknął, Valerie-Betsy dostała chemiczny środek uspokajający, a Anna i reporterzy leżeli na zewnątrz, by zimno zachowało ich ciała. Nadal nie mieliśmy żadnej odpowiedzi z Utilitopii, nawet typu „kanał niedostępny”. Sprzęt niezbędny do nawiązania łączności z naszymi tajnymi stacjami odbiorczymi roztrzaskał się w drobny mak. Prescott Diligence, w towarzystwie jednej czy dwóch osób, przerzucał powoli szczątki, by się przekonać, czy uda się zmontować jakiś nadajnik.

– Mamy mnóstwo mocy – powiedziałem mu, gdy skuliliśmy się na noc we trójkę, razem z Margaret, w tyle naszego kota. – A w Utilitopii masa kanałów akustycznych nadal wykorzystuje częstotliwości telefoniczne. Dlaczego nie możemy po prostu zmontować nadajnika i zacząć wzywać pomocy na częstotliwości zbliżonej do używanej przez jakąś komercyjną stację? Dzięki temu ludzie przeszukujący ten zakres z łatwością odbiorą nasz sygnał.

– Dlatego że Nansen praktycznie nie ma warstwy Heaviside’a – wyjaśnił Prescott. – I sygnały radiowe nie sięgają poza horyzont.

Minęła długa chwila, nim dotarł do mnie sens jego słów.

– Chcesz powiedzieć... że w ogóle nie możemy się z nimi skontaktować?

– Wygląda na to, że znajdujemy się w przestrzeni między miejscami, z których moglibyśmy nawiązać łączność z satelitami stacjonarnymi – odpowiedział zimnym tonem, którego powodów przez chwilę nie pojmowałem. Gryzł się tym już od wielu godzin i wolałby mówić o czymś innym. – Z wielu stron dostęp blokują góry, a cała planeta ma właściwie tylko dwie grupy satelitów. Obie krążą po drugiej stronie, jedna nad Utilitopią, a druga nad Nowym Archangielskim. Jeśli cofniemy się którymś z kotów o mniej więcej jedną Jasność drogi, może uda się nam połączyć z jakimś satelitą, ale żeby mieć pewność, należałoby dotrzeć jeszcze dalej.

Wątpię, czy ktoś tej nocy zasnął, wszyscy jednak udawaliśmy, że śpimy, z uwagi na towarzyszy. Całą noc słyszałem, jak Prescott gmera w radiowych częściach. Podejrzywałem, że przeszkadza to ludziom w ciasnym kocie, nie miałem jednak serca kazać mu przestać.

Rankiem byłem z tego zadowolony. Wymyślił coś prostego, co przynajmniej dawało odrobinę nadziei. Miejscowy księżyc miał wielkie rozmiary i dobrze odbijał fale radiowe. Zналиśmy naszą pozycję i położenie Utilitopii, mieliśmy też parę anten miskowych. Za pomocą serii wzmacniaczy można było uzyskać w miarę silny sygnał, który odbiłby się od księżyca, gdy ten znajdzie się w odpowiedniej części nieba, co zdarzało się mniej więcej co dziesięć godzin. Użylibyśmy częstotliwości, na którą musiałby się natknąć każdy, kto przerzucał się z kanału na kanał, chcąc wysłuchać prognozy pogody albo wiadomości. Okna, podczas których ta metoda mogła się okazać skuteczna, trwały około dwudziestu minut. Wkrótce przygotowaliśmy pięciominutowe nagranie, zawierające wszystkie potrzebne informacje, i wyznaczaliśmy robota, któremu zlecimy transmisję. Biorąc poprawkę na biurokratyczny bezwład, po kilku godzinach od chwili otrzymania pierwszej wiadomości powinni nakierować na nas jakąś antenę albo wystrzelić tymczasowego satelitę, a to pozwoli nam ustalić, co mamy robić dalej.

Podczas wszystkich tych wydarzeń miałem aż za dużo czasu na myślenie. Bez względu na to, co sądziłem o jej utworach, Anna Terwilliger była poetką tych ludzi, a teraz leżała przykryta brezentem obok rozbitego kota, sztywna i zamarznięta. A była popularna i do tego stała po właściwej stronie.

Tradycyjna kultura okcytańska marnotrawiła ludzkie życie nie tylko w pojedynkach. Jeśli się nad tym zastanowić, do czasu wynalezienia skoczków i utworzenia Centralnej Służby Ratowniczej turyści i alpiniści, piloci śmigaczy i żaglólotnia-rze ginęli zdumiewająco często. Na Serra Valor było bardzo tłoczno jak na kulturę, która celowo utrzymywała

niewielką liczbę ludności i istniała zaledwie od kilku stuleci. Byliśmy kulturą, która stworzyła *Canso de Fis de Jovent*, ponieważ mordowaliśmy własną młodzież, nie tylko narażając ją na straszliwe niebezpieczeństwa, lecz również ucząc ją je kochać, poszukiwać ich, nie cenić własnego życia.

Czy sprowadziłem tu te idee jak wirusa?

Wiedziałem, że gdybym podzielił się tą myślą z kaledońskimi przyjaciółmi, powiedzieliby mi, że nieprawda, nie, nic z tych rzeczy... a ja nie przestałbym się gryźć tą kwestią. Rozpaczliwie pragnąłem porozmawiać o tym z jakimś pozaświatowcem, Aimerikiem albo Bieris, czy nawet Garsendą bądź ambasadorem Shanem.

Wreszcie nadszedł czas, by nadać sygnał. Nie wtrącałem się do tego. Prescott odtworzył nagraną wiadomość sześć razy, zaczynając trochę za wcześnie i kończąc nieco zbyt późno, na wypadek błędu w obliczeniach lub wykonaniu. Lśniący białym blaskiem księżyc wisiał na wschodnim niebie, tak jak zawsze, a śnieg i lód błyszczały w jego świetle, przeobrażając załomy i szczeliny surowych gór w bezdenne, czarne kałuże.

Zająłem się przenoszeniem skrzynek, starając się nie myśleć o tym zbyt wiele. Na wypadek, gdyby próba odbicia sygnału od księżyca nie przyniosła powodzenia, rozpocząłem proces opróżniania jednego z trzech pozostałych kotów, by wehikuł mógł pomknąć – no, powiedzmy pośpieszyć – na równinę, z której można będzie zakomować do Utilitopii. Wiedzieliśmy już, że podróż bez rezerwowego pojazdu w tej okolicy wiąże się ze znacznym ryzykiem.

Zgłosiłem się na ochotnika jako kierowca, tak samo odruchowo, jak oddychałem albo chodziłem. Przez głowę przemknęła mi myśl, że okcytańska tradycja ma też swoje zalety. Nie pozwalaliśmy, by przyjaciele narażali się za nas, a choć *enseingnamen* mogła nas skłaniać do głupich przedsięwzięć, to gdy już się ich podjęliśmy, nie pozwalała, byśmy się zachowywali jak głupcy.

Godziny mijały powoli. Wszedł Mufrid w swej żółtej, gorejącej chwale, a potem niosąca deszcz ze śniegiem nawałnica potrząsnęła skupionymi ciasno kotami, zmuszając wszystkich do ukrycia się w środku. Wreszcie nadeszła pora kolejnej transmisji. Nie usłyszeliśmy odpowiedzi z Utilitopii.

– Możliwe, że radio nie działa tak, jak mi się zdawało – odezwał się Prescott, który skulił się obok mnie i Margaret. Jego blada skóra wydawała się półprzezroczysta na tle ognistych rudych włosów, a pod oczami miał ciemne kręgi. – Czujniki stwierdziły odpowiednią moc sygnału w odległości dwustu metrów, ale to znaczyło tylko tyle, że mamy sprawne listki boczne, a niekoniecznie, że główny sygnał zachowuje się tak, jak tego

oczekiwaliśmy – dodał, przełknąwszy łyk kawy. – Tym razem spróbujemy wsunąć czujnik na wysięgniku w główną ścieżkę sygnału. Ale w Utilitopii minęła już połowa Drugiej Jasności i niewielu ludzi będzie słuchać radia. Poprzednim razem szansę, że ktoś nas odbierze, były znacznie większe.

– Świetnie sobie radzisz – pochwaliła go Margaret. – Kiedy już się upewnisz, że główny sygnał jest taki, jaki powinien być, musisz trochę wypocząć. I, nie, nie pojedziesz z Girautem, i ja też nie, chociaż oboje mielibyśmy na to ochotę. Musisz zająć się radiem. Trzeba też, żeby ktoś tym wszystkim kierował.

Prescott z ponurą miną skinął głową.

– Boję się tego, że nasz sygnał jest głośny i wyraźny, ale w Utilitopii doszło do poważnych zmian. Że zostawia nas tutaj, ponieważ nie jesteśmy już ważni. Gdybyśmy jeszcze mieli tajną linię i spróbowali się połączyć z ośrodkiem, ciekawe, kto by odpowiedział?

– Thorwald – zapewniłem go stanowczo, ponieważ Prescott dał wyraz również moim obawom.

Gdy rozpoczął transmisję, tym razem w pełnym świetle dnia, słońce i księżyc załśniły jednocześnie na niebie i nad kanionem leżącym na zachodzie utworzyły się dwie pokrywające się częściowo tęcze: gwałtownie jaskrawa, pochodząca od słońca, oraz upiornie blada, której źródłem był lśniący skrawek księżyca. Stałem na skalnej półce, trzymając z wysiłkiem w ramionach kolejną skrzynkę zapasów, i spoglądałem na ogromne, skute lodem skalne ściany, roztrzaskanego, zniszczonego kota w dole oraz na naszą grupkę. Wszyscy wyszli na zewnątrz, by wytrześć posłania i wpuścić do pozostałych dwóch pojazdów trochę świeżego powietrza, co poprawiłoby choć odrobinę zapach panujący w ich wnętrzu. Po raz pierwszy, odkąd skończyłem szesnaście stanlat, podobna scena nie rozbudziła w mym umyśle żadnego pomysłu na stworzenie wiersza czy frazy muzycznej.

I znowu przez kilka godzin po transmisji nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, chociaż Prescott twierdził, że główny sygnał okazał się nawet silniejszy, niż planował. Kot, który miał pojechać po pomoc, był już prawie gotowy, chciało mi się jednak spać tak bardzo, że nie byłem w stanie prowadzić. Zresztą więcej sensu miało wyruszenie z początkiem następnej Jasności, zwłaszcza że na początku Mroku, który nastąpi po niej, księżycyca będzie przybywało, co przedłuży jasny okres o mniej więcej dwie godziny, nim satelita Nansena zniknie za horyzontem na wschodzie. Dlatego położyłem się, licząc na dziesięć godzin bardzo mi potrzebnego snu. Susan i Robert, dwoje naszych ocalałych rezerwowych kierowców, postąpili tak samo, choć jeśli będzie mi sprzyjało szczęście, powinienem wyjechać z gór, nim któreś z nich będzie musiało przejąć prowadzenie.

W rzeczywistości przespałem tylko siedem godzin, po czym obudziłem się, nie mogąc już zasnąć. Margaret leżała obok, pogrążona w głębokim śnie. Musiała wśliznąć się do naszego łóżka stosunkowo niedawno, więc jej nie przeszkadzałem. Wstałem, ubrałem się i wyszedłem na zewnątrz, by odetchnąć świeżym powietrzem i trochę pomyśleć.

W rozbitym kocie paliły się światła, zsunąłem się więc na dół po linie wyciągowej i zmieniłem Petrę, która czuwała przy Paulu. Wyglądała na wdzięczną, czemu nie należało się dziwić, jako że tych dwoje nigdy się nie lubiło, a na dodatek teraz Paul po odzyskaniu świadomości budził się o dziwnych godzinach, na zmianę agresywny i żałośnie bezradny. Część problemu leżała w tym, że ból przebijał się przez neurostat w nieprzewidywalny sposób, często wywołując gwałtowne swędzenie w unieruchomionych częściach ciała.

Kiedy tam dotarłem, spał, ale wkrótce się ocknął. Od chwili wypadku nie widziałem go w tak dobrym nastroju. Przez jakiś czas rozmawialiśmy tylko o Utilitopii i o tym, jakie posiłki zamówi, kiedy przewiozą go do szpitala, a jakie będziemy musieli mu tam przemycać. Bardzo często żartował ze szkód, jakie katastrofa wyrządzi wizerunkowi jego firmy.

– Może powinienem pozwolić, żeby ktoś inny zajął się wyposażaniem i organizacją wycieczek, a sam założyć Pogotowie Ratowniczych Karet Skoczkowych Paula Partona.

– To niegłupi pomysł – przyznałem. – Ale Kaledończycy nie są szczególnie przesądni i większość nie zrezygnuje z tego rodzaju wypraw z powodu jednego nieszczęśliwego wypadku, bez względu na to, jaki by był paskudny. Nie sędzę, by myśl o urządzaniu podobnych eskapad zginęła na zawsze. Gdy tylko założysz to pogotowie i uruchomisz niezawodne łącze komowe, będziesz mógł organizować regularne wycieczki. Bardzo się

cieszę, że przed wyjazdem wszyscy zrobiliście sobie nagrania psypyksowe. Przy odrobinie szczęścia Anna będzie się czuła tak, jakby miała tylko lekką amnezję. Do tego będzie mogła zobaczyć mnóstwo filmów nakręconych w ostatnich kilku dniach, więc straty będą minimalne.

Paul chrząknął. Był przyzwyczajony podkreślać swe słowa emfatycznymi ruchami głowy i gdy tylko spróbował teraz to zrobić, przypomniał sobie, że jest zamknięty w twardej skorupie pianki podtrzymującej.

– Jeśli jej psypyks się przyjmie. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego jak Valerie i Betsy.

Ustawiliśmy go powoli i ostrożnie w pozycji półleżącej, zostawiając trochę wolnego miejsca potrzebnego dla czynności fizjologicznych, nie miał jednak luzu niezbędnego, by poruszać głową, przez co czuł się równie poirytowany jak Okcy-tańczyk, któremu kazano by mówić ze związanymi rękami.

– Hmm... Giraut.

– Jestem tutaj.

– Przepraszam, że robię to akurat pod twoją obecność, ale naprawdę muszę się, no, wypróżnić. A przynajmniej to zwykle sygnalizuje mi świerzbienie łydek, jakby dopadł ich paskudny przypadek grzybicy.

– Nie ma sprawy. Chwileczkę... – Podstawiłem wiadro pod dziurę w jego fotelu. – Zaczynamy.

Było to upokarzające dla Paula, gdyż neurostat pozwalał na ograniczone sterowanie ręczne, co umożliwiało nam kontrolę nad funkcjami fizjologicznymi. Ograniczało to liczbę miejsc, przez które mógł się przedostawać ból, lecz zarazem Paul znalazł się w dziwnej sytuacji. Nie mógł się załatwić, jeśli ktoś nie nacisnął przełącznika. Na ogół robiliśmy to kilka razy dziennie, bez względu na to, czy czuł taką potrzebę, czy nie. Fakt, że odczuwał ją pod jakąkolwiek postacią, zapewne stanowił dobry znak.

Proces nie był bynajmniej ściśle kontrolowany. Gdy nacisnąłem przełącznik, Paul wypróżnił się całkowicie i gwałtownie. Cieszyłem się, że to doświadczenie było dla niego tylko bladym cieniem prawdziwego przeżycia. Smród był okropny. Zapewne daliśmy mu za mało perystaltyki. Zapamiętałem to sobie i podkreśliłem urządzenie o stopień albo dwa.

– Opróżnię ci też pęcherz, jeśli od tego poczujesz się lepiej – zaproponowałem.

– Dobra.

Założyłem mu przewód na członka i włączyłem lekkie ssanie, po czym ponownie zwróciłem się ku tablicy rozdzielczej neurostatu.

– Myślisz, że ta maszyna mogłaby udzielić Val lekcji? – zapytał.

Było to tak niespodziewane, że omal nie padłem ze śmiechu.

– Może łatwiej byłoby nauczyć Betsy i pozwolić, żeby Valerie skorzystała z jej doświadczenia – stwierdziłem po chwili.

Parsknął śmiechem na znak zgody.

– Niestety, zawarły umowę. Valerie kontroluje ciało, gdy jest ze mną, a Betsy ze wszystkimi innymi. – Plotki głosiły, że to drugie nie jest bynajmniej prawdą, nie widziałem jednak powodu, by wspominać o tym Paulowi. – I obie twierdzą, że nigdy nie podglądają. No dobra, Giraut, niech ciągnie.

Nacisnąłem przełącznik i przewodem pociekła zdumiewająca ilość moczu. Paul musiał ssać mnóstwo płynu z rurki. Kiedy skończył, uzupełniłem jego zapas, a potem zabrałem się do sprzątnięcia.

– Wygląda na to, że w tej chwili jestem tylko urządzeniem do zanieczyszczania wody – zauważył.

Część zawartości wiadra poszła do analizatora stolca zainstalowanego w automedzie, resztę zaś wylałem do toalety, którą wymontowaliśmy z przewróconego do góry nogami klozetu i uruchomiliśmy ponownie. Rozległ się delikatny plusk poddawanej oczyszczaniu wody oraz cichy łoskot odkazonej bryły, która wpadła do zasobnika.

Oczywiście, najbardziej – może oprócz faktu, że musiałem dotykać jego członka – Paul wstydził się tego, że miałem teraz wypłukać mu odbytnicę i umyć odbyt. Właściwie nie było to takie okropne, potrafię jednak sobie wyobrazić, co czuł. Pozycja była bardzo niewygodna i w efekcie musiałem zbliżyć do niego twarz znacznie bardziej, niż obaj byśmy tego pragnęli.

– Giraut? – odezwał się nagle.

– Jestem tutaj, *companion*.

– Bez względu na wszystko, co się wydarzyło, bardzo się cieszę, że przybyłeś do Kaledonii. – Przez chwilę myślałem, że powiedziawszy te słowa, zasnął, skończyłem więc mycie i zabrałem się do wycierania. – Bez ciebie czekałyby nas znacznie gorsze rzeczy – ciągnął jednak. – Saltini i tak przejąłby władzę i nie byłoby żadnej ucieczki ani myśli o oporze. Większość z nas po prostu zabiłaby się jako nieprzystosowani. – Westchnął przeciągle. – Boże, tak jest lepiej. Nigdy bym nie pomyślał, że zwykła niewygodna może się przebić przez neurostat ze znacznie większą łatwością niż prawdziwy ból. Sam zobaczysz. Anna wyjdzie z psypyksu jak nowa, a mnie w mgnieniu oka postawią na nogi.

Nie byłem pewny tego pierwszego, a jeśli pomoc nie nadejdzie szybko, może dojść

do procesów degeneracyjnych i kręgosłup Paula nie zrośnie się tak jak trzeba. Nie zamierzałem się jednak z nim spierać. Ostrożnie skończyłem wycieranie.

– Giraut?

– Ta.

– Dlaczego Valerie nie przychodzi mnie odwiedzić?

Prawdziwym powodem było to, że leżała w jednym z kotów uspiona chemicznym środkiem nasennym. Raz na dzień robiliśmy jej porządny masaż, żeby ją wybudzić i dać Betsy szansę skorzystania z funkcjonującego prawidłowo mózgu, lecz po godzinie czy dwóch zawsze wracała rozhisteryzowana na Valerie i musieliśmy usypiać ją z powrotem.

– Valerie pomogła ci po katastrofie – powiedziałem. – Niektórym ludziom trudno jest znieść widok cierpienia kochanych osób.

Natychmiast poczułem, że kłamię. Wiedziałem, że bez względu na to, jak ciężko chora byłaby Margaret, z pewnością bym jej nie unikał. Jeśli już o tym mowa, kiedy Azalais, która była moją *entendedorą* przed Garsendą, oberwała przypadkowo z neuroinduktora, przez kilka pierwszych dni ani na chwilę nie odchodziłem od jej łóżka... ciężko chorzy ludzie rzadko potrafią sobie uzmysłwić, jak niewiele kłopotów sprawiają tym, którzy ich kochają.

Niestety, Paul znakomicie potrafił rozpoznawać kłamstwo, a do tego ufał mi bardziej niż większości ludzi, którzy przy nim czuwali.

– Nikt mi nie chce tego powiedzieć, Giraut, ale ja wiem, że tak jest. To Betsy udzieliła mi pomocy, prawda?

Wiedziałem, że bez względu na to, co powiem, znienawidzę się za to, wybrałem więc prawdę i przyznałem mu rację.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Paul. – Naprawdę nie ma. Valerie na pewno zdrowo się wystraszyła, a ona źle znosi strach, czy nawet wspomnienie o strachu.

Umilkł na długi czas. Zastanawiałem się nad tym, jak naprawdę wygląda sytuacja. Z jakiegoś przewrotnego powodu, któremu nie chciałem nadawać nazwy, miałem ochotę o wszystkim mu opowiedzieć, stłumiłem jednak ten impuls. To nic by nie dało. Martwiłby się tylko o nią, a myśl, że Paul miałby się martwić o Valerie, wydawała mi się grubą przesadą.

– To nie ma znaczenia – powtórzył słabym, nieobecny tonem. Chyba wtedy właśnie zasnął, gdyż jego głos zrobił się niewyraźny, a potem Paul nie mówił już nic więcej. Gdy przeszedłem na miejsce, z którego mogłem wygodnie go obserwować, zobaczyłem, że na twarzy ma ślady łez.

Po chwili ktoś przyszedł mnie zastąpić – właściwie zastąpić Petrę – i wróciłem na górę po linie wyciągowej, by dołączyć do Roberta i Susan, którzy czekali w pozbawionym

bagażu kocie, i ruszyć w drogę. Nadal nie otrzymaliśmy żadnego sygnału z Utilitopii. Równie dobrze moglibyśmy być na planecie sami. Zgodnie z planem dwoje moich zmienników natychmiast zasnęło z tyłu pojazdu. Zostałem sam na sam z zatartymi śladami, pozostawionymi przez ekspedycję przed kilkoma dniami. Posuwałem się naprzód ostrożnie, uważając, by wehikuł się nie ześliznął, lecz mimo to szybko zjeżdżaliśmy w dół.

Nim zdążyłem pokonać pięć kilometrów, zdałem sobie sprawę, że zadanie będzie jeszcze trudniejsze, niż się tego obawiałem. Ślady, które zostawiliśmy, często trudno było dostrzec, a do tego korowód czterech kotów wspinających się po żwirowym nasypie albo zjeżdżających z kamienistej skarpy nieraz zostawiał po sobie powierzchnię znacznie bardziej śliską i niebezpieczną, niż była pierwotnie. W niektórych miejscach poprzednio zjechaliśmy ze stoku, na który nie można się teraz było wspiąć, częściej jednak zdarzało się, że wjeżdżając pod górę, uszkodzaliśmy teren tak mocno, iż nie mogłem teraz zjechać tą samą trasą, z obawy że utracę panowanie nad pojazdem. Im uważniej przyglądałem się drodze, tym większy podziw czułem dla umiejętności Anny, która nas tędy przeprowadziła. Półka skalna zapadła się pod nią tylko przez czysty pech. Gdyby o wszystkim decydowała zręczność, nic by nam nie groziło.

Po kilku dalszych kilometrach, gdy słońce już wzeszło, wciągnąłem się w rytm jazdy i zdałem sobie sprawę, że choć wygląda ona przerażająco, potrafię sobie poradzić. Dwukrotnie, gdy nie mogłem sforsować żwiru, przez który przejechaliśmy uprzednio, musiałem pokonywać pokryte śniegiem i lodem obszary, które najpierw badałem czujnikiem ultradźwiękowym, idąc na piechotę. Brałem też ze sobą długą tyczkę, na wypadek, gdyby grunt zapadł się pode mną. Skała była jednak, o ile potrafiłem to określić, lita, choć w niektórych miejscach warstwa lodu miała dziesięć czy dwanaście metrów grubości. Mimo to trudno mi było czasem nie wstrzymywać oddechu, gdy przejeżdżałem między dwoma szeregami śladów, które pozostawiłem, wychodząc na lód i wracając.

Bez względu na wszystkie te problemy, posuwałem się nieco szybciej niż podczas drogi pod górę. Kiedy Robert obudził się i przeszedł na przód pojazdu, by dotrzymać mi towarzystwa, zostawiłem już za sobą poprzedni obóz. Złapał za kom, ale nic nie uzyskał. Nie usłyszał nawet komunikatu „kanał niedostępny”. Od miejsca, w którym zatrzymaliśmy się pierwszej nocy po wjeździe do wąwozu, dzieliło nas jeszcze wiele kilometrów. Tam nie mieliśmy problemów z nawiązaniem łączności.

Gdyby żwirowego nabrzeża, po którym musieliśmy zjeżdżać, nie uszkodził tak bardzo poprzedni przejazd, na pewno nie podjechalibyśmy tak blisko ścian klifów. Było to niebezpieczne, gdyż nieustanne topnienie i ponowne zamarzanie lodu powodowało, że

z góry osypywał się powolny, lecz miarowy deszcz kamieni. Ostatecznie cały ten żwir i głazy musiały się skądś wziąć. Nie było jednak wyboru, ruszyliśmy więc pod samym urwiskiem.

– Zatrzymaj się na moment – odezwał się nagle Robert bardzo spokojnym głosem.

Zrobiłem to, sądząc, że chodzi mu o jakieś zagrożenie.

– Spójrz na to. Co to jest? – zapytał.

Cały czas wpatrywałem się tylko w drogę, gdy jednak wyciągnął rękę, mnie również ogarnęło zdumienie. Od pewnego czasu jechaliśmy wzdłuż zerodowanej, popękanej skalnej bariery. Była ona jakieś cztery razy wyższa od kota i biegła równoległe do zasadniczej ściany kanionu. Jeśli w ogóle poświęcałem jej choć odrobinę uwagi, uważałem ją za krawędź potężnego skalnego płaskowyzu.

Po lewej, przed nami, otwierało się jednak przejście. Ujrzelśmy dwie zdumiewające rzeczy. Po pierwsze, nie mogło być wątpliwości, w jaki sposób je wykonano. Skala cięta laserem wygląda po prostu inaczej niż wszystko, co ma naturalną proveniencję, nawet gdy odcisną na niej swe piętno czas i żywioły. Ktoś wyciął w grubej na wiele metrów warstwie litej skały prostą drogę, prowadzącą do znajdującej się wewnątrz kotliny.

A w głębi tego korytarza o ostrych brzegach widać było skalną, dwukrotnie wyższą od kota ścianę z wielkim łukiem pośrodku i wieżami po obu stronach. Wyglądała zupełnie jak zamek w starej książce z obrazkami.

Popatrzyliśmy obaj na siebie, zastanawiając się, co powiedzieć. Zauważyłem, że jego palce zatańczyły na klawiaturze. Pamiętał o zapisaniu naszego położenia. Inercyjny system nawigacyjny kota nie był bynajmniej doskonały, ale przynajmniej pozwoliłby każdemu, kto znalazłby nasze zapisy, trafić w pobliże tego miejsca.

– Co się dzieje? Dlaczego stoimy?

Susan wstała z łóżka i podeszła do nas, pocierając zaspane oczy. Kiedy zobaczyła to, co było widać przez przednie okno kota, z wrażenia lekko wciągnęła powietrze.

– Musimy jeszcze dziś pokonać długą drogę – zacząłem mówić, lecz oboje z Robertem łapali już za kamery i rejestratory, było więc jasne, że nie wygram tego sporu. Poza tym uznałem, że będę miał okazję trochę rozprostować mięśnie. Kamień wyglądał na rozgrzany przez słońce, mogło więc tu być całkiem przyjemnie, przynajmniej w porównaniu z miejscem, w którym spędziliśmy kilka ostatnich dni.

Po drugiej stronie kamiennego łuku znaleźliśmy miasto. Właściwie była to tylko niewielka osada, miała w sobie jednak coś, co kazało ją zwać miastem. Większość budynków skupiła się pod ścianami naturalnego zagłębienia, zupełnie jak na obrazkach

przedstawiających osiedla Indian Pueblo ze Starej Ziemi. Pośrodku można też jednak było dojrzeć resztki długich kamiennych budynków, których dachy dawno się zawaliły, oraz szeroki, okrągły basen – zapewne pozostałość po fontannie. Susan systematycznie przejechała po całości kamerą, po czym zwróciła się w moją stronę.

– Przepraszam, ale nie mogliśmy sobie pozwolić na przepuszczenie czegoś takiego. Możemy już jechać. Musiałam się tylko upewnić, że zapis jest wystarczająco szczegółowy, by można tu było trafić z powrotem.

Pobiegliśmy do kota. Była to tylko kwestia minut, ale nawet najbardziej usprawiedliwiona zwłoka nadal pozostawała zwłoką. Po chwili znowu ruszyliśmy w dół tak szybko, jak tylko było to możliwe.

– Jak sądzisz, co to jest? – zapytał Robert.

– Może jacyś zwariowani pustelnicy ze Świętego Michała? – W głosie Susan nie słyszało się przekonania. – Chyba jest tu dla nich wystarczająco wiele niewygód. Ale dlaczego mieliby się zapuszczać na nasz kontynent? Nagiej skały mają pod dostatkiem u siebie. A ten zapadnięty, kamienny dach... Nie był sklepiony ani kopulasty. Musiały go podtrzymywać belki albo coś w tym rodzaju, a nic takiego nie zauważyłam.

– O czym to świadczy? – zapytałam. Ani na moment nie spuszczałem wzroku z drogi, cieszyłem się jednak, że znalazłem coś, co pozwoli mi się oderwać od myśli, z którymi borykałem się w samotności od wielu godzin.

– Hmm, może były zbyt cenne, żeby je zostawić, i budowniczkowie zabrali je ze sobą. Albo zrobiono je z czegoś, co uległo rozkładowi, nim tu dotarliśmy.

– Nic tu nie uległo rozkładowi od tysiącleci – sprzeciwił się Robert. – Wszystko jest zamrożone. Od czasu uderzenia planetoidy Góry Pesymalne tracą lód, ale ubywa go tylko na wysokich szczytach i na dobrze nasłonecznionych powierzchniach. W tej małej, osłoniętej dolince ani przez chwilę nie zrobiło się tak ciepło, by mogły się zacząć procesy gnilne, zwłaszcza w czymś takim jak drewno. Jeśli w chwili impaktu w tych domach czy jaskiniach, czy jak je tam zwał, były ubrania albo nawet ciała, to spoczywają tam nadal, i to zapewne w niezłym stanie.

Żwir trysnął spod gąsienic i moi towarzysze zamilkli, przyglądając się, jak pokonuję powoli zakręt. Z pewnością oboje prowadzili koty dłużej...

Ale zapewne nie po trasach przypominających przejazd przez Sodomską Bramę, przemknęło mi przez głowę. No, ale jeśli szukałem pretekstu, żeby chwilę sobie odpocząć, wystarczyło, bym powiedział, że jestem zmęczony, co nie było prawdą.

– Oczywiście, jeśli belki zbutwiały, nim planeta zamarza... – odezwała się Susan. Jej

słowa zawisły w powietrzu.

– Ale Nansen jest zamrożony od czasu... no, odkąd ostygł, po tym, jak efekt Faju-Faktoru ukształtował go z kości gazowego olbrzyma – sprzeciwił się Robert. – Z drugiej strony, jeśli nie zawsze był zamrożony...

– Oboje chcecie coś powiedzieć – zauważyłem – a mój mózg nie ma w tej chwili siły na rozwiązywanie zagadek.

– Może, gdy planeta zamrzła, to miasto było już stare. Może znaleźliśmy źródło drobnoustrojów, które wstępnie terraformowały Nansena.

W innej sytuacji podskoczyłbym w górę, zerwał się z miejsca albo zrobił coś w tym stylu, nie mogłem jednak odrywać rąk od sterów i spojrzenia od drogi.

– Jeśli to prawda, to rzeczywiście ważna rzecz.

– Z selektywizmu nie zostałby kamień na kamieniu – stwierdził Robert. – Saltini miałby mnóstwo kłopotów. Jeśli to faktycznie pierwsze pozaludzkie archeologiczne znalezisko, przybyłyby tu tysiące pozaświatowych ekspertów. Chciałbym zobaczyć, jak próbuje wymusić rynkową modlitwę na tak wielu pracownikach Rady Ludzkości. W tej chwili najważniejsze jest, żebyśmy znaleźli się w zasięgu komów, ale to znalezisko na pewno zmieni sytuację w Kaledonii.

– W całym Tysiącu Kultur – poprawiła go Susan. – To prawie zabawne. Niewykluczone, że trafiliśmy na coś, czego ludzkość szukała od tysiąca lat, ale niestety mamy chwilowo znacznie pilniejszą sprawę. Sądzę jednak...

Nigdy się nie dowiedziałem, co sądziła, gdyż Robert nagle krzyknął, a ja ustawiłem gaśnicę w pług i w mgnieniu oka zatrzymałem kota, co – pozwalam sobie powiedzieć – na tym stromym stoku było nie lada wyczynem.

Przed nami w górę wspinał się inny kot. Rozpoznałem go, nim jeszcze zdążyłem przebić wzrokiem odbijający się od przedniej szyby blask i upewnić się, że prowadzi go Bruce.

– Myślałem, że cztery przenośne skoczki to przesada – mówił Bruce – ale przekonali mnie, że gdyby któryś się zepsuł, nie będę miał z niego żadnego pożytku, a naprawę potrzebowaliśmy i tego dużego, żeby sprowadzić do domu całą grupę, i specjalistycznego medycznego dla Paula i, hmm, szczątków. Nie mamy nikogo, kto potrafiłby je naprawić, musiałem więc zabrać po dwie sztuki. Obawiam się, że wskutek tego nie zostało nam za dużo wolnego miejsca.

Wyglądał na wykończonego, a Bieris uczepiła się mnie i czułem, że ona również jest w fatalnym stanie.

– Czy dałabyś radę zmontować skoczki zd, powiedzmy, osiem godzin, jeśli do tego czasu będziesz mogła się przespać? – zapytała ją Susan.

– Pewnie potrafiłabym to zrobić przez sen – padła odpowiedź. – A w tej chwili okropnie chce mi się spać. Nie skonstruowano ich prowizorycznie na miejscu. To standardowe okcytańskie modele, sprowadzone przez Radę Ludzkości.

– W takim razie połóż się z Bruce w waszym kocie. Ja poprowadzę pierwszy pojazd, Robert wasz, a Giraut usiądzie ze mną, żeby wskazywać mi drogę. Możemy dotrzeć do obozu za jakieś osiem godzin. Za dziesięć wszyscy będą już w domu.

Susan nie lubiła przelewać z pustego w próżne, gdy podjęto już decyzję. Ruszyła natychmiast do kota, którym przyjechaliśmy.

– Ma rację – poparłem ją, widząc, że Bruce zamierza zgłosić jakiś nieokreślony sprzeciw. – Susan i Robert przespali całą noc i obudzili się dopiero przed trzema godzinami. A ja nie nadaję się do niczego więcej, ale z pewnością potrafię powiedzieć Susan, gdzie należy spodziewać się kłopotów. Jeśli Robert będzie się trzymał blisko nas, nie powinno być żadnych trudności. Oboje wyglądacie na ledwo żywych. Kładźcie się już. Opowiemy wam wszystko, kiedy będziemy na miejscu. Jak długo już nie śpicie?

– Więcej niż dobę – wymamrotał Bruce, ruszając na chwiejnych nogach w kierunku kota. – O mniej więcej jedną Jasność więcej...

Przynajmniej czterdzieści dwie godziny? A ekspedycję ratunkową najwyraźniej zorganizowano na farmie Bruce'a i potajemnie w ambasadzie?

Chyba wszyscy troje zorientowaliśmy się już, że doszło do straszliwych wydarzeń, zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że nic nam nie da, jeśli będziemy tu stać i o nich dyskutować. Najważniejsze, że mieliśmy skoczki i najwyraźniej też jakieś miejsce, w które mogły nas przenieść.

Gdy tylko na zachodzie wzeszedł lśniący jasno księżyc, ruszyliśmy w drogę powrotną. Susan była dobrym kierowcą, wystarczająco dobrym, by rozumieć, że, by jechać szybko, trzeba jechać ostrożnie, nie miałem jej więc wiele do powiedzenia. Bruce i Bieris nie budzili się ani nawet nie poruszali. Niemal bez słowa położyli się w ubraniach i zasnęli, nim jeszcze zdążyliśmy przypiąć ich pasami.

Księżyc wspinał się po niebie i jednocześnie go przybywało. Po chwili na firmamencie pozostały tylko najjaśniejsze gwiazdy. Arktur nie wywierał już tak imponującego wrażenia. Był tylko czerwonym światłem, jaśniejszym niż większość pozostałych. Pomyślałem machinalnie, że wąż byłby świetnym tematem dla obrazu Bieris – srebro, czerń, błękit i poszarpane skalne krawędzie wznoszące się w pustkę. Jeśli wszystko się ułoży, z pewnością znajdzie jeszcze okazję, by tu zajrzeć, w przeciwnym razie nie miało to znaczenia.

Miałem nadzieję, że po powrocie do obozu dowiemy się wszystkiego, znowu jednak sprawy potoczyły się inaczej. Bieris potrzebowała tak niewiele czasu, by zmontować głównego skoczka, że gdy oznajmiła, iż jest już gotowy, wszyscy ledwie zdążyli się obudzić, ubrać i spakować. Bruce wszedł do środka i zniknął. Po chwili wrócił w towarzystwie pół tuzina ludzi w mundurach SPR. Zdałem sobie sprawę, że to drużyna sanitarna. Przynieśli jeszcze jednego skoczka – transporter medyczny.

– Nie będziemy się musieli martwić o to, czy ofiar nie uszkodzi wibracja – wyjaśnił obcesowo oficer, po czym sanitariusze zeszli po linie wyciągowej do Paula. Upłynęło zaledwie kilka minut.

Stałem osłupiały tak jak cała reszta, po raz dziesiąty sprawdzając, czy mam lutnię, gitarę i torbę, i przypominając Betsy, żeby się upewniła, czy instrumenty Valerie są zabezpieczone jak należy. Starłem się nie patrzeć w przepaść, gdzie drużyna sanitarna wydobywała zamrożone zwłoki, żeby je przenieść... gdzie? Nikt nam nawet nie powiedział, dokąd się wybieramy.

Zdałem sobie sprawę, że Paul jest już w jakimś szpitalu, a ja zniknę stąd, nim zdążę odetchnąć sto razy. Rozejrzałem się wokół, być może w poszukiwaniu jakiegoś obrazu, który mógłbym zapamiętać. Zobaczyłem jednak tylko zaparkowane koty ze stygnącymi powoli silnikami, jasne światła drużyny sanitarnej w głębi rozpadliny i kolejkę niespokojnych ludzi. Skały lśniły w blasku księżyca, a daleko na wschodzie poja-wii się pierwszy blask jutrzeńki. Niebo wyglądało pięknie i okolica również, ale nic we mnie nie drgnęło gotowe komponować, co kiedyś działo się automatycznie.

Linia wyciągowa zabręczała po raz kolejny i po chwili drużyna sanitarna wróciła na

górze.

– Nie ma tu już na co czekać, prawda? – zapytał oficer. – Skoczek zadziałał. Odbyliśmy próbny skok. No dobra, ustawcie się wszyscy z rzeczami i przeprowadzimy was trójkami albo czwórkami.

Nie jestem pewien, dlaczego to zrobiłem, ale przeszedłem odruchowo na sam koniec kolejki. Margaret dołączyła do mnie.

– Miałeś kiepską podróż? – zapytała.

– Przerażającą. Strasznie się umęczyłem. Trudno uwierzyć, że najgorsze już za nami.

Stojąca tuż przed nami Susan wypadła z kolejki, podbiegła do ogołoczonego z zapasów kota, którym jechaliśmy w dół wąwozu, i po chwili wróciła, niosąc pod pachą kilka bloków zapisowych.

– To materiały, które nakręciliśmy w ruinach – oznajmiła, zwracając się do mnie. – Z pewnością ktoś będzie chciał je obejrzeć.

Potem jej grupa weszła do skoczka i zniknęła. Za nią podążyła cała reszta obecnych, poza drużyną sanitarną. Wokół nas pojawiła się ambasada. Przywitał nas sam ambasador Shan. Towarzyszyli mu Aimeric i Carruthers.

Podeszliśmy do reszty grupy. Roboty-tragarze zabrały nasze rzeczy, by je gdzieś odnieść. Za plecami usłyszeliśmy wychodzącą ze skoczka drużynę sanitarną.

– Jeśli zechcecie nam towarzyszyć – zaczął ambasador Shan – pójdziemy do sali konferencyjnej, gdzie będę wam mógł opowiedzieć o tym, co się tu działo. Obawiam się, że będą to w przeważającej mierze złe wieści.

Bez słowa ruszyliśmy korytarzem. Ze swym obecnym wyglądem nie pasowaliśmy raczej do ambasady. Kręciło się tu zdumiewająco wielu ludzi w mundurach SPR i większość z nich wyglądała na zajętych.

Podano nam gorące napoje – właściwie niepotrzebnie, gdyż nie byliśmy głodni ani zziębnięci – a potem polecono usiąść. Ambasador zaczął mówić. Wyglądało na to, że stara się opuszczać każde niepotrzebne słowo, przekazać nam tylko niczym nie przyozdobioną prawdę.

– Po pierwsze, Rada Ludzkości rozwiązała Kartę Kaledońską i wprowadziła w Utilitopii stan wojenny. Zwolennicy poprzedniego rządu, zwłaszcza grupy policji PPP, kontynuują walkę w izolowanych gniazdach oporu, ale miasto jest w naszych rękach i przed zachodem słońca spodziewamy się zaprowadzić tu spokój. Wielebny Saltini został aresztowany i jest uwięziony poza Nansenem, czekając na proces. Po drugie, wskutek zamieszek i starć, które doprowadziły do obecnej sytuacji, bardzo wiele cywilnych osób

zostało zabitych lub rannych. W tej chwili kilka budynków użyteczności publicznej zamieniono w prowizoryczne szpitale, by poradzić sobie z zalewem pacjentów. Poważne przypadki, w tym również waszego przyjaciela Paula Partona, przetransportowano do szpitala w Nowym Archangielsku w kulturze Świętego Michała, gdzie otrzymają najlepszą dostępną opiekę. Garstkę pacjentów w stanie krytycznym oraz niektóre z ofiar użycia neuroinduktorów przeniesiono do Noupeitau, gdzie lekarze mają większe doświadczenie w leczeniu urazów zarówno fizycznych, jak i nerwowych. Za parę chwil udostępnię wam linie komowe, żebyście mogli się skontaktować z przyjaciółmi i rodzinami. Udzielimy wam w tej sprawie wszelkiej możliwej pomocy. Na koniec, muszę was z ciężkim sercem powiadomić, że zamieszki zaczęły się od szturmowania uzbrojonego tłumu na Ośrodek Sztuki Okcytańskiej. Budynek doszczętnie zdemolowano, a podczas walk śmierć poniósł Thorwald Spenders, który próbował powstrzymać tłum przed atakiem na ludzi szukających w ośrodku schronienia. Co więcej, jedna ze zbrodni, o które został oskarżony wieloletni Saltini, polega na tym, że podczas ostatnich godzin pełnienia urzędu rozkazał agentom PPP zagarnąć zapisy osobowości prowadzone przez kilka kompanii ubezpieczeniowych i celowo zniszczył wszystkie kopie należące do wielu osób powiązanych z opozycją. Wśród osobowości, które prawdopodobnie utraciono na zawsze, znajdują się Thorwald Spenders i Anna K. Terwilliger. – Oni nie żyją – odezwała się siedząca obok mnie Margaret. – Naprawdę, nieodwołalnie nie żyją.

Nim poznałem całą historię, minęły wieki, częściowo z uwagi na fakt, że byłem niedospany i nie zawsze łatwo mi było wszystko zrozumieć, a częściowo dlatego, że pewnych rzeczy właściwie wolałem nie słyszeć.

W budynku przebywało może z dziesięć osób, które miały być aresztowane jako bezrobotni. Thorwald, zapewne dlatego, że władze dotąd nie tknęły ośrodka, próbował udzielić im azylu.

PPP wykorzystał to jako pretekst do sprowokowania gniewu na „pozaświatowych intruzów” i otoczenia ośrodka protestującymi, którzy witali każdego przejeżdżającego kota albo torowiec gradem kamieni i butelek. Następnie PPP zamknął kordonem budynek, rzekomo dla jego ochrony. Mimo to zwolennicy Saltiniego przedostawali się przez szpaler strażników bez trudu, a ci ostatni sprawiali wrażenie bardziej zainteresowanych identyfikowaniem ludzi, którzy wchodzili do ośrodka bądź go opuszczali. Celowo rozbili kilka skrzynek z rutynowymi dostawami żywności, wyrzucając wszystko w błoto, a potem ośrodkowi wymierzono drakońską grzywnę za „niewłaściwe praktyki sanitarne”.

Tłum gęstniał niemal z godziny na godzinę. Demonstrantów prawie nie ubywało, nawet podczas Porannej Nawałnicy. Początkowo poprzestawali na krzykach i obelgach, potem zaczęli rzucać kamieniami. Podczas ostatniej Jasności, zgodnie z relacjami ludzi, którzy byli w ośrodku wraz z Thorwaldem, prawie wcale się nie odzywali i nie ruszali się z miejsc, dopóki ktoś nie spróbował przedrzeć się przez kordon. Wtedy zbliżali się i otaczali ciasno kota albo torowiec. Po chwili bardzo powoli nadchodzili strażnicy z PPP, którzy oczyszczali drogę.

Ludzie opowiadali, że twarze napastników były wykrzywione z nienawiści i niesamowitej żądzą, przywodzącej na myśl medialne horrory.

Trwało to aż do chwili, gdy drzwi pojazdu otwierały się i kierowca oraz pasażerowie przebiegali sześć, siedem metrów dzielących ich jeszcze od wejścia do ośrodka. Wtedy leciało kilka kamieni, rzuconych mocno, tak by zranić albo zabić.

I znowu powoli, bardzo powoli, tak by wszyscy widzieli, co naprawdę myślą, pipki ustawiali się przed zamkniętymi już drzwiami i unosili tarcze, żeby zademonstrować, że chcą powstrzymać milczących obserwatorów.

Opowiadali, że Thorwald nie okazywał żadnych uczuć poza współczuciem dla tych, którzy byli ranni i wystraszeni, oraz chłodnym gniewem, który – jak to ujął jeden z nich – „był przerażający, ale sprawiał, że cieszyłem się, iż jestem z nim”. W ciągu ostatnich dwóch godzin Drugiej Jasności tłum znowu zaczął się gromadzić wokół ośrodka. Nasze wezwanie o pomoc odebrały tysiące ludzi w całej Utilitopii. Wśród tłuszczy nie wiadomo skąd pojawiła się plotka, że z zapadnięciem zmroku z ośrodka wyruszy wielki marsz protestu, misja ratunkowa albo coś w tym rodzaju. Choć o tym nie wiedzieli, ratunek był już w drodze. Wśród ostatnich ludzi, którzy wydostali się z ośrodka, byli Bruce i Bieris. Bruce oberwał kamieniem i – jak się potem okazało – miał pęknięte zębra. Pojechali do magazynu, który przygotował dla nich w mieście Shan. Czekają już tam skoczki i zapasy. Potem pomknęli w głąb rzecznej doliny, prowadząc na zmianę, by jak najszybciej przyjść nam z pomocą.

– Shan musiał trochę nagiąć prawo, żeby sfinansować to wszystko z budżetu ambasady – zauważyłem, gdy Bieris mi o tym opowiedziała.

– Miał pretekst, gdyż jesteś jego pracownikiem. Potem po prostu poinformował Radę Ludzkości, że gdyby nie uratował całej grupy, bardzo by to zaszkodziło jego wizerunkowi. Co prawda, mało ich to obchodziło. Chcieli tylko usłyszeć jakieś w miarę przekonujące usprawiedliwienie. – Bieris westchnęła. – Zrobił, co mógł, Giraut. Wiesz co, on chyba naprawdę lubił Thorwalda... może nawet cały ośrodek. Zawsze przychodził tam z radością.

Mam też wrażenie, że planował zwerbować Thorwalda na służbę Rady Ludzkości. Przeżył to wszystko bardzo ciężko.

Skinąłem głową. W jakiś abstrakcyjny sposób wiedziałem, że mnie również sprawiło to ból i że mogą minąć miesiące, a nawet lata, nim poczuję rozerwane, krwawiące brzegi ogromnej, bolesnej pustki, którą pozostawiła w mej duszy utrata ośrodka, Thorwalda, a nawet Anny.

Bieris odeszła, nie mówiąc już nic więcej, a ja znowu zapadłem w sen.

Zakończenie opowieści usłyszałem, nieoczekiwanie, od Majora Ironhanda prawie dziesięć dni później. Oznajmił, że wpadł do mnie, ponieważ pierwszego dnia jego pobytu tutaj starałem się go miło przywitać, a ponadto sądzi, że honor wymaga, bym dowiedział się kilku rzeczy, o których inni mogli mnie nie poinformować.

Gdy stało się jasne, że może dojść do szturm na budynek, Thorwald – nie licząc na strażników z PPP – wymontował kilka neuroinduktorów z zestawów służących do nauki sztuki pojedynku, kazał komuś, kto był biegłym mechanikiem, unieszkodliwić bezpieczniki, by można było uzyskać naprawdę niebezpieczny sygnał, po czym zamontował je na kijach od szczotek.

– Jak na prowizoryczną broń do tłumienia rozruchów była to diabelnie dobra robota – zapewnił mnie Ironhand. – Ale napastników było po prostu zbyt wielu. Nikt nie zdołałby obronić tego budynku przed takim tłumem. W ataku na ośrodek uczestniczyło ponad tysiąc osób. Nigdy nie miał służyć jako forteca, a twoi przyjaciele nie mieli żadnej strzelającej pociskami broni, która pozwoliłaby im odstraszyć tłum. Nie sądzę, bym był w stanie powstrzymać w tym gmachu tak wielu napastników, dysponując siłami mniejszymi niż w pełni uzbrojony pluton.

Tłum przetoczył się przez kordon PPP niczym kosiarka do trawy przez węża. Czterech strażników zginęło, a kilku odniosło ciężkie obrażenia. Drzwi puściły pod naporem ciał.

Thorwald wraz z kilkoma innymi roslymi mężczyznami próbował bronić spiralnych schodów wiodących do wieży. W całym budynku było to jedyne wąskie, nadające się do obrony przejście.

– Zabili go kamieniem – opowiadał Ironhand, wbijając wzrok w podłogę. Chyba nie był pewien, jak zareaguję. – Tym umocowanym na kiju od szczotki urządzeniem załatwił sześciu napastników. To zdumiewające, jak na prawie wcale nie wyszkolonego chłopaka. Wy powiedzielibyście *que enseingnamen*, a my po prostu „odwaga”, ale właściwie znaczy to tylko tyle, że nie wiemy, jak tego dokonał. Nie mógł się jednak bronić bez końca. Nikt by nie mógł. Oberwał kamieniem tak mocno, że upadł, a potem, hmm, zatłukli go, chyba kawałkami

mebli. Następnie wzięli się za tego drugiego chłopaka, jak tam się on nazywał, Peterborough, tego, który jeszcze leży w szpitalu, i zrobiliby to samo, gdyby do ośrodka nie dotarli wreszcie Okcytańczycy.

Dzięki bardzo elastycznemu odczytaniu zasad Shanowi udało się w końcu ogłosić, że ośrodek pozostaje pod jego opieką. Najwyraźniej wykorzystał fakt, że znajdowały się w nim moje osobiste rzeczy, a część ludzi zatrudnionych w ośrodku pracowała dla mnie... to nie miało znaczenia. Zapewne Rada zaaprobowała wszystkie jego posunięcia po fakcie, równie dobrze mógł więc oznajmić, że zrobił to, bo tak mu się podobało.

Zdażył już wynająć kilka thorburskich jednostek, w tym również Legion Okcytański. Składał się on tylko z sześciu kompanii, ale jego żołnierze byli szkoleni do walki w mieście i – co może ważniejsze – ich jaskrawe mundury wyglądały groźnie. Gdy Shan zakomował z prośbą o pomoc, byli już w stanie gotowości i po kilku minutach wtoczono przez skoczka w ambasadzie niosący ich przenośne skoczki helikopter, który następnie rozwinął śmigła i poleciał do ośrodka. Okcytańscy żołnierze wypadli ze skoczków...

I ujrzeni agresywny tłum, który zatłukł już jednego młodego, odważnego mężczyznę, i teraz palił wszystkie gobeliny oraz obrazy, wymazywał wu i roztrzaskiwał na drzazgi instrumenty muzyczne.

Mówiono mi później, że w raporcie dla Rady Ludzkości stwierdzono, iż choć Shan nie miał w owym momencie żadnej alternatywy, wysłanie w takiej sytuacji do akcji okcytańskich żołnierzy było błędem, którego należało uniknąć, nie wiadomo tylko w jaki sposób.

Dyscyplina załamała się na jakieś dziesięć minut. W późniejszych raportach użyto sformułowania „policyjne rozruchy”, które jest stosowanym od stuleci eufemizmem na określenie sytuacji, w której siły prawa i porządku wymykają się spod kontroli i atakują osoby cywilne. Pod koniec, ludzie, którzy szukali azylu w wieży, byli bezpieczni i szybko wyprowadzono ich z budynku; okcytańskich żołnierzy zagonili z powrotem do szeregów thorburscy oficerowie...

A osiemdziesięciu napastników zginęło i z uwagi na stracony czas nie można już było ocalić ośrodka przed pożarem.

Nie wiadomo, czy była to prawda, ale przez szeregi PPP przemknęła plotka mówiąca, że rozruchy sprowokowali agitatorzy Saltiniego. Nie ulegało wątpliwości, że pierwszymi ofiarami byli funkcjonariusze pastoratu. Po dwóch godzinach, podczas tego samego długiego Mroku, przynajmniej połowa stacjonujących w mieście sił bezpieczeństwa PPP wszczęła otwarty bunt. Dołączyła do nich miejska policja, wciąż jeszcze rozgoryczona po puczu. Gdy walki stawały się coraz bardziej zażarte, Saltini wydał serię rozkazów. Skasował zapisy

niezbędne do przywrócenia życia dysydemtom, nakazał lojalnym wobec siebie jednostkom PPP atak na ambasadę i oddzielił kordonem zawsze skłonny do buntów obszar nadmorski, najwyraźniej zamierzając rozpocząć oblężenie części własnego miasta.

Był to pretekst, na który Shan czekał już od wielu dni. Rada Ludzkości zareagowała bez zwłoki. W mieście wprowadzono stan wojenny, unieważniono kartę kulturową i rozwiązano Radę Racjonalizatorów. Za kilka dni ojciec Aimerica miał sformować rząd, na którego czele stanie jako prezydent i głowa państwa. Było tajemnicą poliszynela, że pierwszym premierem Kaledonii zostanie Aimeric.

Słuchałem tego wszystkiego, leżąc w łóżku i gapiąc się w sufit. Od czasu do czasu przychodzili podłączyć mnie do jakiejś maszyny albo dać mi pigułki. Wykonywałem ich polecenia. Kiedy tylko nam pozwalano, wychodziliśmy z Margaret na szpitalne podwórko i siedzieliśmy tam objęci w jasnym, żółtym blasku słońca. Gdy byliśmy w stanie, płakaliśmy.

Słyszałem, że Thorwalda i Annę odprowadzały do odzyskiwacza setki ludzi śpiewających jego wersję *Canso de Fis de Jovent*. Myślę, że byłby zadowolony, ale oczywiście nigdy się tego nie dowiem.

Część czwarta

M'es vis, companho

W Sferze Wewnętrznej zasiedlonych światów wynaleziono właśnie nową procedurę, zwaną „przyspieszoną żałobą”. Sprowadzili specjalistkę od niej, doktor Ageskis, wysoką blondynkę, która mówiła bardzo mało. Pamiętam tylko tyle, że spałem dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem godzin na dobę i dręczyły mnie straszliwe koszmary, w których wrzeszczeliśmy na siebie okropnie z Thorwaldem, Raimbaut łąził za mną, dokuczając mi swym uzalaniem się nad sobą, a Anna dowodziła publicznie, że nigdy nie rozumiałem jej poezji... ciągnęło się to bez końca. Sto razy widziałem, jak jadący na przedzie kot wpada w przepaść, a Thorwald wyłazi z odzyski-wacza akurat w chwili, gdy siadamy do śniadania. Głowę miał tak samo zmasakrowaną jak Betsy. Płakałem i krzyczałem, budziłem się, by mnie nakarmiono i kazano trochę poćwiczyć, a potem wracałem do koszmarów.

Te jednak stopniowo słabły. Neurosondy otoczyły poczucie utraty zdrowia, choć pełną smutku akceptacją, wywołały fale gniewu, a potem nie dopuściły, by wplotły się one we wspomnienia, znalazły plamy obłędu i wycięły je z naturalnej żałoby. Nie wiem, ile dni upłynęło, nim ograniczyli się tylko do dwóch „podtrzymujących” godzin dziennie, lecz przesypiałem je już wówczas bez trudu. Po kilku dalszych dniach kazali mi tylko nosić sonde, celem „obserwacji”.

Najwyraźniej spodobało im się to, co zaobserwowali u mnie i Margaret, musieli jednak zaczekać jeszcze kilka dni, żeby się upewnić, że nie wyskoczy nic nowego.

Dotarłem już do punktu, w którym poczułem się naprawdę znudzony pobylem w szpitalu i zrodziło się we mnie zainteresowanie poczynaniami Aimerica – wielu twarogłowych przychodziło do niego potajemnie, ponieważ bardzo zabiegał o odzyskanie autonomii kulturalnej – gdy nagle zaczęło mnie odwiedzać stanowczo zbyt wielu gości. Wszyscy byli pozaświatowcami z ambasady, uczonymi takiego czy innego rodzaju, i chcieli rozmawiać o ruinach, które widzieliśmy z Susan i Robertem w Górach Pesymalnych. Czy zauważyłem jakieś dowody na to, że brama wiodąca do miasta powstała w późniejszych czasach niż domostwa? Albo we wcześniejszych? Choć nie zbliżałem się do budynków, pytali mnie, jak wysokie były moim zdaniem drzwi. Czy dostrzegłem coś niezwykłego w kształcie cieni, robocie kamieniarskiej, regularnych krzywiznach otworów drzwiowych i ich rozmieszczeniu? Czy widziałem coś, co leżałoby na ziemi? Czy nie kłamałem, twierdząc, że nie wchodziłem do żadnego z „domostw”? Czy jestem pewien, iż nie kłamałem, mówiąc, że

nie kłamałem? Nie kończący się korowód gości zadawał w kółko te same pytania.

Gdy Margaret i mnie wypisano ze szpitala, Rada Ludzkości natychmiast umieściła nas w najlepszym z miejscowych hoteli, budynku, który jeszcze nie istniał, gdy wyruszyliśmy na wyprawę. Wyhodowało go w międzyczasie jakieś hedonistyczne towarzystwo hotelowe. Pachniał jeszcze unoszącym się zawsze w nowych budynkach pyłem. Był teraz najwyższym budynkiem w Utilitopii i zgodnie z hotelową tradycją wyglądał jak drewniany klocek, który – ustawiony na sztorc – górował nad otaczającym go miastem.

Niemniej jednak pokój był wygodny. Pod tym względem na Hedonów zawsze można było liczyć! Wyposażono go w ogromne łóżko o kontrolowanej temperaturze i sprężystości, parę różnych łazienek i pryszniców, a także wiele innych sprzętów. Mieliliśmy na jego zbadanie tylko kilka minut, gdyż nagle rozległ się sygnał u drzwi. Otworzywszy je, ujrzałem Aimerica.

– Premier nie ma nic lepszego do roboty niż odwiedzanie luksusowych hoteli? Czy podatnicy o tym wiedzą?

Uśmiechnął się.

– Do tego przynosi ze sobą drogie wino... – Wyjął butelkę i zobaczyłem, że to jeden z najlepszych produktów Bruce'a. – I zdążył już zamówić kosztowny posiłek, który zaraz dostarczą. Typowy skorumpowany polityk. Nauczył się tego od swojego starego. Czy mogę wejść, czy też będę musiał zjeść i wypić to wszystko na korytarzu?

Kolację dostaliśmy niemal natychmiast, przez chwilę nie rozmawialiśmy więc ze sobą zbyt wiele.

– Może przyszło wam do głowy, że to trochę dziwne, że premier, nawet taki, którego kulturą w rzeczywistości rządzi aktualnie Rada Ludzkości, ma tak dużo wolnego czasu – odezwał się wreszcie Aimeric. – Fakt ten po części wyjaśnia pierwsza wiadomość, którą się z wami podzielę. Pomoże mi też ona przygotować was na naprawdę ważne wieści. W Kaledonii nie będzie kryzysu połączeniowego. Czy raczej, kryzys już się skończył. – Dał nam chwilę na zastanowienie się nad tą informacją. – A to dlatego, że napływają teraz do nas wielkie zasoby pozaświatowej gotówki, co zawdzięczamy temu, że ruiny, które odkryłeś w Górach Pesymalnych, Giraut, oblażyło około ośmiu tysięcy różnego autoramentu uczonych.

– Czy wliczyłeś w to te dwa tysiące, które mnie odwiedziły, w kółko zadając te same pytania?

Parsknął śmiechem.

– Zdaję sobie sprawę, że tak to musiało w twoich oczach wyglądać. Mieli powody. Musieli się upewnić, że mówisz im całą prawdę, tak jak ją znasz. Posunęli się nawet do tego,

choć zrobili to wbrew mojej woli i złożyłem w twoim imieniu protest, że podłączyli się do niektórych z neurosond, które ci zamontowano.

Przypomniałem sobie niejasno, że raz czy dwa śniły mi się ruiny.

– A więc doszli do wniosku, że nie jestem kłamcą. To bardzo pocieszające.

– Giraut, ja wiem, że mówisz prawdę, tak samo jak wszyscy, którzy cię znają, ale sprawa jest zbyt ważna, by eksperci Rady mogli nam uwierzyć na słowo. Na szczęście dla ciebie Robert i Susan okazali się równie prawdomówni, gdyż w przeciwnym razie mogliby cię tu trzymać, dopóki nie ustaliliby, które z was mija się z prawdą. To miało kluczowe znaczenie. Musieli się upewnić, że tych ruin nie sposób byłoby sfalszować. To, na co się natknęliście, wcale nie przesadzam, jest potencjalnie znacznie ważniejsze niż wszystkie problemy związane z Kaledonią i polityką Rady. Są już pewni, że wydobyli z ciebie wszystko, co miałeś do powiedzenia, pojedziesz więc jutro na wyprawę w ruiny, żeby się przekonać, czy coś tam nie pobudzi twoich wspomnień. Przykro mi, ale to rozkaz. Jeśli to konieczne, Shan poprze mnie w tej sprawie. Muszą cię tam sprowadzić jak najszybciej, nim będziesz miał okazję usłyszeć jakieś pogłoski. Uwierz mi, krąży ich mnóstwo. Mam nadzieję, że nie wybieraliście się nigdzie dziś wieczorem... Margaret uśmiechnęła się lubieżnie.

– Przyjrzałeś się temu pokojowi? – zapytała drwiąco ochryłym głosem. – Trudno nam będzie zaliczyć wszystkie dostępne powierzchnie.

Aimeric skrzywił się. Z jakiegoś powodu uważał, że kwestia jest poważna.

– Do którego skoczka mam się zgłosić i o której godzinie? – zapytałem, ponieważ najwyraźniej nie zamierzał okazać w tej sprawie poczucia humoru.

Gdy mi odpowiedział, zdziwiłem się, że tak późno. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że mam przeskoczyć dwie strefy czasowe na zachód. Ponieważ Góry Pesymalne było widać z Sodomskiej Bramy, nawet po tak długim czasie byłem skłonny uważać, że są „blisko”, choć w rzeczywistości szczyty, które można było stamtąd zobaczyć, praktycznie wystawały ponad atmosferę.

Potem zostało nam już niewiele do powiedzenia, obaj z Aime-rikiem byliśmy jednak Okcytańczykami, zajęło więc to nam jakąś godzinę. Kiedy wyszedł, zrobiliśmy sobie z Margaret bardzo powolny masaż, a potem się kochaliśmy i zjedliśmy jeszcze jeden, bardzo lekki posiłek, po czym zasnęliśmy, jak zwykli to robić kochankowie, którzy nie mają żadnych trosk. Było to cudowne. Nocą śnili mi się Thorwald i Raimbaut i choć po przebudzeniu zobaczyłem, że nie ma ich przy mnie i poczułem się smutny, sam sen był przyjemny. Ocknąłem się ze słowem „kocham” na ustach. Nie byłem pewien, do kogo było skierowane, obudziło jednak Margaret, wypowiedziałem je więc jeszcze raz, żeby się

upewnić, że chodziło mi o nią.

Naszym przewodnikiem był mężczyzna w średnim wieku o nazwisku Al-Khenil. Pochodził z Nowej Islamskiej Palestyny, kultury zamieszkałej na Stresemannie. Był sympatycznym przykładem typowego uczonego, lecz nie sprawiał wrażenia zainteresowanego udzielaniem odpowiedzi na nasze pytania. Zadawszy mu kilka, zorientowałem się, że chce na nie odpowiedzieć – zapewne aż go skręca z pragnienia pomówienia z kimś, kto nie zna ruin tak dobrze jak on – ale z pewnością rozkazano mu nie udzielać mi żadnych informacji, które mogłyby wpłynąć na moje wyjaśnienia.

Pytał mnie o coś chyba co jakieś trzy metry. Wszystkie ślady naszych stóp zaznaczono i na początek kazał mi jeszcze raz przejść tą samą drogą. Nie zobaczyłem nic nowego. Myślałem wówczas przede wszystkim o tym, żeby skłonić Susan do powrotu do kota i ruszyć w dalszą drogę. W lepszym świetle wcześniej udało mi się rozpoznać fontannę, ale poza tym nic się właściwie nie zmieniło. Nie zauważyłem wtedy, że – podobnie jak domostwa – wzniesiono ją ze spojonych laserem bloków, ale biorąc pod uwagę fakt, że prowadzącą tu drogę wycięto w skale w ten sam sposób, nie byłem właściwie zbytnio zaskoczony.

Zdziwiłem się jednak tym, że osada była zdecydowanie mniejsza, niż nam się zdawało. Wszystkie drzwi miały tylko jakieś półtora metra wysokości, a pokoje, do których prowadziły, wcale nie były wyższe. Otwory drzwiowe były identyczne i umieszczono je w tych samych miejscach, zupełnie jakby przy ich budowie wykorzystano jakiś znormalizowany sprzęt. Al-Khenil zdradził, że we wszystkich głębszych otworach odkryto ślady miedzi i cynku, co zapewne znaczyło, że kiedyś tkwił w nich mosiężny osprzęt.

W jednym z wielkich, niskich pomieszczeń znaleziono rzeźby częściowo pokryte sadzą.

– Kto wie, może w późniejszych czasach, gdy ulegli degeneracji, palili tam ofiary? A może używali łojowych lampek. Tak czy inaczej, zajrzeliśmy pod sadze rentgenem. Dzięki Allahowi, że tam była.

Wyciągnął plik zdjęć i pokazał nam rzeźby, które ujawniło promieniowanie rentgenowskie.

– Spójrzcie, to wygląda na układ okresowy pierwiastków, tyle że ustawiony od prawej do lewej. A to zapewne ich system liczbowy. Najwyraźniej używali systemu sześćdziesiątkowego i wykorzystywali go tylko jako zapis naukowy. Ten przypominający potrójną strzałę symbol prawdopodobnie stanowi odpowiednik naszego „E”. Z całej reszty

rozumiemy na razie niewiele, przynajmniej jednak próbowali dać nam klucz.

– Mówił pan, że pokrywająca rzeźby sadza to...

– Mówiłem, że dzięki Allahowi za to, iż się tam znalazła. Mikroskopowe badania dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że odkładała się przez długie lata, warstwa za warstwą, i że przez cały ten czas ani razu jej nie naruszono. Przychodzili tu przez co najmniej dwa tysiące nansenkich lat, żeby palić zwierzęcy tłuszcz, choć szybki spadek jego ilości w ciągu ostatnich trzystu lat istnienia osiedla sugeruje, że nastąpił tu jakiś straszliwy kryzys. Rzecz jasna, nansenki rok trwa trzy i dwie dziesiąte stanroku, mamy więc do czynienia z co najmniej sześcioma tysiącami stanlat potwierzonego osadnictwa.

– *Deu!* – zawołałem wstrząśnięty. – To znaczy, że byli tu podczas starożytnego lata...

Potrząsnął głową.

– Dawno już wówczas zniknęli. Kimkolwiek lub czymkolwiek byli, węgiel w najwyższej warstwie sadzy datuje się na jakieś dwadzieścia tysięcy stanlat. Niecałe siedemnaście tysięcy lat przed naszą erą.

– Ale w jaki sposób... ta planeta nie jest stara. Występują tu tylko jednokomórkowe formy życia i... – bełkotałem podniecony. Nie miałem odwagi uwierzyć, że to prawda.

Al-Khenil raz jeszcze potrząsnął głową.

– Na pewno będę miał kłopoty, dlatego że to panu mówię, ale uważam, że to okropne utrzymywać odkrywcę w nieświadomości. Ponieważ na Nansenie było już życie, a ani Kaledonia, ani Święty Michał nie życzyły sobie dalszego terraformowania, wielu rutynowych badań nie wykonano, natomiast wykonano mnóstwo innych i ich wyniki zarejestrowano, ale nigdy nie poddano ich analizie. Teraz, gdy wiemy już gdzie i czego szukać, oszacowaliśmy dane na nowo i znaleźliśmy rafy koralowe w morzach oraz serię kraterów pozostałych po impaktach, które wykorzystano do zmiany biegu rzek. Mamy nawet odrobinę nadziei, że uda nam się znaleźć coś z ich maszynarii, gdzieś w obłoku Oorta albo w pasie planetoid. Nan-sena próbowano już terraformować, choć bez powodzenia, nim jeszcze ludzkość podjęła się tego zadania. Pozostaje tylko pytanie, czy znaleźliśmy ekwiwalentną cywilizację, dwadzieścia tysiącleci po fakcie, czy też, kto wie, pozostałości nieznaney dotąd zaawansowanej ludzkiej cywilizacji, która z jakiegoś powodu upadła przed ostatnim zlodowaceniem. Teraz, gdy już wiemy, że to nie jest oszustwo, musimy odpowiedzieć na tylko jedno pytanie – oznajmił, wyciągając ramiona i zakreślając nimi krąg, by wskazać na całą osadę. Wyobrażam sobie, że na swym uniwersytecie musiał być znakomitym wykładowcą. Z pewnością nie brakowało mu autorytetu ani prezencji. – Który z odwiecznych celów ludzkości udało się nam osiągnąć? Czy mamy przed sobą relikty

Marsjan czy Atlantydy?

Po powrocie odbyłem długą naradę z Shanem. Chciał, żebym regularnie służył Radzie Ludzkości, co wydawało mi się bardzo dziwne, biorąc pod uwagę fakt, jak wiele zniszczeń spowodowałem swą obecnością. Powiedział, że nie sądzi, by ktokolwiek mógł się spisać lepiej, i wskazał, jak wiele by mnie ominęło, gdybym tu nie przybył.

Nie wiem, dlaczego odrzuciłem tę ofertę, ale ponieważ to zrobiłem, nadmienił – być może chcąc dać mi więcej czasu do namysłu – że ze względu na wyczerpującą służbę i odniesione rany należy mi się specjalny urlop, połączony z darmowym biletem skoczkowym w obie strony, i że w związku z tym, jeśli chcę, mogę na kilka tygodni wrócić do Noupeitau. Ponadto, jeśli zadeklaruję, że Margaret jest moją narzeczoną, będzie mogła mi towarzyszyć. Wydawało się to całkiem niezłym usprawiedliwieniem, zwłaszcza że miała wielką ochotę zobaczyć Nou Occitan.

Pod skoczkiem czekała Garsenda, która serdecznie uściskała nas oboje.

– Włożyłaś mój prezent! – zawołała do Margaret.

– Ta. To jedyny strój, w którym wyglądam w miarę reprezentacyjnie. A podobno mają nas przedstawić na dworze.

– Och, oczywiście – zapewniła Garsenda. – Co prawda, księżę małżonek nie jest zbyt zachwycony tym pomysłem, ale ważni ludzie z pozaplanetarnej kultury, w tym ogólnie podziwiany bohater, taki jak nasz Giraut, znaczą zbyt wiele, by mógł ich zignorować. Jeśli chcesz, możemy przeskoczyć bezpośrednio do Pałacu, ale mamy jeszcze jakąś godzinę i jeśli wolisz trochę pozwiedzać Noupeitau, możemy chwilę się przejść.

Byłem bardzo wdzięczny Garsendzie za to, że wyszła nam na spotkanie, ponieważ, gdy opuściliśmy ambasadę i ruszyliśmy pod górę w stronę Pałacu, dziewczyny zaczęły o wszystkim sobie opowiadać, jak to przyjaciółki, a ja miałem trochę czasu, który mogłem spędzić sam na sam z własnymi myślami. Arktur jak zawsze gorzał czerwonym blaskiem, a kolory i cienie były mroczne i bogate, lecz nigdy dotąd nie zauważyłem, że wilsoński krajobraz składa się właściwie tylko z trzech barw: głębokiej czerni, tam gdzie padają ostro odgraniczone cienie, intensywnej czerwieni na skale albo glebie oraz osobliwego niebieskoszarego koloru tam, gdzie rosną żywe rośliny. Gdy ujrzałem ojczyznę po tak długim pobycie na Nansenie, przekonałem się, że choć jest ona bardziej różnorodna, owa różnorodność składa się tylko z subtelnych odcieni. Gdybym tu nie dorastał, mogłoby mi się zdawać, że krajobraz jest niemal monochromatyczny.

Na ulicach było wielu ludzi, lecz tych nielicznych, którzy nas poznali, odstraszało wściekle spojrzenie Garsendy. Okcytańska *merce* nie całkiem jeszcze zginęła. Wiele młodych kobiet miało na sobie kopie zmodyfikowanego kaledońskiego stroju Margaret. Uznałem, że to przejaw nowej międzygwiazdnej mody, o której mówiła Garsenda. Podśluchałem, jak przelotnie napomknęła, iż zwyczaj noszenia małej broni neuroinduktorowej stał się tak powszechny, że „ukryte kabury” stanowiły nieodłączny element nowego stylu. Z rozbawieniem zdałem sobie sprawę, że Margaret jest wyposażona w aż siedem kieszonek, w których mogłaby ukryć malutki pistolecik.

Musiałem przyznać, że choć *modo atz Caledon* nie podkreślała zbytnio urody wybitnie pięknych kobiet, większości pozostałych było w niej wyraźnie do twarzy. Ulice

Noupeitau nie sprawiały już wrażenia wypełnionych garstką olśniewających piękności, za którymi mężczyźni ciągle się oglądali, i bardzo liczną „całą resztą”, którą ignorowali.

Gdy przechodziliśmy przez *Quartier*, nie zauważyłem ani jednego człowieka w starostylowym stroju. Czuję się jak prehistoryczny zabytek. Musiałem przyznać, że to, co miałem na sobie, w ciągu dwóch ostatnich stanlat przed moją wyprawą do Kaledonii stawało się coraz mniej popularne, nie spodziewałem się jednak, że dożyję chwili, w której zniknie całkowicie.

Ani tego, że tak mało mnie to obejdzie. Myślałem przede wszystkim o tym, że po przedstawieniu na dworze musimy wybrać się na zakupy, żebym mógł się wreszcie pozbyć tych rzucających się w oczy, niemodnych ciuchów.

W latach młodości wiele razy byłem na dworze z ojcem i dobrze znałem ceremonię przedstawienia, tu jednak również rzuciły mi się w oczy szczegóły, których nie zauważyłem jako dziecko – znużone miny wielu dworaków, krzykliwa przesada wyniosłych, zdobnych łuków komnaty, a nawet fakt, że fanfary są beznadziejnie przeszarżowane. Całość przypominała dwór z Krainy Baśni w źle zrobionym, niskobudżetowym widowisku dla dzieci.

Ponadto Yseut wyglądała fatalnie. Ubrana była nieźle. Głęboki dekolt sukni podkreślał obfitość piersi, a wymyślny, miękki, przypinany żabot maskował słaby podbródek. Kobieta, która zaprojektowała ten strój, zrobiła, co mogła; nie było jednak jasne, czy Yseut zdaje sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej, jakby wszystko to było snem.

– Krążą plotki, że ją bije. Terroryzuje, żeby nie odebrała mu funkcji księcia małżonka – wyszeptwała Garsenda, pochylając się do mojego ucha.

Nie byłem pewny co do Yseut, podczas ceremonii doszedłem jednak do wniosku, że wszyscy pozostali, a już zwłaszcza Mar-cabru, są przynajmniej w umiarkowanym stopniu pijani. W gruncie rzeczy za wyrazem znużenia i nieuwagi na twarzach wielu ludzi skrywał się fakt, że nie byli w stanie skupić spojrzenia.

Zauważyłem to wszystko między innymi dlatego, że pamiętałem, jak wspaniały wydawał się niegdyś dwór w moich dziecinnych oczach. Margaret opowiadała mi później, że była naprawdę oczarowana. Poza tym musiała pamiętać o wszystkich konwenansach, kiedy trzeba dygnąć i tak dalej, nie zauważyła więc wiele poza blichтром.

Cieszyłem się, że jej się tu spodobało, a jeszcze bardziej z faktu, że coś w zmodyfikowanym kaledońskim kostiumie sprawiało, że wydawała się – nie ładna czy piękna, to nigdy nie będzie w jej przypadku możliwe – ale efektowna i dystyngowana. Nikt

nie ośmieliłby się z niej drwić.

Wreszcie ceremonia się skończyła i pozwolono nam wyjść przez jedną z prywatnych południowych bram. Wiedziałem, że będę musiał sam odszukać Marcabru i rzucić mu wyzwanie, gdyż nie było ze mną Aimerica, który mógłby mi posłużyć jako *secundo*. Tym jednak można było zająć się później. Na razie wybieraliśmy się z Garsenda i Margaret na kolację „Pod Niebieską Świnie”. Był to mój ulubiony lokal na po-brzeżu *Quartier* i zarówno Garsenda, jak i ojciec, w ostatnim liście zapewniali mnie, że nie zmienił się ani trochę.

Odebrano mi jednak możliwość wyboru. Gdy wyszliśmy z Pałacu na Dziedziniec Migdałowców, czekał już na nas Marcabru w towarzystwie pół tuzina fagasów odzianych w starostylowe stroje. Jeden rzut oka wystarczył, by się upewnić, że wszyscy noszą godło *Patz*. Przynajmniej zamierzał walczyć solo.

Sięgnąłem za siebie, lecz poczułem tylko powietrze. Kącikiem oka zauważyłem, że Garsenda ciągnie Margaret na ławkę, nakazując jej (słyszałem szept): „Siedź cicho i mu nie przeszkadzaj. Da sobie radę”.

Ponieważ *donzelhom*, które były pod moją opieką, nic nie groziło, zająłem się bieżącymi sprawami. Upewniwszy się, że stoję mocno na nogach, za plecami mam mur, a w pobliżu nie widać kamiennej ławy, o którą mógłbym się potknąć, przemówiłem do niego po okcytańsku:

– Ach, cóż to za miły widok. Jakież wspaniałe powrót do domu. Księżę małżonek w całej swej zapijaczonej chwale. Czy wiesz, Marcabru, mój drogi, stary druhu, że nigdy nie podziękowałem ci za list, w którym opisałeś międzygwiezdniczną parodię tego staroświeckiego, niegustownego stroju, który masz na sobie... na pewno pamiętasz i list, i parodię, tego wielkiego fallusa zwisającego z siedzenia? Na samą myśl o tym śmiałem się chyba cały dzień. Gdyby tylko wiedzieli, jak w sześciu czy siedmiu *joventów* zabieraliśmy cię do sypialni w domu twojego ojca, żeby tam cię wykorzystał jak kobietę, i jak płakałeś i piszczaleś, ponieważ było nas za mało...

Wszystko to było niepotrzebne, gdyż już w liście rzuciłem mu wyzwanie bez ograniczeń, w moim sercu zapłonęła jednak dawna żądza walki, a pijacki gniew w jego oczach pobudził mnie do niespotykanych dotąd wyczynów pomysłowości. Jego maniakalny, maskulinistyczny heteroseksualizm był po prostu najłatwiejszym celem. Ten *toszet* zrobił z siebie parodię okcytańskiego *joventa*, zawstydzając w ten sposób nas wszystkich. Właśnie jako taką parodię zamierzałem go zniszczyć.

– Czy wiesz, najstarszy ze wszystkich mych przyjaciół, posiadacz pary najpiękniejszych pośladków, jakie kiedykolwiek dupczono, że jestem przekonany, iż jesteś

fajniej szy w łóżku niż królowa-idiotka i że miało cię więcej mężczyzn niż ją, choć trudno to sobie wyobrazić.

Wyciągnął broń. Lśniący neuroinduktor wysunął się z głośnym trzaskiem z rękojeści jego szpady.

– Twoja dziwka jest bardzo brzydka, a Garsendę zawsze pierdoliłem pół godziny przed jej spotkaniem z tobą – oznajmił po terstadzku Marcabru.

– Ach, twe słowa, poezja twego okcytańskiego, *que merce*, stary przyjacielu.

Nie zmieniłem języka. Widziałem, że trochę mu trudno zrozumieć swój własny, a wszystko, co zwiększało jego dezorientację, działało na moją korzyść. Choć byłem pewien, że potrafię go pokonać, powinienem wywrzeć wrażenie, że dokonałem tego bez najmniejszego wysiłku. Postąpił krok w moją stronę, wydobyłem jednak neuroinduktor, co powstrzymało go na chwilę, dzięki czemu miałem szansę rozjuszyć go jeszcze bardziej.

– Ktoś inny mógłby skomponować zręczną frazę, żeby się popisać, ale nasz książę małżonek zademonstrował nam, że, choć z wielkim opóźnieniem, udało mu się opanować konstrukcję prostego zdania oznajmującego. Ba, nawet potrafi połączyć dwa takie zdania spójnikiem. *Que merce*, powiadam, *que merce*. Część z tego, co zarobiłeś, sprzedając Yseut na ulicach, musiałeś wydać na nauczyciela, mój bystrzaku, moje kochanie, ulubiona kurwo wszystkich moich przyjaciół.

Udało mi się osiągnąć cel. Gnany wściekłością runął na mnie na oślep bez żadnej subtelności ani strategii. Tak jak wielu pijaków był nadnaturalnie silny, gdyż znieczulone nerwy nie informowały go, że przeciąża mięśnie, w walce na szpady siła nie znaczy jednak wiele. O wszystkim decydują gracia i szybkość, a tu przewaga była po stronie mojego zdrowego, wyćwiczonego ciała.

Odbiłem jego cios jak powstrzymujący byka toreador, odrzucając mu rękę na bok, po czym trafiłem go w policzek, nim zdążył się osłonić.

Ryknął rozwścieczony i uderzył jeszcze silniej. Moja szpada zgięła się niemal wpół, nim znowu przebiła się przez jego gardę, by zadraskać go z drugiej strony.

Odskoczył dramatycznie, próbując udawać, że nie jest ranny, zdradzały go jednak mięśnie twarzy. Chyba odniósł wrażenie, że z obu policzków zwisają mu wielkie płaty mięsa.

Zbliżyłem się powoli, celowo rezygnując z przewagi szybkości, by jeszcze bardziej wyprowadzić przeciwnika z równowagi.

Jak mogłem go kiedyś uważać za znakomitego szermierza? Jedynym wytłumaczeniem był zapewne fakt, że i ja, i wszyscy nasi rywale, byliśmy zazwyczaj w takim samym stanie, w jakim on znajdował się teraz.

Nastał moment absolutnej jasności, w której ujrzałem czarny cień Marcabru, padający na kamienie bruku, ludzi z jego orszaku gapiących się z rozdziawionymi ustami na szybką klęskę grożącą ich towarzyszowi, spoglądające na mnie przekrwione, świńskie oczka przeciwnika, zdobne fałdy jego stroju. Wyglądało to zupełnie jak w jakiejś ultraromantycznej sztuce sprzed dwóch stuleci, chwila czysto okcytańskiego dramatyizmu i gracji...

Skoczył do ataku. Tym razem, znowu zawróciwszy go subtelnie, przeciąłem ścięgna ręki, w której trzymał oręż, pewnie i nieubłaganie. Jego broń padła z grzechotem na bruk i – wyczuwając, że nie dotyka jej już dłoń – złożyła się natychmiast. Lekkim cięciem w pierś zmusiłem go do cofnięcia się, po czym nadepnałem na leżącą na bruku szpadę. Nie miał broni, był ranny i bezsilny.

Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość. Choć stał się wrakiem, nie brakowało mu *enseingnamen*. Cofnął się o krok, złączył ręce za plecami, uniósł brodę i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Ponieważ była to walka bez ograniczeń, spodziewał się tortur albo upokorzenia – bądź też obu tych rzeczy naraz – lecz czynił z konieczności cnotę, nie chcąc błagać o litość.

Mówiłem teraz po terstadzku.

– Żądałeś ode mnie tego, czego nie miałeś prawa żądać, i potępiłeś mnie za to, że nie byłem tym, kim chciałeś mnie zrobić. Jeśli cię obraziłem, to tylko dlatego, że inaczej byś mnie nie wysłuchał. Jeśli cię zniesławilem, to tylko po to, byś ujrzał mnie takim, jakim jestem, zamiast żądać, bym nosił maskę, którą dla mnie wybrałeś. Chciałbym, żeby nasza walka była *non que malvolensa, que per ilh tensa sola*. Dlatego proponuje ci honorowe warunki. Honorowe poddanie się albo honorową śmierć, co wybierasz, ale nie wcześniej, nim uściś-niemy sobie dłonie na znak pokoju.

Według okcytańskich standardów zachowałem się wspaniałomyślnie, kierowało mną jednak wyrachowanie. Gdyby przyjął moją ofertę, znacznie prześcignąłbym go w *merce*, gdyby zaś odmówił, choć wykazałby się wielką *enseingna-men*, moją *merce* i tak wysławiano by przez długie lata. Można powiedzieć, że było to z mojej strony cyniczne posunięcie, mające mi pomóc w karierze.

– *Ages atz infemam* – odparł stanowczo.

– *Per que voletz*.

Podszedłem do niego, wyciągnąłem z pasa sznur i związałem mu ręce, zawstydzając go sugestią, że nie jest w stanie utrzymać ich w tej pozycji.

I wtedy gapie wciągnęli powietrze, porażeni szokiem. Ściągnąłem Marcabru spodnie, przełożyłem go przez ławę i stłukłem mu tyłek gołą ręką tak mocno, że z pewnością zostały

mu paskudne siniaki. Potem – i w tym punkcie Okcytań-czycy uznali, że posunąłem się za daleko – odszedłem, nie zadając mu *coup de merce*, co pozbawiło go pretekstu, który pozwoliłby mu ukryć się w szpitalu na kilka dni, potrzebnych do ożywienia. Musiał stawić czoło konieczności wstania, ubrania się i pójścia do domu. Niech się stawi na popołudniowych spotkaniach ze świeżym jeszcze wspomnieniem upokorzenia.

Gdy jedliśmy obiad, Margaret gapiała się na talerz, dłubiąc widelcem w jedzeniu. Zdałem sobie sprawę, jak musiało to wyglądać w jej oczach. Podczas posiłku nic prawie nie mówiliśmy. Pod jego koniec Garsenda zaproponowała, że wybiorą się z Margaret na zakupy. Dodałem jeszcze jedną pozycję do długiej listy długów wdzięczności, które zaciągnąłem u swej byłej *entendedory*. Sam skierowałem się do Pertza, którego lokal zyskał teraz wielką popularność wśród międzygwiaz-dników. Najpierw jednak kupiłem skromne, codzienne ubranie. Nie wyglądałem już jak na swoich starych vu, nie poznał mnie więc nikt oprócz właściciela lokalu. Obaj spędziliśmy mile trochę czasu na plotkach.

Większość z nich dotyczyła ludzi, którzy zawiesili szpady na kołkach i wyprowadzili się z *Quartier*.

Margaret właściwie nigdy nie wspominała o walce z Marcabru. Nie wiem, co powiedziała jej Garsenda, jeśli w ogóle coś mówiła, ale już następnego dnia Margaret zachowywała się tak jak zwykle.

Szczerze przyznaję, że zabrakło mi odwagi, by ją o to zapytać.

Po kilku dniach wsiedliśmy na przybrzeżny prom, by odwiedzić moich rodziców w Elinorien. Garsenda przyszła nas odprowadzić.

– Swoją drogą – szepnęła mi do ucha – wiem, że nie uwierzyłbyś w nic, co ci powiedział, ale nie chcę, by ominęła mnie przyjemność poinformowania cię, że choć, gdy łączyła nas/*znamor*, Marcabru kilka razy próbował się do mnie dobierać, zawsze go odtrącałam.

– Tak też sądziłem – zapewniłem ją z uśmiechem.

Rejs do małego portu był dla nas obojga bardzo przyjemny. Margaret świetnie dogadała się z moją matką. Spędziłem mnóstwo czasu na spacerach z ojcem po wielu ścieżkach wijących się między morzem a górami. Namówił mnie nawet do tego, żebym pomógł mu trochę w ogrodzie. Chciał się dowiedzieć wszystkiego o górach i szlakach górskich na Nansenie. Z głębokim zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, że ma dopiero pięćdziesiąt parę lat i jeśli Shan ma rację i za dziesięć stan-lat ceny skoczek spadną na tyle, by turystyka stała się czymś powszechnym, możemy jeszcze mieć okazję wybrać się razem na

pieszą wycieczkę za Sodomską Bramę.

Margaret i matka cały czas spędzały na uniwersytecie. W gruncie rzeczy, to tylko dzięki matce wszyscy w Sferze Wewnętrznej znali nazwisko „Leones”. Była autorytetem od archiwizowanych kultur – grup, które nie zdołały zebrać wystarczających funduszy, by zdążyć wysłać statki osadnicze podczas diaspory, i zarejestrowawszy wszystko szczegółowo, po cichu, z żalem, lecz nieubłaganie, zasymilowano je podczas Zwrotu ku Wewnątrz. Dorastając, nieustannie wysłuchiwałem jej opowieści o Amiszach, Saliszach, Samończykach... a teraz co noc Margaret opowiadała mi w domku gościnnym to samo, choć fascynowały ją raczej metody sporządzania zapisów.

Dopiero gdy spędziliśmy tam jakiś tydzień, dotarło do mnie, że matka próbuje dać mi do zrozumienia, że nie będą mogli z ojcem być na naszym ślubie w Kaledonii. Przez chwilę miałem ochotę jej powiedzieć, że zareczyliśmy się tylko po to, by załatwić Margaret bilet do Nou Occitan, lecz po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie jest to prawda.

Urządziliśmy bardzo sympatyczną ceremonię w ogrodzie ojca, choć nie była ona prawnie ważna, jako że w myśl okcy-tańskiego prawa oboje byliśmy niepełnoletni. Pod naszymi stopami ciągnęły się opadające ku szaremu morzu krzaki pomidorów, a Arktur krył się w falach Totzmare. Garsenda przeskoczyła do nas, przysięgając, że zjawi się również na ślubie w Utilitopii. Przyniosła ze sobą tyle energii i hałasu, że sama wystarczyła za wszystkich gości panny młodej. Przybył również Pertz i kilku innych moich kumpi, *joventów*, lecz najważniejsi na ceremonii byli moi rodzice i ich przyjaciele.

Potem urządziliśmy wspańiałe przyjęcie. Z lekkim zaskoczeniem zdałem sobie sprawę, że znajomi rodziców są bardzo interesujący. W którejś chwili ludzie uznali, że jest to również przyjęcie pożegnalne, a nocą, po skonsumowaniu małżeństwa, doszliśmy z Margaret do wniosku, że faktycznie czas już wracać.

Nadal nie wiedziałem, jakiej odpowiedzi udzielę Shanowi. Widziałem, że Margaret zapaliła się do romantycznej wizji podróżowania po Tysiącu Kultur, a fakt, że to by ją zachwyciło, był jeszcze jednym argumentem przemawiającym za przyjęciem tej pracy. Osobiście miałem jednak wrażenie, że wyrosłem już z romantycznych przygód.

Ale nie wyrosłem ze szczęścia, pomyślałem. Gdy tak leżałem w całkowitej ciemności, patrząc na wielkie, wychodzące na morze okno, w moim polu widzenia pojawił się Mufrid, żółty i błyszczący. Był najjaśniejszą gwiazdą na naszym niebie, podobnie jak Arktur u nich. Otoczyłem ramieniem Margaret, nie budząc jej, i pozwoliłem, by ciepłe łóżko i całkowity spokój zaprowadziły mnie z powrotem w sen.

Garsenda wykupiła kontrakt na kierowanie ośrodkiem. Na miejscu sprawy miała nadzorować firma Paula. Budynku nie można jednak było otworzyć, dopóki nanoboty nie dokończą sprzątnięcia wnętrza i przywracania całości do poprzedniego stanu. Zresztą wiązało się z nim zbyt wiele wspomnień. Dlatego wzięliśmy ślub w gmachu parlamentu. Udzielił nam go prezydent świeżo zarejestrowanej Republiki Kaledońskiej – ojciec Aimerica – który podczas całej ceremonii uśmiechał się w bardzo nietypowy dla siebie sposób. Coś w tym było, że w Nou Occitan, gdzie pozycja społeczna była wszystkim, urządziliśmy małą, prywatną uroczystość dla przyjaciół i rodziny, a w Kaledonii, gdzie podobne sprawy miały bez porównania mniejsze znaczenie, ślubu udzielał nam prezydent, drużbą był premier, a wśród gości znajdowała się wielka liczba wpływowych polityków.

Druhną była Valerie. Opowiadano mi – sam nie czekałem, by się o tym przekonać – że zniknęła z przyjęcia z jakimś atrakcyjnym mężczyzną, po raz kolejny zostawiając Paula na lodzie. Gdyby zachowała się inaczej, chyba poczulibyśmy się rozczarowani.

Betsy, w swym nowym, dwuletnim ciele, była czarująca w roli kwiaciarczyki, choć nie umknęło mej uwadze, że jest wyjątkowo nieładnym dzieckiem. Być może, gdy dojrzeje, chirurgia plastyczna w Kaledonii osiągnie już przyzwoity poziom bądź też Betsy będzie mogła poddać się przebudowie w Hedonii albo Nou Occitan.

– A może charakter zrobi swoje i będzie jedną z tych przystojnych kobiet, które dzięki jego sile są piekielnie atrakcyjne, choć interesują się nimi tylko rozsądni, bystrzy mężczyźni – nadmieniałem Margaret nocą, gdy oglądaliśmy wschodzący nad morzem księżyc, stojąc na zamkniętym balkonie Parton Grand, który był pierwszym przeznaczonym dla turystów hotelem na zachodnim wybrzeżu, pierwszym wyposażonym w skoczki hotelem w całej Kaledonii i pochłonął pierwszy milion utili kredytu zaciągniętego przez Paula. W tej chwili było w nim tłoczno od archeologów i paleontologów wszelkiego autoramentu, lecz w jakiś sposób udało się *znaleźć* dla nas apartament.

– Cieszę się tylko, że się nie przewróciła, tak jak na próbie. Brakuje mi tylko tego, żeby matka potem przez całe lata opowiadała, jak urocza, mała kwiaciarczyka wylądowała na twarzy i, wstając, powiedziała: „Niech szlag trafi te krótkie nogi!”.

Odchyliłem się do tyłu ze śmiechem.

– Czy czasem zadajesz sobie pytanie, co by się stało, gdyby kot się nie rozbił

i wyprawa potoczyła się zgodnie z planem?

– Niekiedy. Ale to trudno ocenić, prawda?

– Ta.

Wziąłem ją za ramię i poszliśmy do naszego pokoju. Ostatniego dnia pobytu w hotelu odwiedził nas Shan.

– Skoro już podjęliście osobistą decyzję, to czy chcielibyście dostać pracę? – zapytał.

– Mogę teraz zaangażować was oboje. Nim udzielicie mi odpowiedzi, pozwólcie, bym wspomniał, że Aimeric, a jeśli już o tym mowa, również Paul Parton, i pewnie z tuzin innych ludzi, dałby wam pracę bez chwili wahania, i zapewne też mógłby wam zapłacić więcej niż Rada Ludzkości. Z czasem moglibyście się wzbogacić i po kilku latach bylibyście w stanie regularnie podróżować między swymi ojczystymi kulturami. Dlatego z góry nadmieniam, że chcę wam przedstawić ofertę jak najszybciej, nim się dowiecie, ile jesteście warci.

Uśmiechał się przyjaźnie, co ułatwiło mi zadanie pytania:

– A co masz nam do zaoferowania? Pewnie podróże?

– Do wszystkich możliwych miejsc. Przekonaliśmy się, że ludzie pochodzący ze światów pogranicznych lepiej się sprawdzają na innych tego typu światach, oczywiście więc skierowalibyśmy was w podobne miejsca. Jeśli jednak macie dobrze reprezentować Radę Ludzkości, musicie zrozumieć jej problemy, które na ogół biorą początek w Sferze Wewnętrznej. Dlatego musielibyście odwiedzić również i ją. Wszystkie możliwe światy.

– A co mielibyśmy robić? – zapytała Margaret.

– Oficjalnie – zaczął Shan, odchylając się na krześle i ujmując w dłoń kieliszek, który mu napełniłem – będziecie się zajmować zarządzaniem i nadzorem w ambasadach w całym Tysiącu Kultur. Można by powiedzieć, że zostaniecie biurokratami. Podpiszecie też dodatkowe kontrakty, które nakażą wam spędzać jak najwięcej czasu poza ambasadami, na terenie odwiedzanej przez was kultury.

– Nie wydaje mi się, żebyście potrzebowali do tego zadania akurat nas – stwierdziła Margaret. – Powiedziałeś jednak „oficjalnie”, co w twoim sekretnym języku znaczy „nie wiercie w to”.

– Nieoficjalnie – ciągnął tym samym tonem – będziecie służyć w Biurze Projektów Specjalnych. Bez względu na to, gdzie się znajdziecie, to ja będę waszym przełożonym. Mojej pozycji w biurze nie wolno mi zdradzać, przekonacie się jednak, że figuruje ono w schemacie organizacyjnym Rady Ludzkości i odpowiada tylko przed sekretarzem generalnym i gabinetem rządowym.

– A czym zajmuje się to biuro? – zapytałem. – Chciałbym nadmienić, że nie mam zbytnej ochoty zostać policjantem ani szpiegiem, jako że ostatnio stykałem się z tego rodzaju ludźmi stanowczo zbyt często.

Shan skrzywił się.

– Nie chodzi o to. Jeśli chcemy zachować jedność ludzkości, musimy dopilnować, by scalające ją więzy były luźne i nikogo nie uwierały. – Westchnął. – Można powiedzieć, że gdy powstaliśmy, nie mieliśmy jeszcze celu. Było to trzydzieści dwa stannata temu, gdy znikąd zjawił się skoczek. Czy wiecie, że na wszystkich światach łącznie było wówczas mniej fizyków niż na Ziemi przed tysiącem lat? Fizyka uchodziła za zamkniętą naukę. Absolutnie nikt nie spodziewał się, że Rada kiedykolwiek stanie się czymś więcej niż czysto ceremonialną instytucją. Od czterystu lat nie otrzymaliśmy wniosku o założenie nowej kolonii. Co prawda, i tak nie mielibyśmy gdzie jej wysłać. Ludzkość zamknęła się w sobie. Pocieszaliśmy się myślą, że jeśli gdzieś są jakieś inne istoty, zapewne żyją bardzo podobnie do nas. Gdy jednak natychmiastowe podróże stały się rzeczywistością... no cóż, czy przyszło wam do głowy, że zautomatyzowany statek można zaopatrywać w paliwo za pomocą skoczka, co umożliwi mu zbliżenie się do prędkości światła? Wszelkie techniczne problemy, jakie sprawia posługiwanie się większymi ilościami antimaterii, tracą znaczenie. A gdy statek przybędzie już na miejsce, przez drugiego skoczka umieszczonego na pokładzie może przybyć cała ekspedycja, którą da się też w ten sposób zaopatrywać. W gruncie rzeczy, poruszający się z prędkością światła, zaopatrzony w skoczka statek będzie mógł po drodze wysłać sondy i ekspedycje, nigdy nie zwalniając lotu. Roześliśmy nowe wyprawy we wszystkie strony. Wkrótce ludzkość wznowi ekspansję, i to z prędkością światła. Mówiąc nieoficjalnie, otrzymaliśmy już ponad dziesięć tysięcy projektów nowych kultur, które są obecnie rozpatrywane. Mówiąc nieoficjalnie, dopuszczamy możliwość, że jeśli my potrafiliśmy wynaleźć skoczka, może się to też udać innym, i że musimy się spodziewać w najbliższej przyszłości nawiązania kontaktu z ekwiwalentną cywilizacją. W gruncie rzeczy jest niezgłębioną tajemnicą, dlaczego dotąd nikogo nie spotkaliśmy. A mówiąc bardzo nieoficjalnie, fakt, że istnieją obecnie miliardy nie kontrolowanych połączeń skoczkowych działa na ludzkość jak potężna siła odśrodkowa. Jest bardzo prawdopodobne, że rozerwie nas ona i rozproszy na wszystkie strony, i to akurat w chwili, gdy przygotowujemy się do pierwszego spotkania z innym rozumnym gatunkiem. Dlatego Biuro Projektów Specjalnych w rzeczywistości zajmuje się tylko jednym specjalnym projektem. Mamy zjednoczyć ludzkość. Jeśli to tylko możliwe, chcemy, by proces ten był łagodny i dobrowolny, tak czy inaczej jednak musimy to zrobić. – Wskazał na piętrzące się na wschodzie Góry Pesymalne. –

A teraz nasz specjalny projekt stał się pilniejszy niż kiedykolwiek dotąd. Kim byli? I dokąd odeszli?

– I skąd przybyli? – dorzuciła Margaret.

– Och, to już wiemy. Przynajmniej jedna, niezbyt jasna i ważna gwiazda typu G odgrywa w ich rzeźbach bardzo istotną rolę. Z jakieg innego powodu skierowaliby w jej stronę tak wiele strzałek? Pierwszy z nowej generacji statków skoczkowych wyruszy stąd właśnie tam za niespełna stanrok. Dlaczego jednak nigdy nie wrócili? I jak sterraformowana już planeta mogła zniszczyć cywilizację zdolną do lotów międzygwiazdnych i powrócić do niemal pierwotnego stanu? Sami widzicie, jak wiele musimy się jeszcze dowiedzieć.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas nie odpowiadało. Shan sącył trunek, przyglądając się nam uważnie.

– No cóż, z chęcią zobaczyłabym resztę Tysiąca Kultur – zaczęła wreszcie Margaret – dopóki jest ich jeszcze tylko tysiąc. A jeśli znajdą tam obcych, być może starszy, doświadczony dyplomata, jakim stanę się za dwadzieścia lat, będzie jednym z pierwszych, którzy się z nimi spotkają.

Shan uśmiechnął się szerzej. Wstałem i podszedłem do okna. Nie byłem pewien, co właściwie pragnę zobaczyć, chciałem jednak skierować wzrok na coś innego niż wnętrze pokoju. Okrutne, poszarpane szczyty Gór Pesymalnych wznosiły się ku niebu. Mufrid skłaniał się już ku zachodowi. Wkrótce nad górami miał wzejść Arktur, a nad morzem księżyc.

– Styl i wdzięk – powiedziałem wreszcie. Nie patrzyłem na nich, nie wiem więc, czy zrozumieli mnie od razu, czy też chcieli dać mi czas na przemyślenie tej kwestii. – Pytanie nie brzmi tylko: „Czy ludzkość się zjednoczy?”. Chodzi o to, czy zjednoczy się wokół czegoś wartościowego. Rzecz jasna, wiecie, że pochodzę z zaprojektowanej kultury, założonej przez grupkę zafascynowanych romantycznymi *trobadors* ekscentryków, szukających odległego miejsca, w którym wymarzeni przez nich szaleni romantycy mogliby prowadzić życie, jakie uważali za najlepsze i najpiękniejsze. Ale sami *troba-dors*, model, na którym jesteśmy oparci, byli wędrowcami, propagatorami kultury, nauczycielami i roznosicielami wieści. To oni wzbudzili w Europie zainteresowanie modą i trendami, sztuką i miłością, stylem i wdziękiem... wszystkimi ulotnymi sprawami, które czynią nas ludźmi, a nie tylko polityką i ekonomią, stanowiącymi ekspresję potrzeby pieprzenia i żarcia. *M'es vis, companho*, że ludzkość zjednoczona przez biurokratów i administratorów byłaby ludzkością złożoną z drobnych urzędników, a gdyby zorganizowała się tylko wokół banków i skarbców, nie byłaby warta kontaktu ani poznania. *M'es vis, companho*, że wśród gwiazd potrzeba trochę

stylu i wdzięku. Będziemy wkrótce mieli gości i musimy wypaść przed nimi jak najlepiej. Ambasadorze Shan, z przyjemnością podejmę się tego zadania.

Margaret podeszła nagle do mnie i ujęła moją dłoń. Za plecami usłyszałem oschły chichot Shana, trwający tak długo, że zdałem sobie sprawę, iż nie jest to zwykle dla niego uprzejme, dyplomatyczne zachowanie. Naprawdę go rozbawiłem.

– Mówili nam, że na agentów Biura Projektów Specjalnych powinniśmy rekrutować ludzi nie tylko sprawnych i utalentowanych, lecz również takich, którzy mogą dać nam wizję. Ludzkość ponownie kieruje spojrzenie na zewnątrz i właśnie wizja będzie nam potrzebna. Dodali też, że tacy ludzie mogą nie przypominać idealnych pracowników. Wiem, że rekrutując cię, postąpiłem słusznie, ponieważ już zaczynam tego żałować – zakończył.

Umowę sfinalizowaliśmy przy kawie, po czym Shan przeskoczył do ambasady, a my wyszliśmy na balkon, by sączyć wino, słuchać odgłosów rozmów tłumu i patrzeć na zachód słońca oraz nieustannie zmieniające się niebo i morze.

Siedzieliśmy tam długo bez słowa, uśmiechając się do siebie, gdy podsłuchaliśmy coś ciekawego, i wpatrując się w otaczającą nas bezkresną, pustą przestrzeń.

– Giraut, myślisz, że często będziemy mieli czas na to, by spędzić podobny wieczór? – zapytała wreszcie Margaret.

– Styl i wdzięk, *companhona*. *M'es vis*, że nie będzie to miało znaczenia, jeśli wszystkie będą wyglądały tak jak ten. Wypij jeszcze trochę wina i podaj mi rękę. Niech ludzie, którzy nas zobaczą, uśmiechają się na widok naszego szczęścia.

Zaczekaliśmy na wschód księżyca, ale już dłużej tam nie siedzieliśmy.